

Paweł  
**Paliński**  
Cztery pory mroku



powergraph

**Paweł Paliński**

# **Cztery pory mroku**



**powergraph**

Warszawa 2015

Paweł Paliński  
Cztery pory mroku

ISBN: 978-83-64384-42-4

Wydawca:

Powergraph

ul. Ceglowska 16/2

01-803 Warszawa

tel. 22 834 18 25

e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

[www.powergraph.pl](http://www.powergraph.pl)

COPYRIGHT © 2009-2015 by Paweł Paliński

COPYRIGHT © 2015 by Powergraph

COPYRIGHT © 2015 for the cover by Jan Kosik & Rafał Kosik

PROJEKT GRAFICZNY: Jan Kosik, Rafał Kosik

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: iStock by Getty Images

REDAKCJA: Kasia Sienkiewicz-Kosik

**Wyłączna dystrybucja:**



Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. Sp.j.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 721 30 00 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

## Spis treści

Wstęp

Fair play

Zapłacz, a ja cię ukoję, rzekła Śmierć

Gniazdo os

Wiele lat, wiele przyszłości temu

Trikkety-traketty-trak, albo ze szczęściem nie ma żartów

Krótką ballada o przemienieniu

Judasz z krwi i kości

Pięć minut przed końcem lata

To dla Małej Leny, choć Małej Leny już tu z nami nie ma

Cztery pory mroku

Jednoręki bandyta

Trasa Warszawa–Nowy Jork. Prawie siedem tysięcy kilometrów. Bilet na lot z tych droższych, mało kogo stać. Pamiętam, że jako dzieciak siadywałem w oknie mieszkania dziadków na Służewcu Fabrycznym. Szóste piętro, przy dobrej pogodzie dostrzegałem wieże Okęcia. Na jednej obracał się radar. Przypominała statek kosmiczny. Dziadek raz czy dwa odleciał stamtąd w delegację z zakładu pracy. Nie potrafiłem wyobrazić sobie tej podróży. Że wznosi się u nas, a opada już za oceanem. W głowie mi się nie mieściła taka wolność. Zawsze bardzo za dziadkiem tęskniłem.

To on przywiózł mi pierwszego walkmana, aparat fotograficzny. Emememsy, cyrkonową gumę do żucia, bezużyteczny jak na tamte czasy zestaw kijów do golfa z garadż-sejlu i rzecz najcenniejszą, katalog zabawek Mattela. Razem z bratem wertowaliśmy gładkie strony, nie za bardzo dowierzając, że istnieją takie cuda. To była nasza nastoletnia biblia. Kolorowymi długopisami zakreślaliśmy, co nam się najbardziej podobało.

Bo dla kogoś, kto dorastał ćwierć wieku temu, Stany wydawały się krainą marzeń. Wszystko co najważniejsze na świecie, wydarzało się właśnie tam. Superman walczył ze Złem. Stephen King pisał powieści. Nawet Obcy, gdy już mieli dupnąć w jakiś naród, brali Amerykanów na cel. A u nas? Książeczka SKO i obniżone zachowanie, gdy nie oddało się odpowiedniej ilości makulatury.

Kiedy pisałem *Cztery pory mroku*, wziąłem za rękę tego małego mnie sprzed lat i wysłałem na zasłużone wakacje. To bardzo egoistyczny zbiór opowiadań, pisany prawie wyłącznie dla autora; esencja „amerykańskości”

jaką nasiąkłem dzięki MTV i hitom z satelity, na przekór szarzyźnie lat osiemdziesiątych. Taka trochę bieda-książka, pamiętnik z wewnętrznej emigracji. Podejrzywałem, że mogę być ostatni z ostatniego pokolenia, które pamięta jeszcze czasy bez „kabla”. Chciałem pokazać fascynację miejscem wtedy zupełnie niedosięglym, fascynację, którą dzieliły całe podwórka, oglądając z wypiekami He-mana.

Z każdej jednak emigracji kiedyś się wraca. Stąd pomysł by po kilku latach zebrać całą tę kolorową watahę: tych wszystkich Corriganów, Rayburnów i Wyde'ów i wyrobić im polskie paszporty. Bo teraz są bliżej, bo teraz mamy tanie linie lotnicze i granice można przekroczyć za równowartość flaszki. Po co więc wymyślać niestworzone? Niech się trochę pomęczą, pomyślałem, niech zobaczą, jak to jest u nas. Kto powiedział, że postaci literackie powinny mieć z górki?

Zbiór, który oddaje Wam ponownie do rąk, to dowód na to, że w wielu przypadkach czas i miejsce nie mają znaczenia. Liczy się jedynie opowieść. To także dowód na to, że dystans pozwala zobaczyć rzeczy z nowej perspektywy. Dlatego jedenaste, nowe opowiadanie, nie chce podróżować. Jest stąd i całkiem mu z tym dobrze. Ponieważ kiedy ucieknie się z domu dostatecznie daleko, człowiek odwraca się, by za tym domem zatęsknić. Zobaczyć co ukryte, podnieść, obejrzyć pod światło.

Znów opowiedzieć.

Paweł Paliński

## Fair play

Z tamtego poranka pamiętał tylko szelest papieru; papieru, który nagle zaciążył mu w dłoni niczym kamień, żadnych słów, tylko ten papier, drzwi, schody, drzwi, znowu drzwi, więcej schodów.

Parking – długi, bezkresny.

Wreszcie: jazda...

\* \* \*

Samolot! Czy za dziesięć tysięcy mógłby sobie kupić samolot?!

Wsiadłby, nie odwrócił się za siebie i po prostu odleciał.

Skąd? Stąd. DO NIKĄD!

Filip czuł, że noga, którą z pasją wciska pedał gazu, drętwieje mu z wysiłku. Wysłuzone renault pędziło na złamanie karku. Wyłożone szarą tapicerką wewnątrz drżało niespokojne jak kropla rtęci. To drzenie udzielało się wszystkiemu wokół. Wilgotny, parujący krajobraz za szybą, o świecie zmoczony deszczem, także cały się trząsał.

Krajowa siódemka biegła rozświetloną równiną. Puszcza na jej obrzeżach co pewien czas zbliżała się do pobocza i przelewała nad nim, a wtedy gęste zagajniki zamykały świat w krótkich interwałach mroku. Potem jednopasmówka wśród pól. To tu, to tam wpadała w małe miejscowości zabudowane niskimi domkami z czerwonej cegły. Miasteczka, skupione wokół centralnych placyków, przypominały paciorki koralu na sznurze. Osiemdziesiąt...

Przemknął pośród parterowych domków. wyobrażając sobie, że jego ręce spoczywają nie na kierownicy, lecz na sterach.

Słońce świeciło jasno. Zmrużył oczy.

Potem kolejna ściana lasu spadła na rozpędzony samochód brunatno-zieloną falą. Liściasty tunel kluczył delikatnie, ślizgał się w lewo, w prawo. Samochody z lokalnymi rejestracjami pełzły po nim powoli. Filip ze złością szarpał drążkiem, redukując biegi. Silnik samochodu wył, jakby nie był bryłą metalu, lecz fantastyczną bestią, zapamiętałe łechtana harapem. Dopiero co ominął rodzinne kombi, a już po chwili wyrwał do przodu z karoserią umocowaną na tętniącym zaworami grzbiecie, drapieźnym łukiem wyprzedził powolną półciężarówkę. Opony zadudniły do taktu, gdy gładko cięły podwójną ciągłą. Zaszczekał zaspany, płaczliwy klakson. Dziewięćdziesiąt.

Skrzydła i ster! Wzniósłby się ponad! Uciekł!

Ale, ale, myślał, ściskając silniej kierownicę, zwykły samolocik mógłby nie wystarczyć. Pas startowy – na którym on, Filip Ruszczyk, właśnie nabierał rozpędu, jego całe trzydziestoletnie życie – zarwał mu się pod nogami.

Miał wrażenie, że spada w próżnię. I sto.

Odprawa. Czy oni zdawali sobie sprawę, co dla niego oznaczała? Czy jego firma, gdy podziękowała mu chłodno za współpracę, a potem łaskawie wypłuła pięciocyfrowy czek, wiedziała, że jedyne, co będzie mógł z nim zrobić, to podciąć sobie ostrą krawędzią żyły?!

Przekreślił potencjometr radia do oporu; zatrzeszczała plastikowa obudowa; posłuchał paru taktów listy przebojów, podłapał melodię i chrapliwie zaśpiewał do wtóru rozwrzeszczanego wokalisty. W gardle, nieprzyzwyczajonym do takiego wysiłku, od razu poczuł drapanie. I sto dziesięć!



Bądźmy szczerzy, panie Ryszczyk – usłyszał w głowie chłodny głos, z którym zawarł znajomość dopiero dzisiaj, a mimo to od razu obdarzył nienawiścią godną odwiecznego wroga – drapanie w gardle czułeś już od pewnego czasu.

Wypadłeś z obiegu. Pozbyto się ciebie. Przeżuto. Wydalono.

Lepszy krzyk niż płacz...

Prawda, prawda, po trzykroć prawda!

Spada. Trzepocze rękoma. Sto dwadzieścia!

W jego sytuacji nie poradziłby nawet superodrutowiec pionowego startu! W jego sytuacji nie było już z czego odbić się w górę!

Wskazówka prędkościomierza hipnotycznie drgała przy stu trzydziestu. Filip zapatrzył się w nią, zafascynowany.

— Redukcja! — wrzasnął niespodziewanie. — Redukuj! Zwolnij!

Z kieszeni na piersi wyszarpnął pomięty świstek rozwiązania umowy o pracę i z pasją porwał go zębami na strzępy; resztki wypluł sobie pod nogi i podeptał.

— Tyle mam wam, gnoje, do powiedzenia! — chrypiał. — Ja zwolniony? Nikt tu nie będzie ZWALNIAŁ!

Krzyczał tak i gnał przed siebie; szybciej, i szybciej.

— Zredukowałem was. Jesteście nikim! Odnajdę, rozjadę jak wesz! Rozbiję! Rozpierzdołę!

Dźwięk silnika na wysokich obrotach brzmiał teraz jak przeciągły jęk. Ludzie w przydrożnych mieścinach odwracali głowy; niektórzy robili to niezadowoleni z prędkości, jaką rozwinał, inni być może wsłuchani w tę wspólną ludzko-mechaniczną skargę instynktownie kierowali ku niej swoje współczucie – Ryszczyk nie przykładał do tego wagi.

Śpiewał i przeklinał na przemian.

A kiedy głos niespodziewanie załamał mu się na jakimś nagłym uskoku muzycznej skali, rozkaszał się, do oczu napłynęły łzy rozgoryczenia. Zorientował się, że płacze, i otarł je grzbietem nadgarstka.

To przez te łzy nie dojrzał ostrego zakrętu.

Wiraż niespodziewanie uciekł w prawo. Śliski asfalt wymknął się spod kół samochodu.

Renault wystrzeliło z łuku, przeskoczyło nasyp i runęło wprost w schowaną pomiędzy drzewami polną drogę. Nagła konwulsja w chwili, gdy samochód opuszczał jezdnię, zaparła Filipowi dech w piersiach. Zanim jednak w pełni zachwyił się chwilową nieważkością wóz z hukiem opadł ciężko na osie, opony rozdarły brunatną ziemię, trysnęła kisa w koleinach ściółka. Samochód zadygotał, jak gdyby rzeczywiście się obudził do życia i teraz, w akcie ostatecznego nieposłuszeństwa, gotował się do wykrztuszenia z siebie swego władcy. Filip zaparł się obiema nogami o podłogę. Miękka zieleń, którą do tej pory obojętnie mijał na trasie, atakowała, nagle twarda i bezwzględna podrzucała samochodem, darła blachę. Ruszczyk, całym ciałem w zapasach z kierownicą, wkładał ogromny wysiłek w to, aby przypadkowe drzewo nie zdmuchnęło go na bok, nie przewróciło na dach, aby zbłąkana gałąź nie wybiła przedniej szyby.

Na wyboju samochód ponownie wystrzelił w powietrze, karoseria stęknęła sucho.

Zaraz się uniesie, pomyślał, zaprzeczy sile przyciągania!

Kątem oka dostrzegł w lusterku wstecznym, jak porzucony na tylnym siedzeniu wysłużony neseser, wzbija się do lotu.

Koła oderwały się od ziemi, zaskowyczał silnik i Filip Ruszczyk zrozumiał, że oto spełnia się jego sen i odlatuje gdzieś w siną dal, poza jurysdykcję szarej rzeczywistości. Zignorował pędzącą mu na spotkanie

srebrną chmurę, tak jak ignoruje się własne odbicie w chwili skoku do wody. A kiedy zrozumiał, co zaraz nastąpi, było już za późno.

W kabinie nadjeżdżającego z naprzeciwka ogromnego forda dostrzegł bladą kobiecą twarz. Taką twarz widział po raz pierwszy w życiu; nie miała w sobie ani odrobiny zachwyty, nie odnajdywała w tym nagłym piruecie dwóch rozpędzonych samochodów nawet krzty piękna. Wyglądała, jakby patrzyła na otwierające się wrota piekielnych salonów.

Było w niej też oczekiwanie.

Czekała na to, by Filip, jako majordomus przeznaczenia, oddał wszelkie honory nowemu gościowi podczas nadchodzącej ostatniej wieczerzy.

\* \* \*

Las. Pachniał. Lasssssssssss...

Filip rozparł się na siedzeniu. Las. Słońce grzało w twarz i powoli spływało na szyję gęstym słonecznym syropem. Las. Słońce.

Czyżby przedarło się tutaj przez liście?

Postanowił to sprawdzić. Usłyszał szum. Oddychał głęboko i spokojnie. Coś nie pozwalało mu na uniesienie powiek. Dotknął czoła i twarzy. Pokrywała je lepka skorupa.

Las. Liście. Zapach. Cudowne niezaburzone trwanie...

Przesunął dłońmi po tapicerce. Znalazł więcej lepkich miejsc. Sięgnął po omacku do schowka na rękawiczki i wyciągnął stamtąd zwitek papieru toaletowego. Tarł nim twarz dopóty, dopóki nie poczuł na skórze szorstkiej faktury. Wtedy otworzył oczy. Papier nie był już szary...

Rozkaszał się gwałtownie. Złapał za klatkę piersiową. Pas przerzynał mu tułów z siłą stalowych obcęgow. Kiedy sięgał do zapięcia, w karku zapłonął niespodziewany ból, słońce zgasło, las ryknął w nagłym crescendo, a wszystko wokół wybuchło oślepiającą jasnością...

\* \* \*

— Nie ruszaj się. Na pewno coś sobie złamałeś.

We wraku naprzeciwko Filip ujrzał drobną, przystojną kobietę o rozgorączkowanym spojrzeniu. uwięziona w samochodowej kabinie, przypominała postaci z rzeźby Kienholza. W odruchu ni to czułości, ni to obrony miętosła trzymaną na kolanach drogą damską torebkę. Rude włosy zaczesane na lewą stronę. Na skroni, przyozdobionej poszarpaną raną, blada skóra odsłaniała różowe wnętrze i sinobiałą kość.

Nieznajoma, sztywna, wyprężona. Widoczna od pasa w górę jak w teatryku pacynek.

— My się znamy?

Dzieliły ich dwa metry, niecałe dwa metry kipiącej stali, a mimo to Filip wykrzyczał to pytanie – jakby jego organizm zapamiętał ostatnią rzecz, którą robił tuż przed wypadkiem, tamto cholerne rockowe wycie, i wciąż się z niego nie otrząsnął.

Przez twarz kobiety przebiegł nerwowy tik.

Filip cierpliwie czekał na odpowiedź. Nie otrzymał jej.

Zbadał palcami ranę na czole – okazała się płytką. Za to szyja... nie było mowy o swobodnym rozglądaniu się na boki. Postanowił, że zaryzykuje i jeszcze raz się poruszy. Tym razem z wyprzedzeniem zaplanował każdy gest. Najmniejszy nawet ruch okupił rozpaloną do białości walutą bólu. Kark, głowa i nogi rwały niemiłosiernie. To zmuszało do przezorności. Uniósł się ostrożnie na rękach

Delikatny wiatr niespodziewanie przyniósł ze sobą zapach rozgrzanego smaru i Filip mu się nie oparł – opadł na siedzenie, zanim obrócił się na tyle, aby boczne okno znalazło się w jego polu widzenia. Usunął resztki szyby sterczące nad zegarami szybkościomierza, pochylił się i wyjrzał. Powietrze falowało miękko nad zastygłymi wnętrzościami aut i Ruszczyk

niespodziewanie ubzdurał sobie, że za wszelką cenę musi rozpoznać każdą z części kłujących go w oczy z miejsca, gdzie nie tak dawno znalazłby przód samochodu; że to ważne. Na próżno – maski zwarły się ze sobą z taką siłą, że wydawało się, iż nawet lakier uległ wymieszaniu. Impet zderzenia wybebeszył oba przedziały silnikowe, wypruł chłodnice i instalacje elektryczne, zalał wszystko dookoła olejem i chłodziwem. Płyny spływały po rozgrzanych ośmiocylindrowych korpusach napełniając powietrze swądem. Cały ten potargany złom wyglądał nieziemsko. Jak jakiś trzeci niezależny byt z dwóch stalowych ameb. Poroniony i martwy, bo ukazany zbyt wcześnie, aby się w pełni uformował.

— Masz połamane nogi? To się zdarza podczas wypadku.

Filip drgnął na dźwięk jej głosu; obmacał prawe kolano.

— Nogę — poinformował oschle, sam nie bardzo wiedząc, dlaczego w ogóle udziela tej informacji. Na rejestracji, zmiętej jak papierek po cukierku, odczytał informację, że jej samochód jest pojazdem służbowym dużej sieci banków. Wziąwszy pod uwagę dzisiejszy poranek, nie żywił szczególnie przyjaznych uczuć do korporacyjnych popychadeł. Popatrzył na nieznaną z rosnącą wrogością.

— Mam chyba złamaną nogę, nie NOGI...

Kobieta uśmiechnęła się bez powodu. To tylko upewniło Filipa w przekonaniu, że w najbliższym czasie obdarzy ją wszystkim, tylko nie sympatią. Zawładnęła nim jakaś odruchowa niechęć, podskórny sygnał, który mówił wyraźnie: trzymaj się z daleka!

Tymczasem dotykał nogi, otwartą dłonią sunął w dół spodni i dalej w kierunku stopy, aż odnalazł dziwną wypukłość w połowie piszczeli, twardą i obłą. Ucisnął ją. Ból okazał się nie do zniesienia.

— Hej! Co z tobą? Wszystko w porządku?

Filip zamrugał nieprzytomnie.

Zaciskając zęby na kciuku czekał, aż przeleją się przez niego wszystkie fale gorąca, jedna po drugiej.

Co za perfidia... „Na pewno coś sobie złamałeś”. Chciałabyś jeszcze i takich ponurych wieści – otwarte złamanie – zapewne to by cię w pełni usatysfakcjonowało, głupia pindo.

Dobrze, że rozgryzł ją już na samym wstępie, inaczej jeszcze by się nabrał na ten troskliwy wyraz twarzy. O, w tym, co mu robiła, była naprawdę świetna.

Siedziała tam, w wozie z najnowszej jesiennej kolekcji, udzielała dobrych rad, podczas gdy on uwięziony został w kanciastym i nieprzychylnym wnętrzu swojego przedpotopowego grata. Jakim prawem? Kto ją o to prosił?

Setki osób każdego dnia wypadła przez nieuwagę z jezdni i jedyne, co traci, to buty poświęcane na poszukiwania kogoś, kto pomógłby im wygrzebać się z grząskiego pobocza. Ale nie Filip, o nie, nie on! Zły los najwyraźniej szczególnie go sobie upodobał i postanowił potowarzyszyć swojemu faworytowi tak długo, aż się podda, ostatecznie wdeptany w ziemię. Właśnie na chwilę, na moment dosłownie, Filip stracił panowanie: nad kierownicą, nad sobą, nad życiem.

I co?

Najpierw pozbawiono go pracy, wylano na zbity pysk, kopnięto w dupę. A zaraz potem zesłano mu na kark tę wyfiokowaną Nemezis w karocy za bańkę z hakiem... Tego gabinetowego wycierucha... Cesarzowa ABS, skórzanych tapicerek oraz napędu na cztery koła.

A on? Co z nim? Wyraźnie czuł na mostku palącą pręgę w miejscu, gdzie kierownica niemal skruszyła mostek. Wypluwał twarde resztki szkła. Ból w nodze pulsował jednostajnie.

— Obleci — odparł.

— Nie mogę się ruszyć — szepnęła tymczasem kobieta i urwała.

Filip sięgnął ostrożnie do kieszeni spodni i koniuszkami palców wyłowił telefon komórkowy.

— Ja za to mam dolce vita.

Wystawił rękę by złapać zasięg. Dwie kreski zamrugały zachęcająco, potem zgasły. W przyptywie bezsilnej złości miał ochotę cisnąć aparat przez okno, opanował się jednak i odłożył go do popielniczki.

— Nie ruszę się. Naprawdę... Chyba mam coś nie tak z kręgosłupem... Jak my się stąd wydostaniemy?

— Spokojnie, nie wszystko naraz — odburknął. Czy dobrze usłyszał? Czyżby do głosu nieznajomej wkradł się lęk? Świadomość tego, podziałała na niego uspokajająco.

A więc to ONA potrzebuje jego pomocy... Wobec tego mimo wszystko to ON ma czas... Mnóstwo czasu.

Splunął od niechcenia przez otwarte okno. Potem, gotowy na każde z ostrzeżeń poobijanego ciała, uniósł się na rękach i rozejrzał.

Uschnięte liście i grudy tłustej ziemi oblepiały tapicerkę, grzęzły w zakamarkach tablicy rozdzielczej. Filip znalazł je nawet we włosach. Gdy otrzepywał ubranie, kantem dłoni rozkruszył niechcący jedną z takich grudek. Na koszulce pozostał długi brunatny ślad. Nic niezwykłego przy takim wypadku, pomyślał, tyle ziemi, brudu. Dopiero gdy na spodnie niespodziewanie posypały się gnijące skórki ziemniaka, zamarł zaskoczony.

Spojrzał uważnie w lewo, potem w prawo, wprost w księżycowy krajobraz za oknem.

Siła zderzenia wyrzuciła ich, wprost na dno sporego zapadliska; dostrzegął teraz pnie sosen pochylone nad urwistymi brzegami, szerokie u dołu i wąskie powyżej. Drzewa stały w rzędzie niczym brunatne świece nad napoczętym tortem: zółciutki piach robił za kremową masę,

a kilkucentymetrowa warstwa mchu i igliwia udawała polewę. Jednakże każdy, kto zażyczyłby sobie kawałka tego gigantycznego leśnego deseru, natknąłby się na przykrą niespodziankę. Spód ciasta stanowiły odpadki i Filip od razu zrozumiał, gdzie się znajdowali – na dzikim wysypisku.

Dla kogoś, kto nie tak dawno stracił źródło utrzymania, ta ironia była grubymi nićmi szyta. Filip poczuł, że przelewa się w nim czara goryczy. Oto jak potraktowało go parszywe życie... Kopnęło w tyłek i posłało w dół z łajnem.

Ręce mu zadrżały. Podczas uderzenia neseser, jak jakaś przerażona biurowa szkarłupnia, wypluł z siebie całą zawartość. Wszędzie leżały rozrzucone koperty i druki, igrzyska firmowej papeterii wszelkich rozmiarów i maści. Podniósł go z podłogi, zamknął i odłożył na bok. Zagarnął wielokolorową i wielorozmiarową bandę papierzysek. Każdy z listów rozpoczynał się paskudną onomatopeją, dźwiękiem przypominającym uderzenie kropli w blaszany dach: bank, bank, bank, bank. Bank Gospodarki Takiej a Takiej, Bank Usługowo Coś Tam, Twój Bank, Nasz Bank, Ich Bank...

Filip zmiął tę makulaturę i cisnął na podłogę.

Teraz także on czuł strach.

Utrata stanowiska i wypadek to nie wszystko. Dopóki miał pracę, każdy bank rozpatrywał jego życie pod kątem rat, jakie chleptał co miesiąc z jego wypłat. O tak, każdy z tych świstków był dowodem, jak cenny jest Filip dla kasjerów, menadżerów i ich doradców. Więzienni nadzorcy klatki sukcesu zostawiali mu w misce dokładnie tyle, ile było potrzebne, by doczekał do kolejnego miesiąca. Nie tuczili, głodzili raczej, ale MIMO WSZYSTKO pozostawiali przy życiu. A teraz? Miska będzie pusta. A banki nie lubią lizać dna. Przyjdą do niego, każdy zabierze się do należnego mu kęsa. Te duże raz-dwa połkną mieszkanie. Te mniejsze pożrą samochód. Całkiem



małe zadowolą się telewizorem. Znał ich mroczną taktykę: wpierw go okrążą, potem zgodnie z etykietą padlinożerców po kolei obedną ze skóry; najslabsi nadejdą ostatni.

Plus ubezpieczyciele tej rudej hieny, którzy odwiedzą go zaraz po tym wypadku.

Plus opłaty za leczenie.

Koniec z dniami spłaty rat wyznaczonymi specjalnie po to, by regularnie oddawał część krwawicy. Rozpocznie się bandycka transfuzja, po której nikt się nie spodziewa, że ofiara przeżyje.

Ta świadomość wstrząsnęła Filipem. Już teraz miał wrażenie, że powoli paruje z niego życie.

Zbadał sobie puls. Przełknął parę razy ślinę. Podobno gdy człowiek traci szybko krew, dzieją się z nim właśnie takie rzeczy – serce przyspiesza, a w ustach zasycha jak po długim biegu.

— O Jezu! Pewnie coś mi się stało w kręgosłup! Nie mogę unieść rąk i nóg!

— Przymknij się, babo, odrobinę, co? — warknął bezceremonialnie. — Nie trzeba było siadać za kółkiem, skoro teraz taki z ciebie mazgaj.

Kobieta wbiła w niego trzeźwy, świdrujący wzrok.

— Co? Kim pan w ogóle jest? Kto panu pozwolił odzywać się do mnie w ten sposób? Wyskoczył pan z lasu tym... tym rzęchem prosto na mnie, a teraz traktuje w chamski, protekcyjnalny sposób! Co pan sobie myśli!

Filip poczuł przypływ ponurej wściekłości.

— Myślę — wycedził chłodno — że, dosłownie i w przenośni, nie jesteś w dobrej pozycji do dyskusji ze mną. Nie mam zamiaru wymieniać z tobą grzeczności. A skoro nie możesz się ruszyć – radzę być miłym. Jeżeli uda mi się wydostać, to całkiem prawdopodobne, że pomogę i tobie. Wyłącznie

od ciebie zależy, czy będę niósł cię na rękach, czy ciągnął za szmaty po ziemi.

— Bydlę...

Bez słowa sięgnął po zmiętą papierową kulę i mełł ją, dopóki nie wtłoczył do niej części swojego gniewu.

\* \* \*

— Nazywam się Anna Szyller. A pan?

Siedzieli bez ruchu; od dawna nie zamienili ze sobą ani słowa. W oddali, za drzewami, ulica mruczała delikatnie, na granicy słyszalności. Jeden jedyny raz Filip spróbował wykrzyknąć coś w tamtym kierunku, ale pełen pogardy wzrok jej wysokości Frau Szyller wtłoczył mu to wołanie o pomoc z powrotem do gardła. Ze swojego srebrnego forda emanowała płomiennym gniewem jak z wyżyn pieprzonego tronu. Długo mierzyli się wzrokiem, aż w końcu dał za wygraną. Położył łokieć na drzwiach, podparł ręką brodę i postanowił, że przyczai się za murem apatii.

— Nazywam się...

Pod jej miażdżącym spojrzeniem pożałował, że w ogóle się odezwał.

Anna Szyller. Czuł jej obecność, nienawidził i potrzebował jak oddychania. Ta nienawiść, odkrywał to z zaskoczeniem, miała w sobie właśnie takie organiczne źródło. Tępo przyglądał się swoim dłoniom – skórę na kłykciach zdartą miał do krwi. A czas mijał. Czuł jego upływ; w rytmie serca, w pulsowaniu skroni, wreszcie, najsilniej, w wibracjach ciemnych strun, które poruszyła w nim ta kobieta.

To takie śmieszne... Całe życie gardził wszelkimi przejawami ksenofobii, a z zaskoczeniem odkrywał, że pobudki kierujące ludzi przeciwko innym nie są mu jednak tak bardzo obce. Do tej pory nie przyszyłoby mu przecież do głowy usprawiedliwienie dla kogoś, kto

pogardzał drugim człowiekiem. Ale teraz... teraz coś się zmieniło. Stopniowo odnajdywał głęboki sens rasistowskich przekonań; składały się na nie maleńkie szczegóły, całe uniwersum drobnostek. Wystarczyła jednak odrobina chęci i zacięcia, aby rozpoczął się lawinowy proces syntezy, powolnego sklejanego ich w jedną całość, która w ostatecznym rozrachunku ciążyła boleśnie. Wpatrywał się w towarzyszącą mu kobietę i dochodził do wniosku, że istnieje lista osób, takie nowo odkryte prywatne archiwum Filipa Ruszczyka którym chętnie odebrałby każde prawo, nawet to do istnienia...

Prym na niej wiodły, o dziwo, rude pindy z wyżyn klasy średniej.

Popatrzcie sami. Sposób, w jaki rozdymała płatki nosa. Nie robiła tego cały czas – tylko gdy się jej przyglądał. Zauważył to, sprytnie wpatrzony w zwichrowane boczne lustro. Gdy wydawało jej się, że nie jest obserwowana, oddychała spokojnie. Czyżby miała w tym swój cel? Co chciała podkreślić? Filip nie wiedział. Nie szkodzi. I tak potwornie działało mu to na nerwy.

Albo maniera, z jaką oblizywała spierzchnięte usta.

Albo jak mrugała, niezadowolona, zezując przy tym lekko lewym okiem.

Albo jak rozkosznie ziewała.

Nienawiść wyżywi się nawet najdrobniejszym, podsuniętym jej okrucieństwem. Wystarczy odrobina dobrej woli i każdy pokieruje jej ślepych pyskiem.

— Anna Szyller, mówię! Czy pan mi się kiedykolwiek przedstawi?!

Filip odwrócił wzrok. Był na granicy wytrzymałości.

Słońce stanęło dokładnie nad rozbitymi samochodami. Rozgrzana ziemia parowała, a para była gęsta i lepka, nieprzyjemna. Tu, w dole, w którym tkwili, przesycił ją słodkawy odór odpadków roślinnych, zapach

zestarzałych mięsnych resztek. Filip przełknął szorstki haust kwaśnej i rzadkiej śliny. Bóg jeden wie, co lądowało w tej leśnej kloace...

Chciało mu się pić. Chciało mu się do toalety.

Chciało mu się!

Ale przede wszystkim pragnął się wydostać. Dotknął złamanego podudzia. Podwinął nogawkę. Napięta skóra lśniła. Cała łydka była tkliwa, nabrzmiała. Ostrożnie uniósł stopę. Ciekawe, ale ból okazał się bez porównania słabszy. Widocznie krwiał, który rozdał łydkę do obecnych rozmiarów, odrobinę ustabilizował potrzaskane kości. Gdyby tylko mógł znaleźć coś, dzięki czemu zmajstrowałby prowizoryczny opatrunek. O chodzeniu nie było mowy, ale wystarczyłoby, że podczołga się do brzegu jamy, a stamtąd zadzwoniłby po pomoc.

Wysypisko miało kształt zbliżony do owalu. Tkwili w jednym z jego zaokrąglonych końców. Niefortunnie dla Filipa jego samochód stał odwrócony tyłem do wypełnionego odpadkami wnętrza. Za to tamto wredne babsko ogarniało wzrokiem całość zagłębienia.

Do cholery! Dosyć tej idiotycznej przepychanki.

Moja ambicja, twoja ambicja, do ciężkiej kurwy nędzy! Ruszczyk zacisnął pięści.

— Słuchaj — zaczął ostrożnie. — Możemy spróbować stąd wyjść...

Szyller nie odpowiedziała.

— Noga nie boli mnie już tak bardzo... Mógłbym podczołgać się do ciebie i...

— Nie ruszam się stąd — odparła chłodno. — Jeżeli mam złamany kręgosłup, poczekam na profesjonalną pomoc. Gdzie indziej zgrywaj wiejskiego bohatera. Nie pojawiliście się dzisiaj w pracy, idioto! NA PEWNO już nas szukają!

Filip odchylił do tyłu głowę. To „my” i „nas” wytrąciło go z równowagi. Zrobił kilka głębokich wdechów.

Kto dziś poszukuje Filipa Ruszczyka?

Nikt, nikt, nikt.

— Dobra. Jak tam sobie chcesz — warknął. — Powiedz mi tylko, czy dobrze widzisz całe wysypisko.

Szyller przymknęła oczy. Filip odczekał dobrą minutę, a potem ponowił pytanie.

— Nie jestem głupia — usłyszał twardą odpowiedź. — Znam takich jak ty. Uciekniesz, jak tylko dam ci najdrobniejszą szansę.

Nie wierzył własnym uszom.

— Myślisz, że nie wiem, co sobie ubzdurałeś? Ten wypadek był z twojej winy. Nie wymigasz się.

— O czym ty, do cholery, bredzisz, kobieto?

— Ooo, pewnie, pewnie. Ratuj się, kto może! Dobrze sobie to zaplanowałaś. Znam takich jak ty cwaniaczków – obiboków w samochodach z drugiej ręki i koszulach w kratę. W moim banku koczują całe zastępy takich życiowych porażek jak ty. Znamy was na wylot.

— Słuchaj...

— Mężczyźni... — obróciła w ustach to słowo. Sposób, w jaki to zrobiła, starczyłby za każdą odpowiedź.

Nad głową Filipa rozległ się skrzek i na dachu samochodu wylądował jakiś ptak.

— Tacy jak ty — Szyller nie dawała za wygraną — nie powinni wytykać nosa z za krat więzienia. Powinno się was wsadzać za brak życiowej zaradności! O Boże, na pewno ubzdurałeś sobie, że w ten sposób przypodobasz mi się i gdy nas znajdą... Gdybym mogła wszystkich was...

— Och, zamknij się, GŁUPIA CIPO ...

— Wszystkich was!

Filip rzucił w kobietę kawałkiem zmiętej rolki papieru toaletowego. Trafił ją w czoło. Umilkła w pół słowa.

— Następnym razem sięgnę po coś cięższego — zagroził. — Jeden siniak mniej czy więcej nie zrobi ci i tak różnicy.

Kobieta nie odpowiedziała, dyszała ciężko.

— Możemy siedzieć tu i obrzucać się wyzwiskami, proszę bardzo...

Ptak zeskoczył z dachu i przysiadł na rozbitej chłodnicy renault. To był dudek, w dziobie trzymał zieloną gąsienicę. Na widok ludzi nastroszył pierzasty czub i zerwał się do ucieczki.

— Możemy tak sobie siedzieć do usranej śmierci...

Filip oparł się o siedzenie, założył ręce na piersi i przymknął oczy. A potem pod wpływem nagłej zachcianki sięgnął w stronę radia. Włączył je i z zadowoleniem stwierdził, że, o dziwo, akumulator przetrwał zderzenie. Głośniki ryknęły na cały regulator dźwiękami ostrego rocka. Karoseria zawibrowała od ciężkiego basu. Ruszczyk zerkał ukradkiem na Annę Szyller, ciekawy jej reakcji. Najpierw siedziała nieruchomo, potem jej usta zadrżały, poruszyły się kilkakrotnie.

Rockowa melodia zagłuszała jej słowa.

*Dum, dum, dum*, waliła sekcja rytmiczna. *Zing, zang, twiiik*, ślizgała się po niej ostra jak brzytwa gitarowa solówka. *Yeah, yeah, yeah*, darł się wniebogłosy ochryply frontman i z całego siłą wydzieranego sobie z piersi przekazu tylko to słowo nadawał zrozumiale.

Wreszcie i Szyller zaczęła krzyczeć. Wokalista pozbawił ją jednak najmniejszych szans. Wył, wył i wył. W całym tym transie tłustego huku kobieca głowa przypominała upiorny semafor – rozbawiony Filip widział kolejne rozbłyски różowego wnętrza jej ust. Dziwny alfabet Morse'a – ani jednego słowa.

Wyłączył radio, kiedy po policzkach Szyller popłynęły łzy. Czuł się usatysfakcjonowany.

Zapadł w krótką drzemkę. W piersiach czuł ciepło oraz słodką pustkę.

Gdy otworzył oczy, słońce stało wysoko. Wszystko przystroił drżący miodowy deseń południa, lejący się z koron drzew aksamitny upał. Wrócił też dudek.

Łzy na twarzy Anny obeschły, a ich niedawne ścieżki znaczył rozmyty makijaż. Maskara i cienie zmieszały się i elegancka tarcza drogiego make-upu, za którą Szyller czuła się do tej pory bezpieczna, opadła. W jej oczach, Filip zauważył to z zadowoleniem, pojawił się nowy wyraz – rezygnacji. Na pewno oglądała się w lusterku wstecznym, nie było wątpliwości zrobiła to już niejedną raz. To dopiero był dla niej upadek Napuchnięte powieki i zaczerwieniony nos. Kłębki żółtej śliny w kącikach ust. Przypominała smutną pijaczkę. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Filip potarł grzbiet nosa i uśmiechnął się ukradkiem. Ziewnął i od niechcienia wyłączył radio. Na sam dźwięk przełącznika kobieta drgnęła.

— Spokojnie — zwrócił się do niej niedbale. — Chcę tylko posłuchać wiadomości. Zawsze to robię po przebudzeniu.

Och, jak bardzo spodobała mu się ta kwestia.

W świecie nie wydarzyło się nic ciekawego i Filip zgasił odbiornik w połowie serwisu sportowego. Mógłby wysłuchać go do końca, dla zasady, ale pomyślał, że dogryzł już jej wystarczająco.

Nadszedł czas powrotu do poszukiwań sposobu ustabilizowania złamanej nogi. Znajomy dudek podskakiwał i szurał wszere i wzdłuż dachu. Filip łupnął pięścią w karoserię, żeby sobie wreszcie poleciał.

— Wiesz — odezwała się cicho Szyller, gdy ptak ich opuścił i ponownie zostali sami. — Wtedy gdy włączyłeś radio... Myślałam, że zwariuję ze strachu... To było takie straszne. Ta kanonada dźwięków. Nie słyszałam

swojego krzyku. Nie słyszałam nawet swoich myśli. Gdybym umierała i chciała to wykrzyknąć, o Jezusie, nikt na pewno by mnie nie usłyszał.

Brawo, pomyślał Ruszczyk. A więc nawet w tak pustej głowie kołacze się od czasu do czasu zwątpienie.

— Nie sądziłam, że można poczuć się samotnym w takim... Samotność zawsze kojarzyła mi się z ciszą — dodała.

Filip nie słuchał, zajęty oglądzinami wnętrza samochodu. Jeżeli ta Szyller potrzebuje się wygadać, to on, oczywiście, posłuży jej za uprzejmego słuchacza. Jedynie SŁUCHACZA. Dalszej rozmowy z tą bankową harpią nie brał pod uwagę.

Załoczył rękę za siedzenie pasażera i ostrożnie się podciągnął. Miał niejasne wrażenie, że na tylnej wycieraczce powinno leżeć coś, co przy odrobinie wysiłku posłużyłoby mu za...

— Hej, ty, posłuchaj, ja nadal nie znam twojego imienia — w głosie kobiety zabrzmiała dawna zgryźliwa nuta.

— Filip — odparł na odczepne przez zaciśnięte zęby, wsłuchany w pulsowanie bólu w łydce. Świetliste okręgi, które wirowały mu przed oczami, nabierały rozpędu, gdy tylko sztywny materiał spodni ocierał się o nogę.

— Zatem Fi-lip-ku... Słyszałeś, co do ciebie mówiłam? Samotność! Czy tacy jak ty w ogóle wiedzą, co to słowo znaczy?

Zadziwiająco, z jaką wprawą ta kobieta błyskawicznie przefarbowała smutną rezygnację w zaczepkę.

Z takim niewyparzonym pyskiem na pewno robiłaś oszałamiającą karierę, dziecino.

Ruszczyk wczepił się palcami w podłużny metalowy kształt zagrzebany pod siedzeniem. Złamana noga ześlizgnęła się po wycieraczce i uderzyła w pedał gazu, stopa nieznacznie się przekręciła. Ostry kawałek kości



przekłuł skórę. Ból i ulga – oba doznania tak samo nagłe. Krwiak chlusnął radośnie i w jednej chwili krew wypełniła but. Sapiąc z wysiłku, Filip złożył na kolanach profilowany czerwony pręt.

— Samotność? — wydyszał. Kręciło mu się w głowie. — Ty mnie pytasz o samotność? — Odkasznął. — Nagle zebrało ci się na pogaduszki?

Ale Szyller nie podjęła dyskusji. Wyciągała chudą szyję w daremnych próbach dostrzeżenia, co też Filip odnalazł. A on w lot to zauważył i z rozmysłem udał, że nie zwraca na nią uwagi. Zabrał się do powolnych i dokładnych oględzin znaleziska.

Wysłużona blokada kierownicy, którą wyciągnął spod fotela pasażera, zrobiona została z grubej stalowej rurki powleczonej gumą. Wygięte podwójne pazury na obu końcach służyły do blokowania jej od wewnątrz na kole kierownicy. Jedna para „pazurów” przyspawana została do korpusu blokady. Druga poruszała się w górę i w dół na karbowanym pręcie umieszczonym wewnątrz głównej tulei. Kluczyk tkwił w zamku i gdy się go przekręciło, blokował ruch pręta na długości. Albo, co bardziej interesowało Filipa, wysokości. Rozciągnął blokadę i ostrożnie przyłożył ją do zdrowej nogi. Okazała się dostatecznie długa. Rozciągnięta do połowy mierzyła dokładnie tyle, ile złamane podudzie. Filip pogrzebał przy zamku i odkrył, że nawet zamknięty nie uniemożliwia ruchu poszczególnych części dookoła długiej osi blokady. Dolną część zaparł o kostkę i grzbiet stopy, a czerwony korpus poprowadził po łydce. Górną blokadę umieścił pod kolanem i podparł nią rzepkę. Pozostawało teraz tylko odnaleźć dobre mocowanie, coś, czym można by ustabilizować ten prowizoryczny opatrunek. Filip znów rozejrzał się po samochodzie.

Szyller zaciekle szukała jego wzroku.

— Samotność? — powtórzył jak echo jej niedawne pytanie. — Nadal interesuje cię ten temat?

Pasy bezpieczeństwa. Dotknął sflaczałej, lśniącej od brudu szarfy. Była, zużyta ale jej włókna miały się doskonale. Naciągnął pasy aż do oporu. W momencie gdy zadziałał automatyczny ogranicznik, na kolanach leżały mu prawie dwa metry solidnej parcianej taśmy. W otwartym schowku odnalazł śrubokręt. Darł twardą tkaninę przez zaciekle pięć minut. Po kwadransie zdołał tak zabezpieczyć złamaną nogę, że mógł nią poruszać w górę i w dół bez obawy pogłębienia złamania.

Otworzył wtedy drzwi i spojrzął Szyller prosto w oczy.

— Wiesz, co to jest samotność? — spytał z satysfakcją. — Prawdziwa samotność to ta chwila, gdy jesteś pewna, że są rzeczy, które nie mogą ci się wymknąć, a one i tak odchodzą.

A potem ostrożnie wysunął się z kabiny renault i rozpoczął mozolną wspinaczkę przez wysypisko. Czołgał się pod górę wśród zwałów śmieci radosny i uśmiechnięty.

\* \* \*

— Wracaj! Jeżeli zostawisz mnie tu samą, nie ujdzie ci to na sucho! Wracaj! Natychmiast wracaj! Ty skur-wy-sy-nu!

Wspinaczka wykończyła go. Leżał na wpół przewieszony przez urwisty brzeg dołu, dysząc z wysiłku. Przejechał parokrotnie językiem po wewnętrznej stronie policzków i podniebieniu – jakby ktoś ukradkiem wsunął mu pod język miedzianą monetę, a on, nie mogąc jej odnaleźć, żuł ją, żuł i żuł podczas wdrapywania się po zboczu śmietniska. Doprowadzało go to niemal do szału. Splunął, lecz ślinę miał czystą. Smak pozostał. Ostry mech kłuł go w brzuch. Nogi zwiesił bezwładnie; oparte o ścianę twardego żółtego piasku, nadwerężone kolana pulsowały. Wbił palce w szorstki szary mech, podciągnął się i ułożył na ściółce. Obrócił się na plecy, uważnie, tak by złamana noga stanowiła oś tego obrotu. Uniósł głowę.

Czarne pasy bezpieczeństwa przesiąkły krwią.

W kieszeniach spodni odszukał telefon komórkowy. Otrzeptał go z ziemi i niezdarnie wycisnął 112. Po kilku nieskończonej długich sygnałach dyspozytor zapytał o powód połączenia alarmowego. Filip bez namysłu rozpoczął litanię wszystkich potrzebnych i niepotrzebnych informacji. Dyspozytor najpierw słuchał w milczeniu, a potem grzecznie przerwał i zadał serię leniwych, zwięzłych pytań, które wyglądały na wyuczone i tak też brzmiały – mechanicznie. Filip odpowiadał bez namysłu, podświadomie przyjmując tę „maszynową” manierę. Na koniec usłyszał podziękowania, uprzejme zapewnienie, że pomoc jest w drodze i połączenie zostało zakończone. Odetchnął.

Do uczucia ulgi było mu jednak daleko.

Poniżej, na dnie wysypiska, Szyller nie ustawała w wysiłkach i z zimną logiką, właściwą tylko rozjuszonym kobietom, wykazywała, jak niskiego szczebla drabiny bytu uczepili się wszyscy mężczyźni i jak bardzo się ucieszy, gdy wreszcie ktoś zrobi z nimi porządek – rozdepcze i zamiecie pod dywan. Ruszczyk usiadł. Zerwał długą trawę. Ostrego końca użył do wygrzebania drobin piasku pomiędzy zakamarków obudowy telefonu komórkowego. Zerknął w stronę wraków i wrócił do swojego zajęcia.

Wiatr niósł kolejną wiązkę złorzeczeń. Szyller wdała się teraz w coraz głośniejsze, długie tyrady na temat tego, skąd przyszedł i dokąd zmierza on, Filip we własnej osobie.

Powtarzał sobie, że zignoruje wszystkie te niewybredne zaczepki, ale trudno o spokój, gdy jednego dnia traci się po kolei a) posadę, b) samochód i c) godność. Wtedy to właśnie kurs godności wywindowany zostaje do niebotycznych poziomów.

Siedział, więc i grzebał w telefonie. I myślał: kurwa żeż jego mać!

Przecież wystarczyłoby, żebym tam do ciebie zszedł i wyciągnął przez okno. Nie stawiałabyś oporu. Wystarczyłoby, żebym ułożył się na plecach, ugiął nogi w kolanach i wysoko podciągnął spódnicę, a zrobiłbym z tobą, co bym chciał. Ciekawe, jak byś zareagowała na mahoniową gałkę od drążka zmiany biegów – ciekawe, czy wyłabyś z bólu? Czy krzyknęłabyś ze strachu? Ze zdziwienia? A może by ci się to spodobało? Albo kazałbym nabrać ci w usta zawartość miski olejowej. Wlałbym w ciebie tyle, że wyciekłaby uszami!

Albo zejść i prysnę ci w oczy odmrażaczem. A kiedy nie będziesz już zdolna nawet do płaczu, bo glikol wyżre wszystkie twoje fałszywe łzy, przewrócę cię na brzuch, podciągnę pod rurę wydechową i włączę silnik. Jeżeli tylko zadziała, to każę ci oddychać spalinami. Łykałabyś je, a ja stałbym z boku i patrzył na twoją skórę, patrzyłbym, jak robi się szarofioletowa; jak się dusisz.

Z radością urwałbym ci łeb.

Palce miał już szmaragdowe i lepkie. Wyrzucił zgniecioną słomkę.

— Hej, Szyller, chciałabyś żebym polał ci brzuch kwasem z akumulatora?

Kobieta wlepiła w niego zaskoczone spojrzenie.

— Co? Co powiedziałaś, do cholery?!

— Powiedziałem, że mimo wszystko udało mi się zadzwonić po pomoc, i że to najwyższa pora — odparł jowialnie i uśmiechnął się szeroko. Zgiął zdrową nogę i odpychając się nią, usiadł na samym skraju dołu, bokiem do urwiska. Zerwał się wiatr i las szumiał gniewnie.

To prawda: w wyobraźni chętnie skrzywdziłby ją na tysiąc sposobów, ale w rzeczywistości zapewne nie zdołałby jej zabić. Cóż z tego? Przynajmniej w przyjemny sposób zajmie się zabijaniem czasu, jaki pozostał do przyjazdu ekipy ratowniczej. Szykował się niezły ubaw.

— A może wolałabyś, żebym cię udusił paskiem klinowym? — zawołał znowu, na tyle cicho jednak, że słowa pogubiły się po drodze.

— Słabo cię słyszę!

— Powiedziałem, że dyspozytor pogotowia był bardzo rzeczowy!

— Gównu mnie to obchodzi! — ryknęła Szyller, aż z jej ust wystrzeliły cieniutkie strużki śliny. — Rzeczowy to będzie mój adwokat!

Filip poczuł, że uśmiech tężeje mu na twarzy w niewygodnym, sztywnym grymasie.

— Co masz na myśli? — spytał. Powróciły zawroty głowy.

— Poczekaj, aż mnie stąd wyciągną — wycedziła w nagłej ciszy, gdy na moment ustały uderzenia wiatru. — Tylko poczekaj. Kiedy już z tobą skończę, do końca życia będziesz się zastanawiał, czy nie lepiej byłoby przypierdolić w drzewo i zginąć na miejscu. Rozumiesz?

— Co chcesz przez to powiedzieć? To nieszczęśliwy wypadek...

— Wypadek? — Szyller zaśmiała się krótko. — Proszę cię... Naprawdę... Miałam dziś dużo czasu, żeby to przemyśleć... i wiesz, do jakich wniosków doszłam? To wszystko, kurwa, twoja wina.

Remington zrozumiał, że musi się bronić.

— Gdyby nie poślizg...

— Nie obchodzi mnie to — przerwała mu wzburzona. — Nie obchodzą mnie twoje usprawiedliwienia. Poczucie winy, jeśli je masz. Twoja złamana noga. Nie obchodzi mnie to zupełnie. Nie chcę o tym słuchać! — jej głos podniósł się do krzyku. — Ty mnie nie obchodzisz. Ja cię nie obchodzę. Nie obchodzimy siebie nawzajem. Gdybyśmy się nie zderzyli, minęlibyśmy się obojętnie na drodze. Ale los zesrał nam się na głowy i oto gdzie wylądowaliśmy. To wszystko da się wytłumaczyć za pomocą fizyki. I liczb. I teraz mnie obchodzą tylko liczby. Numer twojego konta.

— Numer mojego konta? — zapytał nieprzytomnie Filip. Nic nie rozumiał.

— Właśnie tak! STAN twojego konta.

Szyller puściła do niego oko.

— Stan MOJEGO konta po tym, gdy sąd cię obedrze cię ze skóry. Zniszczę cię.

Poczuł, jak oblewa go zimny pot.

— Aha, a jak będzie trzeba, to powiem, że dobierałeś się do mnie, gdy nie mogłam się ruszyć. Cały czas masz minę, jakbyś właśnie chciał zrobić coś takiego...

— O czym ty, do cholery, mówisz?! — wrzasnął. — Przeczolgałem się przecież przez ten... ten chlew, żeby zadzwonić po pomoc!

— I pomoc przyjedzie. Słyszę syreny — potwierdziła Anna.

A potem zalotnie przeczesła włosy i Filip poczuł na własnej skórze, co kryje się na samym dnie słowa: zaskoczenie.

— Ojej — zaćwierkała Szyller z udawanym roztargnieniem. — Mogę ruszać rękoma. To cud.

A więc to tak... Cały czas. Calutki czas...

— Mogłaś się... Od samego początku? Powiedz... Mogłaś?

Zanim odpowiedziała, niespiesznie odgarnęła z policzka jakiś paproch.

— Niezupełnie. Nie do końca. Nogi mam uwięzione. Ale tu — poklepała się po brzuchu i ramionach. — Tutaj jest wszystko w porządku.

Filip nie był zdziwiony. To, co nim zawaładnęło, wykraczało poza zdziwienie. Obraz tego czegoś najwyraźniej odbił się w wyrazie jego twarzy, bo Szyller pokręciła tylko głową z politowaniem.

— Przecież mówiłam ci od samego początku: faceci tacy jak ty to kanalie. Myślisz, że nie widziałam, jaką satysfakcję sprawiło ci męczenie

mnie tym cholernym radiem? Albo to, co wykrzykiwałaś do mnie z góry? Akumulator i pasek, tak? Kawał ciężkiego skurwiela z ciebie, kolego. Bydlę w ludzkiej skórze. A wiesz, po co jest bydlę? Żeby je zaprząć i żeby pracowało dla ciebie. Potrzeba mu tylko odpowiedniej motywacji.

— Pogrywałaś ze mną...

— Ooo... Tu cię boli. Tacy jak ty zawsze chcą być na górze, co?  
— Anna parsknęła pogardliwie. — Przykro mi, kolego. Zgięłam cię wpół i wyjebałam do bólu. Jak wydmuszkę. A wierz mi – to dopiero początek... Gdybyś tylko powstrzymał swoją samczą ambicję, to może nawet pozwoliłabym, byś przez chwilę poczuł się jak bohater.

Westchnęła słodko.

Filip z całej siły ścisnął telefon. A potem w akcie bezsilnej wściekłości zamachnął się nim na wrak forda. Anna mimowolnie zasłoniła się rękoma; to tylko podsyciło jego gniew.

— Zejdę tam do ciebie — ryknął i nie zważając na nic, rzucił się w miękkie wysypisko. — Zejdę i rozszarpie!

— Tylko spróbuj — wysyczała i sięgnęła gdzieś w bok. W jej zadbanych dłoniach niespodziewanie pojawił się długi, błyszczący przedmiot i Ruszczyk, nie bez zaskoczenia, rozpoznał w nim pokaźnych rozmiarów wibrator. — Wystarczy, że trafię cię tym w skroń i zdechniesz. Wykluję ci nim oczy i wydymam pustą czaszkę! Tylko mnie dotknij!

Ale Filip nie miał zamiaru rezygnować. Czołgał się zapamiętale. Palce rozgrzebywały odpadki w poszukiwaniu oparcia, a on posuwał się długimi skokami, płynął przez morze śmieci. W żyłach, zamiast krwi, kipiało mu wysokooktanowe paliwo zemsty. Dobierze się do niej. Do tego nuworysza, kulawej Walkirii ze sztucznym fiutem.

Dobrnął do samochodu Anny i złapał za klamkę drzwi kierowcy. W tym samym momencie na dłoń spadło mu ciężkie dildo. Zawył z bólu

i przycisnął do piersi ranne palce. Kątem oka zauważył, że uzbrojone ramię zatacza łuk i celuje teraz w jego kark. Zrobił niezdarny unik. Blokada kierownicy, która do tej pory chroniła jego złamaną nogę, niespodziewanie puściła i zsunęła się na ziemię. Z cichym trzaskiem podudzie złożyło się na dwoje. Spojrzał na nie, zaskoczony. Ostra kość przebiła spodnie i sterczała teraz, świecąc jakąś nierealną bielą. Na jej ostry czubek nadziało się zużyte opakowanie po jogurcie truskawkowym. Filip patrzył na utyłany resztkami jogurtu różowy plastik i zastanawiał się, jak dawno temu ten galaretowaty nabiał stracił swoją datę ważności. W tej chwili najważniejsza była właśnie ta data ważności. Gdyby jogurt okazał się przeterminowany, nie wytrzymałby, musiałyby...

Krzyczał.

Krzyczał tak głośno, jak nie tak dawno chciał, aby krzyczała dla niego Anna Szyller. Anna z lewarkiem w różowej dupie. Anna z otwartym brzuchem przeżartym elektrolitem. Szyller z purpurową szyją, na której zaciskała się czarna gumowa pętla.

Wrzeszczał. Anna Szyller zaś śmiała się w głos.

Perlistym ha, ha, ha.

\* \* \*

W cieniu bagażnika swojego samochodu Filip drżącymi palcami zwinął sztywne od krwi pasy i jeszcze raz ostrożnie umocował blokadę. Okręcił złamanie: węzeł umieścił tuż nad nim, nabrał powietrza, a potem szarpnął za wolne końce taśm i wcisnął kość w ziejącą ranę. Właściwie nie czuł już bólu. Na to, co odczuwał, składało się o wiele więcej niż zwykłe cierpienie. Jakaś mroczna masa wypełniła mu głowę. Wywar porażki...

Został oszukany w perfidny sposób. Czego od niego chciała ta kobieta? Był przecież ofiarą, tak jak i ona. W żaden sposób nie chciał jej skrzywdzić.



W porządku, przyznaje – myślał o tym, ale czy podobne myśli nie rodzą się w ludziach na każdym kroku? Tyle razy nachodzi człowieka ochota, aby odebrać komuś życie – byle natrętowi, nieuprzejmemu kierowcy – przecież nikt przy zdrowych zmysłach nigdy nie wprowadza tych fantazji w czyn.

Rozejrzał się nieprzytomnie. Otaczał go ogród z piekła rodem. Słońce nagrzewało kwiaty-odpadki. Duże i małe, szare i kolorowe, o liściach z toreb z supermarketu i strzępach korzeni uwitych z rozmiękłych chusteczek higienicznych. Pod wpływem ciepła srebrne i celofanowe opakowania otwierały się, powoli wydmuchiwały duszny opar zgnilizny.

On przynajmniej grał czysto. Ale ona? Zimna suka, wiedziała, że wystarczy rola bezradnej kobietki, i ktoś inny weźmie na barki odpowiedzialność za jej skórę. Od samego początku właśnie na taką mu wyglądała – że też nabrał się na to jej przedstawienie. Krwiopijca. A jakby wszystkiego było mało, ten wibrator... Pewnie, gdy inni mężczyźni spełniali wszystkie jej zachcianki, to potem zostawało z nich już tak niewiele, że satysfakcję mogła dać jej już tylko dwunastowoltowa niezmordowana maszyna.

Oto doskonały przepis na udane życie. Kobieta samowystarczalna. Kobieta sukcesu!

Potrzebowała jedynie kogoś, kto w odpowiednim momencie z ochotą przepłynie w jej imieniu morze gówna. Dosłownie i w przenośni.

Z urwistego brzegu wysypiska oderwał się kawał ziemi, wywołując niewielką lawinę. W papierach szeleściły małe gryzonie. Wysypisko zaczynało żyć własnym życiem. Filip rozejrzał się, jakby zobaczył to wszystko po raz pierwszy. Łął się w nim rozkład. Wgryzał głęboko. Pozbawiał skrupułów. Właściwie to Ruszczyk ucieszył się, że umiera najpierw ta jego część.

Dzięki temu od razu przystąpi do działania.

To wszystko zaszło za daleko.

Komuś naprawdę należy się porządna nauczka.

— Hej, Szyller, ty drobnomieszczańska dziwko!

— Czego chcesz, nędzny palancie?!

— Może i karetka już nadjeżdża, ale zanim zapakują cię na miękkie nosze, musimy wyrównać rachunki.

— Zapraszam, kochanie — zakpiła. — Jeżeli rozbity łeb to dla ciebie za mało, służę gazem pieprzowym. Chętnie spryskam nim twój szowinistyczny ryj!

Tego już za wiele, pomyślał.

— Zdeeechniesz — zanucił radośnie jak dziecko.

Rozległ się kolejny wybuch śmiechu, ale tym razem przyłączył się do niego, ile sił w płucach. Zapamiętała. Nie zauważył nawet, że po chwili śmiał się już tylko on sam.

— Ahoj! — rzucił zasapany. — Szyller! Straciłaś humor?

Szum lasu. Bez odpowiedzi.

— Ojej — zaskomlił, parodiując smutek. — Dzidzia nie ma już ochoty na zabawę w sierotkę i oprawcę?

Powoli wychylił się zza karoserii.

Anna Szyller uważnie nasłuchiwała.

To go zaalarmowało. Nadstawił uszu. Czyżby w oddali rzeczywiście łąkały syreny? Szybko przeczołgał się na stronę kierowcy i otworzył drzwi. Klucz tkwił nadal w stacyjce.

— Nauczę cię szacunku do innych ludzi, Szyller — powiedział do siebie. A gdy tak mówił, mgliste przekonanie stężało w twarde postanowienie. — Nauczę cię, że oszustwo nie popłaca. Myślisz, że można zniszczyć człowieka, zabierając mu pieniądze?

Nie poddał się, gdy wylali go z pracy, nie podda się i teraz.

— Mam tu coś dla ciebie.

Zebrał porozrzucane na podłodze dokumenty, rachunki i kwity. Potem usiadł na fotelu. Po drugiej stronie Szyller przyglądała mu się z uwagą. Uśmiechnął się do niej i podrzucił w rękę zwitek papierzysk.

— Co to do cholery jest? — spytała, zaniepokojona.

— Listy miłosne bez pokrycia.

Przytrzymał się słupka i wstał. Oparty na drzwiach, pokuśtykał na jednej nodze do rozbitej maski. Odnalazł akumulator i kable instalacji elektrycznej. Anna rzuciła w niego wibratorem.

— Odpierdol się od mojego samochodu! — wysyczała. Srebrny przedmiot odbił mu się od ramienia i nie wyrządzając najmniejszej krzywdy, znikł w głębokich zakamarkach silnika.

— Szkoda, że nie rozplątałam ci nim łba!

Filip nie zwracał na nią uwagi. Wśród metalowych strzępów renaulta odnalazł przewód paliwowy i gaźnik. Spod maski forda zerwał filcowe wytłumienie i ułożył je tak, że zakrywało sczepione ze sobą przedziały silnikowe. Na papierową kulę wylał część zawartości gaźnika i wcisnął ją dokładnie pod czarny, miękki materiał. Spieszył się. Sygnał karetki to nie było złudzenie. Pomoc nadjeżdżała nieuchronnie. Szyller tymczasem usiłowała zrzucić filcową wykładzinę – co z tego, uwięziona w kabinie, nie mogła jej dosięgnąć. Na twarz kobiety wpełzł wyraz niezwykłego napięcia i Filip pomyślał, że nareszcie zrozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. Zadowolony patrzył, jak wypręża koniuszki palców, niemal muska gruby materiał; na wszelki wypadek odciągnął go dalej, poza zasięg jej ramion, posłał jej mokrego całusa, a następnie usiadł za kierownicą. Położył rękę na kluczyku i przekręcił starter. Samochód czknął.

Twarz Szyller. Błada jak ściana.

— Słodki Jezu — wykrztusiła. — Co ty robisz?

Ruszczyk zastanowił się nad jakąś żartobliwą odpowiedzią. Czymś, co dobrze pasowałoby do tej groteski. Nic nie przyszło mu do głowy, więc powiedział po prostu:

— Podpalam cię.

Jeszcze raz przekręcił starter. Tym razem w powietrze uniosła się cieniutka strużka dymu. Szyller nie spuszczała z niej wzroku.

— Widzisz? Podpalam cię. I już. Na to sobie właśnie zasłużyłaś. Podpa-a-aalam cię.

— Słuchaj, jak możesz...

— Jak mogę? Jak MOGĘ?! — Filip z całej siły zabębnił pięściami w deskę rozdzielczą. — O czym ty mówisz?! — ryknął, gdy ręce zdrętwiały mu od okładania rozpiętej nad nim tapicerki. — Jak co? Jak JA MOGĘ?!

Z oczu kobiety pociekły łzy.

— Pięć minut temu straszylaś mnie sądem, bankructwem — wyliczał. — I czym tam, kurwa, jeszcze sobie chcesz, a teraz zadajesz mi to pytanie?

Starter. Samochód zazgrzytał. Filip wysiadł, poprawił kable. Wiedział, że nie odpali tej ruiny. Chodziło tylko o wystarczająco silną iskrę.

— Nie rób tego. Ja tylko... żartowałam. Naprawdę mi... nam pomogłeś. Zadzwonileś i w ogóle...

— Za późno — uciął Filip i z powrotem umościł się na siedzeniu. — Straciłem dzisiaj zbyt wiele, żeby ktoś taki jak ty wbił ostatni gwóźdź do mojej trumny. Przykro mi.

Złapał za kluczyk.

— Nie. Właściwie wcale nie jest mi przykro.

Za trzecim razem z wnętrza maski buchnęły płomienie. Rozpałka z raty za samochód, raty za mieszkanie, raty za toster, kino domowe, aparat cyfrowy i milion innych drobiazgów zdała egzamin. Filcowy materiał

prześlaknięty smarem i oparami benzyny zajął się w okamgnieniu. Zapłonął wesoło, żółto-zielono. Filip wysiadł z samochodu i oddalił się na bezpieczną odległość. Usiadł i przyglądał się, jak pożar ogarnia oba wraki. Słup ognia najpierw wzbił się na dwa, trzy metry, jak ogon startującej rakiety, a potem miękko woalem osiadł na rozbitych maskach. Instalacja paliła się pomarańczowo, dymiała czarnym tłustym dymem. Niebo pociemniało. Dmuchał wiatr, raz z jednej, raz z drugiej strony, i dwie ogniste fale przelały się do kabin obu wozów. Tapicerkę w fordzie momentalnie pokryły, matowe bąble. Filip widział, jak Anna z dzikim wyrazem twarzy tłumi ogień gołymi rękami. Rozgrzany plastik wżerał się w skórę – gdy uniosła ręce, ciągnęły się za nimi grube nici tworzywa. Ogień wspinał się po nich z gracją eterycznego akrobata. Zapaliły się jej rzęsy i brwi – błysnęły szybkim jasnym płomieniem niczym staromodne flesze. Na wysokości głowy płomień zręcznie przeskoczył na rude włosy. W kilka chwil Szyller zmieniła się w płonąca kukłę.

Przez cały czas nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku.

Dopiero na sam koniec, gdy ciało szerniało i skóra zaczęła pękać, wrzasnęła raz, krótko strasznym głosem i osunęła się na oparcie siedzenia.

Sprawiedliwości stało się zadość, pomyślał wtedy Filipi z lodowatą satysfakcją sam sobie pogratulował. Oto co dzieje się z takimi, którzy zamykają serce przed człowiekiem, a rozkładają nogi przed maszyną na baterie alkaliczne.

Gorące powietrze wypełniło płuca tej szui. Wyobrażał sobie, jak wszystko w niej kipi, gotuje się – on też czuł teraz w piersiach takie gorąco, istny żar.

Sygnal karetki zawirował mu zniecka nad głową, niby jeszcze gdzieś w oddali, ale jednocześnie blisko.

Śmietnisko wypełniła kula ognia. Wichura rudych płomieni. Gdy ogień niespodziewanie przybrał na sile, zrozumiał, że musi szybko postarać się o bardziej odległy punkt obserwacyjny.

Pierwsza eksplozja była niewielka, ale wstrząsnęła Filipem, ponieważ zupełnie się jej nie spodziewał. Wspinał się właśnie po zboczu, w ucieczce przed pożarem, który nadspodziewanie ochoczo wgryzał się w wysypisko. Wybuch był głośny, lecz pusty, jakby pękł szklany dzban. Na plecy Ruszczyka spadł grad płonących kropeł plastiku. Wżarły mu się w skórę. Wrzasnął opętańczo i przeturlał się kawałek po sosnowym igliwiu. W ustach zazgrzytał mu piach

Po raz drugi samochody eksplodowały, gdy leżał już z dala od brzegu jaru. Tym razem nie było fontanny płonących kropeł, tylko wiatr przyniósł ze sobą niespodziewanie silny podmuch; Filip poczuł na twarzy i boku dotyk płomieni. A chwilę potem w jego ciele coś się otworzyło i zaskoczyła go nagła, ssąca pustka w brzuchu. Spojrzał w dół. Wśród sinoczerwonych taśm jelit drżał dymiący, metalowy pocisk.

Filip tracił przytomność przekonany, że bez dwóch zdań nie mogła być to żadna z części któregośkolwiek samochodu.

Stalowy przedmiot.

Wibrator.

\* \* \*

Ekipa ratunkowa miała zdziwione twarze, ich oczy patrzyły na Filipa z niedowierzaniem. Gdy odzyskał przytomność, dostrzegał w nich oskarżenie za to, co się stało, za to co zrobił tej całej Szyller. Nie podobało mu się to. Chciał, żeby zrozumieli, dlaczego tak się stało. Otworzył usta, aby się wytłumaczyć, gdy poczuł, że zamiast słów wypływa z siebie gorącą

ciecz. Z przerażeniem obserwował, co się z nim dzieje. Ręce i nogi nagle mu zeszywniały, wygięte w przedziwne formy. Nie czuł ciała.

Z jakiegoś powodu w jego uszach zawodzenie karetki brzmiało coraz bardziej jak: *uuuumaaarł. Uuuuumaaarł*. Serce, stukało głucho i nie do taktu!

Zamknął oczy.

Otworzył je.

Parking tonął w powodzi elektrycznego światła. Ogromny podświetlony napis korporacyjnego wieżowca „Szyller & Spółka” drżał w wieczornym powietrzu. Filip podniósł opartą o kierownicę głowę. Przetarł oczy. Ręce i nogi miał zdrętwiałe. Poruszył nimi. Która to godzina? Spojrzał w niebo i dostrzegł gwiazdy. Późno, nie ma co. Przez moment myślał, że wciąż śni. Rozejrzał się. Przez pusty parking szła w jego stronę kobieta w butach na obcasach. Podeszła do samochodu i zapukała w szybę. Opuścił okno.

— Parking zamknięty, a siedzi pan tu od samego rana. Zasłabł pan czy co?

Poznał uniform ochrony. To była ta sama kobieta, która dziś rano wyprowadziła go za drzwi biura tuż po tym, gdy wręczono mu wymówienie. Przez chwilę zastanawiał się, czy ta rozmowa ma sens.

— Wylali mnie z pracy — powiedział w końcu i z powrotem oparł głowę o kierownicę.

Kobieta odwróciła się do niego profilem. Miała ciemnorude włosy, spięte z tyłu głowy w lśniący kok. Na lewej skroni purpurowiała brzydka blizna. Zapaliła papierosa.

— Zdarza się — skwitowała bez emocji.

— Mogę? — spytał i wyciągnął rękę. Poczęstowała go damskim, cienkim vogue'em.

— Pomyśl, to chyba nie najgorsza rzecz, jaka mogła ci się przytrafić.

Wypalili tego papierosa, a potem jeszcze jednego.

— Chyba mi się pani przyśniła — spróbował zażartować, ale wyszło to jakoś mizernie.

— Taaak? — uprzejmie się zdziwiła, nie dziwiąc się wcale.

— Chyba tak.

— To z kolei nie zdarza się już tak często.

Palili dalej w zupełnej ciszy. Wzeszedł księżyc.

Chmury, które go co pewien czas przysłaniały, przywodziły Ruszczykowi na myśl możliwości.

Rozpływały się w oddali.

Odległe i niedosięgłe.



## Zapłacz, a ja cię ukoję, rzekła Śmierć

Gorąco. Na dworze straszliwa lampa, więc siedzimy w cieniu drzewa, pijemy piwo, a Mach snuje swoje plany na przyszłość, ale że Machowski w wolnych chwilach zawsze snuje plany na przyszłość, no to nikt go nie słucha i jest tak, jakby Macha z nami nie było. Siedzimy w piątkę w cieniu, który wystarcza ledwo na dwie osoby, ale wszyscy wiedzą, co to dobre wychowanie i co chwila ktoś odsuwa się lekko, tak by kto inny poratował rozgrzaną głowę i zdołał sięgnąć do dołka wykopanego w chłodnym piasku; w dołku trzymamy butelki – lepiej je mieć w zasięgu wyciągniętej ręki. Sprawa jest poważna, kończy się zaopatrzenie. Jest dwunasta, wszyscy pouciekali do domów, do hoteli, do chłodu, klimatyzacji. Przed pierwszą w ogóle zabraknie nam piwa, a na ulicy nie będzie już nikogo z choćby kilku drobniakami do wyrwania.

Siedzimy w piątkę, to jest: ja, Mach, Cyziu, Lola oraz jej rozchichotana przyjaciółka Tuśka. I chociaż wyglądamy i pachniemy tak, jak wyglądamy i pachną ludzie lubiący niczym nieskrępowaną wolność, długi sen i zasłużony odpoczynek, niekoniecznie regularne posiłki, ale za to regularne koktajle, to powiem wam jedno. Nasze imiona brzmią: Bonawentura, Machabeusz, Narcyz, Eulalia i Konstancja. To do czegoś zobowiązuje, no nie? Uzbrojony w takie imię człowiek czuje się stworzony do czegoś więcej, do czegoś lepszego, do czegoś ponad, poza i... Każdy człowiek, czyli kloszard też. Chcę to pytanie zadać Machowi, ale on przerwał, odszedł, aby pogadać z jakimś samotnym facetem drepczącym przed siebie w gajerku i wrócił z dolarem. Mój kurator, mówi; my mu wierzymy, czemu

nie, szybko obliczamy, w co najbardziej opłaca się inwestować i wychodzi na to, że przerzucamy się na ciężką artylerię. Pal sześć moje rozterki, Tuśka nie jest chętna, Cyziu jak najbardziej, Lola wstaje, otrzepuje spodnie i spadam stąd wiara, więc jest nieźle, butelka czegoś bardziejszego na trzy gardła mówi sama za siebie.

Lola dorabia tyłkiem. Jak ją znam, poszła do miejskich szaletów, bo o tej porze jest tam zupełnie pusto, poszła, licząc na szybki prysznic i wypad za miasto na obwodnicę. Jak jej się poszczęści, to może wieczorem zabalujemy na całego. Jak nie, to sińce pewnie znowu wyłączą ją na jakiś czas z obiegu, ale to nie powód do zmartwień, konkurencja nigdy nie była mocną stroną takich dziur jak nasza miejscina, a faceci, którzy lubią spuścić z siebie trochę pary, wiedzą gdzie szukać i zwykle nie biją aż tak mocno, żeby było się o co martwić. No wiecie, o nią, to znaczy o Lolkę.

Mach patrzy za dziewczyną, rozczesując skudloną brodę, patrzy, jak odchodzi, i wygląda, jakby chciał wypluć coś co przywarło mu do końca języka, taki ma dziwny wzrok, ale tylko podnosi się z ziemi, przecina ulicę i zagiętym palcem stuka w szybę monopolowego.

Nie mamy prawa wstępu do spożywczo-monopolowego, lecz właściciel jest na tyle miły, że wynosi nam wszystko, co trzeba i jest OK, bo każdy wie, że najgorzej to iść na udry, wtedy nie ma zarobku i szyby się szybko tłuką, przeciwiczyliśmy to, i ekonomia wzięła górę nad honorem. Zresztą Zbych to porządny gość. Tuśka mówi, że Lola była kiedyś pod nim i zachowywał się jak dżentelmen. Jeżeli można polegać na gustach kurwy, to tak między nami; może niezbyt to grzeczne mówić o kimś „kurwa”, ale nazywajmy sprawy po imieniu.

Mach wrócił z butelką czystej, więc pijemy ją, ciepłą, a w żołądku bobruje mi taki rozgrzany, wierzgający jeź i wiem, że jak czegoś nie przekąszę, to usta wypełni mi kwaśna ślina albo, tak jak kiedyś, coś mi tam

w środku puści i znowu zarzygam izbę przyjęć krwią, a krew na tych białych kafelkach przypomina podłogę w rzeźni i nie wiem, co jest gorsze, ten widok czy smród środków czystości pomieszany z zapachem chorego człowieka.

Wyciągam z kieszeni zduszoną kanapkę, co mi ją podrzucił taki jeden dzieciak na przystanku z samego rana, i wiem, że zanim zjem, to się pomieniamy, takie są zasady, ale nie jest źle, Mach już jadł, Cyziu zdaje się kimnął na chwilę, a Tuśka prosi tylko o górną połówkę, tę z masłem. Lubię się dzielić z Tuśką, mimo że nic z tego nie mam. Zjadam ten kawałek z szynką i w brzuchu trochę mi się uspokaja.

I właśnie wtedy wpadam na idiotyczny pomysł.

— Słuchajcie — mówię, a wszyscy słuchają trochę mnie, a trochę wody szumiącej im w głowach. — A może podskoczmy na obwodnicę i pomożemy Loli wyrwać coś bez wysiłku?

Mach patrzy na mnie, pociąga z butelki.

— Nabrałeś ochoty na mały rozbój, Wieniu? — pyta i wystawia twarz do słońca.

A ja mu na to, że nie, nie w głowie mi rozboje, nie mam zamiaru zadzierać z niebieskimi i jak on, Mach, tak pomyślał, to czas spędzić trochę czasu w cieniu, bo najwidoczniej szkodzi mu już słońce.

— Gadaj zdrów — prycha Machabeusz i wystawia się jeszcze bardziej.

Puszczam to mimo uszu i zwracam się do Cyzia i Tuśki. Tuśka słucha mnie uważnie, a Narcyz co chwila zasypia, więc na wszelki wypadek trącam go czubkiem buta, tak od niechcienia, tak, by za głęboko nie chrapnął – czasami trudno odgadnąć, co robi Cyziu schowany pod tymi wszystkimi szmatami, które zwykle na siebie wciska.

Lola szuka klienta, mówię, ale w dzień taki jak dzisiaj kierowcy ciężarówek są rozdrażnieni, a nuż któregoś poniosą nerwy i przetrzepie jej

skórę. Tuśka przytakuje, Cyziu tylko mruga zaspanymi ślepiami. Mach słucha ukradkiem. Ja wiem, że słucha ukradkiem i on też wie, że ja o tym wiem; na razie nie gadamy ze sobą, obaj zastanawiamy się, co z tego wyjdzie. U nas nikt nie ryzykuje ukręcenia łba dobremu pomysłowi, zanim się całkiem nie wykluje, a tamten przytyk to wiemy obaj, że to tylko taka sprzeczka – nudno jest, a czasami chłopaki takie jak my potrzebują niewinnej przepychanki. Powiem tyle: lepiej potrząsnąć butelką, niż wypić wszystko co na wierzchu, a potem męczyć się z mętną resztką na dnie.

Mach słucha mnie jeszcze przez chwilę, ociera usta mankietem podnosi w górę dwa palce. Kiwam głową, jak chce, niech wali prosto z mostu.

— Pójdziemy tam, narobimy hałasu, zanim klient na dobre zabierze się do rzeczy, tak? A co będzie, jak się przestraszy, ucieknie i nie zostawi forszy? Albo wyjdzie dres z beemwu i spuści nam wpierdol? Lola zamorduje nas za to, że przeszkadzamy jej w pracy.

Odpowiadam, że zrobimy to tak, żeby facet zwiął od razu, i mrużę oko i pukam się przebiegle w skroń, jak porządnie go nastraszymy, to zapomni o spodniach, a gdzie oni chowają portfele, jak nie tam. Prostytucja jest u nas niezbyt, sami wiecie, co myślisz, że polecą z jęzorem na policję? Tuśka chichocze i mówi, że to zajefajnie, a ja jestem jej tak cholernie wdzięczny, następnym razem ma u mnie całą bułkę, murowane!

— OK — zgadza się Mach. — A co jeśli ten facet będzie miał broń?

— Jediną rzeczą, jaką ja trzymałem w rękach w takich sytuacjach, była moja nabrzmiała flinta i cycek twojej starej — mruczy Cyziu sennie i nagle wszyscy zanosimy się śmiechem, i nagle wiemy już, że to zrobimy, a niebiescy przejeżdżający obok zwalniają na chwilę, tak że widzą, jak to nam wesoło i nawet nie wysiadają, tylko szczerzą te swoje gładko ogolone gęby. Kończymy butelkę, panuje taka atmosfera, że nawet Konstancja pociąga solidny łyk, Mach znika w zabudowanym śmietniku koło

monopolowego, po chwili dochodzi stamtąd brzęk tłuczonego szkła, a zaraz po tym sam Machowski wyłania się, popycha drzwi z metalowej siatki i zapina rozporek. Uśmiecha się od ucha do ucha.

Idziemy na obwodnicę, a słońce idzie tam z nami.

Będzie ubaw.

\* \* \*

Asfalt to mieszanina wielkocząsteczkowych węglowodorów łańcuchowych... cyklicznych oraz związków heterocyklicznych otrzymana przez... fra-kcjo-no-wa-ną destylację i nie ma śmiechu, rzadko chodziłem do szkoły, a jedyna lekcja, jaka mnie zaciekała, to ta w drugiej klasie, o budowie dróg przy użyciu tych ogromnych żółtych maszyn. Znam wielu ludzi, którzy skończyli szkołę, a potem nawet uniwersytet i za nic nie pamiętają, skąd się bierze asfalt, ugniatają go tylko kołami swojego lexusa albo mercedesa, pamiętają za to doskonale lekcję, która mówi, że nie należy nikomu ufać i zawsze uderzać w odsłonięte słabe miejsca oraz że dobrze ma być zawsze tylko tobie. Mówię wszystkim o asfalcie, a oni kiwają głowami i widzę, że są wdzięczni. Mach układa nawet usta w ciup, gwizdże i mówi: za cholere; chociaż te wiadomości są im zupełnie niepotrzebne, to wiem jedno, gdyby w przyszłości ktoś pytał o asfalt, moi przyjaciele odpowiedzą: „Idź do Wiena, on się zna na rzeczy”.

Obwodnica świeci niczym rozgrzane do nieprzytomności czarne lustro, trudno się idzie nawet po tym kawałku oddzielonym białym pasem na samym jej skraju, buty kleją się, toną w lepkiej nawierzchni. Wybieramy pobocze, wstążkę wyschłej ziemi pomiędzy ulicą a rowem melioracyjnym, spękany i piaszczysty skrawek, i myślę sobie, że to stara droga, ta co biegła tędy, zanim wtoczyły się koparki i równiarki, próbuje rozpaczliwej ucieczki

z uścisku asfaltowej anakondy, powoli wypęła spod niej, gna w pola, zwiewa, zanim jej całkiem nie wykończą.

Przed nami dobre półtora kilometra marszu, zanim dojdziemy do łuku przeryniającego kawałek lasu, do miejsca, w którym zwykle spaceruje Lola w oczekiwaniu na klientów, do cienia. W lesie jest stare zaniedbane obozowisko dla kierowców TIR-ów – odkąd dwadzieścia kilometrów stąd wybudowano McDonalda z wielkim parkingiem dla ciężarówek, nikt już z niego nie korzysta; skrawek ułożonej z betonowych płyt zatoczki i niewielki szalas porosła świńska trawa i lubiące mrok leśne krzewy, a że nikt się o toto nie upominał, cały interes zajęła Eulalia, bo też kawałek miejsca na samochód i trochę intymności w dusznym pomieszczeniu to wszystko, czego zwykle potrzebuje. Jakiś czas temu burmistrz nakazał likwidację tego jednoosobowego przedsiębiorstwa, ale w obronę wzięły je tutejsze kobiety, dobrze wiedzą, że dziewczyny takie jak Lolka potrzebują ochrony, bo tylko one mają zasady i nigdy nikomu nie zrobią krzywdy.

Jesteśmy w połowie drogi, obok nas pędzą rozjarzone białe i czerwone, różne, różniste samochody, rejestracje z całej polski – erestesy, gedeasy i enyole – furkot zagłusza wszystko dookoła, chrzęst żwiru pod stopami i cykanie świerszczy, od czasu do czasu ktoś pokaże nam wystawiony przez otwarte okno palec, od czasu do czasu pozdrowi klaksonem samochód z zagraniczną rejestracją. Zdaje mi się, że w oddali widzę już białą sylwetkę Loli, ale to może być złudzenie, las faluje w rozgrzanym powietrzu jak fatamorgana i trudno cokolwiek powiedzieć oprócz tego, że jest przed nami rozłożony zieloną plamą, gotującą się od wiatru i skwaru.

Cyziu poci się niemiłosiernie, zdjął już część ubrań i teraz przekłada je z ręki do ręki, nie wiedząc, co z nimi zrobić, co chwila przystaje i ściąga kolejne koszule i podkoszulki, a przez to i my zwalniamy. Słońce tylko na to czeka, atakuje nas, wiatr ustaje i nie ma już czym oddychać. Tuśka

mruczy coś pod nosem i po jej minie widzę, że nie w smak jej te postoje. Mach spuścił głowę, zasłuchany w nasze kroki, zatrzymuje się, gdy milkną, nie mówi nic, tylko plamy potu pod jego pachami są coraz większe i ciemniejsze. Ja za to czuję, jak wypacam przez grzbiet wypity alkohol, czuję, jak głowa robi mi się coraz cięższa, a myśli spowalniają, potykają się, trzeźwieją i nie potrafią znaleźć sobie miejsca.

Cyziu próbuje się rozbierać w pełnym marszu, raz i drugi głowa więźnie mu w przyciasnym kołnierzyku i niebezpiecznie zarzuca go na jezdnię, gdy usiłuje się z niego wyplątać. W końcu daje za wygraną i tylko taszczy przed sobą kolorowy kłęb, wygląda, jakby wybierał się z nim do pralni, mówię mu o tym i słyszę, że mam się odpieprzyć. Patrzę, jak po jego zaczerwienionej z wysiłku twarzy spływa pot, odwracam się i wbijam wzrok w tyłek Tuśki, która niespodziewanie wyprzedza nas o dwa kroki i w takt marszu sztywno wymachuje ramionami, tak daje wyraz swojemu niezadowoleniu. Ładny tyłek. Kątem oka widzę, że Mach też mu się przygląda.

Za nami rozlega się krótki, dudniący wybuch, to Narcyzek daje upust swojej złości, kopniakiem posyła znaną na poboczu puszkę do rowu. Puszka przeskakuje rów i zapada się w sztywną zieloną trawę na brzegu pola pszenicy. Ukryte tam świerszcze milkną, zaskoczone.

— To dalej, niżby się można było spodziewać, co? — pytam i mierzę podbródkiem w las, ale nie ma odpowiedzi, wszyscy patrzą przed siebie, doskonale zdają sobie sprawę, że jest tak, jak mówię: dalej.

Cyziu kopie kolejną puszkę, i następną, świerszcze za każdym razem przerywają swoją szeleszczącą kłótnię, a mnie przez to raz po raz się wydaje, że na moment tracę słuch, zupełnie jak po armatnim wystrzale.

Idziemy i idziemy. Od dawna nie minął nas żaden samochód i teraz zostaliśmy sami, tylko my na brzegu pofalowanej gęstej rzeki o cierpkim,

oleistym zapachu.

Nagle ze świstem przelatuje mi koło ucha błyszczący kształt, zakręca w powietrzu i wali prosto w stronę nóg Tuśki. Chcę krzyknąć, ale język przykleja mi się do wyschniętego podniebienia, w tym czasie puszką zębatym wiekiem tnie łydkę Konstancji poniżej kolana i zakręca w kierunku umorusanej w pyłe kostki. Tuśka gubi krok – jedną ręką sięga do rany, a drugą młóci powietrze, usiłując złapać równowagę. Puszka odbija się od jej nogi i ryje żwir, chlusta śmierdzącymi resztkami zawartości, toczy się, aż wreszcie staje; zaznaczyła swoją drogę ciemną kreską, na którą w mgnieniu oka rzuca się armia much. Mach pomaga damie, z ust Tuśki leją się brudy jeszcze większe niż z tej puszką, wszystko na głowę naszego Narcyza. Teraz obaj z Machabeuszem są przy niej, Cyziu porzucił wszystkie swoje ubrania, widzę je rozrzucone po poboczu, upuścił je tam, gdzie stał i teraz skulony, biega dookoła siedzącej na ziemi dziewczyny, nerwowo wyciera ręce o spodnie i nie wie, co powinien zrobić, pozwala, aby wszystko zrobiono za niego. Nie patrzył pod nogi, źle ustawił stopę i posłał puszkę dokładnie między nas troje idących przed nim. Cięcie na łydce okazuje się niezbyt głębokie, a puszką nie wygląda na zardzewiałą, mimo to Mach zużywa resztkę czystej na odkażenie skaleczenia. Tuśka krzywi się i piszczy, ale uprzedzam ją, żeby zachowała to na później, do czasu aż w tym żarze spoci się i pot dostanie się do rany. Mach wyrzuca pustą butelkę do rowu; w krótkim szarpnięciu przedramienia jest coś, co każe mi ugryźć się w język.

W jednej chwili cała atmosfera, wszystko to, po co wybraliśmy się na ten przydługi spacer, ulatnia się bezpowrotnie, ustępując miejsca zmęczeniu i rozdrażnieniu.

— Chodźmy już stąd — mówi ktoś i naprawdę nie wiem kto: Cyziu czy Machowski, czy może ja...



\* \* \*

W lesie. Nareszcie. Padamy na ziemię zaraz po tym, jak nasze stopy przecinają linię mroku. Teraz pot na ciałach tężeje i zamienia się w to cudowne uczucie ciężaru i lepkości przypominające tłuszcz stygnący na schaboszczakach – takich z ziemniakami i zasmażaną kapustą – więc zakładam ręce pod głowę i nie staram się myśleć o niczym innym poza tym, no i może poza Lolą, to dla niej w końcu tu przyszliśmy.

Tuśka nie może się uspokoić, siedzi na ziemi, nogę trzyma trochę nienaturalnie w górze, lekko do boku i piekli się bardziej, niżby to cholerne draśnięcie na to zasługiwało.

— Jesteś kompletnym dupkiem, Cyziu...

— O rany, Tuśka, o rany...

— Kompletnym...

Las na wdechu, nadęty rozgrzany powietrzem, pochłania słowa.

Mach jakiś czas stoi obok tamtej dwójki, przyglądając im się bez ciekawości, w końcu wyciera twarz obiema dłońmi, ziewa i przysiadła się do mnie, przez chwilę wierci się tak, by ściółka pod nim odsłoniła skrawek chłodnej ziemi, w końcu układa się na nim i wzdycha tak jakoś, że wiem, no... że coś się zdarzy, bo Mach niby leży obok, ale zasłaniam go od ramion w górę; jeżeli będzie mówił dostatecznie cicho, to usłyszę go tylko ja i o to mu chyba chodzi. Odrywam skórzany guzik z klapy i zaczynam go żuć. Taki ruch ust nie zwróci niczyjej uwagi, więc i ja, jakby co, będę odpowiadał półgębkiem. Pytam, o co chodzi, bo dobrzy kumple zawsze wiedzą, kiedy rozchodzi się o coś, na to Mach odgania ręką muchę, która usiadła mu na czole, i spogląda na mnie spod zmrużonych powiek.

— Zostaliśmy sami, Wieniu, chłopie — mówi, ledwo poruszając wargami. — Ta dwójka będzie tak świergotać do wieczora. Tuśka jest teraz

zła jak pieprzona osa i zajmie jej trochę, zanim dogłębnie wytłumaczy biednemu palantowi, co też o nim sądzi.

Spluwam. Czuję, że właśnie o to będzie się rozchodziło i nie jestem zdziwiony, że Mach od razu zrzucił wszystko z wątroby, mnie też to zaczyna uwierać, cały cholerny plan bierze w łeb przez nadgniłą mielonkę i pusty łeb Cyzia. Do Eulalki pozostało nam niewiele, pięćdziesiąt metrów i zakręt, najlepiej wziąć go przez krzaki po wewnętrznym łuku, tak by wyjść na tyłach zatoczki, zaraz obok szałas, sęk w tym, że takie numery wypalają, gdy zabierze się do nich szybko i sprawnie, a Tuśka rozpuszcza jęzor coraz bardziej. Na Narcyza też nie ma co liczyć, we łbie mu pewnie aż huczy z żalu. Patrzę na nich i widzę śmieszoną scenę: ona na ziemi, on nad nią buja się w przód i w tył niczym kaczką pijaczka, ale wcale mi nie do śmiechu, coś we mnie wygina się w odwrotną stronę, zerkam na Macha i ogarnia mnie złość. Mówię mu, że właściwie to mnie też naszła ochota, że podzielę się z Cyziem tym wszystkim, co o nim myślę.

— OK, rób, jak chcesz, nawsadzaj mu żyletek w dupę, proszę, ile dusza zapragnie. Tyle będzie twojego zysku. Spacer w dwie strony w pełnym słońcu do wtóru babskiego jazgotu. Gdybym przewidział, jak skończymy, po prostu... eh, przynajmniej wiedziałbym, że mam to, na co sobie sam zapracowałem.

Mach ma dosyć.

— Dobra, odpuszczam — mówię i odkładam litanie w intencji Narcyza na później. — Ja się nie łamię — dodaję pojednawczo.

Cały czas dobiegają nas pozbawione początku złorzeczenia „upkiem, yziu!” i „etnym”.

— Musimy im jakoś powiedzieć, że dalej nie idą — zauważa Mach i spogląda na mnie bystro.

— O Cyzia się nie martwię, pewnie wszystkiego mu się odechciało, zresztą sam spójrz i zobacz, co się z nim wyprawia. Ale Tuśka...

Z Konstancją nie pójdzie nam tak łatwo, myślę, wiemy o tym obaj, gotowa zaprzecić się i pójść za nami – to dlatego Machabeusz chciał pogawędki na osobności, taki rozwrzeszczany ogon jak ona narobiłby nam tylko kłopotów. Podrzucam taki pomysł: skłamiemy jej, że dajemy za wygraną, a skoro już tu jesteśmy, to cichaczem pójdziemy po Lolę – może już coś wpadło jej w kieszeń.

— To nie przejdzie. Od razu się zorientuje, że kręcimy.

Rzeczywiście nie będzie łatwo wywinąć się z tego bajzlu, wzdycham i kładę się na ziemi obok Macha.

Pędzący obwodnicą samochód wpada w las i od razu dźwięk silnika przybiera taką niską barwę, identycznie jak trzmiel złapany w pudełko od zapalek albo warkot motorówki, gdy schowasz głowę pod wodę.

Dobra, odzywa się w końcu Mach, wstaje i otrzepuje z igliwia. Cały czas mu się przyglądam. Podchodzi do tamtej dwójki, kuca obok i tak jakoś cmoka nad łydką Konstancji, tak potrząsa głową, że od razu wiem – teraz coś na pewno się święci. Tuśka jest za bardzo zła, nie myśli trzeźwo, a Cyziu wpatruje się tylko w Machowskiego; „cmokanie” wyprowadza go coraz bardziej z równowagi. Do tej pory spadały na niego te wszystkie paskudne słowa i je mniej więcej rozumiał, a teraz w cmoknięciu nie odnajduje żadnej treści, gorzej, widzę, że boi się pustki w tym mlaszczącym dźwięku, nagle słyszy w nim niewypowiedzianą groźbę.

— Co jest? Co jest? — pyta natarczywie.

— Niedobrze, niedobrze — odpowiada Mach i cmoka w najlepsze, diabeł wcielony.

— Jesteś kompletnym dupkiem... Mach — warczy niespodziewanie Konstancja.

Ona też chce, by przerwał te swoje cmokania, dostrzegam to w jej oczach.

— Spokojnie, dziecino. Złość piękności szkodzi.

Cmoka ze zdwojonym zapałem.

Nie możemy ryzykować łożenia po lesie z taką raną na nodze, mówi, jeszcze ktoś poczuje tę krew, nie możemy, powtarza jak echo Cyziu, a Tuśka śmieje się krótko, odpuść sobie, przestań mnie tu straszyć, a w ogóle to kto powiedział, że ty będziesz decydował, którą ścieżkę wybierzemy, idę tam, gdzie chcę. To nie dżungla, cholera, nie ma tu dzikich zwierząt i jeżeli zebrało ci się na bajdurzenie, tak właśnie mówi Tuśka, „bajdurzenie”, o, to lepiej wciskaj komu innemu ten tani kit.

— To żaden kit — odpowiada Mach i robi to tak poważnie, że czuję ciarki na plecach, a Cyziu to już na pewno zesrał się ze strachu.

— Słyszeliście kiedyś o Leśnym Rybaku?

Zadaje to pytanie po chwili przerwy, świetna zagrywka, Mach, bo teraz to, co powiedział, odbija się z wielokrotnione w tej pełnej napięcia pauzie i brzmi już naprawdę złowieszczo, mimo że Tuśka nadal drwi, oby tak dalej, Mach, bracie! Drwij, drwij dziewczyno, ale te twoje drwiny na niewiele się zdadzą, uśmiecham się ukradkiem i z wrażenia przegryzam ten cholerny guzik, łykam jakieś stęchłe okruchy, kaszlę.

— Widzicie... — ton głosu Macha jest teraz naprawdę grobowy — stary Bonawentura o mało się nie udławił, kiedy tylko o nim usłyszał. Znasz go, Wieniu?

Chcę powiedzieć że tak, znam, muszę przecież pomóc stanąć tej historyjce na obu nogach, ale krztuszę się niemiłosiernie, kiwam więc tylko głową, oczy pewnie wyszły mi na wierzch, tak mnie kurewsko drapie w gardle.

— O Jezu, o Jezu — stęka Cyziu.

On łyknął wszystko, Rybaka i to moje charczenie, wziął to wszystko naprawdę na poważnie. Tuśka też tylko zerka, zamknęła nareszcie jadaczkę.

— Leśny Rybak — powtarza znowu Mach, jak rozczochrany dyrygent poddaje melodię, a ja już wiem, że tamtych dwoje zabiera się do jej nucenia, nie, jeszcze nie robią tego sami, na razie w dole brzucha kiszki wygrywają im oberka: strach aż strach, aż strach! Wszystko po kolei.

Mach snuje swoją opowiastkę, ja też nadstawiam uszu, bo co jak co, ale on to ma gadane, naprawdę przyjemnie się słucha, cokolwiek ma do powiedzenia.

— Leśny Rybak grasuje po tych lasach i nawet mi nie przerywajcie, jak ktoś o nim nie słyszał, niech lepiej zamknie gębę na kłódkę, to za poważna sprawa, żeby wszyscy naraz strzepili ozory. Mieszkam na ulicy od bardzo dawna, a nie każdy to potrafi, sami wiecie, uszy i oczy nosi się szeroko otwarte, a nos pod wiatr. Tak jest, trzeba być jak to cholerne ziele z morskiego dna, ten cały ukwiał, wysyłasz swoje nóżki, niech badają wszystko dookoła, a jak coś idzie nie tak, jak trzeba, chowasz się w skorupie i czekasz spokojnie, niech nawałnica przewala się z boku...

— Ukwiał? — pyta Cyziu.

— Zamknij się. — strofuje go Mach i ciągnie — człowiek prędzej czy później zrozumie, kiedy może się wychylać, a kiedy ma siedzieć cicho, to się wie albo i nie, a wtedy obrywasz po łbie za taką niewiedzę. No to lepiej wiedzieć. A wiecie, skąd idzie ta wiedza? Z uważnego słuchania, z przesiewania słów niesionych przez szum ulicy, oto skąd. Piłem raz wino z takim jednym, przejezdnym koleżką. Opowiedział mi pewną historię, podarował mi ją, bo wiedział, że jej nie spieprzę. I jeszcze – wszystko co mamy, to słowa, tak mówił, po nas nie zostaną książki, taki kawał poety samoklety, skurczybyk. Leśny Rybak to zmora tej okolicy, powiedział

wtedy w połowie butelki wina. Zanim błysnęło na nas szklane dno, wiedziałem już wszystko... Leśny Rybak to najprawdziwsza prawda!

— Dałbyś sobie wreszcie spokój... — niepewnie naskakuje na niego Tuśka, ale Mach wie, że wygrywa tę partię, nie pozwoli na odebranie sobie głosu.

Zamknij się Tuska, mówi, ciebie to może gównem obchodzi, ale ten tu poczciwy Narcyz martwi się o własny grzbiet, prawda, że chcesz wiedzieć, co być może czyha na ciebie w tych lasach, Cyziu? I Cyziu przytakuje, i to jest jak lewy i prawy sierpowy, spojrzenie Konstancji traci cały blask, dziewczyna ma oczy martwej ryby, kompletny nokaut, odezwie się, dopiero kiedy Mach jej na to pozwoli.

Szymon Czelej, tak był kiedyś taki jeden gość, zaczyna Mach, idzie na całego, bo wie, że on może, nikt mu nie podoła, nikt mu nie przerwie, pewnie nie słyszeliście o nim, ale to w żaden sposób nie zmieni, że Szymon żył sobie, a za jego plecami mówili na niego Miękki – podobno nigdy nie odmawiał damom w potrzebie. Pracował to tu, to tam, nigdzie nie zapuszczał korzeni, bo uważał, że korzenie to dla mężczyzny nic ciekawego, dąb wyda w końcu garstkę żołądki, ale on wolał skakać z kwiatka na kwiatek, wtedy się człowiek naprawdę przekonuje, że ten ich ukryty słodki nektar to żadna bujda i każdy smakuje inaczej. U nas w mieście, tak mówią, trafił na całkiem przyjemną grządkę, cichą i zaniedbaną, taką, co to potrzebowała męskiej ręki, łapiecie, o co się rozchodzi? Pechowo dla niego mały bukiet, który sobie powoli uzbierał, w krótkim czasie rozkwitł w spory klomb. Okoliczne trutnie naraz zakręciło w nosie. Co to się powyrabiało, mruczały do siebie na mszy, w barach i w kolejkach po ziemniaki, co to za porządki, że jeden Szymek broi tu w naszym małym ulu, koledzy, my nie możemy stracić nawet pyłku z obcego kwiatka, a on zdaje się ma to za nic, niedługo może zechce zajrzeć

do mojej i twojej rabatki! Tak myśleli, lecz gdy rozmawiali z Szymonem, to patrzyli mu prosto w oczy i ściskali rękę dwa razy mocniej niż zwykle. Więc Szymkowi w to graj, skakał w najlepsze hop, hop, od razu mówię, nikogo do niczego nie zmuszał, uczciwy był pod tym względem do przesady, babki to lubią, znaczy czyste układy, nawet jak to są takie układy trochę na boku. Tymczasem wszyscy mężowie mruździ, mruździ, aż to ich mruźdzenie przypominało warczenie pitbulla. Niedługo potem piana wystąpiła im wreszcie na zakłamanie pyski: rozwalimy Czeleja, zaszczekali jedni, urwiemy mu jaja, chórem podnieśli ton drudzy, co on z nami wyrabia, zawyli do wtóru trzeci. Wyliniałe wiejskie kundły podniosły łby i ubzdurały sobie, jak to rozpoczną polowanie niczym stado wilków! Tylko powiedzmy szczerze, Szymon, mimo że nie obawiał się kłopotów, miał nos nie od parady, zwęszył co nieco i nawiał do lasu, zanim ktokolwiek połapał się, o co w tym wszystkim chodzi. Tego to już było za wiele! Gnojek okazał się przebiegły! Cwaniaków to tu się w okolicy za bardzo nie lubi, chociaż czasem przemyka się na takich oko, zawsze przecież można z paroma kumplami naprostować gościa, co czoło nosi wysoko i nosem kłuje słońce prosto w błyszczący zadek, na cwaniaka zawsze znajdzie się sposób, pechowo dla Czeleja, przebiegłych typów to już miejscowe chłopaki pasjami nienawidzą. Biedaczysko siedział zatem w lesie i myślał, że przeczeka tak parę dni, a potem cichaczem wróci, pokaże się to tu, to tam, postawi piwo temu i owemu i cała sprawa przyschnie. Oblatywał przecież tylko parę polnych kwiatków, żadnej szlachetnej hodowli nie napsuł, nikt nie powinien długo nosić w sercu urazy za to, że zajrzał pod płatek tego czy tamtego różanego pączka, bądźmy wszyscy poważnymi ludźmi. Sprawy miały się dla niego jednak nie za ciekawie. Z jednym czy drugim rogaczem pewnie poradziłby sobie raz-dwa, od lat wiązał takim bykom kokardki na ogonach, nie spodziewał się jednak, że w tym przypadku naciera na niego

nie lada buhaj – cała męska liga skurwysyńsko rozeźlonego miasta! Sprawy przybrały dla niego najgorszy z możliwych obrót. W końcu dotarło do niego, że tej zgrai nie wyprowadzi w pole, za dużo oczu go szukało, za dużo głów łamało się nad tym, jak by tu chapnąć go za słabiznę. A gdy przyszło co do czego i Szymon okazał się nieuchwytny, te wszystkie bydlaki zapolowały na niego, jak poluje się na zwykłego szkodnika. Rozleźli się po lesie z czym tam kto miał, widły i siekiery, wiatrówki, żadne tam podchody i pohukiwania, nagonki, nic z tych rzeczy, skradali się cichaczem i walili do niego bez ostrzeżenia. Szymek w mig zrozumiał, że przyszli po jego skórę, kule śmigają świst, świst, świst; tak, żarty się skończyły, panowie i panie. „Wyłaź, łachudro!” tak za nim krzyczeli. „Obetniemy ci ręce i nogi, obetniemy wszystko co trzeba, zasadzimy to w ziemi! Zobaczymy, co też wyrośnie z takiego chwasta jak ty!”. No to Czelej nie myślał już wtedy za wiele, bo myślenie nie zatrzyma ciosu, przygotował się na rychłe starcie, a wierzcie mi, walczyć to on potrafił jak mało kto. Trzy dni i trzy noce wymykał się każdej sięgającej ku niemu ręce i nie raz niektóre z tych rąk wracały do właścicieli bez palców, bo Szymek szedł na całego, pazury i kły! O, radził sobie znakomicie, spytajcie Zbycha z monopolowego, jego tatko nie ma palca wskazującego u prawej ręki, spytajcie go dlaczego, spytajcie o Miękkiego. Kły i pazury, mówię wam! I całe pieprzone miasto!

Czwartego dnia Czelejowi wyczerpały się zapasy fartu. Jakiś szczył wałęsający się w ognie obławy przyuważył go i postrzelił z łuku w udo. Szymon runął w krzaki, zanim tamten zarepetował, ale już nie potrafił pobiec tak szybko, nie z tą cholerną ranną nogą. Tamten nawet za nim nie ruszył, tylko piał z zachwyty tak głośno i długo, aż ściągnął połowę drabów węszących dookoła z nosami przy ziemi, przylecieli na łeb na szyję i osaczyli Czeleja w takim jarze na południowym skraju lasu, tam gdzie



kilka strumyków łączy się i wpada do leśnego jeziora. Oblegli wlot i wylot tego jaru, ustawili się na jego brzegach, odłożyli broń i po kolei zaczęli złaźć na dół, który odważniejszy, to przepychał się przed innymi, a każdy chciał być tym, co to wywlecze pokonanego żywego Szymka za łeb, co to poprowadzi go pod sąd, ale nie chodziło o żaden tam budynek, prędzej o suchą gałąź, na której by zadyndał, wymyślili sobie właśnie takie igrzyska. Schodzili pojedynczo, potem po dwóch, po trzech – i nic, wracali pobici, z porachowanymi kośćmi, na nic zdała się przewaga, skoro dla Czeleja była to walka na śmierć i życie. Byliby tak kęsałi się nawzajem pewnie jeszcze parę ładnych dni, gdyby nie ten podrostek, ten szczył ze sportowym karabinkiem. Gówniarz z piekielnym umysłem! Zostawił całą tę rozkrzyczaną watahę i pomaszerował nad wodę, na sam brzeg, zdjął buty i zaczął grzebać w mule. Nie było go z kwadrans, a kiedy wrócił, mokry i umorusany, przyniósł ze sobą całe naręcze kamieni, takich oślizłych otoczaków. I zaczął ostrzał. Szymon skakał to tu, to tam, zaskoczony umykał tym kamiennym pociskom, ale dno jaru pokrywało błoto, a noga bolała go coraz bardziej i nie szło mu to najlepiej. Pierwszy z przeznaczonych dla niego kamieni trafił go w plecy, huknęło, jakby z pustej beczki, i Czelej upadł. Już, już stawał na nogi, gdy znowu furkotnęło coś w powietrzu i *łup*, na błoto polała się krew z rozbitych ust. Szymon wypluł pokruszone zęby i podniósł się, ale kamienie leciały teraz ze wszystkich stron, duże i małe. A kiedy spadło już na niego tyle, że ciało niemal odeszło mu od kości, zeszli po niego na dół, wykręcili ręce i poprowadzili pod najbliższe drzewo...

Słucham cały czas tego, co Mach mówi, o Jezu, tak pięknie opowiada, ale Tuśka ma chyba inne zdanie, rozgląda się i wykrzywia usta, grymasi. Cyziu patrzy na nią przerażony, bo dobrze wie, ta złoźnica zaraz będzie

obnosiła się ze swoimi fochami. Gdy tylko Mach milknie, Konstancja na nowo zaczyna jazgotać:

— Dobra, dobra, Mach, kochanie, wzruszyłeś mnie do łez, ale co w ogóle ma wspólnego z nami ten cały Czelej i te babki, co na niego leciały? Miałeś mówić nam o Leśnym Rybaku, a jak na razie nic nie słyszałam o rybaczeniu. Jeżeli chcesz nas zagadać, to prawie ci się udało, wszystko ma morał, a jakże, to pewnie ja też teraz będę uważała, komu daję kawałek tyłka...

I tak dalej, i tak dalej...

Mach spokojnie czeka, niech się Tuśka wygada, milczała tak długo, pewnie dusi w sobie straszliwe ciśnienie od tych wszystkich słów, co to się w niej gotują, a co je zawsze z siebie wyrzuca bez namysłu. Daje jej parę minut. Ta paplanina niespodziewanie działa mi na nerwy. W chwili, w której nachodzi mnie ochota na rozpoczęcie kolejnej szczepy, Tuśka milknie, opowieść zostaje podjęta na nowo, a to jest taka opowieść, że znowu będzie czekała, aż słowa ucichną, wcześniej nie zabierze głosu, dobrze to wszyscy wiedzą. Wszystko-po-kolei.

Machabeusz nadaje: Szymon stał pod tym drzewem, ledwo się trzymał na nogach i czekał na to, co nieuchronne. Płomyczek życia dogasał w nim na amen. Tamta banda bydlaków przytargała skądś gruby sznur i gdy przewieszała go przez gałąź, jeden z tych, co odpowiadali za to, żeby sznur był przez cały czas napięty, odezwał się ni z tego, ni z owego: „Spójrzcie na tego biednego sukinsyna, słania się, chyba tylko sam diabeł trzyma go za włosy na karku, trzyma niecierpliwie, bo zaraz się za niego zabierze”. A wtedy go zapytali, co on też takiego ma na myśli. „Po prostu, widzę jedno: nie ma co wieszać go za łeb, bo będzie tylko odrobinę bardziej martwy niż teraz, zadynda dwa razy na wietrze i tyle naszej zabawy”. Wszyscy na to: racja, racja, zadynda i po zawodach, co to dla niego za

nauczka, spójrzcie, jak wygląda, my mu przecież wyświadczamy przysługę. „Tak, tak” – podchwycił tamten od sznura i zakręcił nim ze świstem – „dobrze mówicie, koledzy, przysługę!”. I wszyscy zadali sobie pytanie: co w takim razie robimy?

Trzeba mu zgotować taki koniec, podrzucił znowu tamten gość, co od niechcienia plątał postronek, żeby miał odpowiednią nauczkę. Popsuł nam przecież tyle dziewczyn. I nagle wszyscy zaczęli domysły, czy aby na pewno ich własność pozostała nietknięta i znowuż wszyscy doszli do wniosku, że racja, zwykła śmierć Czelejowi chyba nie wystarczy. Zawlekli go nad jezioro, to samo, z którego kamienie zrzucili mu na głowę, spętali mu ręce i nogi, położyli na brzegu, bo potrzebowali chwili na zastanowienie. A w tym czasie wiadomość o pochwyceniu Szymona dotarła już do miasta i masa ciekawskich przysłała po śladach obławy zobaczyć, jak to radzą sobie ich sąsiedzi, dzielni tatkowie i wujowie. W tym tłumie były też dziewczyny, które pamiętały, jak miły okazywał się dla nich Szymek za każdym razem, gdy go poprosiły o czułość, nigdy nie odmawiał, i te dziewczyny stanęły pośród zgiełku, ale Czelej przyjrzał im się uważnie i od razu zrozumiał, że tak naprawdę ich tam nie ma, że stoją z boku, ale ich dusze są gdzie indziej, o wiele dalej, nic a nic mu nie pomogą. Ta obojętność bardzo go zaboląła, zupełnie jakby ktoś gorącym nożem przerzynał mu serce, nic jednak jeszcze nie powiedział, leżał spokojnie, choć sami wiecie, że nie ma większej pustki niż ta ogarniająca nas w chwili zawodu. A potem doszło do tego, że już dłużej się nie powstrzymywał, zaczął krzyczeć, na co wszyscy się zdziwili, czemu krzyczy, skoro nic mu jeszcze nie zrobiono. Tylko tamte dziewczyny puciekały w popłochu. Szymon krzyczał i krzyczał, bo nie chciał, żeby w jego pustce zaległo się coś strasznego, ale okazał się za słaby, wypełnił go potworny gniew.

Zamyka wtedy usta i postanawia – nie odezwie się już ani nie piśnie do momentu, w którym jego serce uderzy po raz ostatni.

Tymczasem rozebrano go, związano za plecami ręce, podciągnięto nogi za kostki i przywiązano je do nadgarstków tak, że każdy kto miał na to ochotę, mógł kopnąć go w bezbronne podbrzusze i znalazło się paru takich, którzy zrobili to dla hecy, co z tego, Czelej ani kwęknął. Patrzcie, patrzcie, śmiali się, widocznie zgnił mu ten korzeń od nadmiaru wilgoci, nie czuje nic, i wszyscy się śmiali, mężczyźni, kobiety i dzieci. Mężczyźni ponurą radością, kobiety, bo nie miały wyjścia, a dzieci, bo nic nie rozumiały. Dosyć, nakazał w końcu ten od sznura i wyjął ogromny myśliwski nóż, zrobimy z ciebie przynętę dla węgorzy, to takie same oślizłe bydlaki jak ty, poznać się lepiej, niech każde od siebie się czegoś nauczy! Oстрыm końcem tego noża podziurawił Szymkowi brzuch, nie za głęboko, tak, że wystarczyło włożyć przez taką dziurkę palec, zagiąć go i pociągnąć, a wtedy na wierzch wywlekły się jelita, tamten gość robił to sprawnie, zupełnie bez krwi, tylko zamiast człowieka w błocie wiła się teraz kukła, co wyglądała, jakby jej do brzucha przykleili kłęb tłustej krepiny, wszystkie flaki na wierzchu w sinych pętlach, serpentynach. A kiedy nic już więcej nie dało mu się z tego brzucha wywlec na słoneczne światło, wrzucili Szymona do wody i wrócili do domów.

Widzę, jak Cyziu zielenieje, pewnie zaraz od nowa rozpocznie te swoje jęki, więc szturcham go w bok, kretynie ani mi się waż, nie przerywaj, to jeszcze nie koniec, uspokój się do cholery, to dobra historia, a ty masz minę, jakby to tobie kiszki nawlekali na szprychy.

Dzięki, Wieniu, Mach docenia to, co zrobiłem. Naprawdę nie ma sprawy.

Wszyscy wrócili do domów, zjedli spóźnione obiady i zasnęli z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

— Uszło im to na sucho?! — nie wytrzymuje jednak Narcyz, ale teraz nie bierzemy mu tego za złe, proszę, proszę, Cyziu na poważnie przejmuje się tą historyjką, zwracam honor, to mu się chwali.

Mach śmieje się pod nosem, ach, ten Machowski, jak on to robi, przykuwa uwagę jak włośchaty, brodaty magnes. Klepie Cyzia po kolanie, spokojnie, obiecuję ci, zaraz wszystkiego się dowiesz.

Na drugi dzień cała ta nienawistna tłuszcza pomaszzerowała z powrotem do lasu, jak Boga kocham, oni naprawdę mieli chrapkę na te węgorki, skurwysyny jedne, wymyślili sobie przez noc takie garden party, mnóstwo rybiego mięsa i piwa, trzeba zapisać to, co się zrobiło, tak jeden drugiemu powtarzał, inaczej sami nie będziemy mogli sobie niedługo w oczy spojrzeć. Ale na miejscu, ha, zdziwili się bardzo. Ani śladu ciała. Popatrzyli po sobie, podrapali się po karkach, podłubali w nosie – jakim to cudem, wyteżali umysły, jak to się stało? To przecież niemożliwe, on tu gdzieś jest, musi być, do tej pory napompowały go już gnilne gazy, unosi się gdzieś w pobliżu niczym balon, zaraz go znajdziemy, podholujemy go daleko od samego brzegu, *puf*, otworzymy miękką wilgotną zewłok ostrym kijem i przydepczemy każdego węgorka, co będzie spieprzał w stronę wody, tak jak one to zwykle robią, pewnie wwierciała mu się przez dupę cała ich masa, dobrze mu tak! Paru odważniaków zdjęło zaraz spodnie i wlało do wody, brodzili w niej, zanurzeni po samą szyję, ale namieszali tylko w mule, ani w jeziorze, ani w pobliżu, nigdzie nie natrafili na bodaj koniuszek palca, trup wyparował. Pewnie zżarły go dzikie psy. Ryby załatwiły sprawę lepiej, niż myśleliśmy. Rozpuścił się w tej wodzie, cholerna leśna woda kwaśna jak lisie szczyny. Utonął w mule, kto wie, ile tego mułu leży tam na dnie, kij nawet nie sięga. Łazili po błotnistym brzegu, czas mijał, a oni niezmiennie prawili te dyrdymały, zapadł zmrok i nadzieja na smażenie

czegokolwiek rozwiąła się, zapomnieli o spotkaniu nad grillem, zapomnieli wreszcie o Szymku.

Przez rok także Szymon Czelej nie przypomniał im o sobie...

A potem ni z tego, ni z owego w lesie znaleziono martwą dziewczynę.

Konstancja i Cyziu zadrżeli.

Tak, zupełnie martwą...

Zamiast oczu miała dwie szyszki, w ustach garść wyschniętego mułu, a w tej, no, tam, w piczce, zdechłą wiewiórkę. Sztywnym ogonkiem na zewnątrz.

— A skąd niby wiedzieli, że to ten cały Wędkarz...

Rybak, poprawiam Tuškę.

— Że Rybak to zrobił.

Mach spogląda na nią, tak od góry do dołu, jak gdyby dawał jej do zrozumienia, siostró, najpierw zastanowię się, czy jesteś na to gotowa. Po pierwsze, wszyscy w mieście wiedzieli, że ta cizia spotykała się z Szymonem, głos ma taki melodyjny, łamie każdy opór niczym ogromna ciężka kropla słodku. Pauza. A zaraz potem, wypala, trach!

— Po drugie, w każdej ręce trzymała za łeb zdechłego węgorza...

Ale ubaw, Cyziu zaraz puści pawia!

Zacieram ręce. No nie, tego to się nie spodziewałem, jak on to wszystko pomieścił w głowie, przecież taki nadmiar słów mnie poplątały język, tyle pomysłów, to się nazywa gawęda!

Widzicie, mówi Machabeusz, a panuje taka cisza, jakby wszystko dookoła słuchało w napięciu, las się nie porusza, nie drgnie nawet listek, co dopiero my. Szymek wrócił po wszystkie dziewczyny, które się od niego odwróciły w chwili śmierci, po wszystkie dwanaście pańienek. Ale widocznie tuzin to dla niego za mało, wszyscy o tym wiedzą, i od lat co roku w tych lasach ginie jedna dziewczyna...

I Mach triumfalnie skończył.

Tuśka tylko przełyka ślinę. Narcyz z głową w dłoniach kuca obok. Wyłączyli się oboje, siedzą teraz pogrążeni każde we własnych mrocznych domysłach, takie przemyślenia przypominają czarne kotwice, już nie pozwolą im ruszyć z miejsca.

Mach zachowuje kamienną twarz, tylko ja wiem, jak bardzo cieszy go wrażenie, jakie wywarła ta opowiadka.

— Idę się wyszczać! — odzywa się po minucie lub dwóch na tyle głośno, aby tamci go usłyszeli.

Do mnie ciszej:

— A jak już pójdę do lasu, to mogę zabłądzić, nie? A jak już zabłądzę, jejku, jejku, to ktoś będzie mnie musiał poszukać.

Rany, żebym tylko nie zabłądził, powtarza, a ja przyglądam mu się, gdy znika w krzakach, rozgarniając na boki sztywne gałęzie i nagle wiem, o co chodzi, no nie, myślę sobie, naprawdę cwany typ, ciesz się Wieniu, chłopie, że jesteście po tej samej stronie.

Po paru minutach i ja podnoszę się z ziemi. Tuśka i Cyziu leżą teraz na plecach, oczy mają zamknięte. Pytam ich, tak na wszelki wypadek, czy widzieli, gdzie poszedł Mach, ale Konstancja tylko nerwowo kręci głową na nie, a Narcyz nie robi nic, mruga nieprzytomnie.

— Ty, Cyziu — zaczepiam go jeszcze raz. — Ty też nic nie widziałeś?

— Cholera! — warczy Konstancja.

— Jeżeli brak tego pchlarza z długim ozorem tak ci doskwiera, to idź i sprawdź, czy nie zasnął w kucki, stawiając klocka pod pierwszym lepszym pieprzonym krzakiem!

Normalnie bym jej nie podarował, ale złośliwa uwaga spadła mi jak z nieba, dobra nasza, siostró, sama się o to prosiłaś, to tak na potem, jakbyś miała jakieś zastrzeżenia.

Pół minuty później przedzieram się przez krzaki w poszukiwaniu Macha. Niskie leszczyny i czeremchy zbiły się ciasno ze sobą, naprawdę trudno cokolwiek zobaczyć w tym gąszczu, człowiek przedziera się przez niego niczym przez liściasty mur. Niewielka ścieżka, na którą trafiam, kluczy jakby bez celu, chwilami przebiega pod splątanymi tuż nad ziemią konarami, wtedy kładę się na ziemi i czołgam. W jednym z takich przejść spotykam przyczajonego Machowskiego. Znalazł niewielką przecinkę kilka metrów od miejsca, gdzie na siebie wpadliśmy; dotrzemy tam, mówi, i możemy być spokojni – nawet gdyby Cyziu i Tuśka mieli ochotę wyruszyć za nami, nie dadzą rady.

— Nie z tym jej poderżniętym skrzydełkiem — śmieje się, klepie mnie po ramieniu i od razu rusza, dając głową znaki, abym szedł za nim.

Rzeczywiście jest tak, jak mówił, za parę minut stajemy na nogi i tylko żywica na dłoniach przypomina nam, że jeszcze przed chwilą nurkowaliśmy na czworakach. Przyczajeni, siadamy w cieniu samotnej topoli; za naszymi plecami, zasłonięta przez szary pień, stoi rudera, w której urzęduje Lola i na pierwszy rzut oka interes idzie pełną parą. Na podjeździe parkuje ciemnoniebieski vito z przyciemnianymi szybami; nas samych od gniazdka miłości Lolki oddziela pusty plac. Podchodzimy ostrożnie, ustawiając się tak, by samochód znajdował się między nami a budynkiem, i już z oddali słyszymy leniwe cykanie stygnącego silnika. Ogarnia mnie dziwne uczucie, no bo niby wszystko na pierwszy rzut oka jest w porządku, podeszliśmy niezauważeni, ale bez ostrzeżenia moje wnętrze przeciął nagły chłód, nieprzyjemne lodowate ukłucie takie jak to, kiedy w straszny upał człowiek rzuci się na piwo prosto z zamrażalnika i pociągnie więcej, niżby chciał. Świetnie się składa, klient dopiero przyjechał, przekonuję sam siebie, a to znaczy, że wpadniemy na niego w momencie, gdy będzie się zabierał do rzeczy. Właśnie tak to sobie



zaplanowaliśmy, nie ma powodu do zmartwień. Wymieniamy z Machem spojrzenia – jest dobrze. Mimo to niemiłe uczucie pozostaje.

Obchodzimy samochód dookoła. Mach nakazuje mi gestem: zostań na miejscu, on sam podkrada się pod ścianę szalasu. Po chwili wraca, z jego twarzy szczytują całą litanie wątpliwości.

— Pusta — szepcze, drapiąc się po zaroście. — Chatka jest pusta. To zupełnie nie w stylu Loli. Gdzie oni się podziiali?

Rozglądamy się. W zasięgu wzroku gęsty las, nie ma wygodnych krzaczków, w które mogliby wskoczyć, ani kawałeczka osłoniętego dla zakrycia tyłka, dwóch dokładnie, jeżeli chodzi o ścisłość, sama plątanina gałęzi i kolców, co to gryzie, kłuje i nie sprzyja amorom.

— Coś mi nie tu nie gra — odzywa się w końcu Machabeusz.

— Mach, ja nic nie chciałem mówić, ale jak tylko zobaczyłem...

Pociągam nosem. W powietrzu unosi się taki zawieszisty zapach.

— Wieniu.

Boże, dlaczego nie zawróciłem od razu?! Nie panuję nad tym, już nie, przecież wiedziałem, w jakie pakuję się gównno i zamiast zrobić w tył zwrot, zapędzam się aż w sam środek gównianego cyklonu!

— Bonawentura!

Spoglądam na Macha – nie mówi nic, ma rozchylone usta i pokazuje coś za moimi plecami. Odwracam się powoli. W miejscu, w którym boczne przesuwane drzwi mercedesa łączą się z karoserią, bierze swój początek wąska ciemna strużka...

I niemal w tym samym momencie, zupełnie jak w dobrze zaplanowanym przedstawieniu, ze środka samochodu zaczynają dochodzić ciche regularne odgłosy, takie miękkie pukanie. Vito kołysze się lekko. Pukanie przybiera na sile, jakby to cacko nie było wielkim jebanym ośmiocylindrowym dieslem, tylko szwajcarskim zegarem z kukułką, *stuku-puku, stuku-puku,*

wtórują mu resory, trzeszczą lekko w takt niewielkich regularnych przechyłów. Język jak gąbka wysysa mi całą wilgoć z ust. Spadamy stąd, chrypię i podrywam się do biegu, ale Mach łapie mnie za rękaw i przyciąga do siebie, tak blisko, bliźniutko, że jego zmierzwiona broda łaskocze mnie w szyję.

— Gdzie, baranie! — syczy przez zaciśnięte zęby.

— A Lola? Nasza kumpelka? Zapomniałeś o niej?

Lolka i jej tyłek mają w takich wypadkach przećwiczony plan awaryjny, sto razy lepszy od naszego, odpalam bez namysłu i wyswobadzam się z uścisku.

— Spieprzajmy stąd, póki można!

Mach nie słucha, popycha mnie z całej siły, lecę do tyłu i ląduję na tyłku. W plecach wybucha ból – ostry i krótki. Zaczynam pierwsze z całej litanii przekleństw, które cisną mi się na usta, ale głos więźnie w gardle, bo nagle Mach bez słowa łapie za klamkę tylnych drzwi samochodu, szarpie i otwiera je na oścież.

Na to nikt nie mógł być zawczasu przygotowany, ani my, ani tamci w środku.

Eulalia. Na podłodze. Na niewielkim blaszanym stoliku pod ścianą. Wisi pod sufitem. Patrzą na to i czuję mdłości, przewalają mi się przez brzuch kwaśną falą. Mach stoi z rękoma sztywno rozpostartymi na boki, nie wykonuje nawet najmniejszego ruchu. Pukanie słychać teraz naprawdę wyraźnie.

W przepastnym wnętrzu vana przygarbiony łysy mężczyzna podnosi się powoli ruchem człowieka, którego od ciężkiej pracy rozboleł kręgosłup, skrzypi opięty na nim czarny kombinezon. Stoi po kostki w czymś, co przypomina ciemne leniwe jezioro i zalatuje od niego takim ostrym, mulistym zapachem, tym samym co go czułem, zanim zajrzeliśmy do tej

czterokołowej puszkii Pandory. Prawą dłoń w czerwonej, sięgającej aż za łokieć rękawicy oparł na zakrwawionym kadłubku. Lewa, uzbrojona w krótką piłkę o drobnych zębach, zwalnia, aż wreszcie kończy swój ruch wilgotnym mlaskiem. To, co kiedyś było chętną nogą Loli, a teraz jest połącią mięsa odkrawaną od stygnącego ciała, przestaje stukać o ścianę samochodu. Zapada cisza.

Mężczyzna spogląda na nas, odwraca się i uśmiecha poprzez lateks poprzez zamek błyskawiczny, który zakrywa mu usta, śmieją się jego oczy, chociaż twarz pozostaje za skórzaną maską.

— Strasznie mi przykro, moje leśne skrzaty. Załapałyście się jedynie na deser.

Z odsłoniętego brzucha zwisają mu kolczyki przeróżnego kształtu i wielkości i kiedy nagle śmieje się zimnym, wysokim śmiechem, wszystko to rozdzwania się kantatą.

Zaczynam krzyczeć. Albo to Machabeusz zaczyna krzyczeć. Albo krzyczymy obaj, ale każdy tak głośno, że zagłusza tego drugiego.

\* \* \*

O drugiej w nocy na posterunku nic się nie zmienia, plastikowy stołek, stół, jasna lampa zwieszająca się z sufitu jak atomowy nietoperz, te rzeczy trwają, czas obchodzi się z nimi inaczej niż z nami, ludźmi, one nie łakną, nie zbiera im się na sen, nie potrzebują kibelka; druga, nie druga, są, tak jak były tu przedtem – dobę, dwie doby, miesiąc temu – tyle że nieczuły i twardawy stołek dźwiga na sobie niecierpliwego pasażera na gapę, mnie, i ten pasażer jest już udreńczony wielogodzinną podróżą, dałbym wiele za krótkie międzylądowanie. Nic z tego, wycieczka się nie zakończy, dopóki nasz zwariowany Kapitan nie usłyszy prawidłowych odpowiedzi na

wszystkie zadawane mi podczas wspólnego rejsu zagadki. A to pech – te szarady nie mają rozwiązań.

Gliniarz wygląda na co najmniej tak zaspanego jak ja, nie daje tego po sobie poznać; pyta, czy zdaję sobie sprawę, że nie ma nikogo, kto potwierdziłby moje zeznania.

— Wiem o tym, panie kapitanie.

Zostaję przez niego grzecznie upomniany – jest sierżantem, nie kapitanem.

— Wedle życzenia — odpowiadam ugodowo. Na dłuższą metę to przecież bez znaczenia. Uśmiechamy się do siebie, a jest to gest wymagający tak ogromnego wysiłku, że czuję, jak drżą mi policzki.

Czy mógłbym odpowiadać na jego pytania pełnymi zdaniami?

— Oczywiście. Wiem, że nie ma nikogo, kto mógłby potwierdzić moją historię — recytuję, a on pyta z kolei, co stało się z panem Machabeuszem.

— Czy ja już o tym nie wspominałem?

Nagrywa to wszystko na podręczny magnetofon, mimo to powtórzenia są, kurwa, niezbędne, nie mam na to siły, on cierpliwie czeka.

— Mach... Pan Machabeusz wdał się w bójkę. Z TAMTYM mężczyzną. Tamten mężczyzna.

Czelej, Czelej, próbuję z siebie wyrzucić, ale przecież ja sam nie wierzę w tę idiotyczną historię: to nikt, to nikt, szepczę tylko, a potem głośniej, lepiej żebym nie zapominał, wszystko pozostaje nagrane jako dowód w sprawie. Brednie.

Pan Machabeusz zmarł z upływu krwi na poboczu obwodnicy, oto treść kolejnego pytania-podpowiedzi.

— Cokolwiek pan sobie życzy, kapitanie. Już bardziej martwy przez to nie będzie...

Policjant waha się, czy poprawianie po raz kolejny własnej szarży ma jakiś sens, ale nie, odpuszcza sobie, o drugiej w nocy może być przecież nawet samym prezydentem elektem, carem, sikać mi się chce tak bardzo, że jeżeli rozkaże, to z ochotą nazwę go generałem brygady, faraonem albo Dżyngis-chanem, byleby dane mi było spuścić trochę ciśnienia z ołówka...

Dajcie mi kubek z automatu na kawę, naszczam w niego i ze szczęścia zatańczę jak wariat!

Nic z tego. Teraz mam mu wyjaśnić, jak Mach TAM dotarł, znaczy się spod samochodu, aż na skraj drogi.

— Przeniosłem go.

Czy był przytomny?

— Z początku tak, ale tamten... łysy zaciął go strasznie mocno. W połowie drogi do Cyz... do pana Narcyza i pani Konstancji przestał się odzywać, więc wiedziałem, że z nim nie najlepiej.

Pyta, skąd „tamci” dowiedzieli się, co się nam przytrafiło; „tamci” to Tuśka i Cyziu.

— Ja im o wszystkim opowiedziałem.

Sierżant powtarza teraz z namaszczeniem moje słowa. Oto co według niego, według mnie się stało – wybraliśmy się we dwóch, ja i Mach, z zamiarem zrobienia głupiego kawału znajomej prostytutce, a na miejscu znaleźliśmy ją martwą, zaatakował nas nieznany mężczyzna jeżdżący nieoznakowanym samochodem dostawczym, mój kumpel został śmiertelnie ranny, pozostali zginęli, bo w porę nie wzięli dupy w troki, tak twierdzą, mówi policjant.

Nic dodać, nic ująć. Zatem:

— Na to wychodzi — zgadzam się bez zastrzeżeń. Nie ułatwi mi to życia. Mam zastanowić się przez chwilę, czy nie widzę w tym nic dziwnego.

— Dziwnego? Nie, nic dziwnego.

On za to widzi, mówi do mnie, panie Bonawenturo, pyta: dlaczego?

— Dlaczego co?

— Dlaczego tylko panu się udało? Od początku to był pana pomysł, prawda?

Wyraźnie słyszę zmianę w tonie jego głosu, on chce, abym zdawał sobie z niej sprawę.

— Milczenie nic tu nie da.

Twardy, twardy ton, tym tonem jak palcem zagiętym w hak stuka w drzwi mojego sumienia, gliny tak robią, kiedy nie są pewne, czy mogą pozwolić na wyważenie tych drzwi kopniakiem, ale ja mu nie dam takiej szansy, sumienie otwieram na oścież, to moi kumple, to moje sumienie, niech wie, że mnie przegryza.

— Tak. To ja podrzuciłem ten pomysł.

— Dziękuję. Cieszę się, że jest pan rozsądny.

„Rozsądny” brzmi w ustach tego gliny jak zarzut. Wracamy teraz do sprawy skaleczenia pani Konstancji i biednego Cyzia. Skoro wiedziałem, co im grozi, skoro wiedziałem, że ich ucieczka będzie zbyt powolna, to dlaczego nie próbowałem ich ostrzec?

— Chwila! Moment! Czy ty, koleś, siedzisz w mojej głowie?! Skąd możesz wiedzieć, co miałem zamiar zrobić? Chciałem jej powiedzieć, tyle że...

— Tyle że nie bardzo było jak? Zaszło panu w gardle? Zapomniał pan? A może najzwyczajniej w świecie było to panu na rękę?

Policjant szczeka: *hau, hau-hau!*

— Nie słuchała mnie.

Wsadź sobie głowę w dupę, dokładnie tak powiedziała.

— Wiedziałem, że zostaną sam na sam z tamtym sukinkotem, ale co mogłem zrobić?

— Nic. Zawsze to mniej świadków...

— Ja nie zabiłem!

Uspokaja mnie. Nikt pana jeszcze o nic nie oskarżył, przypomina. Podobno na razie obaj wspólnie staramy się dociec, o co w tym wszystkim chodzi.

A przecież to takie proste:

— Chodzi do kurwy nędzy o to...

— Nie przeklinaj — ulatniają się resztki udawanej sympatii. — To posterunek policji, koleżko, nie budka z piwem.

Właśnie o coś TAKIEGO się rozchodzi... Przepraszam, choć w środku coś mnie ściska, przeprosiny zostają przyjęte w milczeniu, siedzimy i siedzimy w ciszy. Na sam koniec sierżant chce, żebym podał, gdzie pracuję.

— Nie mam pracy.

Odczytuje kolejną rubrykę: stałe miejsce zamieszkania.

Te pytania nie mają najmniejszego sensu.

On to rozumie. Dziękuje. Według niego – na razie, to by było tyle.

Nie wierzę w ani jedno jego słowo. On też mi nie wierzy, to się czuje. Czy mam mu powiedzieć, co naprawdę myślę? Że tam, w lesie to był On? Szymon Czelej...

\* \* \*

Zimno. Na dworze wali śnieg, zawierucha taka, że psy szczają w biegu, zwyczajnie boją się przymarznąć do latarni. Siedzę na ławce naprzeciwko parku, w którym spotkaliśmy się po raz ostatni, ja, Cyziu, Mach, Lola i Tuśka, siedzę i nie jest źle. Zbych poszedł po rozum do głowy, rozkręcił

całodobowy interes. Od drugiej do piątej nad ranem, wtedy gdy nie ma prawie ruchu, pozwala mi siedzieć w sklepie nieopodal grzejnika, a to oznacza, że tę zimę być może przetrwam ze wszystkimi palcami u nóg. W porządku gość z tego Zbycha. Eulalia miała rację, świeć panie nad jej duszą.

Tymczasem...

Jestem już wolny, sam sobie panem, w myślach wyrównuję rachunki. Księga przychodów i rozchodów mojego serca. Rozmowa z policją – dziesięć lat. Protokół z przesłuchania opiewa na trzysta słów z kawałkiem. Dziesięć dni za każde jedno słowo, którego nie obroniłem przed sądem, chociaż Bogiem a prawdą, co to była za obrona.

To może zmienić człowieka. Na zawsze.

Zimno, zimniej. Dziesięć latek w kiciu to masa kartek wyrwanych z kalendarza, jaką miarą się do tego zabrać, dni idą w tysiące, godziny w dziesiątki tysięcy, o minutach nie wspomnę, nikt w mamrze nie liczy minut, są jak miedziaki czasu, zajmij się nimi, spróbuj je zbierać, a wypełnią ci kieszenie i przygną do ziemi, poczujesz ich ciężar. Jeżeli więzień nie wyzbędzie się przywiązania do takiej drobnicy, jeżeli nie zrozumie, że wyrok, który go przygniata, to jeden wielki blok wykruszony z przyszłości, blok pod przymusem dzierzawiony i z góry spisany na straty, kęs wyrwany z życia, który naruszają dopiero powolne szczęki erozji i zapomnienia, bryła, co zmniejsza się niespostrzeżenie, gdy śpisz w celi i chodzisz na wybiegu, tym szybciej się zmniejsza, im mniej o nim myśleć – wtedy wygralesz.

Każdy bogaty w cenną rudę czasu wie, że najbardziej cieszyć go powinno jej utlenianie. Przesypuj ją przez palce, licz i obliczaj, a wtedy zginiesz, bracie.



Właśnie o takich sprawach rozmyśla się w kiciu. Sprawach, które zmieniają perspektywę.

Tak jak cała ta historia z Czelejem. Myślałem i myślę, i jeszcze parę dziesiątków lat byłoby mało na moje rozmyślania. Nie wierzyłem Machabeuszowi w ani jedno słowo, mówił pięknie, ale piękne są też mydlane bańki puszczane w cyrku, a nikt nie nabiera się na to, że sztukmistrz wytacza je z cienkiego kryształu. Dobrze mówił Mach, długo żyje tylko umiejętny słuchacz, bo wszystko dookoła nas szczyrzy kły, pazury i ja tak słuchałem, mimo że te jego bańki od samego początku puszczano z mętnej wody. Jednej tylko rzeczy nikt mi do tej pory nie wyjaśnił: czemu każda z tych cholernych baniek nie nadziała się na kanty rzeczywistości i nie pękła z pluskiem, zamiast tego zwała się nam na łeb z hukiem i brzękiem, a kogo zaskoczyły, jak Macha, Tuśki i Cyzia, tego nie oszczędziły, rozplątały na dwoje.

Ach, gdybyś tu był, Machowski, tu, teraz, ze mną, powiedziałbym: hej, druhu, dobrze poznałeś ulicę, ale ja poza ulicą popróbowałem czegoś jeszcze. Więzienie okazuje się podobne do tego naszego dawnego beztroskiego życia, to taka wąska „jednokierunkowa”, mało, że wąska to jeszcze zapętlona, cały czas w kółko i w kółko, spotykasz tych samych przechodniów, a im częściej ich spotykasz, tym wyraźniej widzisz w ich twarzach samego siebie, a wszystko słyhać na niej o wiele lepiej, rozmowy, te same i nie te same odbijają się echem i to najstraszniejsza rzecz, jaka spotyka człowieka w życiu. Rozmowy, które poruszają wszystkie najważniejsze tematy na świecie i jednocześnie nie poruszają żadnego, tak jest to już ułożone.

Sam nie wiem, ile razy powtarzano w celi opowiastkę Macha. Przez dziesięć lat nadszarpnięta została cierpliwość niejednego ze współwięźniów, to wiem na pewno, a już sam Mach obrócił się w grobie

setki razy, wściekły, że szafuję jego słowami bez pozwolenia, wybaczyć, przepraszam otrzymasz już po drugiej stronie. Tyle razy wzywałem twoje imię nadaremno...

Jednakże dopiero tak na rok przed zwolnieniem pewien stary recydywista spojrzął na całe zdarzenie z zupełnie innej perspektywy. Wysłuchał historii jak dziesiątki kiziorów przed nim, ale zamiast roześmiać się ze wszystkich sił, zauważył: piękna historia, szkoda, że tylko was pięcioro mogło jej wysłuchać u samego źródła, nadawałaby się na wiele więcej ciekawskich uszu. Zaraz, zaraz, słuchała jej tylko czwórka, przerywam, a on na to, kolego, nigdy nie wiesz, kto słucha twojej opowieści, mówię ci, było was tam więcej. Kto, kto, pytam, a on tylko machnął ręką i poszedł sobie w cholerę. Tak właśnie zrobił.

Czyżby oprócz naszej czwórki był tam jeszcze ktoś inny? Piąty niewidzialny wędrowiec, który zasłuchał się w to, co Mach miał do powiedzenia, tak bardzo, że odłożył na bok wszystkie swoje ponure sprawy i dołączył do naszego grona. Niezapowiedziany gość. Czy to, co nam się przytrafiło, było jedną z mrocznych historii toczących jego niepojęty umysł? Kto wie... Mach nie wierzył w swoją historię, lecz historia uwierzyła w niego! To się nazywa gawęda – straszne to, lecz byłby z siebie dumny, gdybym mu to tak wyłożył, Machabeusz, ten stary gaduła...

\* \* \*

Na dworze śnieg rozmyślił się i zamiast atakować wściekłą białą zawieruchą, wziął się za podstęp, opada na ulicę miękko i delikatnie, niczym zapomnienie. Lola, Cyziu, Tosia i Mach gryzą piach. Oni już wiedzą to, co każdy z nas chce wiedzieć. A ja? Nie ma rady. Zostałem sam.

Wybija czwarta nad ranem, Zbych drzemie słodko na zapleczu, bo wie, że pilnuję interesu i chyba nie będzie miał mi za złe tego, co zaraz zrobię. Muszę doprowadzić pewne sprawy do końca. Z najniższej półki wystawy, tak by zorientował się jak najpóźniej, biorę dwa litrowe denaturaty i chowam je za pazuchę – nie jestem odważnym człowiekiem – one pomogą mi chociaż na chwilę o tym zapomnieć, to przykre, wiem; otwieram drzwi sklepu i ostrożnie się wymykam. Jest tylko jeden sposób, tylko tak się przekonam, czy to, co stało się dekadę temu, było zbiegiem okoliczności, czy wszystkie te lata nie poszły na marne.

Zima zaokrągliła kontury rzeczy, odbierając im głębię i kiedy tak idę przez park, myślę sobie, że to nawet dobrze.

Nie chciałbym umierać wiosną. Wiosna jest zbyt gwałtowna.

Zimno, zimniej, coraz zimniej. Na skraju parku znajduję metrową zaspę, która wygląda w sam raz, obchodzę ją, sprawdzając, czy ma dość miękki śnieg i czy jest go wystarczająco dużo, tyle, żebym nie wylazł od razu przy jakichś niespodziewanych większych roztopach, zdejmuję kurtkę, rozbieram się do kalesonów, wypijam połowę z pierwszej butelki, robię kilka przysiadów i czekam, aż alkohol zacznie działać, drzę. Potem miękko zakopuję się w puchu, po skórze przeskakuje mi iskrząca, zamarznęta elektryczność.

Zanim skończę drugą butelkę, powinno już być po wszystkim.

Chciałbym zapłakać, ale łyzy zamarzają mi na policzkach.

Mróz odwraca się niczym srebrna moneta.

Czuję to!

\* \* \*

Ciepło. Dobrze.

## Gniazdo os

Trafiłem w dziesiątkę.

\* \* \*

Wysocki, nienaturalnie wyprostowany, na granicy sztywności i ze szklanką wina w ręku, przyglądał mi się lekko zamglonymi oczyma, podczas gdy długie i sterczące, lecz delikatne jak puch włosy drżały mu wokół głowy na kształt elektrycznej blond aureoli; spomiędzy zwiewnej rzadziny prześwitywała różowa skóra, a za nią było widać pokój pełen rozbawionych gości. Ale oczywiście zauważyłem to wszystko, dopiero gdy zabrał głos i tym samym zmusił mnie do spojrzenia w swoją stronę – do tego momentu myślałem, że jestem w kuchni zupełnie sam.

— Nie powinieś był tego robić — wygarnął mi prosto w oczy, oparty o zmywarę do naczyń. — Taki owad to nie jest, eh... zwierzę ludobójcze.

Zwiesiłem łapkę na muchy wzdłuż nogi, ponieważ ganiąc się w duchu: żadne zabójstwo, nawet tak nieznaczące, nie potrzebuje świadków. A poza tym co za pech! Dlaczego muzyka nie zagłuszyła huku mojego małego plutonu egzekucyjnego? Resztki chitynowego pancerza pstrzyły ścianę.

— Zmieniłbyś zdanie, gdyby cię w końcu użądliła — syknąłem w odpowiedzi.

Paru gości w sąsiednim pokoju w lot zauważyło mój wyraz twarzy – pochyleni nad zakąskami mimochodem wskazali mnie sobie palcami. Co

najmniej jedna para przerwała pląsy na parkiecie i, niby przypadkiem, zagapiła się na Wysockiego. Niewinnie buźki ciągnęły przez słomki darmowe drinki z cukrem trzcinowym. Błyskawicznie zorientowali się, że będzie draka.

— Ach! — zarzucił rozwichrzoną głową Wysocki. — Ach, GDYBY mnie użądliła. Nie dałeś jej tej szansy, co?

— Zjeżdżaj z kuchni.

Szarpnął się w moją stronę, wysoki chudzielec, cały napięty w poszukiwaniu namiastki ciętej riposty. Dosłownie znikąd niespodziewanie dołączyła do nas Basia, moja ex. Rozanielona i, mimo wczesnej godziny, niezłe wstawiona. Jej wejście odrobinę rozładowało napięcie.

— Co tam macie, chłopaki? — spytała wesoło. Wysocki wskazał długim palcem. — O rany! — zachłysnęła się pijackim zachwytem. — Osa!

— Prawdziwa martwa osa — zauważył rzeczowo Wysocki. Poruszał ustami tuż nad brzegiem kieliszka. Cały czas lustrował mnie złym wzrokiem.

— Czy ona jeszcze żyje? — spytała Basia. Zafascynowana, obserwowała, jak jedno z czarnych odnóży poruszyło się pod wpływem dotyku jej palca.

— To przedśmiertne paroksyzmy, agonia — uciął Wysocki.

Postał jeszcze chwilę dla podkreślenia trumiennej atmosfery, który tak pieczołowicie rozdmuchał, potem chwiejnym krokiem oddalił się w stronę wazy z ponczem. Szedł w samych skarpetkach. Kontury jego postaci zacierały się lekko w papierosowym dymie. Zmełłem pod nosem naprawdę paskudne przekleństwo i na odchodne posłałem je w kierunku jego pleców.

— Staruszek Wysocki ostatnio zainteresował się buddyzmem, wiesz, bołą go takie rzeczy – wyjaśniła Basia

Kolejna cicha obelga poszybowała w powietrze.

— Po co ty właściwie ją zatłukłeś? — indagowała Basia.

— Och, kurwa, srał ją pies — odparłem, siląc się na spokój.

Barbara skrzywiła się z niesmakiem.

— Cham. Czasami mam cię po prostu dość...

— Nie, dziecino. Mogłaś mieć mnie dość, gdy byliśmy małżeństwem — sprostowałem i żeby zająć czymkolwiek roztrzęsione ręce, odkręciłem wodę i wymyłem dłonie w płynie do naczyń.

— Teraz mogę cię co najwyżej od czasu do czasu ZIRYTOWAĆ.

Woda szumiała ostro. Basia ważyła moje słowa.

— Pieprzony dupek — zaklęła w końcu powoli.

— *Par excellence.*

— Co? Co takiego?

— Nic — odparłem. — Takie wyrażenie.

— Nie słyszałam...

— Na płatnych kursach tego nie uczą.

Oczy Basi natychmiast prześwietliły mnie przenikliwym spojrzeniem ze zbioru: no to wiemy już wszystko.

— Jesteś na mnie zły, bo przespałam się z Waldkiem przed podpisaniem papierów rozwodowych.

— Proszę, darujmy sobie szczegóły — odparłem beznamiętnie. Za to w głębi duszy załkałem: a więc Waldek zdążył już wleźć do jej łóżka, stary lis. Zrobił to tak szybko, że mało brakowało, a wpadlibyśmy na siebie, wyczołgując się spod tej samej kołdry.

— Mam tylko nadzieję, że nie łązi po domu w moich papciach

— Twoje ciuchy oddałam na szmaty, nie myśl sobie. Szafy śmierdzące tanimi wodami toaletowymi. Tylko tego mi teraz potrzeba.

Sięgnąłem po stojący na parapecie kieliszek z brandy i podstawką strąciłem na ziemię kadłubek osy. Rozdeptałem go powoli. Z przyjemnością.

— Natura wzywa. Idę się odlać — poinformowałem Baškę i odwróciłem się do niej plecami.

W kark uderzyło mnie jedno słowo: świnia. W drodze do ustępu odruchowo potarłem szyję.

\* \* \*

Od samego początku, od dnia, w którym podsunęto mi ten pomysł, stałem na stanowisku, że urządzenie imprezy zaraz po rozwodzie to wyjątkowo głupia zachcianka. Niemniej, tak jak to przewidziałem, od razu uległem namowom przyjaciół. Przyjaciela Wysockiego i przyjaciela Waldka. Chociaż teraz, kiedy ten drugi przespał się z, jakkolwiek na to patrzeć, utraconą częścią mojej rodziny, może powinienem pomyśleć o nim jak o odzyskanym kuzynie?

Zostawię to sobie do przemyślenia na później.

Wracając do tematu. Obaj moi „przyjaciele” uważali, że skoro ja i Basia rozstaliśmy się mniej więcej w pokojowej atmosferze (wyrażenie „mniej więcej” niosło znaczenie, którego graficznym odpowiednikiem był wahadłowy ruch wyciągniętej dłoni; mniej więcej to mniej, niżbym chciał i więcej, niż kiedykolwiek bym o tym opowiedział), to w związku z tą pokojową atmosferą powinniśmy zabawić się jak za dawnych dobrych lat. Wprowadzić naszych znajomych w małe, osobiste, małżeńskie *fin de siècle*. Poigrać z dekadencją. Po prostu pięknie...

O, stara dobra Prywatna Kliniko Chorób Wewnętrznych! O, czasy minione!

Dawne minione lata tak się mają do chwili obecnej, jak powyższe nadęte wołacze do pojęcia dobrego smaku...

Ale oto impreza, jakby na przekór mnie, rozkręcała się w szybkim tempie. Stałem samotnie w przedpokoju z ręką na klamce toalety i przyglądałem się tym ludziom, których do tej pory uważałem za treść wszystkich przeszłych chwil, zarówno tych dobrych, jak i złych. Wysockiemu rozdającymemu na prawo i lewo nawiedzone spojrzenia zniewieściałego bodhisattwy z odzysku, Baśce spoconej i roztańczonej, coraz bardziej pijanej, a przy tym coraz bardziej pociągającej (zawsze taka była, zupełnie jakby alkohol katalizował w niej seksapil), wreszcie Waldkowi, kogutowi na wycieczce do obcego kurnika, i myślałem: tamte czasy coś znaczyły, bo razem stawialiśmy im czoło. A teraz? Wszystko zamienia się w gruz i pył.

Wszedłem do ubikacji. Z ulgą rozpiąłem pasek i rozsunąłem rozporek. Sikałem na wklęsły brzeg muszli tak, by strumień moczu omijał środek niebieskiego jeziora i nie robił zbędnego hałasu. Potrzebowałem chwili skupienia. Nadchodził moment podsumowania. Nie dziwiło mnie, że to toaleta właśnie będzie jego tłem. Nie pierwsze podsumowanie w moim pięćdziesięcioletnim życiu. Kiedy taki moment się zbliża, nie czeka z wyborem dogodnego miejsca, tylko wali się na głowę bez ostrzeżenia. Wiedziałem, czego się ode mnie wymaga. Pozwoliłem zatem dwóm strumieniom – moczu i umysłu – płynąć bez zbędnych przestojów. Ten pierwszy złocił się i perlił, jasny i przejrzysty. Drugi natomiast w miarę zanurzania się w nim okazywał się wyjątkowo mętny...

Podsumujmy zatem.

Oto historia w pigułce, jak większość pigułek trudna do przełknięcia.

Personel naszej kliniki liczył dwanaście osób, w tym czterech lekarzy. Ordynatora, dwóch starszych i jednego młodszego asystenta. Nadzwyczaj



jasna sytuacja służbowa. Towarzystwo jednak mieliśmy już do czynienia z węzłem gordyjskim. Młodszy asystent, czyli Basia, przez pewien czas pozostawał w związku z ordynatorem, czyli moją skromną osobą. Związek jako taki należał do nie najgorszych. Oczywiście miał swoje wzloty i upadki, chociaż gdybym patrząc wstecz, miał się pokusić o literacką alegorię, to w dziedzinie lotów bardziej przypominał korkociąg niż ślizg. Różnica wieku zrobiła swoje, prawda tak wyświechtana, że aż wstyd. Mimo wszystko wytrwaliśmy bez mała osiem lat, Barbara, jak wszystkie młode kobiety, znudziła się starszym partnerem nadzwyczaj łatwo i chociaż wytrwała przy mnie przez ostatni okres, to potem bez zastanowienia zmieniła pilota z wymowną pomocą niejakiego Waldemara (to właśnie z nim przespała się dopiero co, cóż za radosna wiadomość). Niecierpliwi zakochani. Z drugiej strony nie sądzę, aby przejmowali się tym, gdy za moimi plecami pompowali biodrami, wczepieni w siebie, na skórzanej kanapie pokoju lekarskiego.

Ciągle sikam.

Och, Waldek zawsze zgłaszał pretensje do mojej pozycji. Właściwie zgłaszał je do wszystkiego co moje! Tyle lat tolerowałem jego zachowanie, pewny własnej niezagrożonej pozycji. Ale oto niespodziewanie asystent przewrotnie odegrał się na zwierzchniku. Odwróciłem od niego uwagę na mgnienie oka i to wystarczyło, by dokończył dzieła zniszczenia. Kropka.

Co się tyczy furiata Wysockiego... Pozostawał poza konkursem. Zazwyczaj nie wytrzymał sam ze sobą. Lubilem go, ale bez przesady. Lubilem go jako fachowca. Jego charakter nadawał się do spuszczenia prosto w ściek. Tu wykrzyknik.

Ale jakie ja zajmuję miejsce w szeregu?

Przecież to właśnie JA przywitałem całą trójkę w drzwiach domu i z uśmiechem na twarzy życzyłem im dobrej zabawy. Otóż to... Tym

jednym gestem zrównałem się z nimi i właściwie po zastanowieniu przyznaję, że zasłużyłem na pasztet, jaki z tego wyniknął.

Koniec sikania.

Cóż, węzeł gordyjski zaciska mi się na szyi.

Za ścianą kilka osób zaśmiało się gromko w pijackim unisono i oderwało mnie od rozmyślań. Wykorzystałem tę przerwę w rozrachunkach i wolną ręką potarłem czoło. Tak jak się tego spodziewałem, okazało się zmarszczone i wilgotne. A potem zorientowałem się, że pęcherz mam już pusty i od jakiegoś czasu stoję beczynnie, rozkraczony nad wilgotną muszlą. Spuściłem wodę. Nad umywalką przemyłem twarz.

Do łazienki wszedł jeden z gości, omiółł mnie nieprzytomnym wzrokiem i runął od razu w stronę muszli. Odgłosy świadczyć mogły tylko o jednym – następowało gwałtowne zmartwychwstanie zakąsek. Wsparłem się na krawędzi umywalki. Jeżeli rozregulował mu się celownik, to jutro przyjdzie mi wydłubywać z każdej fugi resztki sałatki z tuńczykiem i tego cholernego fondue, przysmaku Jacka Wysockiego. Poczułem, że opuszczają mnie siły. Tamten nieustannie rzygał. I nagle zrozumiałem, że wbrew obiegowej opinii wymioty mają w sobie jakąś paradoksalną czystość. Bezpośredni fizjologiczny akt, nad którym nikt nie potrafi zapanować. Ci wszyscy ludzie dookoła żerujący na mojej tragedii... dopiero z dwoma palcami w gardle mogliby się stać naprawdę autentyczni!

Wyszedłem i ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi. Niespodziewanie zależało mi na tym, by ta krztusząca się sokiem żołądkowym osoba miała chwilę spokoju. Każdemu z obecnych na tym raucie przydałaby się taka mała lekcja. Wypatrzyłem już parę osób, które bliskie były usłyszenia dzwonka na te zajęcia. Oddaliłem się, schodząc im z drogi. Dziewczyna, z którą przyszedł Wysocki, niska brunetka w niebieskiej sukience, na mój widok zerwała się, śmignęła obok i, z westchnieniem ulgi, zniknęła

w toalecie. Ja sam zamierzałem ponownie zadekować się w kuchni. Nim jednak przekroczyłem jej próg, przez kuchenne drzwi wytoczył się Waldek we własnej osobie, złapał mnie pod rękę i poprowadził w stronę balkonu. Nie oponowałem. Pomyślałem, że z dwojga złego rozmowę, która nieuchronnie czeka nas obu, strawię lepiej na świeżym powietrzu.

\* \* \*

Noc była chłodna, ale nie lodowata. Na niebie nie świeciła ani jedna gwiazda. Jakaś zanurzona w cichej rozmowie, para ukryta w odległym rogu patio obrzuciła nas krótkim spojrzeniem i odsunęła się na odległość, z której mogliśmy słyszeć tylko delikatny pomruk słów wypowiedzianych na granicy słyszalności. Waldek poczęstował mnie papierosem. Wziąłem go i czekałem, aż przed twarzą zapłonie mi ogienek grawerowanego zippo. Dookoła rozszedł się zapach dobrego tytoniu.

— Szkoda, że pogoda nie dopisała — zaczął neutralnie. — Zamiast kisenia w domu zorganizowalibyśmy grill...

— W tej okolicy grille nie są mile widziane. Ludzie nie tolerują dymu — odpaliłem i wskazałem na srebrny prostokąt zapalniczki. — Nadal bawi cię kupowanie takich drobiazgów?

Waldek zważył zapalniczkę w dużej owłosionej dłoni.

— To przeszło w nałóg — odrzekł i wydmuchał dym przez nos. — Doszedłem do wniosku, że z tym jest jak z seksem. Możesz pieprzyć kogoś w stodole albo w apartamencie Ritza. Czynność niby ta sama, ale atmosfera... Zupełnie inna.

Na dźwięk słowa „pieprzenie” drgnąłem.

— Rozumiesz, o co chodzi? — ciągnął niczym niezrażony. — O pozory — wyjaśnił. — Piłeś beaujolais? Syf, jakich mało. Ale zrobiło karierę. Dlaczego?

Uniosłem brwi w niemym zapytaniu. Przyszło mi to trudniej niż zwykle. Widocznie brandy zaczynała działać.

— Pozory. Tylko to się liczy — dokończył.

— Czy z moją żoną spałeś też pozornie?

Waldek uśmiechnął się niewinnie, choć dłoń z papierosem zawisła mu w połowie drogi do ust.

— Wtedy to już pozornie ona była wolna...

Zapadła niezręczna cisza.

— Nie lubisz mnie, co? — zapytał, bo w końcu musiał przyjść czas i na to pytanie.

— Jesteś gachem mojej bylejk. Takich jak ty nienawidzi się, bo to dobrze widziane.

Nic na to nie odpowiedział.

— Skąd o TY m wiesz, jeśli można spytać? — zaciekawiał się po chwili.

— Sama mi powiedziała.

— No, no. Stare nawyki. Dzielimy się wszystkim jak papużki...

— Zamknij się.

— OK, OK, przyznaję, teraz to mnie poniosło — wycofał się, podnosząc ręce w obronnym geście. — Zupełnie niepotrzebnie. Nie chciałem, żeby to tak wyszło.

— Wystarczyło chwilę poczekać — odparłem pojednawczo, i ze złością zorientowałem się, że te słowa brzmią po prostu... żałośnie.

— Edward, chłopie, wiesz, jak to jest. Ja zwalniam tylko na znaku STOP — odparł Waldek i zaśmiał się krótko.

Przez dłuższą chwilę obaj milczeliśmy.

— Po co się rozwodziłeś, skoro nadal ci na niej zależy? — spytał wreszcie.

Zastanowiłem się przez moment nad tym, co powiedział.

— Nie. To nie tak. Mnie na niej zupełnie nie zależy. Porównałbym to do... no..., do uczucia, kiedy widzisz kogoś, kto nie dba o samochód, który mu jakiś czas temu sprzedałeś. Rozumiesz mnie? Niby nie powinno cię to już obchodzić, a coś w tobie, wbrew zdrowemu rozsądkowi, buntuje się przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Nie, Waldek. Basia już mnie nie obchodzi.

— Wiesz, Edward, jak to jest. Gdyby nie ja, to ktoś inny...

Zdusiłem papierosa i wypilem resztkę brandy. Waldek cały czas przyglądał mi się uważnie. Chyba się nie gniewasz, co? Kobiety są jak koszule — zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu. Krągły, przysadzisty mężczyzna, który nagle rozmawiał ze mną tak poufale, niemal puszczał do mnie oko, a wszystko dlatego że sypialiśmy z tą samą kobietą. Rozwarte nogi Basi zamieniły się nagle w bramę, za którą biegła ścieżka naszej dalszej wspólnej wędrówki. Ja oczywiście na tym etapie dreptałem już trochę z boku i z tyłu. Waldek szedł pewnie, chełpiąc się za każdym razem, gdy znalazł jakiś nowy zakręt tej ścieżki. Widzisz, Edward, nie doceniałeś jej, tutaj nigdy nie zajrzałeś, tutaj przeszedłeś zbyt szybko, nie dbałeś o to ciemne wilgotne miejsce, jak ono się nazywa?

— Ja swoje zmieniam na czyste — wypaliłem. — W czyichś używanych gaciach też byś chodził?

Waldek zaniemówił, stał z półotwartymi ustami.

— Idę po dolewkę — rzuciłem, unosząc kieliszek.

Wyszedłem z balkonu. Dopiero teraz zauważyłem, że towarzysząca nam para już od dawna ze sobą nie rozmawia. W półmroku nie widziałem ich oczu, ale czułem na sobie ich wzrok. Ciemne oczodoły dwojga ciekawskich ssały; otwory gębowe pijawek.

\* \* \*

Wysocki mamrotał, ledwo utrzymując się na pająkowatych nogach, a dwóch młodych mężczyzn, w których rozpoznałem techników laboratoryjnych z kliniki, trzymało go pod pachy. Jednocześnie delikatnie chronili go przed upadkiem oraz stanowczo zabraniali wejść na schody prowadzące na strych.

— Zalany w sztok. Chce tam wleźć — usłyszałem krótkie wyjaśnienie, gdy podszedłem do tej trójki.

Pijany wzrok Wysockiego zogniskował się przez chwilę w punkcie znajdującym się nieopodal mojego lewego ucha i Jacek wypalił:

— One lubią ciepło...

Zionęło od niego każdym rodzajem alkoholu, jaki znajdował się w barku.

— Kto? Kto lubi ciepło?

— Tak, Sztywny Jasiu. No powiedz, kto je lubi? — zarechotał jeden z mężczyzn i lekko potrząsnął Jackiem. Spojrzałem na niego chłodno.

— Panowie, koniec kabaretu. Posadźcie go na schodach i wracajcie na imprezę.

— Akurat ty mi tu będziesz, dziadu... — zaperzył się jeden z mężczyzn, ale w tym samym momencie kumpel wyszeptał mu coś do ucha. Po chwili obaj odeszli w stronę kuchni, rzucając mi przez ramię niezyczliwe spojrzenia.

Wysocki, pozbawiony podparcia, opadł ciężko na schodki i siedział teraz ze spuszczoną głową. Dolna warga opadła mu i wywinęła się.

— Hej. Kto lubi ciepło? — spytałem ponownie.

Unióśł głowę. Chwiała mu się na boki jak jednej z tych popularnych maskotek wożonych na tylnych półkach samochodów.

— Osy — odpowiedział. — Osy sobie tam syczą — zapaplał bez sensu i roześmiał się sam z siebie.

— Osy?

— Sosy... — zaczął i wytrzeszczył oczy, jakby dla podkreślenia zmagania, jakie toczył z własnym sztywnym językiem. — Sss...kubią ciepło.

Przykucnąłem. Zerknął na mnie kątem oka, bo najwyraźniej patrzenie wprost przychodziło mu z trudem. Chwiał się na granicy przytomności.

— Ty, naprawdę przejmujesz się tymi robalami?

— Czczczyym?

— No. No, tymi osami, o których rozmawiamy.

Splótł palce na potylicy i schował głowę między kolana. Milczał dłuższą chwilę.

— Przypominają ludzi — powiedział wreszcie zaskakująco trzeźwym głosem. — Budują te swoje gniazda razem, razem ich pilnują, kiedy jest za gorąco, wachlują je wszystkie tymi ciemnymi skrzydełkami. O, co prawda czasem przekazują jakiegoś słodkiego czerwia wyrwanego prosto z plastra, ale, chwila moment, czy i my tego nie robimy...?

Teraz i ja usiadłem. Słuchałem. Pomyślałem, że jeżeli okaże mu trochę życzliwości, to może łatwiej da się namówić na zaprowadzenie do sypialni. Potrzebował odpoczynku.

— Żądają, gdy się im zagrozi, ale także gdy są złe. Kradną miód pszczołom i zupełnie się tym nie przejmują.

— Nigdy tak o tym nie myślałem...

— Po co? Po co się przejmować. Wystarczy, że pomożesz przy budowie, powachlujesz skrzydełkami, a od czasu do czasu...

Objąłem go ramieniem i delikatnie pociągnąłem w górę, aby wstał.

— Chodź. Zaprowadzę cię gdzieś, gdzie sobie trochę odpoczniesz.

Wyrwał mi się z furią i wbił we mnie dziki wzrok. Pot perlił mu się na czole, spływał po skroniach.

— Żyjemy w potwornych czasach, człowieku — przemówił zimnym głosem, w którym walczyły ze sobą pewność i przerażenie. — Ludzie wpadają na siebie w tym burdelu, kurczowo łapią jeden drugiego, a potem za nic nie potrafią przypomnieć sobie powodów, dla których są razem. Zakładają koalicje przeciwko innym ludziom!

Teraz już niemal krzyczał, jego głos przebijał ponad huk stereo, ponad jednostajne pulsowanie muzyki elektronicznej. Podmuchi powietrza był niemal wyczuwalny, tak ciężko pracowały membrany wież. Ciężkie historyczne sample. Podłoga drżała. Wysocki wyszeptał coś, czego nie dosłyszałem. Poprosiłem go, żeby powtórzył.

— Techno! Nienawidzę tego fabrycznego gówna! — zaskomlił i minął mnie, odsuwając na bok. — Robi z człowieka jebaną maszynę. Robota do tańczenia i do pierdolenia!

Nie zdążyłem mu odpowiedzieć, zniknął. Mimo wypitego alkoholu trzymał się nad wyraz prosto, w tańczącym tłumie z całych sił rozpychał łokciami.

Przypadkowo wybrano mnie na świadka jego osobistego manifestu. Człowiek, który stara się za wszelką cenę utrzymać głowę nad poziomem parującej ludzkiej magmy. Na schodkach wilgotniał odcisk jego pośladków. Szybko usiadłem na tym miejscu, ponieważ zawładnęło mną nagłe przekonanie, że dzięki nieznannej zdolności zen Wysocki odkrył punkt, w którym wszystkie problemy stają się jasne i klarowne. Przecięcie energetycznych szlaków, umiejętność, którą obdarzył go świeżo przyjęty buddyzm. Dlaczego nie miałyby te szlaki biec akurat przez wejście na mój strych?

Ale wtedy przydryfowała Baśka i wiedziałem już, że wszystko to nieprawda.



Zatoczyła się i usiadła, uderzając całym swoim ciałem w mój bok. Drink chlusnął mi na koszulę i spodnie. Basia zachichotała i wskazała na moje krocze.

— Kropelka na wacusiu? Chcesz, żeby twoja była żoneczka zlizwała tę odrobinę?

— Dałabyś sobie wreszcie spokój.

— No co?! — warknęła — Myślisz, że nigdy przedtem nie ssałam palanta? Umiem to robić!

Odsunąłem się, na tyle jednak delikatnie, by nie wybuchła niepotrzebną złością. Dłońmi zakryłem plamę na spodniach.

— Jacek strasznie się przejął tym, że zatłukłem osę — zmieniłem temat.

— Niby że co? — zdziwiła się Basia nieprzytomnie. Siorbnęła drinka i oblizwała usta. — A! Ach, to. Daj sobie spokój... Ten facet to beznadziejny przypadek.

— Tak sądzisz?

— Ja to wiem. Chodziłam z nim do liceum. Podobno uwielbiał się spuszczać sobie samemu do ust.

— Jezus Maria, Barbara...

— Na poważnie. Stawał na rękach, opierał się o ścianę i walił do...

— Idę go poszukać.

Basia rechotała.

— Idź, idź. Podaj mu pomocną dłoń.

— Suka.

Splunęła mi pod nogi i ostentacyjnie pociągnęła z trzymanej w rękach szklaneczki.

\* \* \*

Wysocki przepadł. Nie martwiło mnie to zbyt. Takie czasowe zagubienia wśród gości to rzecz raczej normalna, wręcz oczekiwana, jeżeli weźmie się pod uwagę rozmiary stada, które szturmowało moje cztery ściany. Prędzej czy później odnajdzie się w rozbawionym tłumie, pijany do granic przytomności – wystarczy odrobina cierpliwości, co do tego nie miałem złudzeń. Znałem go zbyt dobrze.

Wyszedłem na balkon i ze względu na zbliżającą się ciszę nocną zagoniłem stamtąd paru głośnych balangowiczów do wnętrza mieszkania. Potem oparty o barierkę balustrady przez przeszklone drzwi przyglądałem się, co wyprawia się w moim domu, dziwnie na to obojętny. Powiedziałem – w MOIM domu? Niepokojące uczucie. Nie, to już nie był mój dom, a przynajmniej nie na czas trwania tego zasranego party. Nikt tutaj nie przejmował się, czyj to dom, najważniejsze, że nie należał do kogokolwiek z nich.

Goście cisnęli się po kątach, gadali o wiszących na ścianach reprodukcjach, dotykali każdej rzeczy, którą tylko można było podnieść lub poruszyć. Każdy drobiazg przechodził przez ręce tej pijackiej czeredy. Wieloręki, wielobarwny jęczor przesuwiał się po każdym centymetrze kwadratowym mieszkania w poszukiwaniu miejsca, śladu, po którym można się zorientować gdzie... boli? Uśmiechnąłem się do siebie. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, dlaczego wszyscy tak tłumnie mnie odwiedzili. Szukają przyczyny bólu. Bo przecież bezsprzecznie – boli mnie, skoro zostałem sam. To armia owadów: skanują, głowy blisko siebie, przekazują informację. Zauważono drobiny niestartego kurzu, brudne koszule, zapomniane garnki w zlewie. Kurz, koszule, garnki. W rękę ujmę kłęb kurzu, na głowę wcisnę garnek, ramiona okryję przepoconą koszulą.

Król Samotność i jego insygnia. Ha, to dobre.

Parę osób popatrywało na mnie przez okno z zaciekawieniem. Widocznie śmiałem się nie tylko w myślach. Oto co mi pozostało. Wsłuchiwanie się we własne myśli. A teraz jeszcze ten Jacek. I osa. Osy. O co mu właściwie chodzi? „Przypominają ludzi”. Pijackie brednie... ale jeżeli człowiek popatrzy na to z drugiej strony... Czy osy czułyby się nobilitowane, wiedząc, jak bardzo są do nas podobne, czy też może to my powinniśmy się zastanowić, ile pozostało w nas miękkiego, ciepłego białka, a ile nieustępliwej chityny wlało się po kryjomu. Szczęki i żwaczki, przegryzamy się przez życie. Święta prawda. A te twarze, ciekawość za zaparowaną szybą? Owadzie puste spojrzenia. Szlag człowieka trafia! Trzeba się było schlać na umór i pozostawić to całe towarzystwo samemu sobie.

Nie, to nie tak! To nie my mamy powód do zmartwień. To osy coraz bardziej upodabniają się do nas. Przykro mi, drogie brzęczydła, ale jeżeli tak dalej pójdzie, grozi wam błyskawiczne i całkowite wyginięcie. Zeżrecie się nawzajem. Ba, tym, które będą żarły najszybciej, wystawicie pomniki...

Basia także mnie dzisiaj zawiodła. Zawsze była wulgarna... Uchodziła za zmysłową, ale w rzeczywistości była właśnie wulgarna. Nie bójmy się tego słowa, mimo że stanowi broń wszelkiego rodzaju dewotek. Nigdy nie liczyła się ze słowami. Jak ona to ujęła? Wyszę ci palanta? Słyszałem już wiele określeń szeregowego fiuta, ale widocznie znam ich zbyt mało.

Na balkon wyszedł jeden z tamtych dwóch laborantów, puścił do mnie oko i odpalił brązowego papierosa. Bez filtra. Po chwili dookoła rozszedł się gorzki, ziemisty zapach marihuany. Powinienem mu chyba powiedzieć, co myślę o narkotykach...

Później.

Chłopak zaciągał się głęboko. Nie wypuszczał powietrza, oddychał tylko powoli niczym śmiertelnie zmęczony pływak. Noc, wielki ocean, a on

powolutku poddawał się jego falom. Wdech – nadchodzi czarny przypływ, wydech – zimny piasek pod stopami staje się coraz bardziej odległy, wszystko jest odległe. Wiedzeni zapachem goście wysypali się ostrożnie na tę noc, a każdy z nich z poufałym uśmiechem współspiskowca, chociaż na chwilę zanurzał się w tej ciepłej, słonej, ciemnej brei, której smak osiadł na podawanym z ust do ust ogryzku skręta. Walka z nimi nie miałaby sensu. Przybywały nowe zastępy.

\* \* \*

To Waldek w końcu wszczął alarm, zauważywszy przedłużającą się nieobecność Wysockiego na parkiecie. Dawno już minęła północ, a Jacek zniknął przed kilkoma godzinami. Waldek przyczłapał do mnie do kuchni razem z półprzytomną Basią uwieszoną na ramieniu i powiedział: „Myślę, że ktoś powinien go poszukać”. Jakie to do niego podobne! Waldemar – władca ktosiów. Ze smutkiem zorientowałem się, że w domu zabrakło brandy.

„Jeżeli nie ja, to ktoś inny”.

Nie miałem zamiaru dać mu tej satysfakcji i to, co powiedział, zbyłem bez słowa. Głowę zaprzętały mi inne zmartwienia niż pijany kolega z pracy. Powietrze przesycił tłusty zapach zielska. W duchu liczyłem na to, że sąsiedzi okażą wyrozumiałość i nie powiadomią policji. Moi sąsiedzi byli zupełnie nieobliczalni. Jak już mówiłem, w sąsiedztwie za wroga numer jeden uznano wszelkie drażniące zapachy. Dym z grilla znajdował się gdzieś na końcu listy. Za to zielsko...

Mimo obojętności, z jaką się spotkał, Waldek tkwił nadal tuż obok z wyczekującą miną.

— A może ty go poszukasz? — zaproponowałem na odczepnego, myszkując w zamrażalniku.

— Ja? — zdziwił się teatralnie i zrozumiałem, że odpowiedź na to pytanie miał już zawczasu przygotowaną. — Ja teraz opiekuję się Barbarą.

— To duża dziewczynka. Poradzi sobie.

— Nie zostawię jej samej.

— Czy ty czasem nie przytargałeś jej tutaj w charakterze wymówki doskonałej?

Baśka czknęła głośno.

— Przykro mi, że tak uważasz — odparł Waldek, gładząc ją po policzku.

— W tej chwili na pewno nawet w części nie tak przykro jak mi — zauważyłem kwaśno. — A Wysocki równie dobrze mógł zabrać swoją chudą dupę i opuścić nas bez pożegnania. Nie był dzisiaj w najlepszym nastroju.

Waldek pokręcił głową.

— Jego płaszcz wisi nadal w przedpokoju.

— No to wyszedł bez płaszcza, wielkie rzeczy. Jutro zadzwonię, żeby wpadł i go odebrał.

— Buty też tam zostawił...

Zamknąłem lodówkę i przyjrzałem się tej parce z niesmakiem. Trafił swój na swego.

— Czemu tak nagle interesujesz się Jackiem, co? — spytałem z przekąsem. — Nie wystarcza ci jedno zalane cielsko?

Waldek puścił zaczepkę mimo uszu.

— Basia mówiła, że był dzisiaj jakiś nieswój. Cholera, sam wiesz, jaki on jest! Wytnie jeszcze jakiś numer i zepsuje całą zabawę.

— I chodzi ci właśnie o to? O zabawę?

— Tak, chodzi mi właśnie o to! O zabawę!

Bardzo podoba ci się ten taniec na cudzej stypie, skurwysynu.

— Posłuchaj... — Waldek uwolnił się z uścisku Basi, oparł ją o ścianę, podszedł i wyszeptał z głową tuż przy mojej głowie — mało ci wstydu? Żona puściła cię w trąbę, chcesz następnego skandalu? We własnym domu?

Błyskawicznie złapałem go za kark i z całej siły przycisnąłem usta do jego ucha.

— Odpierdol się — warknąłem. Czułem delikatny meszek na jego skórze. Waldek wsparł się na mojej piersi i postępując, wił w próbie wyswobodzenia. — Odpierdol się w te pędy i zajmij własnymi sprawami, bo załatwię cię tak, że dymanie mojej żony będzie dla ciebie niedosięglym luksusem.

Na koniec ugryzłem go z całej siły w płatek ucha. Wyrwał mi się z cichym okrzykiem.

Oboje, on i Basia, uciekli.

\* \* \*

Trochę to trwało, zanim na dobre ochłonałem. Potrzebowałem kilku minut, by odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego zareagowałem na pomówienia Waldka z taką furją. W tym co mi wytknął, było wiele racji. Nakreślił sytuację, w której się znalazłem, precyzyjnie i celnie. Tego się nie spodziewałem po tym kochającym gadzety drugorzędnym kochasiu...

Srał go pies.

Zły na siebie, chcąc nie chcąc, ruszyłem na poszukiwania Wysockiego.

Pomimo budzącej się wraz z tempem zużycia alkoholu nadziei na szybki koniec balangowej męki, o trzeciej w nocy pozostała jeszcze pokaźna grupa imprezowiczów. Syci i przepici, porozłazili się po pokojach po dwie, trzy osoby i oddawali rozmowom, które, jak każda dyskusja u schyłku imprezy czterdziestolatków, dotyczyły prawie wyłącznie zakamuflowanego w ten lub inny sposób tematu seksu. Nie żeby ktoś tego popróbowwał, towarzystwo

miało za bardzo w czubie. Rozwaleni na kanapach, łózkach i miękkich dywanach popijali drobnymi łyżkami ciepławe napoje, a z ich oczu wyzierało odrętwienie, które jawnie kontrastowało z gorącymi przechwałkami z buduaru. Zabiegani panowie i panie domu bajdurzyli o tym, co też zrobili lub zrobią – ich rojenia potrwają do wschodu słońca, wyparują o poranku razem z kacem.

Omijałem rozciągnięte na podłodze damulki w średnim wieku, które chichotały jak licealistki, gdy dopiero co poznani łysiejący faceci, z plamami wypieków na krągłych twarzach, zagiętymi w L łyżeczkami do koktajli unosili im rąbki sukienek. Wymijałem kołyszących się w takt shit-popowych przebojów podtatusiałych, brzuchatych biznesmenów, którzy wpychali swoje biodra w biodra na wpół śpiących mamusiek-singielek. Naprawdę wolałbym, aby odbywały się tu teraz regularne orgietki. Przynajmniej daliby wreszcie dowód na to, że utoczono ich z krwi i kości. Wysocki, gdziekolwiek się kryjesz, wiedz jedno: nareszcie rozumiem, o co chodziło ci tam na schodach.

Po dwóch godzinach poszukiwań zatoczyłem pełne koło, obszedłem wszystkie pokoje, piwnicę i garaż. Próba odnalezienia Jacka spełzała na niczym. Zameldowałem kuchennym sprzętom o niepowodzeniu misji.

Tymczasem na zewnątrz świtało. Prawie wszyscy już posnęli, tylko w pokoju gościnnym pozostała niewielka grupka niedobitków, każdy przyklejony do butelki z likierem. Muzyka grała cicho.

Oczy kleiły mi się ze zmęczenia, a że rola gospodarza z założenia wyklucza drzemkę, potrzebowałem zajęcia, które wypełniłoby mi czas. Kuchenne porządki pasowały jak ulał. Zabrałem się więc do mycia sterty brudnych szklanek i kieliszków.

Układałem właśnie na suszarce kolejny szpaler naczyń, kiedy dopadła mnie Basia, złapała za pasek od spodni i pociągnęła.

— Chodź ze mną na strych — wyszeptała. Poczułem na ustach jej gorący, suchy oddech.

— Baśka — zacząłem zrezygnowany. — Myślałem, że sobie to wyjaśniliśmy...

— Zamknij się! — krzyknęła i natychmiast zakryła usta ręką.  
— Zamknij się, ty cholerny nadęty bubku! Po prostu chodź ze mną!

Jej oczy rozbiegane, czujne i dziwnie jasne, ukrywały świeże łzy i strach. Zrobiło mi się jej szkoda. Na moment.

— Nie — odpowiedziałem.

Złapała mnie za nadgarstek uściskiem stalowych kleszczy.

— Ty durniu — stęknęła i z wysiłkiem pociągnęła za sobą.

Uwolniłem się stanowczo, a wytracona z równowagi Basia poleciała do tyłu, lądując na pośladkach. Szybko podniosłem ją, bo zorientowałem się, że zbiera się do zrobienia jakiejś większej sceny.

— Jesteś zupełnie zalana, złotko — wysyczałem ostrzegawczo. — Co cię znowu naszło?

Po jej policzkach płynęły łzy.

— Ty durniu... Znaleźliśmy go...

— Kogo znowu?

— Jacka! Kogo innego?! Ja i Waldek znaleźliśmy go na strychu...

— Na strychu? Co robiliście na strychu?

— O Boże. Po co ty w ogóle pytasz. Przecież wiesz — załkała.

Z premedytacją czekałem, co mi odpowie. Pod nosem lśniły jej wilgotne smarki. Ryczała już na cały głos:

— Chcieliśmy się trochę... rozerwać.

Pokiwałem głową.

— Waldi powiedział: oprzyj się o to pudło, mała, i ja, ja się oparłam i pudło lekko się przesunęło, i on już tam siedział — wyrzuciła z siebie



jednym tchem.

— Nakrył was z opuszczonymi majtkami? — zakpiłem.

— Nie! — zaprzeczyła gwałtownie. — Nie, ty nic nie rozumiesz. On tam siedział! Taki NIERUCHOMY! Spuchnięty i siny...

Ogarnęły mnie złe przeczucia. Teraz to ja złapałem ją za ramię. Z całej siły, aż skuliła się z bólu. Zależało mi, by choć trochę wytrzeźwiała.

— Idziemy. Do Waldka. I bez scen. Załatwimy to po cichu.

Pozornie spokojni, minęliśmy niewielką grupkę zebraną wokół stolika z alkoholami.

Dopiero na widok uchylonych drzwi na strych Basia nie dała się już dalej prowadzić. Walka z nią nie miała sensu. Czułem, że w ramiona wkrada mi się lodowate odrętwienie. Puściłem rękę mojej byłej żony, tak jak puszcza się przeraźliwie zimną poręcz; palce, zakrzywione na kształt szponów, na moment odmówiły posłuszeństwa.

— Idziemy — nakazałem i lekko pchnąłem Basię.

— Nigdy! Nie zmusisz mnie, żebym tam weszła jeszcze raz!

— Słuchaj, idiotko. Ten strych obejmuje całe górne piętro domu. Nie będę sam szukał na nim twojego gacha. To po pierwsze. Po drugie, jeżeli mi zaraz nie pomożesz, to mam nadzieję, zdajesz sobie sprawę, że to co spotkało Wysockiego, być może za chwilę spotka Waldusia.

Barbara zmierzyła mnie przerażonym wzrokiem. Przyparłem ją do muru.

— Idziesz?! — spytałem twardo i postawiłem nogę na pierwszym schodku.

Kiwnęła niezdecydowanie głową i stanęła obok. Zaskoczony, zdałem sobie sprawę, że podała mi dłoń.

W szarym świetle świtu strych przypominał przejście do innego wymiaru. Powietrze miało suchy, drażniący zapach. Z oddali dochodziły odgłosy dogorywającej imprezy – przytłumiony, miękki szmer i stukot –

niczym tchnienie wielkiej maszyny, której podzespoły wygasły jeden po drugim, wytrwale, gdzieś za ścianą. Rozejrzałem się. W jednym z mrocznych kątów paliła się mleczna żarówka. Szkło upstrzone odchodami much rozsiewało dookoła nieregularne, tańczące cienie.

— To tam?

Basia mrugnęła, tak jak mruga człowiek dopiero co przebudzony. Złapałem ją za podbródek i skierowałem głowę w stronę słabego światła.

— To tam jest... — powoli zadałem pytanie. — Tam są... Waldek i... i on?

— Uch, chyba tak. Nie bardzo widziałam... Uciekałam trochę na oślep i...

— Dobra. Zostań tutaj. Sam trafię.

Ruszyłem. Goły beton mroził mi podeszwy stóp w cienkich kapciach. W połowie drogi do miarowych głuchych kroków dołączył drugi dźwięk – ostry, wyraźny odgłos chrupania, podobny do stąpania po szklanym gruzie. Dotarłem na miejsce i zorientowałem się, co było jego źródłem. Zakurzona podłoga zasłana była drobnymi owadziemi kadłubkami.

Waldek stał dokładnie pod żarówką. Patrzył na mnie. Mięśnie w jego twarzy zdawały się martwe. Na stojącym obok poprzecieranym skórzanym fotelu zaznaczały się jeszcze cztery nieregularne wgłębienia – jego tyłka i kolana Baśki.

Zaszurałem.

— Tutaj jest tego więcej... — wyszeptał zachrypniętym głosem w odpowiedzi na moje niezadane pytanie.

— Gdzie jest Wysocki?

— Nie dziwi cię, skąd tutaj tyle wielonogiego paskudztwa?

— Wysocki — przypomniałem stanowczo. Waldek drgnął. Apatia, którą mnie powitał, ustąpiła miejsca bezgranicznemu zmęczeniu. Zachwiał się, cofnął i oparł o mebel.

— Ja nie dam rady... — sapnął i ruszył w stronę wyjścia. Próbowałem stanąć mu na drodze. Bez skutku.

— Nic się nie bój — rzucił z oddali. — Zdaje się, że dopiął swego. Zginęły wszystkie.

Ostrożnie, stopa za stopą, podszedłem do wskazanego miejsca.

Zza kartonowego pudła z rozmazanym atramentowym napisem najpierw wyłoniła się noga Jacka. Wyraźnie widziałem pozbawioną buta stopę w pstrokatej skarpetce i podciągniętą nogawkę spodni; pomiędzy nimi blade podudzie, niczym wtłoczony do formy kawał odlewu z plastiku. Noga nie należała do żywej osoby – to uderzyło mnie najsilniej. Widziałem to w szklistym odbłasku skóry, w ułożeniu delikatnych kręconych włosów rozsianych na jej powierzchni. Ta noga była nieżywa. Potwornie gruba i nieżywa. Ale skoro ona umarła, to musiało umrzeć także udo, a jeśli udo, to i biodra, brzuch, klatka piersiowa, a w niej... serce, a z nim... Jacek. Uderzyłem otwartą dłońią w zbrązowiały karton. Przeleciał dobre kilka metrów, zanim zarył w rumowisko podobnych opakowań.

Wysocki leżał rozciągnięty na podłodze z jedną nogą podkurczoną pod siebie, drugą za to nienaturalnie wyprostowaną. Miał ręce skrzyżowane i przyciśnięte do piersi w pozie kogoś, kto otrzymał niespodziewane uderzenie w brzuch. Tuż obok leżała niebieska puszka, w której rozpoznałem preparat owadobójczy. Turlała się, leniwie popychana przez delikatny przeciąg.

Ciało Wysockiego nabrzmiało przerażająco. Usta, spierzchnięte i krwistoczerwone, wyduły się niczym dwa balony i poszarzała twarz przybrała tym samym karykaturalny grymas silikonowej seksbomby. Niewidzący wzrok miał wbity w jakiś punkt na ścianie. Obróciłem się w tamtym kierunku. W miejscu gdzie odpadł źle położony tynk, pomiędzy desek rusztowania wyrastał nieregularny twór wielkości piłki do

koszykówki. Złapałem za kabel, na którym wisiała żarówka, i skierowałem tam strumień światła – wprost na nieregularną papierową powierzchnię... I już wiedziałem, co takiego znalazł Wysocki. Podniosłem puszkę ze środkiem owadobójczym i stuknąłem nią w gniazdo. Ze środka z cichym szelestem wysypały się na ziemię martwe osy. Poczulem ostry odór pestycydu, którym przesiąkły ich ciała. Wykręciłem żarówkę, trzymając ją przez rękaw koszuli.

Przy wyjściu spotkałem Basię i Waldka. Czekali na mnie. Nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem.

— Idźcie stąd — powiedziałem tylko i zamknąłem drzwi.

Sam na sam. Z trupem. Na strychu.

\* \* \*

W wysokim okienku wykuszu: świt. Kolejny dzień. Dla mnie; Wysockiego niewiele już to przecież obchodzi. Muzyka ucichła jakiś czas temu. To Waldek i moja ex odwalili już pewnie czarną robotę i złożyli wszystkim relację z tragedii, która wydarzyła się w czasie, gdy impreza trwała w najlepsze. Naprawdę pikantna historia. Mam nadzieję, że nikt nie pofatyguje się do mnie... do nas, tu na poddasze. Bóg mi świadkiem, zrzuć każdego ciekawskiego ze schodów, niech no tylko zbliży się do drzwi.

Nigdy więcej nie chcę patrzeć na tych ludzi. Słuchać tych wszystkich „Pamiętaj chłopie, tak trzymaj!”, „Będzie dobrze”, „Nic się nie martw”. Wyskakuje toto zawsze gładko z pijanych ust jak chorągiewka z napisem BANG! z rewolweru zabawki. Okropność.

Opadłem na miękki skórzany fotel niczym w grudę skórzastego budyniu.

Wysocki nie żyje.

Nie żyje.

Żadnych innych myśli oprócz tej właśnie... A dookoła cała graciarnia, wszystkie stare meble i sprzęty powracały do mnie we frenetycznym tańcu, gdy tylko przymykałem powieki.

Nie żyje nie żyje nie żyje martwy martwy martwy trup trup trup.

Ach, jaki zapewne jestem wyczekiwany tam na dole. Czekają na mnie, czekają, co też zrobię, czy opowiem im wszystko jeszcze raz ze szczegółami, czy załamie się. Co też zrobię w takiej sytuacji!

Niedoczekanie.

Ze sterty gratów wygrzebałem odrapane krzesło, potem złapałem Wysockiego za poły marynarki, przeciągnąłem i posadziłem naprzeciwko siebie. Głowa bezwładnie opadała mu do tyłu, wodniste oczy uniosły się ku górze. Przypominał dziecko – nieruchome i zaaferowane, śledzące z uwagą coś wysoko na niebie.

Przyjrzałem mu się z podziwem. Skąd wzięła się w tobie ta przenikliwość, skąd twoja wiedza? Teraz i ja wiem to, co ty wiedziałeś – we własnym pokoju gościnnym karmiłem chmarę pasożytów. Ba, we własnym pokoju. Te pluskwy od dawna przeżerały wszystko wokół. Pasożyty, których skrzętnie wyliczoną przychylność ceniłem ponad wszystko inne.

Dmuchnął przeciąg i pusty pojemnik ze środkiem owadobójczym przyturlał się do moich stóp, aluminiowe opakowanie niewiele większe od damskiego dezodorantu. W porównaniu do tej drobiny gniazdo os miało monstrualne wręcz rozmiary, uczepiona ściany bryła nawet w tej chwili kipiała cicho, złowieszczo. W odpowiedzi na chmurę pestycydu wyroiła wściekłą, gęstą żądłami chmurę. Biedny Jacek przeliczył się z siłą rażenia, kiedy ruszał do ataku, zbyt pijany, aby kolejne ukąszenia zrobiły na nim jakiegokolwiek wrażenie. Czy zdawał sobie w ogóle sprawę, co ryzykuje?

Potrząsnąłem puszką przy uchu. Dlaczego nie produkują tych środków w większych pojemnikach? Przydałby mi się taki w rozmiarze XXL,

pomyślałem. Mam w mieszkaniu całą armię insektów, co to łądząco przypominają zwykłych ludzi. Z ochotą wydusiłbym wszystkie.

Przeciąg dmuchnął ponownie, o wiele silniej. Na podłodze owadzie kadłubki poruszyły się jednocześnie, wszystkie w jedną stronę, jak namagnesowane. Czarna plama, którą tworzyły, zaszemrała. Od podłogi powiało betonowym chłodem. Podciągnąłem nogi na fotel, po części aby uciec przed zimnem, ale też kierowany obawą, że osy nie do końca pożegnały się z życiem. Nawet martwe, niewielkie ciała promieniowały mściwością. Ze skrzyżowanymi nogami obserwowałem plamę – poruszyła się raz jeszcze, tym razem w przeciwną stronę. I po raz kolejny w samym jej środku przez mgnienie oka zawirowała niewielka spirala.

A potem przeciąg ustał. Nie ustał natomiast ruch.

Wszystkie, martwe przecież, owady poruszały się, drżały. W powolnym tańcu, który przypominał powtarzaną bez końca figurę tai-chi, cieniutkie skrzydełka unosiły się i opadały sennie, na tyle jednak szybko, że refleksy światła na ich błoniastej powierzchni zamieniły całą tę matową masę w rozmigotany kobierzec. Nie wierzyłem własnym oczom. Czyżby trucizna okazała się za słaba? Jeżeli tak, to przysłała pora na ucieczkę, zanim podzielę los Wysockiego Tyle tylko że... takie nagłe zmartwychwstanie... Ostrożnie pochyliłem się nad owadzi cmentarzyskiem. Ani jeden odwłok nie pulsował, ani jedno odnóże nie starało się dźwignąć chitynowego pancerza z podłogi. Martwe. Bez dwóch zdań. Ale nawet nieżywe, nadal wytrwale łowiły światło skrzydełkami, nie przerywały ich ślimaczej pracy. I gdy zafascynowany pomyślałem, że nikt jeszcze na całym świecie nie stał się świadkiem podobnego fenomenu, osy przesłały mi wiadomość. Prosty, lecz wymowny obrazek ułożony z własnych ciał. Identyfikacyjny z piktogramem ostrzeżenia umieszczonym na pojemniku z trucizną.

W końcu umarły naprawdę.

\* \* \*

Pożegnałem się ze strychem i z ciężkim sercem zszedłem do mieszkania. Przechodząc przez hall, dostrzegłem tamtych dwoje. Ona płakała, leżąc na narożniku, twarz ukryła w poduszkach. On klęczał tuż obok, odwrócony do mnie plecami. Rozglądał się rozpaczliwie, jakby szukał drogi ucieczki. Ukradkiem wymknąłem się na balkon i usiadłem na zimnych płytkach. Spędziłem tak dobre półtorej godziny. Dopiero głuchy łoskot wyrwał mnie z zadumy.

Łoskot powtórzył się. Dochodził z łazienki.

W wannie odkryłem jednego z biznesmenów podrywaczy. Spał jak kamień, Ktoś go rozebrał, a ubranie rozwiesił na sznurach od bielizny. Błede pulchne ciało błyszczało w mroku. Podłogę pokrywała cienka warstwa wymiotów.

Już w salonie nalałem sobie do szklanki zimnej wody. Na środku stolika z alkoholami, na odwróconej do góry dnem wazie po ponczu ze zdziwieniem zauważyłem feralne gniazdo os. Zastanowiłem się, wylałem wodę wprost na dywan i zastąpiłem ciepłą wódką z barku. Ktoś jednak zebrał się na odwagę, zakradł na górę i w przypiływie czarnego humoru zniósł gniazdo do salonu. Niewprawna dłoń pomidorowym dipem namalowała na nim oczy i usta. Pamiętałem wciąż twarz Wysockiego, nosiła ten sam wyraz sztucznej, wymuszonej szczęśliwości, którą nieświadomie przypisujemy wszystkim zmarłym.

Z gniazda powoli wylazła ocalała jakimś cudem osa.

Patrzyłem, jak topi się w kałuży rozlanego owocowego alkoholu. Nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia – pomyślałem tylko, że najwyższy czas posprzątać wszechogarniający bałagan. Podniosłem z podłogi cztery tomy encyklopedii, które ktoś wyjątkowo zaradny ułożył obok sofy

w charakterze podstawki pod piwo, i miskę z orzeszkami ziemnymi. Ustawiłem je z powrotem na półce. W pokoju obok Basia załkała głośno.

Pod odpowiednią literą odszukałem w encyklopedii takie oto hasło:

„Owady. Najliczniejsza grupa zwierząt. Szacunkowa liczba gatunków owadów wynosi około 1 miliona. Zajmują wszystkie środowiska lądowe, wtórnie przystosowały się też do środowiska wodnego. Owady mają olbrzymie znaczenie dla ekosystemów, są wśród nich też szkodniki (z ludzkiego punktu widzenia) i organizmy pasożytnicze. Dużą grupę stanowią owady przenoszące choroby pasożytnicze, bakteryjne i wirusowe”.

Wszystko się zgadza. Z ludzkiego punktu widzenia...

Odłożyłem tomiszczą na półkę i powędrowałem do kuchni. Zamknąłem za sobą drzwi.

Odkręciłem kurki z gazem, wziąłem elektryczną zapalniczkę.

Co za różnica, czy budujemy nasze schronienia z cegły, czy z drewnianego moszczu i śliny? Czym tu się szczycić? Że prowadzimy samochód, że latamy samolotami?

Pozbawieni tego, jesteśmy tylko pełzającą gromadą ponurych szczękożujów... Potrzeba tu generalnych porządków. Wysocki dobrze wiedział, dlaczego nie powinienem zabijać tamtej osy – raz zadana śmierć pobudza apetyt na kolejne.

\* \* \*

Według encyklopedii – w ujęciu Durkheima – samobójstwa są wynikiem dezintegracji życia społecznego i występują częściej w zbiorowościach, w których istnieją słabsze więzi społeczne.

Według tej samej encyklopedii – dezynsekcja to tępienie szkodliwych owadów ze względów sanitarnych i gospodarczych. W szerszym znaczeniu



niszczenie owadów w ogóle.

\* \* \*

Ciekawe, co ten cały Durkheim powiedziałby na to?  
Pstryk.

\* \* \*

Trafiłem w dziesiątkę.

## Wiele lat, wiele przyszłości temu

Starmach budzi się, otwiera oczy. Światło dnia prawie zgasło, tylko resztki blasku uparcie drżą – kwarcowy miał zamienia wszystko dookoła w obraz ze starej gruboziarnistej fotografii. Każda rzecz oszalała i wylewa się poza kontury. Świat przypomina widziane okiem kamery ujęcie z wyścigu samochodowego: rozmazane smugi i cienie. Nieustanny ruch.

W oknie sypialni klosz lampy udaje księżyc w wiecznej pełni.

Starmach budzi się, otwiera oczy po raz drugi.

Otwiera oczy po raz trzeci.

I czwarty.

Wreszcie powieki nie zsuwają się już z przekrwionych gałek. Utocono je tego wieczoru z granitu albo piaskowca – tak szorstkie wydają się, gdy mruga. Tak ciężkie.

Wykrzykuje imię, po prostu pierwsze imię, które przychodzi mu do głowy, choć wie, że jest sam. W mieszkaniu dudni pustka.

Później, pochylony nad wczorajszym tatarem, nie potrafi przełknąć ani kęsa.

Kac szarpie mu żołądek na strzępy.

Ubiera się, zakłada płaszcz i wychodzi.

\* \* \*

— Cześć, Stary! Co ty na to?

Młody chłopak odchyła połę wyświechtanej wojskowej kurtki i pokazuje butelkę taniego wina; razem chowają się do pierwszej lepszej bramy, piją z gwinta. Starmach nie przypomina sobie nawet imienia tego kogoś, ale po kilku łykach robi mu się trochę lepiej, trochę łatwiej. Umawiają się, że następnym razem to właśnie on postawi. Następnym razem może być dziś, jutro lub za miesiąc, to nie ma znaczenia. To może być ten sam szczył albo ktoś zupełnie inny. Wszyscy w okolicy są częścią jednej wielkiej rodziny, wystarczy, że nie zapomina się o zobowiązaniach.

Białołęka doskonale pamięta.

Starmach dobrze wie, że wino nie zaspokoi głodu, który coraz mocniej daje się we znaki, na krótką chwilę zaledwie złagodzi potworne ssanie w żołądku. On i chłopak, obaj ocierają usta wierzchem dłoni, wynurzają się z mroku bramy, każdy odchodzi w swoją stronę.

Starmach walczy z chętką, żeby zawrócić i dopaść gnojka w którymś z licznych zaułków, ale na samą myśl o picciu krwi zmieszanej z jabołem dostaje gęziej skórki. Przyspiesza kroku. Niebo otwiera się w serii błyskawic, pluje ciepłymi kroplami, ciężkimi niczym ołowiane kule.

W położonym na uboczu pierwszym z napotkanych nocnych barów zajmuje stolik, zamawia. Czeka.

Rano rozpogodzi się, czuję to w kościach, mówi do siebie.

Pięćset lat temu trząśłem tym miastem.

Deszcz o północy, śliskie gzymsy.

Cholera.

\* \* \*

— Dawno cię tu nie było, Stary.

Znajomy głos wyrывa go z zadumy i Starmach podnosi wzrok znad wilgotnego blatu. Nastolatka w fartuszkowi obsługi szarą postrzępioną ścierką

przeciera brzeg lady barowej – spogląda nad jej ramieniem i dopiero teraz odczytuje nazwę lokalu. „Loch”. Dawno.

— Rok? — zgaduje.

— Może rok... Może dzień... — Kelnerka opiera dłoń na biodrze i figlarnie przechyla głowę. — Dla takich jak ty to pewnie bez różnicy — droczy się, gdy Starmach potrząsa pustą szklaneczką i czeka, aż dziewczyna naleje mu drinka.

— Dla takich jak kto?

— No sam wiesz – „kwaśnych” chłopców.

Wielki Starmach o wyglądzie ulicznego żulika.

— Ile? — ignoruje przytyk i smakuje alkohol.

— Od ostatniego razu? Oj, prosisz o zbyt wiele — śmieje się kelnerka.

— Po prostu dawno nie widziałam twojej twarzy.

Starmach odsuwa od stolika wolne krzeselko i kiwa na dziewczynę głową.

Usiądź.

Nastolatka ogląda się w stronę baru, wreszcie podchodzi, siada i zakłada nogę na nogę. Ma piękne, opalone łydki. Tętnice nad kostkami przypominają miejsca po odlewie formy z brązu.

— Jak masz na imię?

Dziewczyna wydyma usta w wyrazie nagłej dezaprobaty.

— Już zapomniałeś?

— Kochanie, nie przeciągaj struny.

Nazywa się Malibu.

— Wybacz, mała, czasami myślą mi się te wszystkie przydomki i ukryci pod nimi ludzie.

Malibu chichocze:

— Tobie? Tobie się mylą, pośepny dupku? Spróbowałbyś spamiętać tych wszystkich palantów w Lochu krzyczących od progu: Wódki!

Czas, w którym Starmacha rozczulało to nieporadne ludzkie zadufanie, już minął. Całe wieki temu.

Dziewczyna tymczasem drapie się za uchem, zdejmuje złote kolczyki i waży je w dłoni.

— Powiesz mi, gdzie się podziewałeś?

— Tu i tam. Wszędzie i nigdzie. Czy miejsce ma znaczenie?

— Właściwie to nie... Właściwie nie.

Malibu, Malibu. Słodka Malibu. Tak przezwał ją sam Starmach pewnej nocy, gdy syty i zadowolony uwiódł ją dla kaprysu w Łebie. Malibu o oddechu pachnącym kokosem... Nocny motyl. Miłe, zaczarowane wspomnienie. Starmach nie chciałby, aby czar prysł, i już wie, że nie zagości długo tu, w Lochu. Wszystkie kobiety są takie same, wystarczy je dotknąć. Zapamiętają na zawsze. Ale i ta pamięć kiedyś umrze. Na szczęście dla nich, a co najważniejsze – z nimi.

Wspomnienia Starmacha tłoczono są w opoce wieczności.

Szkoda, że kobiety nigdy nie doceniają, jaki to luksus – starość i śmierć.

— Nic się nie postarzałeś, wiesz?

A ty zestarzejesz się i umrzesz, i dziękuj za to Bogu.

— A ty kwitniesz, malutka. Oby tak dalej, oby tak dalej.

Do baru wchodzi paczka rozwrzeszczanych kibiców, więc Malibu zrywa się i wpada w wir pracy. Jeden z należącej do tej bandy gości natarczywie przygląda się Starmachowi, sprawdza, czy zmusi go do odwrócenia wzroku. W końcu rusza w jego stronę. Starmach obnaża zęby, kiwa groźnie palcem.

Wraca Malibu, błyszczą wypieki na jej policzkach.

— Słuchaj... Nie mogę za bardzo rozmawiać. Sam widzisz, tłumy.

Starmach dopija drinka i wstaje. Jest teraz wyższy od dziewczyny o dwie głowy. On patrzy na nią z góry, ona na niego z dołu, a w oczach ma dziecięcą prośbę.

— Czy nie miałbyś ochoty kiedyś do mnie, no wiesz... wpaść? — pyta cicho i nagle napiera całym ciałem. — O Jezusie, ja nadal przy tobie... od razu... — szepcze.

— Wpadnę, kochanie — odpowiada, choć wie: w tej chwili popełnia ogromny błąd. Głaszcze ją po głowie. — Może nawet niedługo. Poczekasz na mnie?

Wychodzi z Lochu, rozgląda się, ugina nogi w kolanach i skacze. Ląduje wysoko, pośród kominów trzypiętrowej kamienicy. Potem biegnie przed siebie po dachach, w noc. Odgłos blachy pod stopami rozbrzmiewa tak pusto, jak uderzenia jego czarnego martwego serca...

\* \* \*

Deszcz zamienia Warszawę w bryłę zimnego mokrego betonu. Wypłukuje wszystkie ulice do czysta – zmiotł z chodników przechodniów i śmieci, wszystko lśni. Skorupa brudu rozmiękła, zrzuciła swoją najświeższą warstwę; spod spodu wyłaniają się teraz jej prawdziwe, bazaltowe fundamenty. Przycupnięty na dachu Starmach czuje, że nie ma co liczyć na udane polowanie. Porządni ludzie już dawno pozamykali się w mieszkaniach. Jedyne co pozostaje, to łut szczęścia – w cichych zatokach zaułków pozostali być może dwaj lub trzej bezdomni, których złowi z konieczności; schwyta ich bez wysiłku, nie będzie to trudne. Ale nie o łatwość w zaspokajaniu głodu tu chodzi... Ci chudzi rozbitkowie wysuszeni kolejnymi zapaleniami płuc i ci wzdęci marskością wątroby, wszyscy mają wspólny feler – wszy. Gdy przyjdzie co do czego, miniaturowe legiony popełzną Starmachowi po palcach. Okropność

Żaden pusty żołądek nie zna jednak poczucia honoru i dumy...

Niespodziewanie – jest! Starmach dostrzega ruch. Wilgotny asfalt w dole mieni się i srebrzy. Po tej rてciowej rzece pełźnie kloszard. Kołysze się i potyka.

Starmach nie namyśla się długo, spada na niego, ogłusza, wlecze w ciemność. Rozrywa szmaty, szuka miękkiego, wrażliwego ciała. Pije łapczywie. Krew ma ohydny żółciowy posmak, jest cierpka i gęsta niczym zepsute mleko. Ale krew to życie, nawet tak podła jak ta! Upadłem, a mój upadek jest głębszy niż skok z tego dachu, myśli, przełykając gorzką breję. Gdy wreszcie kończy, kuca i przez kwadrans targają nim nudności, wypluwa pojedyncze lepkie nici ciemnego jelitowego brązu.

\* \* \*

Wraca do domu na piechotę, w deszczu.

Dzielnica pozbawiona jest prądu, z powodu burzy ucierpiała pewnie linia przesyłowa; w oknach płomyki świec kiwają się w bardzo ludzkim geście. Po pierwszym szturmie nawałnica odbiła się od krużganków miasta, ale w poziomych liniach odległych błyskawic nadal czai się groźba.

Samotny spacer. Puste ulice.

Nagle zbłąkany piorun wali prosto w Stramacha i na moment jego ciało obleka rozjarzona zbroja, trzeszczący ozonem habit. W promieniu kilkunastu metrów na wilgotny asfalt opada migotliwy zabójczy szron. Biały ogień zapiera dech w piersi. Starmach czuje, że zaraz zginie – i to jest wspaniałe uczucie. Tylko przez chwilę.

Nieśmiertelny... Nigdy nie doczeka spodziewanego końca.

Deszcz gasi tłące się ubranie.

Wieczny sen jest dla Starmacha niczym wytchnienie, które nigdy nie może nadejść.

Życie to sprowadzony do parteru, fizjologiczny akt.

Podchodzi do budynku Banku Towarzystw Spółdzielczych, rozgląda się i wspina po ścianie na sam szczyt, w pobliże umieszczonej na rogu budynku figurze orła. Siada obok rzeźby. Jak co noc. Orzeł spogląda na niego marmurowym okiem. Jak co noc.

Nagły błysk ożywia kamienne ślepie.

Witaj, zdaje się mówić ptak i to jest powitanie, które niesie w sobie ciężar wyobcowania i wielu, wielu pustych lat, powitanie, którym podzieliliby się ze Starmachem tylko ktoś mu podobny... Nie o podobieństwo tu chodzi! Ktoś kto... zrozumiałby?

Od jak dawna żyje oczekiwaniem na takie spotkanie?

Obchodzi statwę i opiera się plecami o szeroki grzbiet.

— Ptaku, ptaku — szepcze. — Magiczny ptaku. Uwierz mi na słowo, ty i ja to dwie najbardziej przeklęte istoty w tym pożałowania godnym świecie.

Osuwa się i kuca pod skrzydłem dla ochrony przed przybierającą na sile ulewą.

— I to jest to, za co nienawidzę każdego człowieka. Za wyzwolenie, na które w żaden sposób nie zasłużył.

\* \* \*

Odwiedza Malibu po dwóch tygodniach.

Leżą w łóżku. Ona na plecach i on też na plecach, głowę obróconą na w stronę okna. Da jej pięć minut, w sam raz na to, by uspokoiła oddech i nie poczuła się urażona, że tak szybko wyskakuje z pościeli.

Wreszcie znika pod prysznicem.

Już w kuchni, z ręcznikiem na biodrach, zaparza dla obojga kawę.



Z wisiora na szyi wyłuskuje niewielką grudkę, pieczołowicie zwinięty liść pokrzyku.

Kawa delikatnie podnosi ciśnienie. To ułatwi pewne sprawy.

Belladona zatrzyma funkcjonowanie wszystkich gruczołów, przyspieszy oddech – krew będzie świeża i czysta, przewietrzona, będzie piekła w język jak szampan.

Wraca do sypialni. Malibu bierze od niego filiżankę, chwytą ją w obie dłonie tak jak na filmie albo w reklamie, a może robi to w sposób zupełnie dla niej charakterystyczny, Starmach nie wie – tyle już było tych kaw, tyle ich jeszcze będzie.

Pierwszy ostrożny łyk. Potem następny. I jeszcze jeden, i jeszcze. W końcu Starmach zapala światło. Źrenice dziewczyny nie zwężają się, obie pozostają nadal w mroku: są nieludzko mroczne. Mroczne, szerokie i głębokie.

— Ojej, jak jasno — mówi zaskoczona, osłania dłońią oczy. To dobrze, nie chce, żeby patrzyła na niego tuż przed tym, jak wgryzie się w jej szyję. W zagłębieniu nad obojczykiem Starmach dostrzega zwiewne pulsowanie.

To pobudza wilczy apetyt.

Pije ją i pije siebie w niej samej. Ogarnia go smutek. Głęboki smutek...

Później, już we własnym mieszkaniu, zaciąga żaluzje, przesuwa w palcach ciemny gruby materiał; umowna granica pomiędzy nim a nadchodzącym porankiem – tylko tyle ich dzieli. Otwiera barek, zalewa garść tabletek uspokajających alkoholem. Tak będzie najszybciej i najprzyjemniej, truje się w ten sposób już od wielu lat – to trucizna, która starcza na krótko.

Narkotyki – na krótko. Leki – na krótko. Wódka – na krótko.

Byleby zasnął, byleby ściał biało umysłu na chwilkę potrzebną, by spokojnie przespać dzień.

Wszystko w końskich dawkach.

Sen. Dzień. Wsłuchuje się w dźwięk tych słów. Łyka.

To co pamięta, to co przeżył, wystarczyłoby na obdzielenie kilku ludzkich pokoleń, więc i podręczną apteczkę zaopatrzył tak, jak gdyby każde to pokolenie codziennie domagało się od niego połknięcia czegoś silniejszego przed zaśnięciem.

Nieśmiertelny. Wampir.

Godne to wszystko pożałowania...

Kończy jedną butelkę i zaczyna następną. Patrzy na pigułki, kręci mu się już porządnie w głowie, nie za bardzo przypomina sobie, który kolor co oznacza... Zielone... na co? Niebieskie na rozluźnienie mięśni? Żółte na suchą, chemiczną obojętność? Bierze po jednej każdego rodzaju. Za kilka minut wali się z hałasem na podłogę. Jeżeli tylko będzie sprzyjać mu szczęście, otworzy oczy dopiero za parę godzin. Ból rozłupie mu potem głowę na pół; tyle że gdy traci przytomność, ten ból zapowiada szczęśliwe przebudzenie.

Nie ma go – na krótko.

Leży bezwładnie, po jakimś czasie wymiotuje bezgłośnie; wszystko wsiąka w brudną wykładzinę. Niezliczone zaschnięte plamy układają się na niej, jedna w drugiej, na podobieństwo słoï odmierzających wiek drzew.

\* \* \*

Centrum tonie w blasku pełni księżyca. Ze swoimi strzelistymi wieżowcami, przypomina ogromny statek porzucony z dala od macierzystego doku. Wszystko wydaje się nie na miejscu. Rynsztokami płynie nienazwana tęsknota – gdyby jej tylko na to pozwolić, zalałaby zapewne ulice i uniosła żelbetowy kadłub, tak silna się wydaje.

Uczepiony jednej z anten Pałacu Kultury, Starmach wypatruje nieistniejącego portu; lampa ostrzegawcza na szczycie wieży pulsuje. Czerwony blask omywa mu ręce – jest zimny.

Beznadzieja.

Nawet orzeł na budynku banku zwiesił, zrezygnowany, skrzydła.

Starmach wciąga nosem wilgotne powietrze. Wietrzy zapachy miasta. Ktoś gdzieś piecze placki, ktoś umiera. Ktoś uprawia seks. Słodki, gorzki, słony wiatr. Ktoś właśnie się boi, w kimś innym buzuje adrenalina – te zapachy są tak blisko siebie, że nie może być mowy o pomyłce, gdzieś dokonuje się rozbój. Kwaśny i pikantny wiatr.

Forpoczty rozkładu.

To wszystko trwa już zbyt długo. Każde miejsce na ziemi obraca się w ruinę, ilu takich ruin już był świadkiem? Oddałby całe swoje wieczne życie za przywilej przemijania. Strach przed końcem – tylko o nim teraz myśli. Tylko tych dwóch rzeczy pragnie.

Oto cena nieśmiertelności – nikt i nic mu nie grozi, nikt i nic na niego nie czeka.

Miłość – nie ma miłości. Uczucia mają początek i koniec, chwała tym, którzy nie doczekają ich kresu. Czy można bezkarnie zakończyć taką miłość przed czasem? Ile razy sam ją zgasił w obawie, że bardziej zaboli go, gdy to ona mu się niepostrzeżenie wymysknie. Został najgorszym mordercą, jaki może istnieć, potrafi zabić już wszystko: to co widzialne i to co niewidzialne. Oto przekleństwo, które się rozdyma, przybywają coraz to nowe jego obszary. Ale ta klątwa to jego cień, dobrze o tym wie, nie skieruje jej przeciwko sobie, odczują ją tylko ci, na których ona padnie.

Malibu. Już podeszła zbyt blisko. Już jej nie umknie.

Czy to smutne? Nie.

To wieczne wieczorne oczekiwanie.

Starmach zsuwa się po metalowym rusztowaniu, opada na chodnik.

Nogi same prowadzą go do niejasnego celu.

Gdzie? Do niemiłości, niesmutku, nietrwania.

Gdy wreszcie dociera na miejsce, Malibu skubie świeże winogrona, półnaga, wyciągnięta na kanapie, zupełnie nieświadoma tego, że ktoś karmi się jej życiem.

Może wydaje się odrobinę bledsza niż zazwyczaj.

— Mam anemię — skarży się niepewnie. — Chyba powinnam zrobić jakieś badania...

Starmach krząta się w kuchni, przynosi dwa nakrycia i stawia na stole świeżo zmielony tatar.

— Jedz to. Postawi cię na nogi.

— Fuj! — piszczy dziewczyna i chowa głowę pod poduszkę.

Na szyi ma ślady kłów; właśnie ich dotyka.

— Obiecuj, że na drugi raz nie ugryziesz tak mocno — prosi.

Starmach mruczy z ustami pełnymi surowego mięsa.

— W porządku, lubię czasami na ostro. Ale co za wstyd w pracy!  
Malinka *à la* człowiek z Crô-Magnon!

— Przestań, dziewczyno, bo ukąszę znowu...

— Ani mi się waź!

Siada wyprostowana i ostentacyjnie owija sobie zgrabny karczek batikową chustą. Patrzy na niego jedzącego ze smakiem i w końcu sama sięga po talerz.

— Jak tam twoje nocne sprawy? — pyta pomiędzy kęsami.

— Pysznie.

Starmach kończy jeść i wrzuca naczynia do zlewu.

— Pozmywam, jak wrócę — mówi i ubiera się powoli.

— Naprawdę lubisz tak się szwendać po nocy?

Lubisz? To dobre słowo. Zbyt dobre, by je zrozumiał.

Drocą się jeszcze, wyrywają sobie nawzajem części jego ubrania.

Malibu wywraca mu dla żartu kieszenie. Garściami wysypuje z nich tabletki, znieczulacze. Zamiera na środku pokoju, naprawdę wzburzona. Śmieszna.

I tak jak przerabiał już nieskończoną liczbę razy, w parę chwil ultimatum gna ultimatum...

\* \* \*

Właściwie to sam nie wie, dlaczego się na to zgodził – może odkąd na dobre zahaczył się u Malibu, coś w nim zmiękło? Może połechtala jego dumę, a może chce na własnej skórze przekonać się, czy ostatnimi czasy świat miałby mu cokolwiek do zaoferowania, cokolwiek nowego w kwestii nadmiaru wspomnień.

Prąd tego uczucia znosi go z obranego kursu do szpitala, przed drzwi lekarza dyżurnego. Czyta ulotki przychepione do wielkiej korkowej tablicy naprzeciwko lady dyspozytorki pogotowia. Czyta i od razu zapomina, więc czyta po raz kolejny, od nowa, i tak w kółko. Czas mija, ale on przecież ma dla siebie cały czas świata, jeżeli lekarz nie przyjmie go teraz, to wpadnie tu następnym razem, może za sto lat, kiedy znowu ktoś podobny do Malibu poczuje się za niego odpowiedzialny na tyle, by pomieszać uczucie z poczuciem obowiązku.

Poczekalnia o północy przypomina bibliotekę albo świetlicę domu pogrzebowego. Tak samo odbija każdy odgłos. Martwa cisza działa na Starmacha przygnębiająco, więc zawczasu łyka parę tabletek xanaxu, ataraxu, valium i co mu tam jeszcze wpadnie do otwartej dłoni, gryzie je wszystkie, nawet nie popija.

Dyspozytorka przygląda mu się bez słowa. Starmach zapraszająco wyciąga w jej stronę blister leków; kobieta odwraca wzrok.

Pojawia się lekarz dyżurny, kapłan w białym kitlu.

Starmach zaczyna swoją spowiedź:

diazepam i midazolam,

triazolam,

flumazenil oraz abekarnil,

i zopiklon,

i klozapina,

risperidon,

promazyna,

i clorprotixen,

droperidol, i dezipramina,

sertralina i bupropion, opipramol, trazodon,

wreszcie

lit, fenobarbital, tetakwalon...

Ta lista nie ma końca. Starmach wymienia wszystkie preparaty po kolei. Czekając, aż lekarz przerwie tę litanie, sięga pamięcią coraz głębiej i głębiej. Tylko że głębiej to bardzo względne pojęcie, „głębiej” odnosi się do czegoś, co jest skończone, co ma dno.

— Brał pan to wszystko po kolei?

— Wszystko — potwierdza, a po chwili uściśla — i naraz. I nadal je biorę.

— Tyle leków za jednym zamachem? — Dyżurny wydaje się wyraźnie zmieszany. — Dlaczego?

Czy to nie śmieszne? Bezgranicznie śmieszne.

— Nic tu po mnie, skoro obaj szukamy odpowiedzi na to samo pytanie.

O tej godzinie poczekalnia świeci pustkami.

— Niech pan poczeka. Niech pan chociaż spróbuje tego!

Lekarz wybiega za nim na korytarz. Podaje mu kartkę z wypisanym na niej ledwie czytelnym adresem. Rozstaje się ze Starmachem, ściskając mu dłoń tak mocno, jakby już sam ten gest miał wszelkie cechy niezbędnej pomocy.

W przyszpitalnym parku śpiewa słowik. Pozostało kilka godzin do wschodu słońca. Starmach jedzie więc nocnym autobusem – za przewodnika ma tych kilka słów na kartce ze szpitalną pieczętą.

Jedzie bardzo długo, aż do drogi wylotowej z miasta.

Przed samą Jabłonną odnajduje ruinę przedwojennej manufaktury. Wszystko się zgadza, to tu.

Budynek utopiony w poświęcie sodowych latarni góruje nad zasłanym złomem placem. Czerwona cegła, z której został zbudowany, wietrzeje i kruszy się na rogach, okna są matowe i przydymione, w tych najniższych brakuje szyb. Zaokrąglone gruzowiska na obu frontach upodabniają go do obłej skamieliny jakiejś niewyobrażalnej przedwiecznej stonogi – rozstawione co kilka metrów trójkątne wsporniki potęgują złudzenie.

Wszędzie rośnie trawa; przebija żużel, który wysypano na dawno nieużywane ścieżki. Starmach opuszcza przystanek, idzie wzdłuż ulicy, wchodzi na most przebiegający nad wąskim kanałem przytulonym do jednej ze ścian budynku. Z wysokości widzi zakalec czarnego, pokrytego papą dachu; kiedy odnajduje w końcu zadbaną dróżkę, wchodzi do wnętrza fabryki i przez minutę lub dwie lustruje ciężki nawis sufitu.

Dopiero wewnątrz budynek sprawia naprawdę ponure wrażenie.

Przez zasłaną białym pyłem podłogę biegnie równiutka wydeptana ścieżynka i Starmach podąża jej biegiem...

Wreszcie przez jedną z metalowych śluz dostaje się do przybudówki w pomniejszej hali produkcyjnej. Tam panuje zupełnie inna atmosfera. Hala

jest odnowiona, wysprzątana. Wśród zapachu świeżej farby i środków czystości przemykają grupki ludzi. Uśmiechy.

Trzask rozkładanych krzeseł.

Ten trzask i szuranie trwa prawie kwadrans, w końcu ktoś wyławia Starmacha spośród zebranych i prowadzi ze sobą.

\* \* \*

— Nazywajcie mnie Stary.

— Witamy cię, Stary!!!

Nocne spotkania w Klubie Uzależnionych mają taki właśnie początek. Zbiorowe powitanie, podkreślenie wspólnoty. Starmach stoi na podium przed grupką ludzkich wraków, którym wydaje się, że od nowa wygrywają życie, i walczy z uczuciem, aby nie przegryźć im wszystkim gardeł. To byłoby całkiem łatwe, starczyłoby mu kilka chwil. Wie o tym doskonale i być może dzięki temu niespodziewanie odnajduje spokój. Wszyscy tutaj są na jego łasce.

Tylko nadal te wątpliwości. Czym będzie się z nimi dzielił, co opowiadał? Kartki z podróży poza *ultima thule*? Jak im to przekaże, skoro ludzie sięgają pamięcią tak niedaleko poza dzisiejszą noc...

Rozgląda się uważnie.

Różowy pokój oklejono tonami prac odwykowców z terapii zajęciowych. Wesołe pejzaże żywo kontrastują z szarzyzną twarzy uczestników.

Prowadzący spotkanie niziutki staruszek staje przy podium, kładzie rękę na ramieniu Starmacha i niespodziewanie niskim głosem mówi:

— Przyjmijcie dobrze naszego nowego kolegę.

Zalatuje od niego tanią wodą kolońską i spalenizną, coś jakby zapach sklepu z artykułami indyjskimi. Siwe brudne włosy przylegają mu do



skroni. Ma małe, śliskie, gadzie oczka. Starmachowi nie podoba się ten człowiek, ale teraz jest za późno na odwrót.

Obaj schodzą pomiędzy zebranych.

Zaczynają się uściski dłoni. Marta, hasz, czysta od roku. Olaf, amfetamina, czysty już dwa lata. Waldek, na zakręcie, wziął niedawno, więc nie ma się czym pochwalić, zaczyna wszystko od początku. Przerzucają się, licytują czasem spędzonym na odwyku, jak gdyby rzeczywiście ten czas coś znaczył. Co ma powiedzieć Starmach? Cztery tysiące lat osamotnienia. Czy ktoś z nich chciałby się z tym zmierzyć? W galimatiasie grzeczności myśli o tym, jak nisko upadł. On, dziecko nieskończonej nocy wśród tych ludzi-jętek, którzy karmią się nadzieją i pojedynczym dniem...

Wychodząc ze spotkania, wyrzuca sobie, że jak zwykle dobre chęci spełzną zapewne na niczym – odnalazł tylko jeszcze więcej duszącej go czarnej nienawiści. Do świtu zostało bardzo dużo czasu, w sam raz dla zgłębienia jej smaku.

\* \* \*

A jednak... zmiana.

Noce podzielił na polowania i spotkania grupy terapeutycznej. Na początku nie wierzył, że przyniesie mu to jakąś ulgę, ale odkąd uważnie słucha wyznań każdego uczestnika, jest mu jakby trochę lżej. Dla niego samotność tych ludzi to nic nieznacząca samotność – rok, dwa, dziesięć lat opuszczenia – ledwo zanurzyli stopy w jej czarnym oceanie. Mimo to czerpie z ich opowiadań zadowolenie.

Nie jest sam. Nie podczas ich opowieści.

Przypomina to trochę spotkanie wakacyjnych żeglarzy, na które wślizgnął się incognito stary wilk morski. Wszyscy powtarzają: głębia,

głębia, dal, a ledwo odbili od brzegów życia. Stary wilk morski czerpie radość z tych kominkowych historii, bo wie, że takim jak on zbyt często przyjdzie tonąć w prawdziwych odmętach.

A jednak.

Poczucie wspólnoty, namiastka wspólnoty, tylko dlaczego nadal coś mu w tym wszystkim nie gra?

Chodzi tam, bo czerpie radość z podsuwanych samemu sobie drobnych kłamstw; okłamuje siebie od dawna, ale przedtem robił to, żeby... w ogóle...

Teraz robi to dla przyjemności.

Tylko czyja niechętna uwaga cały czas opiera mu się zimnym ostrzem na karku?

To paranoja. Tak mówi terapeuta. Organizm domaga się, by podpalić go wódką, zmrozić lekami uspokajającymi. Wyrwany z kokonu barbituranów gwałtownie reaguje na każdy silniejszy bodziec. Napięcie.

Wierzyć, nie wierzyć?

Słuchać, mówi terapeuta. Twoje nowe życie wlewa się w ciebie uszami.

Dwa tygodnie temu pewna rezolutna blondynka mówiła im, jak strasznie przeżyła rozstanie z rodziną, która odsunęła się od niej po nieudanym pobycie w klinice odwykowej.

Terapeuta nie spuszcza z niego oka.

To takie straszne, mówiła. Nie miałam nikogo. Przez okrągłe pół roku sama.

Terapeuta cały czas mu się przygląda.

Wszyscy bili potem brawo i on bił brawo, robił to nawet głośniej niż inni. Wszystko po to, żeby zagłuszyć targający nim gorzki śmiech.

Sama. Rok.

Brawo, brawo! Bijcie brawo!

\* \* \*

— Opowiesz mi wreszcie, co porabiacie na tych twoich spotkaniach?

Na czworakach, w zmiętoszonej pościeli Malibu marszczy zgrabny nosek, rozkosznie nieufny psiak.

— Nie ma o czym. Bastion odludków.

Dziewczyna wpełza pod kołdrę.

— Matko, ależ ty się ostatnio zrobiłeś drażliwy. Tak tylko pytam...

Starmach wzdycha. Wszystko od nowa. Wzięła go do siebie, zadbała, wynalazła terapię, teraz zaanektuje czas i myśli. Ile razy to przerabiał? Podobno historia zawsze zatacza koło, ale gdy Starmach patrzy na nieskończenie długi bieg zdarzeń będący jego udziałem, przysięgłby, że to koło wyposażono w piekielną zapadkę. Nigdy nie wykonuje pełnego obrotu, cofa się tylko i szarpie, w tył i w przód, w przód i w tył.

— Nie jestem drażliwy, to po prostu wyłącznie moja sprawa.

— Chciałabym, aby to była nasza sprawa — spod kołdry dochodzi jej płaczliwy głos.

Czy to, czego ona chce, ma jakieś znaczenie? Tę partię rozgrywał już na tyle różnych sposobów... Czuje ogromne zmęczenie.

— Chciałabym, żebyś przestał mnie pieprzyć.

— Co jest złego w tym, że od czasu do czasu się pieprzymy?

— To „od czasu do czasu” właśnie.

A więc oboje weszli już na tę górę i seks okazał się jednym z jej szczytów.

— Chciałabym coś dla ciebie znaczyć — prosi Malibu.

Ale choć nigdy jej tego nie powie, Malibu znaczy dla niego ogromnie wiele. Wysłała go do tego fabrycznego grobowca. A tam znajduje się ktoś... kto tak jak Starmach nosi w sobie mroczną niewiadomą. To się czuje

i teraz już co noc rozogniona intuicja podpowiada – miej się na baczności. Do jego życia powracają uczucia, a niepokój jest ich zwiadowcą.

— Dobrze więc. Posłuchaj, kochanie. Jest pewna rzecz, która nie daje mi spokoju...

Podsuwa jej kęs swojej niepewności. W duchu żywi nadzieję, że na tym jednym kęsie się skończy...

\* \* \*

Po którymś ze spotkań terapeuta, ten sam, który witał go w grupie uzależnień, schodzi z podium i siada tuż obok na stołku, dokładnie dwa siedzenia dalej, na lewo. Obaj zostali długo po zakończeniu przedstawienia, które z powodu jakiegoś jubileuszu, jakiego, Starmach nie wie, przygotowali podopieczni. Terapeuta ma ręce pełne krepiny – jeszcze przed chwilą samotnie sprzątał resztki tandetnej scenografii.

— Obserwuję pana od dawna. Nie jest pan zbyt kontaktową i pomocną osobą, co? — pyta wreszcie.

Starmach posyła mu przeciągłe spojrzenie.

— Wróży pan takie mądrości z garści śmieci?

Mężczyzna niespodziewanie wybucha gromkim śmiechem.

— Jeden zero dla ciebie. Chyba sam się o to prosiłem?

Prośby jeszcze nikomu nigdy nic nie dały, mógłby mu tak odpowiedzieć; tyle tylko że nie chce, nie ma ochoty na takie „męskie” pogaduszki. Milczy, poirytowany.

— Po co tu siedzisz?

— Myślałem, że już po wszystkim znajdę tu chwilę spokoju.

— O! Więc ci przeszkadzam? To właśnie masz na myśli?

Starmach zastanawia się.

— Tak... Nie... Tacy jak ty od dawna są dla mnie obojętni.

— Jak ja? — dopytuje się terapeuta.

— Ludzie — odpowiada wprost. Jest anonimowy, tu może pozwolić sobie na taką wieloznaczną szczerość.

— A ty? Ty też jesteś przecież jednym z ludzi.

— Nie. Mylisz się.

— Aha, rozumiem. — Terapeuta kiwa siwą głową. — Ale wiesz, każdy z nas jest kimś specjalnym, wyjątkowym...

Starmach odwraca się w jego stronę.

— Nie wciskaj mi tego pseudopsychologicznego kitu! Bardzo cię o to proszę. Nie wiesz, o czym mówisz!

Terapeuta podnosi ręce w geście: poddaję się.

— W porządku. Zakop topór wojenny, chłopie! Gdzie jak gdzie, ale tutaj to ostatnie miejsce, aby nim wywijać.

Po chwili mężczyzna przesuwa się o jedno siedzenie bliżej. Zniża głos do szeptu:

— Słuchaj, ja wiem, że życie może dać się we znaki. Ale posłuchaj mnie uważnie, mam coś, co mogłoby temu zaradzić...

Starmach przygląda mu się uważnie i dopiero teraz zauważa, jak wilgotne ma ten mężczyzna oczy, jak bardzo rozmarzone. Rozpoznaje te oczy od razu...

— Bierzesz? — pyta bez cienia zaskoczenia. — Tutaj?

Terapeuta rozpiera się w plastikowym foteliku i uśmiecha tajemniczo.

— A ty byś nie brał? — odpowiada pytaniem na pytanie. — Te wszystkie ćpające duszyczki naokoło, te opowieści o niesamowitych tripach. Nie spróbowałbyś?

— Ale tu? W trakcie terapii?! — A w duchu sam z siebie drwi; tak bardzo naiwne jest to, co powiedział, takie... człowiecze.

— Gównno, nie terapia! — warczy tamten. — Też mi pomoc, ciągnę ich z powrotem w bagno, z którego nie ma ucieczki. W tak zwane „normalne” życie. Normalność, też coś! Ktoś wmówił tym palantom, że tonięcie w bagnie na trzeźwo to powód do dumy! Brawo! Ćwiczymy walca, a sala balowa powoli wali nam się na głowę! Bra-wo! Dwa kroki w tył, wszystko w porządku. Drugi rząd już nie żyje. Grunt to się nie przejmować.

Normalne życie. Czy tego szuka? Terapeuta siedzi teraz tuż obok.

— Czy wiesz, ilu tych jełopów statystycznie powróci do wesołej poniewierki na haju? Dwie trzecie! Nie oszukujmy się, nikt nie ucieka od czegoś tak wspaniałego jak narkotyki. To komunizm naszego społeczeństwa – nie pamiętaj o niczym, nie wierz w nic, zażywaj, a będziesz zbawiony. Inaczej, cóż, radź sobie dalej w tym smutnym jak pizda świecie. Sam na sam ze sobą.

Starmach nie wierzy własnym uszom. Czyżby ten człowiek wiedział aż tyle?

— Nie patrz tak na mnie. To dwudziesty pierwszy wiek. Chochlika i wróżkę zastąpiły procesor i automat do kawy. Próbowaleś kiedyś żyć w świecie bez złudzeń?

Och, jak blisko podszedł ten człowiek do granicy mroku, którym Starmach się otoczył!

— Procesor i automat! — Terapeuta się krzywi. — To dlatego ćpamy. To drzwi do tego, co niewidzialne. Chcesz przez nie przejść?

Chciałby odmówić, ale wie, że nie potrafi. Kiedy całe życie poszukuje się dróg ucieczki, każda następna nieodkryta ścieżka ma w sobie tyle powabu... A on? On jest właśnie po tej stronie drzwi, którą terapeuta odkrywa. Jeżeli obaj je uchylą, to może każdy z nich prześliznie się na chwilę na stronę, której tak bardzo pożąda.

— Dobra. Czym się trujecie? — pyta w końcu.

Terapeuta klaszcze w dłonie.

— Zapraszam za kulisy — mówi i niknie za kurtyną.

W niewielkim pokoiku na tyłach sceny we wszystkich wolnych miejscach leżą powygniatane hipsterskie fotele-poduszki: miękkie, wypełnione granulatem worki, które dopasowują się do kształtu ciała w momencie, gdy ciało na nie opada. Wszędzie palą się potwornie silne kadzidła. Starmach nie czuje nic oprócz ich smolistego, ciężkiego zapachu. To nagłe odcięcie od zmysłu powonienia trochę niepokoi, odzywa się w nim natura drapieźnika, decyduje jednak, że gra jest warta świeczki, tylko oczy i uszy pozostawia szeroko otwarte. Powraca stara paranoja.

W żyrandolu ćmią się różnokolorowe żarówki, żyrandol wiruje, a światło wraz z nim. Dlaczego te zapachy i światło budzą nagle złe przeczucia? Ale terapeuta wydaje się uprzedzająco miły, wskazuje jeden z foteli, a sam podchodzi do niewielkiej szafki, wyjmuje z szuflady podręczne lusterko, kładzie je na blacie. Na szkle rozsypuje biały proszek.

— Mam tu coś, co powinno wyrzucić na tobie piorunujące wrażenie.

Starmach przygląda mu się, jak pieczołowicie przygotowuje mlecznobiały roztwór. Robi to z gracją i wprawą, bije od niego spokój i pewność. To tylko ta moja paranoja, myśli Starmach. Sam na sam z tym człowiekiem, nie ma powodu do niepokoju. Napięcie jednak zamiast się rozpląnąć w przyjemnie przytłaczającej atmosferze, wzrasta.

Jestem szybszy, silniejszy, jakby co, dam radę. Jakby co.

Terapeuta nabija otwartą dłonią zagłębienie łokcia Starmacha. Strzykawkę trzyma w ustach, ramię ściska mu paskiem.

— Dawaleś kiedyś w kanał? — pyta przez zęby.

Starmach przytakuje.

— Nie tak jak tym razem — zapewnia mężczyzna i bierze do ręki strzykawkę.

I w chwili, w której igła, już, już ma zagłębić się w skórę, Starmach nagle czuje ten zapach! Ten ukrywany, ten tłumiony przez kadzidła.

Czosnek!

Momentalnie chwyta przegub ręki terapeuty w miażdżący uścisk.

— Żmijo... — warczy.

Ale ten człowiek to rzeczywiście przebiegły gad, w drugiej ręce ukrył garść proszku i teraz sypie nim Starmachowi prosto w oczy. Starmach wyje z bólu, ale tamten nie poprzestaje tylko na tym, wrywa się i wbija strzykawkę wprost w jego bark. Ciało pod ubraniem eksploduje, jakby przeszył je wielkokalibrowy pocisk i Starmach pada, wijąc się, na podłogę. Nieprzytomnie łapie powietrze. Tymczasem terapeuta pruje fotele-poduszki, wypełnia je czarne śmierdzące błoto.

Poświęcona ziemia.

Usypuje z niej szeroki okrąg. Kończy, otrzepuje ręce i staje w odległym kącie.

To wszystko trwa krócej niż minutę.

Starmach powoli dochodzi do siebie. Lewą rękę ma zupełnie bezwładną.

— Myślę, że pora przedstawić się na nowo — odzywa się w końcu terapeuta.

Starmach toczy dookoła dzikim wzrokiem. Dlaczego tego nie zauważył? Dlaczego dał się tak podejść?

Dwa tysiące ósmy rok! Nie wierz w nic!

Czy to możliwe?! Łowca wampirów w parszywym dwudziestym pierwszym wieku?

I widzi teraz te wszystkie rzeczy... Gdyby tylko im na to pozwolił, zaalarmowałyby go natychmiast. Widzi lusterko, w którym na pewno nie pojawiło się jego odbicie. Widzi żyrandol – w roztańczonym wielobarwnym świetle na pewno zabłysły jego kocie oczy. Spogląda



w stronę zamkniętych drzwi wyjściowych; klamka ma kształt krzyżyka. Robi to wszystko ukradkiem, czerpie naukę z długich minionych milleniów.

Wie, że jedyne, co teraz mu może pomóc, to POZORY.

— Pojebało cię, człowieku! — krzyczy niespodziewanie i wkłada w ten krzyk jak najwięcej sprawiedliwego gniewu. — Chciałeś mnie zabić!

Ale ten mężczyzna ma szalony wzrok, skarga Starmacha w ogóle nie robi na nim wrażenia.

— Nie chciałem, chcę. Właściwie to już rozpocząłem ten proces. Jesteś wampirem, krwiopijcą. Tak właśnie należy z wami postępować.

— Wypuść mnie!

— O, nie. Zbyt długo na ciebie czekałem. Całe moje życie. Całe życie na melodię śmiechu byle mędrka, który drwił ze mnie, gdy tylko mówiłem mu, że legendy głoszą prawdę.

Starmach w mgnieniu oka orientuje się, że ten tu nie da się oszukać, gra będzie szła o najwyższą stawkę. Mimo to nadal trzyma nerwy na wodzy.

— Kto teraz wierzy w wampiry, naiwniaku — kpi. — Naćpałeś się i jeżeli mnie natychmiast nie wypuścisz, narobisz sobie kłopotu. Puść mnie, a nie zadzwonię na policję...

— Potrafisz mieć jęzorem. Każdy z was potrafi — przerywa mu terapeuta. — Wiem o tym. Czytałem. Ooo, dużo na ten temat czytałem... A teraz posłuchaj, na imię mam Benjamin...

— Wypuść mnie natychmiast! Ja nie jestem... tym, kim myślisz!

— Nie jesteś wampirem? — Benjamin zadaje to pytanie w wyjątkowo uprzejmy sposób. — Och, najmocniej przepraszam. Jak mogła zajść taka pomyłka. — Bierze głowę w dłonie i kręci nią na dziecinną modłę. — W takim razie zaraz ci pomogę. A właściwie wstań i wyjdź o własnych siłach. Tylko nie ubrudź sobie butów ziemią.

— Skurwysyn!

— A, i jeszcze jedno, tak na pożegnanie, na dobrą drogę powrotną...  
*Pater noster, qui es in caelis: sanctificétur nomen tuum; advéniat regnum tuum; fiat volúntas tua, sicut in caelo et in terra...*

Starmach słyszy te wszystkie potworne słowa, słowa, z którymi nikt do niego nie zwracał się od bardzo, bardzo dawna, obietnicę zbawienia. I wbrew temu co mówią i myślą zabobonni ludzie, krzyczy nie z bólu – to żal, ogromny żal tnie, pruje mu flaki. Te słowa są kwintesencją wszystkiego, co dla wampira niedostępne. Każda przeszła chwila spędzona na rozpamiętywaniu własnego podłego losu sprowadzona do uderzenia prosto w serce, nawet to z kamienia. Słowa, które skruszą każdą skałę. Nie ma przed nimi obrony.

Starmach nie ma wyboru, ujawnia się przed tą gnidą.

Pod koniec modlitwy całe ciało złane ma krwawym potem. Napina wszystkie mięśnie, syczy tak, że w kącikach ust pojawia mu się różowa piana.

— Proszę — drwi Benjamin. — I kto z nas dwóch lepiej zna się na obyczajach żmij?

— Tyyy... — chrypi Starmach — ty małomiasteczkowy Van Helsingu. Sam nie wiesz, w co się pakujesz. To nie twoja liga. Wydrę ci serce!

— Podobno z niedocenianym przeciwnikiem najłatwiej się przegrywa. To tak *à propos* twojego pieprzenia o ligach małych miasteczek.

Terapeuta podchodzi do szafki, z której wziął czosnkowy granulat i otwiera najniższą szufladę. W jego rękach pojawia się długi, ostry kołek.

Starmach przygląda się zamykającemu go ziemnemu okręgowi, ocenia zasięg drewnianej broni.

— A więc to tak, tak to sobie wszystko wymyśliłeś, co? Zamęczysz mnie jak zwierzę w klatce? Na odległość?

Benjamin ściska okorowane drzewce.

— Jesteś pierwszym wampirem, jakiego odnalazłem, jesteś lekiem na wszystko, co do tej pory mnie spotkało. Naprawdę istniejesz. Moje życie zaczęło się na nowo. Nie sprowokujesz mnie.

— To się jeszcze okaże.

Zaostrzony koniec kołka jest teraz wymierzony prosto w pierś Starmacha i chociaż nadal pozostaje on poza zasięgiem osiny, w gardle powoli rośnie mu węzeł strachu.

Strach? Czy naprawdę go... c z u j e?!

— Zanim cię wykończę, chcę, żebyś odpowiedział mi na pytanie: dlaczego? Dlaczego wylądowałeś na dnie? Dlaczego umierasz? Dlaczego z króla nocy zamieniłeś się w żebraka cienia?

To ten świat. To on chyli się ku upadkowi, w wraz z nim wszystko, co kurczowo się go trzyma. Potrzyмай się jego krawędzi przez setki lat, wiś nad przepaścią, zobaczymy, kiedy najdzie cię ochota na zwolnienie uścisku, myśli Starmach. Tyle że gdyby przyszło co do czego, to ja jednak chcę podjąć decyzję o moim istnieniu czy nieistnieniu!

Głośno mówi:

— Podejź bliżej, synku. Taką tajemnicę wyszeptam ci tylko do uszka.

Bez ostrzeżenia kołek przecina powietrze. Starmach uskakuje w ostatniej chwili.

— Pudło! — śmieje się radośnie.

Kołek świszczy po raz drugi.

— Do trzech razy sztuka, ty przebiegły skurwielu!

Za trzecim razem ręka Beniamina drży odrobinę i to jest moment, na który Starmach cierpliwie czekał. Podrywa się z podłogi, chwytą drewno i wykonuje półobrót, napierając zdrowym barkiem. Uchwyt terapeuty zostaje przełamany. W mgnieniu oka trzonkiem prymitywnej włóczni przerywa więzący go okrąg. Ale Benjamin jest sprytny, zbyt dobrze wie, co

mu grozi. Szanse się wyrównały. Nie staje do otwartej walki, tylko wybiega z pokoju, zatrzaskuje za sobą zbrojne w krzyż drzwi.

Starmach doskonale wie, że zagrożenie nie mija. Ten człowiek zbyt dobrze się do wszystkiego przygotował, pogoń za nim na jego terenie oznacza samobójstwo. Ranny i zły rzuca się w przeciwną stronę, umyka przez okno niczym złodziej.

Ale w miarę jak przemyka chyłkiem wśród nocy, rośnie w nim... zadowolenie.

Ostatecznie w ramach bezsensownej terapii odnalazł coś bardzo ważnego.

Ostatecznie nareszcie spotkał osobę, dla której on, Starmach, naprawdę coś znaczy.

\* \* \*

Nów, najlepszy czas. Panuje chłód. Starmach stoi nago na budynku banku i tonie w bezmiarze ciemności. Ubranie odłożył na bok, zamyka oczy, jak gdyby szykował się do skoku. Przeciąga się, cieszy go gra mięśni tuż pod zziębniętą skórą. Rana na ramieniu zamknęła się, lecz została po niej paskudna blizna. Ta blizna przypomina mu bardzo ważną rzecz: nie jest już sam... Po wiekach bezowocnego trwania, wśród mroków miasta odnalazł serce, bijące teraz tylko dla niego. Niespokojny umysł, który całą uwagę skupia na nim właśnie.

Od jak dawna nie poddawał się temu uczuciu? Od ilu setek lat? Nareszcie stał się dla kogoś celem. Nareszcie komuś na nim zależy.

Z oddali Śmierć wysyła mu wyraźny komunikat: Idę.

Nareszcie! Beniamin.

Tak nieskończenie wiele ma mu do zaoferowania ten mężczyzna. Nadał na nowo sens bezowocnemu trwaniu. Zagroził wiecznej męce utratą,

a przez to przecież niezmiernie podniósł jej wartość. Starmach nienawidzi go i podziwia zarazem, bo to godny przeciwnik.

Niespodziewanie wszystko wraca na swoje miejsce, cała ta rozsypana układanka, której fragmentów do tej pory rozpaczliwie się czepiał. Źli chłopcy, dobrzy chłopcy. Myśliwy i zwierzyzna. Sens.

A krzywa wieczności zbliża się do zera, choć nigdy go nie dotknie.

Ale kto odróżni zero od punktu oddalonego od niego zaledwie o włos? Szczególnie ktoś taki jak Starmach, szybujący nad tym punktem przez bezmiar czasu?

Beniamin.

Nowy punkt odniesienia. Tego nie dał mu nikt, nawet Malibu. Ona to jedynie smutne *cliché*, substytut, tyle razy przerabiał podobne gesty i wyznania. Kontury naniesione na siebie po raz kolejny, i znów...

Odnalazł prawdziwe uczucie – takie na śmierć i życie.

Nagi, Starmach drży. Obdarował mnie tak hojnie, myśli o Beniaminie, jakże mu się kiedykolwiek odwdzięczę...

Unosi powieki. Noc wlewa mu się przez oczy, zatapia serce. I po raz pierwszy od bardzo dawna cieszy go ta czarna powódź.

\* \* \*

Przewraca Malibu; siłą wciąga na nią ubranie, a ona w tym czasie okłada go gdzie popadnie. Klnie i drapie.

— Przestań! Zostaw mnie w spokoju!

Już wcisnął na nią spodnie, teraz przyszła pora na bluzkę.

— Odczep się ode mnie, skurczybyku! Zostaw!

Walczą na podłodze, spleceni ze sobą, zdyszani. Starmach silniejszy, ale Malibu ma ostre paznokcie, rozdziera mu policzek. On gryzie ją w rękę.

— Au! — z dziewczęcych ust wyrywa się króciutka skarga i nagle jej ciało nie stawia już oporu, wiotczeje.

— Po co to całe przedstawienie? — pyta Starmach.

Kłęcząc, kończy ubieranie.

— Proszę cię tylko o niewielką przysługę. Nie ma powodu do takiej hecy.

Na bluzkę wciąga sweter, sznuruje jej buty.

— Pójdiesz tam i przekażesz krótką wiadomość. To wszystko.

Z podłogi Malibu rzuca mu nienawistne spojrzenie.

— Nocą, na drugi koniec miasta? Chyba cię popieprzyło...

— Zrobisz to, dopóki jeszcze cię o to proszę.

— Całkiem niedawno nie protestowałeś, gdy zarzucałam ci, że spotykamy się bez zobowiązań.

Podnosi ją z ziemi i sadza na kanapie.

— Kochanie. Rznię cię od pół roku, niemal codziennie. Brak zobowiązań to ostatnie, co w tej chwili przychodzi mi do głowy.

W dziewczynie budzą się resztki animuszu.

— Nie pójdę! Ani mi się śni!

— A jeżeli powiem, że w innym wypadku cię zabiję?

Malibu wybucha śmiechem, więc nie ma innego wyjścia: otwiera okno, łapie ją za kark, tak jak łapie się małe psy, i wystawia wprost w objęcia lodowatego wieczoru. Wczepiona palcami w jego ramię dziewczyna pedałuje nogami nad ziejącą poniżej przepaścią – tylko kilka chwil, ale to w zupełności wystarczy – znalazłszy się z powrotem w mieszkaniu, nie odzywa się już ani słowem. Bezgłośnie płacze.

— Masz! — Wciska jej w zaciśniętą piąstkę kopertę. — Pod ten adres. Pytaj o Beniamina. Oddaj mu przesyłkę i powiedz, że to ode mnie.

— A co potem?

— Potem? — zastanawia się Starmach. — Nie wiem, co potem...

— Nie chcę cię już nigdy widzieć na oczy.

Nigdy. To dzień czy rok?

— Nigdy!

Dość tego! Wypycha ją za drzwi, nasłuchuje. Na klatce schodowej, *klip-klap*, rozbrzmiewają kroki. Starmach wygląda przez okno, chce mieć pewność, że dziewczyna odeszła wystarczająco daleko. Widzi jej sylwetkę, prostą igłę przecinającą żwawo kolejne korale światła rozrzucone pod latarniami. Czeką jeszcze jakiś czas i także opuszcza mieszkanie. Misja, z którą ją wysłał, zbyt wiele znaczy, to dlatego podąża za nią. Śledzi ją, gdy wsiada do autobusu, i później przez całą drogę aż do fabryki. Obserwuje uważnie otoczenie, gotowy w każdej chwili do działania.

To, co zamierza zrobić, to naprawdę poważna sprawa.

Po raz pierwszy od bardzo dawna zbliży się do kogoś.

Odmierza każdy krok dziewczyny, z przystanku przez mostek, z mostku przez zagracony plac, z placu wprost na spotkanie grupy terapeutycznej. Spotkanie, które zostaje gwałtownie przerwane z chwilą, gdy Benjamin odpieczętował kopertę i czyta wiadomość. Zdziwieni i oburzeni uczestnicy terapii opuszczają różową salkę, ich gniewne głosy pohukują w pustych wnętrzach, brzmia głucho w szybach wentylacyjnych – Starmach skrada się po dachu, te głosy wybuchają coraz bliżej, z każdym nowym mijanym kominem, wreszcie przewalają się nad nim jak fala, milkną, pulsując za plecami.

Ześlizguje się po rynnie nieopodal okna, przez które jeszcze nie tak dawno uciekał – wtedy ranny i pokonany. Metalowe okiennice załatano dyktą. Unosi jeden z jej rogów.

W nos od razu uderza go znajomy, ciężki zapach kadzideł.

Malibu siedzi na stołku i rozgląda się, zaciekawiona. Beniamin krąży wokół, raz po raz zerka to na nią, to na trzymaną w rękach kartkę. Z jego ruchów bije niepewność i niepokój. W swoim krótkim życiu nie spotkał się zapewne jeszcze nigdy z tak bezprecedensową szczerością.

Starmach napisał mu w liście: „Ta dziewczyna jeszcze o tym nie wie, ale niedługo poczuje niespotykany głód”. Chce, aby mężczyźni otworzyły się oczy na pewne sprawy.

Napisał do niego: „Przyjrzyj się jej szyi”. Napisał: „To prezent”.

Jeżeli tylko nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei, Beniamin będzie panaceum na cały ból Starmacha. Gdyby tylko uwierzył... I w chwili kiedy tak sobie myśli, mężczyzna wyciąga skądś długi ostry nóż. W mgnieniu oka na pierś dziewczyny rozlewa się gęsty połyskliwy diadem. W dziwnym świetle tamtego pokoju krew z poderżniętego gardła tryska jasna, niemal purpurowa.

Zadowolony Starmach odpływa na fali nocy. Wszystko co się teraz stanie, nie ma już żadnego znaczenia.

Na koniec: list zawierał jedną jedyną prośbę...

\* \* \*

Barowy mrok przyprawia wszystko, na czym osiada, dziwną lepłą szorstkością. Brzeg szklanki dotykany wewnętrzną stroną warg, tekturowa podkładka w palcach; samo mętne światło żarówek uwięzione w rozczochranych abażurach opada na skórę Starmacha gruboziarnistym pyłem. To ten sam bar, w którym odnalazł JAŁ, stwierdza ze zdziwieniem. Zastanawia się, czy wybrał ten adres podświadomie, czy też kierował się czymś więcej niż potrzebą znalezienia ustronnego miejsca. Myśli o tym i obserwuje drzwi, niedługo w szorstki mrok wejdzie przez nie... no właśnie. Kto przez nie wejdzie?



Popija drinka. To, co zaproponował w liście, wydaje się przecież szalone.

Czarny kwadrat drzwi – przenikają przez niego i znikają za nim stali bywalcy grajdołu. Mężczyźni i kobiety o zaspanych spuchniętych powiekach. Ale tylko Starmach rozpozna śmierć w chwili, gdy przez nie przejdzie. Śmierć, która jeżeli wszystko pójdzie według planu, będzie należała wyłącznie do niego.

Mrok tężeje z każdą chwilą. Budzą się wątpliwości.

Loch nie jest tak łatwy do odnalezienia, może źle pokierował swoim towarzyszem? Z niepokojem spogląda na zegar ścienny. Nie, czasu ma pod dostatkiem... Czas – czy to, że nagle tak dużo dla niego znaczy, to już zapowiedź przyszłych zmian? Odkąd to zwraca uwagę na jego upływ?

Beniamin pojawia się wreszcie. Spóźniony i zdenerwowany.

Stają naprzeciwko siebie – człowiek i wampir na ziemi niczyjej.

Starmach podnosi się znad stolika, kiwa ręką i wskazuje wolne miejsce. To bardzo ważny gest: niech nie okaże się płonny. Mierzą się wzrokiem i podczas gdy on z powrotem opada na fotel barowy, mężczyzna powoli zbliża się do stolika. Z kieszeni na piersi wyjmuje kartkę papieru i Starmach z zadowoleniem stwierdza, że list jest pomięty i sfatygowany, widocznie przegryzано się przez niego niejedną raz.

— Naprawdę chcesz podjąć taką grę? — pyta Beniamin bez ogródek.

Zadowolony Starmach sący kolejnego drinka, nie odpowiada, uśmiecha się tylko. Cieszy go sposób, w jaki rozpoczyna się ta rozmowa – bez owijania w bawełnę – niech to będzie proste i zwięzłe wyznanie.

— Dobrze wiesz, że nie dam ci najmniejszych szans. I tak zginiesz z mojej ręki.

Barman stawia przed Beniaminem kufel piwa, terapeuta od razu pociąga porządny haust.

— Mógłbym cię zabić choćby i teraz... — mówi zaraz potem, ale, o dziwo, w jego głosie nie ma groźby.

Starmach przytakuje.

— Tak. Ale byłbyś tchórzem.

— O czym ty mówisz?

— Ci wszyscy ludzie nie wiedzą, kim jesteśmy. Dla nich pewien anonimowy facet załatwiłby po prostu innego nieznanego. Stać cię na taką rozrzutność?

Beniamin ukrywa twarz w dłoniach.

— Nic nie rozumiem — dziwi się sobie samemu, głos przenika mu przez palce. — Siedzę w tej spelunie z... I rozmawiam o... O czym?

Chciałby wszystko spokojnie wytłumaczyć, ale czekał zbyt długo. Gorączkowo szepce:

— Posłuchaj, ludzki umysł nawet nie potrafi objąć samotności, która stała się moim udziałem. Ty czasami jesteś samotny na swój sposób, ale zamknie się to tylko w kilkudziesięciu latach twojego życia. Ja mam za sobą całe wieki tego uczucia. I następne przede mną. Straciłem już niemal radość z bycia wampirem. Prochy i wódka, spróbuj walczyć z nudą w wolnym czasie, kiedy ten czas rozciąga się w nieskończoność! Dzięki tobie mam nareszcie o co się martwić. Martwię się o siebie, bo wiem, że chcesz mojej śmierci.

Beniamin kręci głową, spuszcza wzrok.

— Prosisz mnie... O co ty mnie właściwie prosisz? To nie powinno się tak odbywać. Pogaduszki przy drinkach? Powinieneś... o kurwa, powinieneś sypiać w trumnie albo zamieniać się w nietoperza, albo...

— Daj spokój — przerywa mu Starmach. — Po co nam ten cały kiepski sztafaż? Sam mówiłeś: mamy dwudziesty pierwszy wiek. Jeżeli

sprowadzisz wszystko, co nami kieruje, do jednego potężnego uczucia, to okaże się, że właśnie w tej chwili trafiliśmy w samo sedno.

Pochyliła się ku swojemu rozmówcy.

— Chcesz, żebym sypiał w trumnie? Będę sypiał. Zrobię to dla ciebie, bo wiem, że naprawdę ci na tym zależy. Już tak dawno nikt we mnie tak mocno nie uwierzył.

— Nie wiem, co mam odpowiedzieć.

— Zgódź się.

Starmach kładzie swoją dłoń na dłoni Beniamina.

— Wiem, że masz teraz mętlik w głowie. Ale ja po prostu musiałem się z tobą spotkać. Dzięki tobie odżyłem. Tam, w twoim pokoju, gdy mierzyłeś w moją pierś kołkiem, byłem tak blisko śmierci jak jeszcze nigdy dotąd. Od tamtej pory jestem zupełnie nowym wampirem. Takim, jakim byłem wiele lat temu. Bo ostatnimi czasy, cóż, nie chcę cię martwić – odnosiłem wrażenie, że nikt już o mnie nie pamięta, prócz mnie samego. A i ta pamięć zbyt często poddawana była próbie. Dałeś mi szansę na spojrzenie na moje istnienie od nowa. Ja także ofiarowuję ci podobną okazję. Nikt już nigdy w nas nie uwierzy tak mocno jak my sami tu, w tej chwili!

— Ty? Ty masz dla mnie ofertę?

— Wampir i łowca wampirów. Zróbmy to tak, jak wiele lat temu, gdy tobie podobni brzęczeli naręczem krucyfiksów, a tacy jak ja tonęli w czarnych pelerynach. Poluj na mnie. I tylko na mnie.

Beniamin podnosi wzrok.

— I naprawdę jesteś na to gotowy?

— To bardzo dobra gra. Przyjrzyj się. Obaj wygrywamy.

\* \* \*

Rozpoczyna się czerwiec o dniach tak długich, że niemal nie mają końca.

Na kilka minut przed północą stalowoszary osad gwiazd wydestylował już niebo w błękit Turnbulla. Na Mokotów powoli osuwa się czapa nocy. Oddycha się pod nią z trudem, powietrze jest ciężkie, takie letnie noce sprzyjają bezsenności. Ulicami płynie potok nocnych marków, mocniej biją niezliczone serca, miesza się gorąca krew.

Na jednym z wciąż rozgrzanych słońcem dachów Starmach wyobraża sobie, że wbrew tak późnej porze to, co ogląda, to nadchodzący świt. Pił dzisiaj z tak wielu ciał, przypomniał sobie tyle smaków; w głowie aż kręci mu się od nadmiaru.

Wszystko wydaje mu się nagle inne, nieodgadnione. Lepsze.

Warszawa budzi się, mizdrzy. Ona też młodnieje.

To już kolejny tydzień ukrywania się, pułapek i forteli, do których uciekają się z Beniaminem. Naprawdę zabrali się do rzeczy z zapalem, którego Starmach nigdy by u siebie nie podejrzewał. Ten wigor... to nie przelewki. A Beniamin – wyjątkowo niebezpieczny. I tylko czasami Starmach zachodzi w głowę, czy padnie z jego ręki, czy też wcześniej pęknie od nadmiaru rozsadzającego go na nowo życia.

Nigdy niekończące się polowanie... Jak wiele zaczerpnąć można z tak głębokiego źródła? Uczucie ciągłego zagrożenia, które zawisło nad nim, to najślodszy z ciężarów, jaki kiedykolwiek spadł na jego barki. Dzięki niemu wie teraz, ile siły wkłada się w to, by znów stanąć na nogi, ba, by ruszyć z miejsca. Wszystkie piekielne noce, samotne monologi – niemal nie wierzy, że do tej pory tak żył. Wszyscy ci ludzie napotkani gdzieś po drodze, na smętnym szlaku trwania, także nabrali znaczenia. Nawet Malibu, której życie poświęcił, aby jego własne istnienie nabrało sensu – jest jej wdzięczny, a to tak rzadkie uczucie u wampira.

Noc zgęstniała. Pachnie jaśmin. Tłusty księżyc wspina się powoli – srebrna mucha tonąca w rozgwieżdzonym słodkim budyniu.

Gdzieś w mrokach Warszawy ostrzy się właśnie osinowy kołek.

Kto wie, czy ten kołek dzisiejszej nocy nie przebije serca Starmacha?

Wspaniałe uczucie.

Aż chce się żyć.

## **Trikkety-traketty-trak, albo ze szczęściem nie ma żartów**

Milion.

Potraficie to sobie wyobrazić?

A to? Mi-liard?... A i jeszcze: BILION!

Jak głęboko sięga wasze wewnętrzne oko? Z jaką prędkością się porusza? Ile zer przeskoczy bez mrugnięcia swoją widmową powieką – a każde zero to studnia nieskończoności. Czy zmierzy pustkę w szerz i wzdłuż? Jak nadaży za jedyneką na szczycie liczb, jedyneką, która pruje wzwyż i w dal niczym fantastyczna rakieta i znaczy swój lot pasmem tajemnicy?

Miliony, miliony miliardów...

Gdzie kończy się ludzka wyobraźnia?

Pokażcie mi granicę umysłu, a ja zapytam: czy można nie wiedzieć silniej niż inni, silniej niż podobni do ciebie bliźni?

A przede wszystkim skąd czerpać siłę do takiego postępowania?

\* \* \*

Och, przepraszam

Rozgadałem się, a nie zostaliśmy sobie jeszcze właściwie przedstawieni.

Na drugi raz przerwijcie mi, proszę... bez zastanowienia.

\* \* \*

*Echem-ekhem.*

\* \* \*

Witajcie.

Nazywam się Poldek Szulc. Mam pięćdziesiąt dwa lata, niemal metr dziewięćdziesiąt wzrostu, krępujący problem sporej nadwagi oraz zaleczone wrzody na żołądku, które zwykle, gdzieś w okolicach kolejnego listopada, zupełnie zapominają o tym, że są zaleczone.

Jesienią te małe sukinkoty rywalizują ze sobą o to, jak najbardziej dać mi się we znaki. Jesienią Maalox traci swoją cudowną miętową moc.

Poldek to zdrobnienie od Napoleon. Uprzedzam pytania widowni: nie mam żalu do rodziców. Oni i ich gust umarli już jakiś czas temu, świeć, Panie, nad ich duszami.

Co ciekawe, odeszli, a imię pozostało.

Taki żarcik.

\* \* \*

Spójrzcie teraz tutaj.

Oprócz oryginalnego imienia mogę się pochwalić kochającą rodziną, satysfakcjonującą pracą i niewielkim domkiem na schludnym przedmieściu prowincjonalnego miasteczka S. W garażu obok domu stoi nowy, lśniący samochód i dosłownie miesiące dzielą mnie od spłaty ostatniej raty kredytu, jaki na niego zaciągnąłem.

Mam też i skrzętnie ukrywany, sześćostrzałowy rewolwer marki Ruger Specjal z jednym nabojem w bębenu. Codziennie od ośmiu dni – tuż przed zaśnięciem – wymykam się na strych, przekręcam bębenek, przykładam sobie lufę do skroni i pociągam za spust.

I wiecie co? Na razie dopisuje mi szczęście.

\* \* \*

Napoleon Szulc.

Czy potrafilibyście wziąć kogoś, kto tak się nazywa, całkiem serio?

\* \* \*

Tamten dzień, w którym odebrałem mojego rugera. Zakup broni to żaden problem, trzeba tylko znać odpowiednich ludzi. Handlarz ze Stadionu skontaktował się ze mną po dwóch tygodniach od złożenia zamówienia. Spotkaliśmy się na mieście, gdzie jak gdyby nigdy nic dokończyliśmy transakcję.

Po powrocie do domu rozdarłem paczkę, niecierpliwym w dziecięcy, najbardziej szczerym na świecie sposobem – styropian rozsypał się po podłodze garażu.

Uhu! Słodko zaciążył mi w rękę. Ten gnat ważył całkiem sporo!

Nie jestem pistolecikiem na motylki z plakatów Jamesa Bonda!, szeptał, wydzielając zapach fabrycznego smaru, jestem paskudnym kawałem żelastwa

*Trik-trak*, tak brzmiał przeładowywany. *Trik-trak*.

Podobał mi się.

Granulat zmiotłem szczotką, papierowe strzępy wrzuciłem do kotła centralnego ogrzewania, kwit potwierdzenia odbioru pociąłem na cienkie paski i spaliłem w toalecie. Sam ruger wylądował za oddymiaczem – srebrną rurą biegnącą po bocznej ścianie garażu na wysokości wyciągniętej ręki. Miał tam czekać, aż się dowiem, po co go zamówiłem.

Zajęło mi to dokładnie rok i dwa miesiące.

Wydobyłem go z ukrycia dopiero kilkanaście dni temu.

Myślę, że ostatnimi czasy nie poradziłbym sobie, gdyby nie on.



Od ośmiu dni wiem to na pewno.

\* \* \*

Rozpoczynam dzień dziewiąty.

\* \* \*

Szanowni zebrani!

Wszystkie posiadane przez nas rzeczy nie znaczą nic, dopóki nie grozi nam ich utrata. Są jak oddech: obecne, lecz nieuświadomione. Miłe dla oka zabawki ułatwiające nam życie, użytkowe call girlsy: odgrzewają nam obiad, piorą ubrania. Przełączamy nimi programy w przerwie meczu – za każdym razem niechcący poprzez kanały z Erosem – wyposażono je w zbyt małe guziki, tłumaczymy się domownikom przyłapani na gorącym uczynku.

Od pewnych spraw nie da się jednak uciec.

Oddychamy i dopiero gdy braknie nam powietrza, poznajemy trud potrzebny do tego, aby wypełnić nim nasze płuca.

Rozumiecie to?

Macie problem, ponieważ pojawią się u was niespodziewani goście?

Ten cały bałagan. Zabierajcie się do sprzątanania!

Ale przedtem obwiążcie sobie głowę torebką foliową – wtedy złapcie za szczotkę albo odkurzacz. Gwarantuję, błyskawicznie przypomnicie sobie, co w życiu jest naprawdę ważne.

Ja bardzo długo, podobnie jak wy, cierpiałem na taką amnezję. Za długo.

\* \* \*

Pytanie z sali: „Dlaczego rewolwer?”.

Pozwólcie, że uprzedzę wszelkie wątpliwości!

Aż do wydarzeń, o których pokrótce opowiem, i ich skutków, których będziecie świadkami, nigdy nikogo nie zabiłem. Przynajmniej nie naumyślnie; oczywiście jeżeli ma to jakieś znaczenie. Dla mnie ma. Potrącony przez samochód pies jest tylko głupim psem, powie ci to każdy kierowca. Są rzeczy nie do obejścia na czterech łapach.

Ale dość tych truizmów. Ja o nich wiem i ty o nich wiesz.

Nie masz innego szefa niż kawał bydlaka.

Święte słowa, bracie.

\* \* \*

Przejdźmy do meritum.

\* \* \*

Wątek: Praca.

Moja firma parała się wydobywaniem i sprzedażą piachu. Zajmowaliśmy powierzchnię trzynastu kilometrów kwadratowych nieopodal Sanu, a w naszych rękach spoczywało sto dwadzieścia milionów metrów sześciennych złóż.

Ktoś powie: duża rzecz! Tyle surowca!

Ktoś rzeczywiście mógłby tak powiedzieć.

Mimo to najlepiej określił nasz interes mój najmłodszy syn – pewnego dnia stwierdził po prostu: „Kupa piachu”.

I tym byliśmy właśnie – obrabialiśmy ogromną pecynę rzeczno-błocka.

To także dotarło do mnie całkiem niedawno.

Tam, w tej firmie, piastowałem jedno z kierowniczych stanowisk, co po przełożeniu z zawilego języka biznesu oznaczało, że miałem pod sobą

około dziesięciu pracowników. Połowa z nich traktowała mnie jako służbowe utrapienie. Co najmniej trzech najzwyczajniej w świecie nie lubiło. Pozostałych dwóch od czasu do czasu wymieniało ze mną parę zdawkowych grzeczności, chociaż tak naprawdę nigdy do końca nie wierzyłem w ich czyste intencje. To byli goście „tego” gatunku, jeżeli wiecie, o co mi chodzi. Gady – pokaż im słabe miejsce, a ugryzą i spokojnie poczekają, aż padniesz.

Tak, tak, obejrzyjcie się przez ramię. Na was też ktoś taki właśnie czyha

\* \* \*

Wątek: Przełożony.

Moim bezpośrednim zwierzchnikiem był zwalisty facet, taki co to świętek i piątek z upodobaniem paradował w spranej roboczej koszuli z wyszytym na piersi A. MUSIAŁ.

Pan A. Musiał – brygadzysta.

Zawsze PAN Musiał. Niech nikt o tym nie zapomina!

Co za imię skrywała ta samotna literka przed starannym haftem nazwiska? Niestety nie zaspokoję waszej ciekawości.

Wszyscy zwracali się do niego po prostu: panie Musiał.

Niektórzy wymawiali to wręcz jak Mu-uu-usiał.

Czasami wydawało mi się, że tak odzywa się do niego nawet własna żona.

Panie Musiał, kibel zapchany, pan musiał znów coś zbroić.

Znowu żarcik.

W piaskarni mówiono o nim: Byku.

\* \* \*

Byku Musiał pracował przy wykopach od wielu lat i stanowił doskonały przykład tego, jak monotonia pracy sprzyja stopniowej ewolucji z człowieka w rasowego palanta

\* \* \*

Dygresja: Przekleństwo/Syndrom Tilgmana.

Odrobina historii!

Około roku 1870 pewien amerykański generał zapatrzył się przez poorane piaskowymi burzami szyby na zachód słońca nad pustynią. I podczas gdy jego towarzysze zerkali PRZEZ okno tak długo, aż słońce skryło się za wydmami i nadszedł wieczór, ów generał od dawna patrzył już tylko NA samą szybę. Bardziej zaprzętało go mlecze, wysmagane przez piasek szkło niż świetlny spektakl, który się za nim rozgrywał. Kilka miesięcy później pięćdziesięcioletni już wtedy wiarus wymyśla rewolucyjną metodę obróbki materiału – piaskowanie. Prosty jak drut sposób, który polega na czyszczeniu lub kształtowaniu powierzchni strumieniem sprężonego powietrza z dodatkiem twardych cząsteczek. Genialne! Od tamtej pory jest cholernie poważany przez każdego, kto tylko kręci się w piaskowym interesie. To dzięki niemu tacy jak my przynoszą dziś do domu ciepły chlebuś.

Koniec dygresji.

No i à propos Byka i pomysłowego jankesa: gdy wystarczająco długo pracuje się w piaskarni, człowieka ogarniają wątpliwości: czy taki piasek służy na przykład do szlifowania wyłącznie martwych kamieni, ścian, szkła. Czy drobiny kwarcu, od lat wytrząsane przez nas z butów i wydłubywane z uszu, całe tony wynoszone przez główną bramę, uwięzione w ubraniu i porach skóry nie zasypują nam podstępnie trybików człowieczeństwa, nie ścierają na miąższości takich jak choćby... sumienie?

A Byku, co tu dużo mówić, trochę się już tego piachu w swoim życiu nałykał.

Słyszeliście może o tym zdarzeniu w Chinach: jeden z pracowników linii produkcyjnej układów scalonych niespodziewanie opuścił swoje stanowisko pracy i zaczął po kolei zabijać niczego się nie spodziewających, pochylonych nad drukowanymi obwodami kolegów? Szedł sobie wolnym krokiem i wbijał stalową pincetę w szyje wystające znad białych uniformów. Szybka, klinicznie czysta śmierć. Wyłączał ich po kolei niczym przełączniki na tablicach rozdzielczych.

Jest mały pracowity Chińczyk, *pstryk*, nie ma małego pracowitego Chińczyka.

Podobno osiągnął okrągły dwucyfrowy wynik, zanim policja przerwała w końcu ten krwawy spacer

Nasz mały Ping-Pong czy inny Yin-Yang najzwyczajniej w świecie zwariował.

Pokój jego biednej, żółtej duszy.

Za to Byku... O, on aż za dobrze wiedział, o co w tym wszystkim chodzi!

Pracował powoli i metodycznie.

I wcale nie miało znaczenia stanowisko, jakie piastował, stanowisko szefa, nie. Mówię całkiem poważnie: on uwielbiał upadlanie innych ludzi. Odmieniał to słowo przez wszystkie przypadki i tryby. Znał tysiące jego form. I co rusz odkrywał nowe.

Jego świat nie miał zadr i skaz, które przeszkadzałyby mu w obracaniu go do woli tak, aby patrzeć na wszystko pod wybranym przez siebie, gładkim kątem. To dlatego A. Musiał być taki niebezpieczny.

Ulubieńcy Byka to krótkoterminowi robotnicy przysyłani na staż z urzędu pracy.

Mówił o nich bez ogródek – skrótakisyny.

\* \* \*

Dygresja: Praca krótkoterminowa a urząd pracy.

Spieszę z wyjaśnieniem.

Koledzy i koleżanki, bracia i siostry!

Program Integracja.

W oparciu o wytyczne urzędników, którzy w trosce o dobro społeczeństwa łamią sobie głowy nad coraz usilniejszym uszczęśliwianiem go, powstał program mający na celu zintegrowanie środowisk z tak zwanego marginesu społecznego. Przy czym dla urzędników słowo „margines” miało jednostkowe i jednoznaczne zabarwienie: to wszyscy ci, których nie chcemy mieć zbyt blisko środka, schludnego białego środka naszego wspólnego kawiarnianego stolika ludzkości. I nie było ważne, czy dany osobnik za ten margines został wypchnięty, czy też ze śpiewem na ustach dziarsko tam wymaszerował.

Margines to margines.

Z tego to właśnie powodu tworzono w urzędzie pracy sztuczne, mieszane grupy, w których obok niebieskich ptaków stawiano w rzędki ludzi określanych mianem „nieprzystosowanych” – przy czym każdy wiedział, że tak mówi się o kimś nie za bardzo bystrym, kimś niezbyt udanym.

Proszę, mnożcie eufemizmy. Na zdrowie. Jako członkowie szczęśliwego społeczeństwa znacie ich pewnie całą masę.

Koniec dygresji.

\* \* \*

Powracamy teraz do dyskusji.

\* \* \*

Wątek: Prawa i obowiązki stażysty.

Wszystko odbywało się w następujący sposób:

Krótkoterminowi pojawiali się regularnie, co trzy miesiące. Czterech lub pięciu i, jak Boga kocham, niezmiennie dowodził nimi doświadczony kizior z długą historią na bezrobociu. Jeżeli urzędem pracy kierowała jakaś przemyślana strategia, w tym wypadku działała bez zarzutu.

Byku rozmawiał wyłącznie z samozwańczym „przywódcą”. Panowie zwykle dogadywali się już w przedbiegach, co dla całej wesołej paczki leni oznaczało jedno – święty spokój. Odpowiedzialność za ich niespokojne głowy w stu procentach brał na siebie urząd, chłopcy robili zatem, co im się żywnie podoba; byle tylko po powrocie ze stażu zaopatrzone ich w odpowiednio wypełnione papierzyska. Byku zazwyczaj nie rzucał kłód pod nogi tym, którzy dążyli do zdobycia potrzebnych dokumentów – kolesie raz-dwa odbierali należną dolę i tyle ich widziano. Płynący w przeciwną stronę równy strumyk pieniędzy z dopłat za działalność edukacyjną wpadał do kasy spółki.

Wszyscy tryskali zadowoleniem. Jedna szczęśliwa rodzina.

Od czasu do czasu jednakże Musiał w przypiływie „dobrego humoru” zostawiał sobie wybranego stażystę i ustanawiał go swoim pomocnikiem. A potem, ku uciechu załogi, udowadniał takiemu pechowcowi, jak szybko pomyli głowę z dupą.

Jednym z takich nieprzystosowanych biedaków okazał się młody, chorobliwie nieśmiały chłopak tuż po szkole specjalnej – Piotr Gajda – z racji swojej tuszy i chrapliwego śmiechu przezwany Prosiakiem Piotrusiem.

\* \* \*

Wątek: Ambicje Prosiaka.

Proszę teraz wszystkich o skupienie!

Szef bandy, z którą pojawił się u nas ten pechowiec, wyjątkowo antypatyczny lump Sobczyk, miał opinię, która wyprzedzała go niczym trująca chmura. Cwany i zarazem bezwzględny, w ciągu kilku ostatnich lat wykorzystał kulawe zasady działania urzędu pracy, wiodąc dzięki temu łatwe i wygodne życie. Sobczyk, w sobie tylko znany sposób, zaliczał corocznie bez mała kilkadziesiąt delegacji w S. i okolicach. A że język miał giętki, pięść zaś wyjątkowo twardą, liczył się z nim każdy, kto zgłosił się do programu integracyjnego. Wystarczyło krótkie spięcie, coś poszło nie po jego myśli, a on już uruchamiał dojścia i zanim ktokolwiek się obejrzał, do takiej piekarni, pralni czy innej firmy liczącej na unijne dopłaty, zamiast przypadkowej grupki krótkoterminowych zwała się paczka milczących zimnookich drabów; w dzień lub dwa rozmontowywali interes tak sprawnie, że szkody parokrotnie przekraczały wpływy do kasy. Widziałem firmy z hukiem rozłożone na łopatki za sprawą jednej pyskówki właściciela z tym całym Sobczykiem.

Byku wiedział o tym wszystkim tak samo dobrze jak ja, rozmowę z nim zakończył w mniej niż pięć minut. Właśnie usłużnie otwierał przed nim bramę wjazdową, kiedy niespodziewanie głos sprzeciwu podniósł... kto? Nie kto inny, tylko nasz Piotruś!

Biedak. Nikt go nie uprzedził, że w towarzystwie, w którym się znalazł, jego przypadłość nie pozostanie niezauważona.

To nie było tak, że Gajdzie brakowało klepki, nic z tych rzeczy. Powolny, ale nie głupi, takiego go znałem. Na swoje nieszczęście jednak, zakuty w zbroję naiwności, Prosiak gorąco wierzył, że naprawdę czegoś się u nas nauczy. Nie do końca pojmował, co to będzie za nauka, mimo to przelał w swoje postanowienie wiarę wystarczającą, aby zawładnął nim



majak „sukcesu” – góry złota na wyciągnięcie ręki po kilkutygodniowej harówce w piaskarni. No i Piotrek, wbrew swojej paczce, wykonał w tył zwrot, zawrócił do biura i stawił się na prywatnej audiencji u Musiała. Nie zraziły go opadnięta ze zdziwienia szczęka i purpurowe plamy, które wpełzły na szeroki kark Byka, a jego ciężki oddech nie zmroził mu serca. Widziałem to na własne oczy!

Prosiak błyskawicznie awansował na pomocnika brygadzisty. Puszył się i promieniał. Do następnego poranka.

Nazajutrz bowiem ze zgrozą odkrył, że Byku podstępnie połknął jego biedną upośledzoną dupę i zanim w swej dobroci ostatecznie zdecyduje się na jej zwrot, zamierza żuć te nieszczęsne cztery litery wyjątkowo długo.

\* \* \*

Po dwóch miesiącach stażu Gajda schudł piętnaście kilo, przestał się uśmiechać, a jego oczy przypominały ślepią łańcuchowego kundla. Każda głośniejsza odzywka wywoływała u niego dreszcze.

Widziałem, jak Musiał, przyczajony w swojej przybudówce obok największej piaskowej hałdy, wysysa z chłopaka życiodajne soki. Stary gad w swojej jamie. A teraz przyznam się wam, moi mili, do rzeczy najstraszniejszej. Byłem na miejscu na wyciągnięcie ręki i nie mogłem nic zrobić. Ja także pozostawałem w czyjejś władzy – współczucie zamieniałem na czystą gotówkę. Gotówką karmiłem sześciocyndrowego smoka z krainy kredytu. Oto do czego doszliśmy w naszych czasach: samochód na kształt blaszanego karalucha podstępnie rozpuścił we mnie i wygryzł całą miękką tkanę współczucia. Czy słowo „wstyd” może oddać to, co czuję?

\* \* \*

Wątek: Zgubiono, znaleziono...

Najdrożsi!

Przeskoczmy zatem do momentu, w którym przypomniałem sobie o wszystkim, co do tej pory bezmyślnie zawieruszyłem; o moim ukrytym w garażu rugerze i o paru jeszcze innych gorzkich prawdach.

Latem, pod koniec drugiego miesiąca poniewierki Prosiaka, pan Musiał stał na środku hali i w poobiedniej ciszy pomstował na cały klan Gajdów i na ich cholerny porąbany „gen... genotyp”, to sraczkowate łajno, z którego wyrosłeś, Pietrek, na mamę i tatę, czworonożne pupile, dziadka i bliższą i dalszą rodzinę, niedobory w edukacji, edukację jako taką, znowu na pupile, z którymi powiązał w przedziwny sposób drzewo genealogiczne Piotra, na pogodę, na wszystko wokół, a „wszystko” okazywało się właśnie Gajdy winą. Darł się wniebogłosey i bardzo mu się to podobało. Gdyby Prosiakowi wyrósł, jak w jednej z tych dziecięcych bajeczek, mały zakręcony świński ogonek, na pewno schowałby go pod siebie.

Byku dobrze o tym wiedział. I krzyczał jeszcze głośniej.

Trwała przerwa obiadowa. Leżałem na boku samotnie, ukryty pod łyżką spychacza. Słońce nie tak dawno jeszcze w zenicie, teraz z niemym hukiem meteorytu rozpoczęło upadek ku zachodowi. Niebo lało się na nas niczym wrząca stal. Druga zmiana etatowych robotników siedziała w skrawku cienia wokół głównego silosu. Przyglądali się całemu przedstawieniu z palcami wskazującymi w nosach – banda tępych, ogłupiałych po karmieniu orangutanów na wybiegu w zoo. Słońce prażyło; przyginało czerwone, spieczone karki do ziemi. Półprzytomne oczy ekipy omiatały zakurzoną podłogę, zatrzymując się to na Gajdzie, skulonym na środku, to na Musiale, stojącym w otwartych drzwiach cholernej przybudówki.

Wszędzie słońce.

Ustawione obok budynekczku puste beczki po ropie do koparek rozgrzały się do nieprzytomności. Blacha raz po raz rozprężała się z hukiem. Wszyscy omijali je z daleka. Przy najlżejszym dotknięciu ich niemal półpłynnej powierzchni, na skórze wyskakiwały ogromne pęcherze. Kierowcy ciężkiego sprzętu zabrali się właśnie do uzupełniania paliwa – przetaczali odrapane pojemniki z napisem Statoil, ubrani w ciężkie azbestowe rękawice, klęli przy tym głośno i złorzeczyli, przekrzykując głuchy, metaliczny stukot. Wokół śmierdziało zastarzałym potem i rozgotowanym smarem.

Musiał stał w progu. Kraciasta koszula powiewała lekko, wprawiona w ruch zefirkiem z okazałego biurowego wiatraka.

Ubranie na Gajdzie było lepkie, lgnęło do ciała.

— Słyszysz mnie? Do cholery, ty zjebie! Słyszysz?!

— Słyszę, słyszę. Słyszę, słyszę — powtarzał Gajda. Kiwał przy tym głową, jakby jednocześnie potakiwał i przeczył, i przeproszał, i dziwił się, że udaje mu się to wszystko naraz.

— Bo jesteś zjebem, prawda? Kompletnym zjebem!

Głos brygadzysty wznosił się nad nasze głowy, zapalał w rozgrzanym powietrzu i opadał deszczem ognia. Prosiak dygotał, ogarnięty mrozem w środku piekła.

— Jestem, jestem

— Panie Musiał! — przypomniał mu Musiał.

— Panie Musiał!

— Całym zdaniem, kurwa!

— Jestem zjebem, panie Musiał! — wykrzyczał ze spuszczonego wzrokiem.

Pod silosem rozpełzł się zduszony rechot. Spojrzeliśmy w tamtą stronę, Byk i ja.

— Co tam się dzieje? — warknął Byku.

— Nic, nic. To znaczy tego... Panie szefie! — Etatowi śmiali się do rozpuku. Byku najpierw zmarszczył groźnie brwi, później przyłączył się do tej bandy. Wszedł z przybudówki, wziął Gajdę za ramię i obrócił twarzą w ich stronę.

— Widzieliście kiedyś coś podobnego? — zapytał.

— Niiieeee!

— Co to według was jest?

— Zjeeeeeeeb! — odpowiedział mu zachrypnięty chór.

— Słyszałeś? Ha! Jednak nie mogę się mylić!

Gajda nie miał szans.

Wstałem z ziemi, podszedłem i klepnąłem Musiała w ramię.

— Skończ. To niczemu winne bieda...

Stary pchnął mnie ciężką łapą prosto w pierś. Gdy łapałem równowagę, moje robocze buty wzbiły kłęb suchego jak pieprz kurzu – tuman uniósł się i osiadł na mnie, na Piotrku. Na Musiale.

— To jest ważna sprawa, Szulc. Tatuś Musiał uczy tu tego skrótkisyndy prawdziwego życia. No co? Nie mam racji?

— Tak, tak, panie Musiał — odparł zupełnie ogłupiały Prosiak. Podniósł wzrok i na moment nasze oczy spotkały się w rozpalonym powietrzu. Małe, niewidzące, matowe, ugotowane oczka. Tak ugotowały się w tym chłopaku resztki wiary w bliźnich.

Wyciągnąłem przed siebie rękę. Kiwnąłem nią zachęcająco pomimo ostrzegawczego syku Musiała.

— Chodź — powiedziałem miękko. — Chodź. Na chwilę. Do cienia...

Prosiak drgnął.

— Napracowałeś się już dzisiaj...

Prosiak zachwiał się, potknął, zrobił coś jakby pół kroku w moim kierunku, ale w tym momencie Musiał kopnął go po łobuzersku w piętę i chłopak rozciągnął się jak długi na ziemi. Pawiany spod silosu ochryply z zachwyty. Ręce same złożyły mi się w pięści, ale wtedy zupełnie niespodziewanie Byku podał Gajdzie rękę, postawił go na równe nogi i otrzepał z pyłu.

Ośłupiałem.

— Co robisz, fajtłapo? — spytał Byku zawadiacko. — To się umorusałeś! — Poklepał go po plecach, aż zadudniło. — Co za chłopaczysko! Drugi miesiąc utrapienia. No, sam powiedz. Czy ja o ciebie nie dbam?

Pietrek był widocznie tak samo zdezorientowany jak ja, bo od razu się zachłysnął:

— Ależ dba pan, dba pan jak najlepiej!

— Oj, sam nie wiem, Gajda — powątpiewał dalej Musiał. — Chyba nie jesteś ze mnie zadowolony, co?

Nie dopuszczał Prosiaka do głosu.

— Wiesz co? Jako zadośćuczynienie na koniec stażu napiszę ci najlepszą opinię, jaką komukolwiek kiedykolwiek wypisałem. Co? Co ty na to? Będzie między nami sztama?

Gajda rozdygotał się od nowa, tym razem z nadmiaru nagłego szczęścia.

— Podskocz no do mojej chatki i opłucz ryja — zakomenderował Byku jowialnie. — Nie wypada, żeby pomocnik brygadzisty chodził umorusany jak nieboskie stworzenie.

Prosiak wystrzelił we wskazanym kierunku. Odprowadziłem go wzrokiem.

Tymczasem Musiał przyjrzał mi się uważnie, zlustrował zwinięte w pięści dłonie, bacznie przyjrzał się twarzy.

— Widzisz, Poldziu, ty dobra ciociu? Chłopak wie, jaka lekcja będzie dla niego najważniejsza — wycedził.

Zbliżył się powoli. Z całych sił przekonywałem moje nogi, aby nie rozpoczęły odwrotu.

— Chcesz uczyć innych, bekso, to zostań nauczycielem — warczał dalej. Wargi drżały mu jak u psa. — Tylko pamiętaj, Szulc – płace nauczycieli są niziutkie... Może ci nie starczyć na wszystkie zbytki.

Spojrzał w stronę parkingu, na którym zostawiałem moje zadłużone auto, potem znowu na mnie.

Staliśmy tak bez słowa.

— Dalej, Gajda! — huknął wreszcie niespodziewanie. — Wiesz już, kim jesteś. Teraz pokaż, co potrafisz. Idź i pomóż w załadunku ropy. Dalej! Pokaż tym opierdalaczom z koparek, jak się tu powinno pracować!

Po prostu wysłał go tam, pomiędzy te beczki.

Żar zakołysał sylwetką dzieciaka niczym wiatr wolnym płomieniem. Patrzyłem, jak ochoczo smaży sobie dłonie i nie mogłem zupełnie nic zrobić. Nie mogłem temu zapobiec.

Musiał czytać w moich myślach.

— Wypierdalaj. Broń się i najzwyczajniej w świecie wypierdalaj...

\* \* \*

Wieczorem Piotr Gajda wylądował na oddziale chirurgii.

Zabrała go tam karetka, nie wykonałby już samodzielnie ani kroku...

Co jeszcze chcielibyście, abym wam opowiedział?

Czy widział, co przytrafiło się jego ciału?

Ratownik powiedział, że nie, chyba za bardzo nie wie, gdzie się teraz znajduje, psze pana.

Spójrzcie pod: skala oceny przytomności Glasgow – otwieranie oczu na polecenie.

Czy wiedział, co mu się przytrafiło?

Pielęgniarka złożyła usta w ciup. Pan z rodziny? Tak, z rodziny... No to on teraz nie potrafiłby dodać dwa do dwóch.

Spójrzcie pod: skala Glasgow – kontakt słowny odpowiedź nieadekwatna, nie na temat lub krzyk.

Czy mógł się jeszcze bronić?

Lekarz założył ręce za głowę i spojrział w sufit. Skąd mamy niby to wiedzieć... Skąd mamy wiedzieć, gdzie teraz umknął?

Spójrzcie pod: skala Glasgow – reakcja ruchowa reakcja obronna na ból, wycofanie, próba usunięcia bodźca bólowego.

Razem: dziesięć punktów w piętnastostopniowej skali.

Pieprzony medyczny test na przeżycie! Co to w ogóle oznacza?! Kolejny etap „Jednego z dziesięciu”? A gdzie należne każdemu cholerne trzy szanse?!

Spokojnie, tylko spokojnie – ratownik, pielęgniarka i lekarz wyprowadzili mnie przed izbę przyjęć.

Powiedziano mi, że nie czas teraz na załamywanie rąk. Powiedziano – to umiarkowane zaburzenia przytomności.

Umiarkowane...

Wiem swoje.

Tydzień później Prosiak dyskretnie pojechał z powrotem do swojej szkoły specjalnej. Po miesiącu po cichutku zwolnił zajmowane łóżko. Podobno jego stan gwałtownie się pogorszył ze względu na zaburzenia gospodarki elektrolitowej organizmu spowodowane zbyt długim przebywaniem na słońcu.

Wiem swoje.

Ludzie nie podcinają sobie żył w wannie z powodu zbyt silnej opalenizny.

Jedyną rzeczą, jaka zaszkodziła Gajdzie, był pewien brygadzysta.

Pan Musiał. Byku.

\* \* \*

Uwaga, uwaga! Zbliżamy się już do końca tej historii!

Zapewniam, że teraz nastąpi najlepsza jej część, zwrot akcji, apogeum, clou i grande finale!

Wątek: Ze szczęściem nie ma żartów.

Tak jak mówiłem, osiem dni temu po raz pierwszy padło pytanie: czy to już teraz? Nocą ukryłem się na strychu. W oczekiwaniu na odpowiedź, skupiony, przyłożyłem ucho do wylotu lufy, do owalu tych niewielkich czarnych ust... I usta pozostały ciche; trzasnęła iglica – *trik!* Nie. Jeszcze nie.

Osiem dni temu poszedłem pod pewien dom na przedmieściu, z gazem pieprzowym w jednej kieszeni kurtki i kłębem stalowej linki w drugiej. Pod pachą dyndał mi ruger – w takt kroków równomiernie obijał mi się o klatkę piersiową: przyczajone w kaburze, zimne, stalowe serce. Wsłuchałem się w jego tętno. Miarowy puls.

Powiedzcie sami, kochani, czy nie oddalibyście wiele za taką oksydowaną pikawę na wyłączność? Chowaną i wyjmowaną z ukrycia, kiedy się wam żywnie podoba? Obojętną na każde słowo, złe czy dobre, wrażliwą za to na wasz dotyk?

Ja ją miałem i czułem się szczęśliwy. Wewnątrz, w sobie, czułem pustkę. W ogólnym rozrachunku ta nagła próżnia okazywała się o wiele, wiele mniejsza niż sam rewolwer.

Piątek, pięćdziesiąte urodziny Musiała, wolne w piaskarni.



Cały dzień poświęciłem na przygotowywanie odpowiedniego prezentu dla Byka.

Brygadzysta i ja mieliśmy umówione spotkanie; spotkanie niespodziankę.

Wieczór i wyludnione ulice. Ostatni zbłąkani panowie domu wtaczali się na swoje podwórka dreptali chyłkiem do kuchni, do stołu, do stygnącego obiadu. Szachownice chodników świeciły pustkami.

W duchu wiedziałem, że tak właśnie zastanę Musiała – samotnego.

Powietrze po kocie mu tuliło się do twarzy, pachniało tak jak tylko piątkowe powietrze potrafi. Przesycała je ciężka nuta maciejki i stu innych letnich zapachów, i nikt nie odróżniłby, gdzie kończył się jeden aromat, a rozpoczynał następny; otaczały mnie ich tony i odcienie, smakowałem każdy z osobna. Ostrą, niemal cytrynową bryzę znad trawników, które świeżo skoszono przed sobotnim grillem. Cierpką nutę grządek pelargonii skropionych wodą z ogrodowych węży – żwir ciągle jeszcze rozgrzany po dziennym upale parował z całą mocą.

To powietrze nie sączyło się w płuca tak jak zazwyczaj, lecz nabierane ustami przelewało przez gardło na podobieństwo młodego wina. Uderzało do głowy.

Ślizgałem się po nim, kochani. Frunąłem.

Za kwadrans lub dwa, gdzieś na końcu mojego dzisiejszego spaceru, otworzą się przede mną drzwi, a zza nich wychynie grubo ciosana twarz Musiała.

Wiedziałem, że odwiedzę go, zanim pojawią się pierwsi goście, zanim ktokolwiek pofatyguje się i zajrzy, czy aby na pewno przygotowania do szalonego pięćdziesięciolecia posuwają się naprzód. Będę tam nawet przed panią Musiałową, tonącą teraz zapewne wśród toreb z piwem i zakąskami, uwięzioną na parkingu supermarketu po drugiej stronie miasta. Panią

Musiałową, która załamuje ręce i tłumaczy wezwanej pomocy drogowej, że sama nie wie, jakim cudem zatarła silnik we własnym samochodzie.

To żaden cud. To piasek. Dosypałem go jej do baku.

Piach... Przyznajcie sami: ironia losu.

Przyznajcie sami: nie mogło to zostać lepiej rozegrane.

Ustał wiatr i zapanował wszechobecny spokój.

Krok za krokiem, byłem coraz bliżej spełnienia mojego wielkiego planu.

Kolejny samochód minął mnie niczym widmo.

Dotarłem do domu Byka tuż przed zachodem słońca. Obszedłem budynek i przycupnąłem na niewielkim ganku od strony kuchennych drzwi.

Maciejka pachniała tak mocno, że przyprawiała niemal o obłęd.

Rozświetlone okno w salonie migotało wesoło, zachęcało, aby zajrzeć w nie jak w oko kalejdoskopu. Byku leżał na kanapie przed telewizorem. W samych tylko slipkach cierpliwie oczekiwał na wieczorną popijawę. Włosy miał świeżo wyżełowane, zaczesane do tyłu. Na stole, ułożone w kostkę, spoczywało odświętne ubranie.

Uspokoilem oddech. Oto nadszedł mój czas.

*Stuk-puk...*

Byku otworzył mi drzwi; na jego twarzy malowało się zaskoczenie. W jednej chwili życzyłem mu wszystkiego co najlepsze, kopnąłem w jądra i zużyłem całą zawartość buteleczki z gazem pieprzowym. A gdy półprzytomny zwałił się na podłogę, mocno związałem mu ręce i nogi stalową linką i zataszczyłem do pokoju gościnnego. W telewizji leciała powtórka *Czterdziestolatka dwadzieścia lat później*. Podkręciłem fonię. Rosiewicz śpiewał:

„A świat ciągle ci płata kawały swe, chce cię na deski kłaść, na karuzelę stołków za późno już, ponadto mógłbyś niezbyt miło spać”.

Powiedzcie sami: co za zbieg okoliczności.

Na dywanie u moich stóp, nie tak już piękny, Musiał rzeźił i krztusił się na potęgę. Poradziłem, żeby robił głębokie wdechy, wtedy szybciej ustanie działanie gazu.

— Duszę się, ty skurwysynu!

— Spokojnie. To tylko kapsaicyna. Twój mózg zaskoczył właśnie w tej chwili, że połknąłeś za jednym zamachem pięć tysięcy papryczek tabasco.

Wyjąłem miętusa, przegryzłem na pół; drugą połówkę schowałem na później.

— Właściwie to i tak niewielka tortura dla kogoś takiego jak ty — zwróciłem się do Byka pouczająco i nadmuchałem balon. — Chętnie zmusiłbym cię do zezarcia każdej z takich papryk jedna za drugą, po kolei. Na to jednak, mój drogi, nie starczy nam dzisiaj czasu.

Musiał wbił we mnie załzawione czerwone oczka. Z nosa ciekły mu glutu. Patrzył tak na mnie dyszący i usmarkany po pachy, aż wreszcie zupełnie bez ostrzeżenia z dzikim wrzaskiem zaczął się miotać po podłodze. Linka wpijała mu się coraz głębiej w skórę, podczas gdy ciskał się jak złapana na haczyk ogromna ryba, tłukł o wszystko piętami, łokciami i potylicą. Na wszelki wypadek zawiązałem mu na głowie gruby koc. Był mi potrzebny przytomny.

*Ehe, ehe, eh, eh*, stękał spod koca, a zawiązany na nim naprężony stalowy szpagat wygrywał cieką jednotonową melodię.

Pieprzowy spray i zapach świeżego potu wypełniły pokój, otworzyłem okno w kuchni. Wieczorne ptaki śpiewały na cały głos, zupełnie niezrażone postękiwaniami Byka.

Latem, w piątkowe wieczory ptaki zawsze śpiewają najpiękniej.

Do salonu wróciłem, dopiero gdy Byk na dobre się uspokoił.

— Wyhuczałeś się? — spytałem i poklepałem tłumok, spod którego dochodził charczący oddech. Całe ciało Musiała lśniło od potu. Szarpnął się

jeszcze parę razy.

— No, no. Dobrze już, dobrze. Nikt nie zarzuci ci, że poddałeś się bez walki. Zadowolony?

Koc stłumił odpowiedź.

— Odkryję ci usta, ale jak Boga kocham, jeżeli masz zamiar od nowa podnosić raban, to dobrze się zastanów. Zostało mi jeszcze trochę tej pikantnej perfumy i nie będę się zastanawiał, czy wylać ci ją ponownie na gębę.

Zsunąłem tkaninę na tyle, że nie odkryłem mu oczu. Musiał przygryźć sobie dolną wargę; krew zabarwiła mu zęby na czerwono, pocięła po brodzie. Splunął nieporadnie. Zanim się odezwał, poruszył parokrotnie ustami, jakby układał w głowie dłuższe przemówienie.

— Rozumiem, że darujemy sobie zbędny wstęp i od razu przeskoczmy do momentu, w którym pytam: czego chcesz?! — wychrypiał.

Milusi, jak zwykle.

— To zależy — odparłem.

— Niby od czego?

— Od tego, jak bardzo liczysz na uzyskanie odpowiedzi. Od tego, jak bardzo mnie teraz zwodzisz, jak mocno grasz na czas.

— Całuj mnie w dupę, Szulc. Zorientowałem się już, że nie przyszedłeś tu na darmowy tort i fotkę z pijanym jubilatem!

Znów sięgnąłem po miętówki.

— Hej, jesteś tam? — sapnął Byku i uniósł głowę.

— Jestem, jestem. Nic się nie martw.

— No to czego się nie odzywasz?

— W tym układzie działają pewne zasady: masz na przykład prawo formułować swoje wątpliwości w formie zapytania. O tym jednak, czy zostaną one rozwiane, decyduję ja.

— Gadasz jak przetrącony, dupku.

Zacisnąłem zęby i przestałem żuć.

— W porządku. To też nic ci nie da. Chociaż przez moment prawie mnie miałeś...

Musiał parokrotnie walnąć głową o podłogę, kłęb koca podskoczył niczym piłka.

— Ty skurwysynu! Ty nędzny tchórzliwy skurwysynu!

Walnąłem go na odlew, pod wpływem impulsu – pod pięścią chrzęst siekaczy.

— Widzisz, co narobiłeś? — warknąłem. — Zanotuj to jako swój mały sukces. Jeszcze dzisiaj rano obiecałem sobie, że cokolwiek się stanie, nie dam ci się wyprowadzić z równowagi.

Musiał koniuszkiem języka sprawdzać uzębienie.

Possałem rozbity kłykieć.

— Posłuchaj, kretynie — powiedziałem z naciskiem. — Znam cię od dawna, nie jesteś zbyt bystrym facetem. Ale nawet taki bagienny muł jak ty musi zdawać sobie sprawę, że związany i obezwładniony powinien zachować przynajmniej pozory grzeczności.

— Wybij to sobie z głowy. Nie dam ci tej satysfakcji.

— Rób, jak chcesz... Drugi raz nie nabiorę się na ten sam numer.

— Pożyjemy, zobaczymy.

— Nie doceniasz mnie. Zaplanowałem każdy najdrobniejszy szczegół — zniżyłem głos. — Ale mimo wszystko lubię improwizacje. Widzę tu parę sprzętów, którymi obaj moglibyśmy się zabawić...

— Zaraz zwali się do mnie połowa osiedla! Moi kumple rozerwą cię na strzępy!

— Kumple? — parsknąłem. — Ty nie masz kumpli. Ostatni nieszczęśnik, którego nabrałeś na „bycie kumplem”, skończył marnie. Ale

ty o tym doskonale wiesz, co, Byku?

Musiał wziąć parę głębszych oddechów.

— A więc to tak. To jednak o NIEGI się rozchodzi... — powiedział z przekąsem.

— Bingo! — przyklasnąłem.

— Gajda — zaczął Musiał — i ty. Tandem dwóch niedorozwojów. Proszę, proszę... Powiedz, Poldek, kiedy to zapisałeś się do klanu Zjebowskich?

Powiedzcie sami: ten człowiek to czysta nienawiść.

— Poczekaj tu chwilkę, zaraz wracam.

Rozejrzałem się po salonie, ale nic ciekawego nie wpadło mi w oko. Za to w kuchennej szafce odnalazłem duży posrebrzany toster.

— Chłopak chciał tylko, żeby ktoś go docenił, a ty najzwyczajniej w świecie go zabiłeś. — Włączyłem toster do gniazdka. Za pomocą taśmy samoprzylepnej umocowałem go tak, że każda z dłoni brygadzisty znalazła się w oddzielnej przegródce opiekacza.

— Gdybyś mnie nie zdenerwował, pewnie oszczędziłbym ci tej małej lekcji dobrych manier.

Wcisnąłem włącznik. Zabrzęczały zwojnice.

Po chwili Musiał zamienił się w jeden histeryczny wrzask. Zatkąłem mu usta gałganem. Potem przez cały długi cykl pieczenia szeptałem mu do ucha dwa słowa.

Prosiak Piotruś.

Smród palonego ciała okazał się okropny – szczerze żałowałem, że nie zabrałem więcej miętówek.

\* \* \*

Wątek: Trikkety-trakketty-trak...

Moi drodzy, trzeba było widzieć to na własne oczy! Dłonie Byka spiekły się w dwa popękane steki. Zdjąłem koc, którym miał owiniętą głowę. W jego spojrzeniu wyczytałem tak długo oczekiwaną całkowitą uległość.

— Widzisz, Musiał. To właśnie coś, co nazywamy oparzeniem trzeciego stopnia — wyjaśniłem. — Człowiek miałby ochotę umrzeć, byle tylko ten ból ustał.

W tle opiekacz dymił i skwierczał w najlepsze.

— Oczywiście teraz wszystkie nerwy na twoich dłoniach są już dawno martwe. Nie czujesz nic. Ale droga do tej ulgi to droga przez mękę, prawda?

— Długo jeszcze będziesz mnie tak dręczył?

Tubalny głos Byka przerodził się w szloch.

— Ty mnie w ogóle nie słuchasz! Przecież mówiłem, że to tylko drobna nauczka. Sam nie jestem z niej zadowolony. Nie lubię niepotrzebnego cierpienia. Ale cóż, od samego początku prosiłeś się o nie ze wszystkich sił... Między nami mówiąc — dodałem i wyjąłem zza pazuchy rewolwer — teraz właśnie przejdziemy do sedna naszego spotkania. Nie powinno nam to zająć zbyt wiele czasu.

Zamglone, cierpiące oczy Musiała spoczęły na oksydowanej lufie rugera i od razu powróciła jego dawna czujność. Żrenice zabłyśły, odbiły czarną stal trójkątnego korpusu broni.

Z namaszczeniem wysunąłem bębenek, wyjąłem z kieszeni pojedynczy nabój i powoli włożyłem do komory.

— Widzisz, Musiał — powiedziałem, a on śledził każdy najmniejszy ruch moich palców. — Wbrew temu, co teraz sobie myślisz, ja tak naprawdę nie chcę cię zabić. Gdybym chciał twojej śmierci, darowałbym sobie całe to marne przedstawienie. Całą gadkę. Nie lubię gadać z takimi jak ty. To jak tarzanie się w gnoju. Człowiek czuje się potem brudny, nawet

w ustach pozostaje okropny smak. Niemniej wiem: kto jak kto, ale ty na śmierć zasłużyłeś. Widziałem, co robisz ludziom, te wszystkie okropne rzeczy. Ukryłeś się za fasadą drobnomieszczaństwa i udajesz porządnego obywatela. Hej, ja się na to nie nabrałem. Dla mnie jesteś mordercą.

— Ty też nim zostaniesz! W chwili gdy pociągniesz za spust!

Wsunąłem bębenek i obróciłem go parę razy wokół osi. Co za rozpaczliwy argument.

— I tu się mylisz, Byku — odparłem. — Byłbym mordercą, gdybym zapakował cały magazynek i rozwalił ci łeb. Ale ja tego nie zrobię.

Pokazałem mu broń tak, by dobrze jej się przyjrzał.

— Spójrz. Tylko jeden nabój. Los zadecyduje za mnie. Jeżeli takim kanaliom jak ty zdarza się od czasu do czasu wielki fuks, to módl się, abyś właśnie odnalazł go w tej chwili.

Przystawiłem mu lufę do czoła.

— Zaraz, zaraz! — wydyszał Byk. — A co z tobą? Do chuja pana, to przecież nic innego tylko rosyjska ruletka! Ty też musisz w nią zagrać!

— Ja już mam to za sobą.

— Mam tak, na słowo, uwierzyć ci, że próbowałeś?!

Pokiwałem głową

— To kolejna lekcja. W odróżnieniu od ciebie są jeszcze na tym świecie ludzie trzymający się żelaznych zasad.

Próbował dyskusji, ale wepchnąłem mu w usta róg szorstkiego koca.

— Przepraszam, ale w ten sposób to się nigdy nie skończy. Szkoda mojego czasu. Zrobimy to tak szybko – *trik-trak, trik-trak*. Zrobimy to dokładnie właśnie tak – *trik-trak, trik-trak*.

Zagraliśmy. Zdziwienie w jego okrągłych załzawionych ślepiach wygrało nawet ze śmiercią. Pozostało w nich długo po tym, gdy po trzasku iglicy zamarły wszystkie inne dźwięki; nawet świszczący oddech.



\* \* \*

Od ośmiu dni problem pod tytułem pan A. Musiał nie istnieje.  
Pięćdziesięciolecie trafił szlag.

\* \* \*

Kochani!

Wy wszyscy, po drugiej stronie szyby, wieczorni przechodnie, ze swoimi wieczornymi sekretami.

Dobrnęliśmy do końca tej opowiadki.

Spoglądam na was z zacisza mojego poddasza. Moja widownio, która tłuże się niespokojnie dzień i noc. Każdy wasz uczynek będzie osądzony. Widzę dużo, a będę widział jeszcze więcej.

Pytanie: Kto z nas ma rację?

Pociągam za spust...

Cóż to?! Znowu mi się udało!

Jak długo to jeszcze potrwa? Wiem, policja już wietrzy mój zapach, ale minie trochę czasu, zanim gliny się połąpią, o co w tym wszystkim chodzi. Na razie zabawa trwa. Jak bardzo zapobiegliwi są ci handlarze bronią! Razem z moim rugerem przesłali dwa opakowania naboju, po trzydzieści sztuk każde. Na początek wystarczy. Robię tu w sąsiedztwie trochę porządku i zrobię jeszcze więcej, zanim, no cóż, powinie mi się noga.

Jedno natomiast wiem na pewno: ci, którzy grają fair, wcześniej czy później niech oczekują sukcesu.

Zabójca, mówicie? Nie, moi drodzy. Wszyscy mamy równe szanse. Przecież codziennie wieczorem stawiam sprawę nadzwyczaj jasno – albo ja, albo wy.

A skoro na razie szczęście jest po mojej stronie, powiem tylko tyle:

Bądźcie grzeczni. Kochajcie się. Pomagajcie sobie nawzajem.

Musimy trzymać się razem, bo inaczej cały świat zejdzie na psy!

Weźcie to sobie głęboko do serca, bo kiedy was odwiedzę, nie będzie czasu na zbędne wyjaśnienia. Będziecie tylko wy, ja i ruger z jednym nabojem w bębunku. A ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszycie, będzie być może suchy trzask iglicy.

*Trik-trak!*

No, powiedzcie sami – za nic nie chcielibyście go usłyszeć? Prawda?

\* \* \*

Rozpoczynam dzień dziesiąty.

## Krótką ballada o przemienieniu

Brzeg morza. Brązowy garnitur na plaży niczym zwiędły liść. Dnieje. Od Gdańska wiew spalin i stali. Miasto uderza w betonowy dzwon obowiązku. Szkło i aluminium, asfaltowe arterie, sznury czerwonych świateł stopu. Ludzie budzą się, myją, ziewają – z tym dziwnym poczuciem ni to zaspania, ni to zdziwienia, że zaskoczył ich kolejny dzień, poranek, nieświeży oddech. Ci, którzy mają dzieci, pożegnali je i wyszli pośpiesznie do pracy. Ci bezdzietni chcieliby je mieć w tej chwili bardziej niż w jakiegokolwiek innej – z ociąganiem zamykają za sobą drzwi pustych mieszkań, wzdychając.

\* \* \*

Potem. Okolice Gdańska. Wstaje świt.

Otwierają się drzwi rodzinnych sklepików, bramy supermarketów. Urzędnicy w centrum wypełniają sobą duszne korytarze biurowców, kapilary stalowego organizmu; niczym białe krwinki rozpoczynają walkę o przetrwanie, wprawiają w ruch pajęczynę telefonicznych kabli.

Żarzą się silikonowe opłatki procesorów ich tabletów. Miasto powoli otwarło swoje wszystkowidzące oko; w cyklopowej źrenicy przejrzało się niebo.

Na skraju wilgotnego piasku usiadł samotny nagi mężczyzna i ze spokojem popatrzył na morze.

Maks Wuk. Jego oczy o granatowym odcieniu morskiej wody. Przyszedł tu specjalnie dla tej spokojnej ciemnej toni.

Trzy dni temu sam był częścią ruchliwej mozaiki miasta. Godnie zajmował powierzone mu miejsce, nadweręzał kark, bezustannie spoglądając w przyszłość. Nikt jednak nie uprzedził go, że dalekowzroczość, oprócz niewątpliwych zalet, ma także swoje wady. Pewne sprawy dziejące się tuż pod jego nosem, POWAŻNE SPRAWY, zaszły za daleko, gdy beztrosko spoglądał na horyzont przepełniony możliwościami. Dopiero bijący w twarz odór rozkładu wymusił na nim trzeźwe spojrzenie.

Fala obmyła bosc stopy Wuka i wyrwała go z zadumy. Gdzieś na drugiej półkuli nadchodził przypływ.

Przypływy i odpływy, pomyślał Maks. Wstał i założył wilgotne ubranie. Wszystko przychodzi i odchodzi jak woda. Tylko szlam, jaki zostawia, wydaje się za każdym razem niezmienny.

Uśmiechnął się do tej myśli, powinien ją zapisać. Sięgnął do kieszeni marynarki, ale atrament z pióra wiecznego, które tam zawsze trzymał, wylał się prosto na jego ręce.

— Gówno — powiedział na głos i cisnął pióro do wody.

Ruszył powoli brzegiem plaży, w samych tylko spodniach i wilgotnej marynarce narzuconej na ramiona. Buty niósł w rękę.

Zerwała się lekka bryza. Pojawiały się kolejne, nieśmiałe jeszcze fale. Szedł na styku dwóch żywiołów, depcząc pianę. Ślady stóp ginęły pod wodą, jakby Maks nigdy nie istniał.

Woda nie miała kształtu ani formy. Dlatego tak doskonale zapominała.

Zupełnie sam.

\* \* \*

A było to tak:

Samochód zahamował metr za kobietą. Taksówkarz opuścił szybę po stronie pasażera.

— Dokąd? — zawołał, przekrzykując ruch uliczny.

— Gdzie najdalej mogłabym pojechać? — spytała nieznajoma i ręką oparła się o dach samochodu. — Macie jakieś tam... ograniczenia długości kursu?

Kierowca wciągnął powietrze przez zęby. W tym mieście zawsze ktoś ucieka, pomyślał, a mało kto wie, przed czym. Trzeba się mieć na baczności.

— Moglibyśmy ruszyć w całkiem daleką trasę, psze pani. Ustka, Hel. Ale może, tak dla mojego kaprysu, uzgodnilibyśmy jakieś konkretne miejsce?

Zanim dokończył, trzasnęły drzwi.

— Świetnie. No to po prostu jedź. Za miasto — padło z tylnego siedzenia.

— Ale co do...

Potrząsnęła mu przed nosem plikiem pieniędzy.

Kierowca zastanawiał się chwilę, wreszcie włączył taksometr.

Jechał powoli, raz za razem zmieniając pas. Robił tak, bo był starym, doświadczonym taksówkarzem, i wiedział, że zbiegowie często poddają się już na samym początku swoich wielkich ucieczek. Miasta zawsze mieszały ludziom w głowach. Każdy prędzej czy później chce wiać. Zmiana kierunku jazdy wymuszała kolejne spojrzenia we wsteczne lusterko, wtedy ukradkiem zerkał na swoją pasażerkę. Niebrzydka – odpowiadała dokładnie tej kategorii.

Może tylko powinna bardziej zadbać o twarz. Twarz miała taką... surową.

Burza jej kasztanowych włosów zasłaniała część tylnej szyby i tak jak każda burza niosła ze sobą dziwny zapach, wilgotny i drażniący. Gdy potrzęsała głową, zapach nasilał się, zawsze był jednak na samej granicy wyczuwalności. Kierowca pamiętał pewnego rottweilera, psa należącego do wujka z Mazur. Gajowy Zdzisław Remuta. Pamiętał z dzieciństwa, że zawsze kiedy wracali z polowania na kaczki, za wujkiem ciągnęła się smuga takiego słodkawego, duszącego zapachu. W zimie nad Śniardwami ptaki urządzały swoje wiece, chwilami zamieniając niebo w ciemny dywan piór i skrzydeł. To odgłos strzałów podrywał je z wrzosowisk. Tak też musiały się poderwać, gdy Zdzisiek dowiedział się, że jest chory na raka i, nie mówiąc nic nikomu, zastrzelił się pewnego odległego lata...

... szarpnął kierownicą i w ostatniej chwili ominął wchodzącą w zakręt ciężarówkę.

Zapomniał się. Zapach przywoływał wspomnienia. Ostrożnie pociągnął nosem. Kobieta zauważyła to; apaszką związała brunatne loki w koński ogon.

— Przepraszam — powiedziała. — Nowa odżywka. Cieleńca keratyna czy coś. Niektórych odrzuca. Mam nadzieję, że to wytrzymasz... Teodorze Wójcik — dodała, spojrzawszy na tabliczkę z licencją.

— Proszę mi mówić Tedi. I nie, nie przeszkadza mi jej zapach. A skoro przeszliśmy już na „ty”, a przed nami taka długa droga, może ja także poznałbym twoje imię? — zapytał Tedi i uśmiechnął się lekko.

Wuj Remuta miał taki śmieszny zwyczaj, zawsze palił papierosa w długiej tutce zrobionej z...

— Nie PRZESZLIŚMY na ty, tylko ja zwróciłam się do ciebie po imieniu — głos kobiety zabrzmiał niespodziewanie ostro. — A zresztą co mnie to obchodzi — dodała po chwili spokojniej. — Róża jestem.

Wójcik poznał się na kłamstwie. To był unik zbyt jawny, taka subtelna kokieteria dla rozluźnienia atmosfery: „tożsamość na użytek podróży”. Nie miał jej tego za złe.

— Bardzo mi miło, Rózo — odpowiedział. I naprawdę tak się czuł.

— Mnie także, Tedi. Mnie także...

— To nie nasza wina, że mamy czasami gorsze dni, prawda?  
— indagował dalej.

— Prawda, Tedi. Prawda.

Sposób, w jaki odpowiadała na pytania, rozwiązał wszystkie jego dobre chęci – Wójcik zrozumiał, że na razie rozmowa nie wchodzi w grę. Zamilkli oboje, zapadła ta dziwna cisza, kiedy brakowi słów towarzyszy porozumienie.

Mimo to kobieta odezwała się po chwili:

— Zastanawiałeś się kiedykolwiek, CZYM jest Prawda?

Tedi wbił wzrok w pożeraną przez samochód drogę. Prawda. Nie, nigdy nie roztrząsał, czym jest. Używał takich pojęć, jak uczciwość, prawdomówność, ale te słowa budowały pojęcie Prawdy. Nie były nią samą.

— Wydaje mi się... — zaczął, ale zaraz poczuł w głowie pustkę.

— Właśnie — zawyrokowała kobieta, jakby takiej odpowiedzi oczekiwała.

— W mniejszym lub większym stopniu wiesz, czym jest — ciągnęła zamyślona. — Ale opis umyka słowom. Mimo to wszyscy dobrzy ludzie chcą się nią kierować. Czy to nie jest zastanawiające?

— Nikt nigdy nie widział Jezusa, Buddy i kogo tam chcesz, a wielu postępuje zgodnie z ich zasadami. Z Prawdą jest chyba podobnie, Rózo.

— Wybacz, ale nie mieszajmy w to sił nadprzyrodzonych. To tandetne.

— Tandetne? — zapytał zdziwiony i ślimakiem zjechał z szerokiej ulicy centrum na wąską jednopasmówkę przedmieścia.

— No tak. To żonglowanie pojęciami. Ja na przykład nie wierzę w nic, ale mimo to tak to odbieram. Kuglarstwo. Mnie naprawdę chodzi o szczerą odpowiedź.

Tedi stanął na światłach, wrzucił luz. Zbyt skomplikowane, zadecydował. Po co komu zastanawiać się nad Prawdą? Ważne, by istniała. Wtedy łatwo rozpoznać jej brak. Roztrząsanie charakteru Prawdy to prawie to samo co poszukiwanie mitycznej przyczyny istnienia smaźalni ryb nad Bałtykiem. Nikt nigdy nie znalazł tej, od której wszystko się zaczęło, a przecież wszyscy z nich korzystają i nie zaprzatają sobie tym głowy, no nie? Powiedział jej to, zanim ruszyli na zielonym.

A potem przypomniał sobie: ołowiana kula dużego kalibru przewiercająca czaszkę i chory, powoli ginący mózg Zdzisława, w którym zagnieżdził się robak nowotworu, były prawdziwe. Najprawdziwszy był koniec jego, jakiegokolwiek ono było, życia. I palec pociągający za spust. I spierzchnięte usta, których jeden kącik ściemniał od papierosowej fifki, tak samo ciemny na czarnej oksydowanej lufie karabinu. A potem w jednej tysięcznej sekundy, odmierzonej cichym uderzeniem iglicy w zapalnik, to WSZYSTKO stało się nieprawdziwe. I nagle Zdzichu – myśliwy, pijak i lubieżnik pakujący łapy pod koszulki przygodnych barmanek – zamienił się w Zdzisława, zasłużonego członka koła strzeleckiego, wieloletniego prezesa okręgowego wydziału Związku Kombatantów, Zdzisława – „Co to był za chłop!”, Zdzisława – „Teraz nie ma już takich facetów!”. I ci dwaj Zdzisławowie, ten pachnący samogonem, i ten, od którego zalatywało zwiędłymi kwiatami, naftaliną z trumiennego garnituru i sosnowymi trocinami rozsypanymi obok katafalku – obaj byli prawdziwi. Obaj żyli kiedyś obok siebie i nikogo nie dziwiła ta rozbieżność.



Dość tego.

— Prawda — powiedział Tedi jeszcze raz i poruszył bezgłośnie wargami, jakby ostatecznie chciał uchwycić kształt tego słowa. Nie lubił rozterek. Białe przerywane pasy ruchu migwały na krawędzi wpatzonego w dal wzroku.

W ustach – smak zagadki.

\* \* \*

Tymczasem, w pewnym hotelu w samym centrum miasta, stał wpatrzony w okno Maks Wuk. Wcześniej ze złością przyglądał się, jak damska sylwetka znika we wnętrzu taksówki.

Teraz obraz ulatniał się, ale pozostała złość. W nadmiarze.

To było do przewidzenia, myślał. Nie spodziewał się tylko, że wszystko przebiegnie tak szybko. Po prostu był zaskoczony.

Odwrócił się i rozejrzał po pokoju. Znalazł to, czego szukał, czyż nie? Pierwsza Małżeńska Pomoc rodem z ilustrowanych czasopism, tandetna papierowa scenografia. Co on sobie wyobrażał? Tak, teraz wie na pewno... To wszystko było do przewidzenia.

Wyrzucał sobie jedynie, że ONA tak go podeszła. Niemal uwierzył w ułudę, w możliwość naprawienia czegokolwiek. Głupiec. Za każdym razem popełnia ten sam błąd. Jest zbyt ufny. Ale i to się skończy.

— Ufność — powiedział do siebie; chciałby śmierci za każde takie słowo.

Zaufanie w pieprzonym małżeństwie – to po prostu niemożliwe. A on niemal uwierzył.

— Kochanie? — tak do niego powiedziała. Kochanie.

— Kochanie, tak sobie myślałam... Może powinniśmy pojechać nad morze. Zbliża się pełnia. Tam wtedy jest tak pięknie.

Przysunęła się bliżej na łóżku i objęła go nagą nogą. Maks poczuł, jak gdzieś w brzuchu przeskakuje mu iskra o napięciu miliona woltów.

— Wiesz, Maksiu — wymruczała. — Jak za starych dobrych czasów. Może spotkalibyśmy kogoś znajomego.

Wuk stężał. A więc o to...

— Myślałem, że znudziły ci się te szczeniackie zabawy?

— Mnie? Znudziły? — odparła rozleniwiona. Nuta nostalgii brzmiała w obu pytaniach. — Może nie miałam okazji dobrze ich sobie przypomnieć. A może tak naprawdę nigdy o nich nie zapomniałam...

— Domek jest za daleko.

— Dwieście kilometrów? A co to za odległość w dzisiejszych czasach.

Podjął tę grę. Mógłby wstać, mógłby wyjść pierwszy i nie dać jej szansy działania. Ale potrzebował dowodu na to, jak głęboko sięga jej zepsucie.

— Nie mamy znajomych, Marianno. A nie chcę ryzykować żadnych przygodnych znajomości. Świat nie jest już taki jak kiedyś. Sama to wiesz najlepiej.

Usiadła na łóżku. W półmroku dostrzegł rysunek nagich piersi.

— A Sasinowie? — podpowiedziała niewinnie. — Wyprowadzili się co prawda z miasta, no i od kilku lat nie mieliśmy z nimi żadnego kontaktu, ale kiedyś tworzyliśmy całkiem niezłą paczkę?

— Pewnie mają już dzieci. Z taką czeredą nikt rozsądny nie ruszyłby się dalej, niż musi.

— Dzieci? Od kiedy ty myślisz o dzieciach? — parsknęła. — Poza tym mamy dwudziesty pierwszy wiek. Od takich spraw są teraz opiekunki.

— Dobrze wiesz, że nikt z NAS nigdy nie wynająłby opiekunki. Oni nie stanowią wyjątku.

— Zrzedzisz. Gdybyś chciał, wymyśliłbyś coś.

— Więc może po prostu nie chcę?

Od sylwetki jego żony oderwał się podłużny cień. Przeczesala włosy. W powietrzu uniósł się ich zapach, gęsty jak syrop.

— Do niczego nie będę cię zmuszać — powiedziała i odwróciła się plecami. — Ślepy chyba jesteś, jeśli nie widzisz, jak się męczysz.

Całą noc miała nadzieję, że się do niej przytuli. Wiedział o tym. Chciała, żeby się poddał. Tyle że Maksa ta sytuacja wcale już nie bawiła. Leżał z otwartymi oczami – czekał, aż Marianna zaśnie. Wzrok znacznie mu się pogorszył ostatnimi czasy, to prawda, potrafił jednak jeszcze dostrzec pewne rzeczy. Jedna z nich zawisła wtedy nad ich łóżkiem. A on ją zlekceważył.

Uwierzył, że mimo wszystko ciągle jest górą.

— Zaufanie i wiara — powiedział do siebie i ponownie wyjrzał przez okno.

Należało mu się.

Drzwi otworzyły się, stanęła w nich sprzątaczką, przeprosiła i umknęła na korytarz.

Otworzył okno na oścież i dopiero wtedy poczuł, jak duszne i lepkie jest powietrze w pokoju. Wszystko to miało stęchły urok mydlanej opery. Mężczyzna, ucieczka, wspomnienia o żonie, podrzędny hotel. Sprzątaczką jako niemy świadek tragedii. Wuk liczył jednak na życie. I chociaż życie pisało zwykle wyjątkowo tandetne scenariusze, to nie zawiedzie go.

Właśnie! – nagle doznał olśnienia. Jeszcze nie wszystko stracone!

Podbiegł do łóżka i wtulił twarz w prześcieradło. Tu wymieszało się zbyt wiele śladów, by mogły się do czegoś przydać. Upadł na kolana i gorączkowo zaczął przeszukiwać podłogę. Pod nocnym stolikiem leżał kawałek złamanego paznokcia. Do pękniętej płytki przyczepił się kosmyk długich brązowych włosów. Podniósł go. Powąchał.

Był już pewien. Całkowicie pewien. A co najważniejsze: znał drogę.

\* \* \*

Dziewięćdziesiąt. Cyfra płonęła pośród niespokojnego półsnu.

Kolor zimny i dziki, błyszczał w mroku z dwuznaczną intensywnością. Róża wyczuwała przyczajoną w niej grozę.

Taksówka podskoczyła na wyboju i sen opuścił ją całkowicie.

Elektroniczny taksometr powoli odmierzał dziewięćdziesiąty pierwszy kilometr, ćwierkając przy tym miarowo, sennie, delikatnie... Cicho.

— Tedi! Natychmiast się zatrzymaj!

Taksówkarz szarpnął kierownicą.

— Na rany Chrystusa! — stęknął. Zwalniał. — Myślałem, że zejść na zawał.

Śpiew taksometru umilkł, gdy zjechali na pobocze.

Róża powtarzała sobie: niemożliwe. To nie mogło być prawdą.

Samochód toczył się jeszcze siłą bezwładu, a Tedi obrócił się, przełożył ramię przez oparcie siedzenia – jego rumiana dłoń zawisała tuż obok jej uda.

— Czy coś się stało? Skarbie, dałaś mi takiego boja...

— Gdzie jesteśmy? — spytała i odsunęła się poza zasięg tej ręki.

Wójcik zauważył jej ruch i wyraźnie się tym speszył.

— Pomyślałem, że skoro uciekasz, a ja chcąc nie chcąc, jestem twoim współnikiem, to dodam do tej wycieczki coś od siebie. Niedługo dojedziemy do Kadyn. Wymówiłaś tę nazwę przez sen...

— Gdzie TERAZ jesteśmy? — przerwała.

— Mijamy lasy nad wybrzeżem. Jeżeli chcesz odetchnąć morskim powietrzem, możemy nadłożyć trochę drogi i... Do plaży jest stąd niedaleko.

Plaża. Domek. Sasinowie w odległości stu kilometrów. Nie udało się jej uciec. Cały czas zbliżała się do NIEGO. Przecież to właśnie tam najpierw będzie jej szukał!

— Włącz światła! — zażądała. — Natychmiast!

— Światła? Nie gasiłem ich — odparł Tedi zdziwiony.

— Te drugie. Te, których się używa, kiedy jest naprawdę pusto i naprawdę ciemno!

— Halogeny? Jak na uciekinierkę masz dziwne zachcianki — skwitował jej prośbę, ale sięgnął do przełącznika.

Ciemność przed nimi pękła, zaskoczona.

— Och, OK. Dobrze. Możemy jechać.

— Myślałem, że potrzebujesz...

— Nie, nie. Coś mi się przyśniło. Jedźmy. Zostaw tylko te światła.

— W porządku. Ale kiedy będziemy kogoś mijać, muszę je wyłączać.

Na twarzy Róży odbiło się wahanie.

— Gaś je tylko, kiedy naprawdę będzie to konieczne. I nigdzie się nie zatrzymuj. Prosto do Kadyn.

Dwa snopy światła na powrót położyły się na ciemnym asfalcie. Mijały minuty, jechali bez słowa. Cienie, zamiast znikać, stawały po obu stronach drogi w gęstym dwuszeregu.

— Co to było? — Taksówkarz pierwszy przerwał milczenie.

— Co – „co”?

— To, co tak cię przestraszyło, we śnie. To, przed czym uciekasz. Powiesz mi wreszcie?

Dziewczyna objęła rękoma zagłówek siedzenia kierowcy i wtuliła policzek w ciemną futrzaną tapicerkę. Kątem oka Tedi zauważył, że baczenie mu się przygląda.

— Tak naprawdę nie mam na imię Róża...

Tedi uśmiechnął się. Ona cały czas oczekiwała na rozgrzeszenie.

— Marianna...

— A to ci dopiero niespodzianka. Więc to tak ci na imię? Marianno-Rózo, Rózo-Marianno...

— Nie mów tak — poprosiła. — Okłamałam cię, bo myślałam, że jesteś zwykłym, nudnym taksówkarzem, który przez całą drogę papla bez ładu i składu. Potrzebowałam samotności. Nie skłamałam dlatego, że jestem przewrotna. Jestem nieszczęśliwa. I tak wystarczająco długo oszukuję ludzi...

Wójcik zrozumiał. Po za tym cóż takiego mógłby jej odpowiedzieć? Że nie jest pierwszą nieszczęśliwą kobietą w tej taksówce? Że tapicerka siedzeń oprócz zapachu papierosowego dymu, skrytych bąków wyniosłych biznesmenów i potu zwykłych ludzi ma w sobie także ciężki, gorzki zapach łez? Za dużo do wyjaśniania. Stanowczo za dużo.

Wiedział, jakie są zasady gry, w którą właśnie przegrywała dziewczyna. Stawiał dziesięć do jednego, że ta gra nazywa się To-Tak-Boli-To-Rozstanie.

— Dobrze, Marianno, zegnamy Różę. Czy teraz będziemy rozmawiać naprawdę szczerze?

— Tak — przytaknęła, wciśnięta w kąt taksówki. — Cieszę się, że nie masz mi aż tak za złe.

— Nie mam. Bywam nieszczęśliwy. I także czasem potrzebuję samotności.

Jechali łąsą leśną przecinką. Tediemu przemknęła myśl, że to najbardziej samotne miejsce, jakie kiedykolwiek oglądał.

— Uciekam — odezwała się nagle Marianna i tamto wrażenie rozwiało się. — Przed chwilą powiedziałeś, że uciekam. Wiesz, dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę.

— Czasami oczywiste rzeczy nie są aż tak oczywiste, kiedy jesteś w samym ich środku. Dopiero gdy spokojnie popatrzysz z boku – dopiero

wtedy dobrze je nazwiesz. To truizm, ale... Kulawo jakoś wyszło. Wybacz.

Marianna z powagą ważyła jego słowa.

— Nie wiem, czy mi z tym lepiej. Wolałam chyba myśl, że wybór należy do mnie.

Pokiwał głową.

— I co teraz powiesz na temat Prawdy? Chyba nie warto szukać jej definicji? — spytał.

Dziewczyna oparła brodę na ramieniu i zapatrzyła się w przednią szybę. W jej oczach odbijała się noc. Te oczy były samą czernią. Tedi widział przed sobą blade odbicie. Trupia twarz. Włączył wycieraczki, żeby zmusić ją do zmiany pozycji. Nagły ruch wyrwał Mariannę z zamyślenia. Odwróciła się do niego.

— Prawda uwielbia gry pozorów. Cieszy ją, kiedy ktoś zbłądzi, bo w końcu okazuje się, że zrobił to na własne życzenie. Jest wyniosła i niedostępna, dlatego ludzie czasami uciekają się do kłamstw. Bronią się... przed nią. Nie potrafią znieść jej świętości, Tedi. Nie rozumieją pewnego paradoksu – ona istnieje bez nich. Prawie cały świat przepływa dzisiaj obok jej monolitu. Dziecko kradnące cukierek, oszuści podatkowi. Ci wszyscy... ach, szkoda słów...

— Ktoś musiał cię bardzo skrzywdzić. Taka gorycz nie bierze się znikąd.

— Sama się skrzywdziłam. Zrobiłam dokładnie tak, jak ona przewidziała. Okłamywałam siebie. Choć czułam się okropnie, wiedząc, że ona o tym wie. Ale okłamałam się i tak. Musiałam tak zrobić. Inaczej... O Jezus, zwariowałabym.

— Chodzi o mężczyznę — raczej stwierdził, niż zapytał Tedi.

— Chodzi o to, czego pewien mężczyzna nie zrobił. Mimo że dałam mu dość czasu, aby przemyślał pewne rzeczy. Mimo że ja ten czas traciłam. Dla

niego.

— Tak jest najtrudniej, co? To znaczy, zrozumieć zbyt późno...

— Tym akurat najmniej się przejmuję. Ważne, że w ogóle rozumiałam.

— Co rozumiałaś, Marianno? — spytał Tedi i poszukał jej wzroku we wstecznym lusterku.

— Zdałam sobie sprawę, że nie umiem żyć tak jak inni. On starał się upodobnić do zwykłych ludzi, wiesz? Zszarzeć. Zmaleć. Patrzył na nas przez pryzmat swojej miłości do mnie i uważał, że mu się to udaje. Wmawiał nam obojgu, że się przystosowujemy. Miał idealny obraz naszego wspólnego życia, a pojawiające się rysy brał za dobrą monetę. Zawsze powtarzał: „Jeżeli coś jest cały czas używane, to zawsze wystrzępi się na rogach”. Właśnie tak mówił. Uważał to za dobry żart. Mnie to przerażało. Ale ty mnie nie słuchasz! — zauważyła dziewczyna z wyrzutem.

Wójcik w ogóle nie zwrócił uwagi na jej oburzenie. Zredukował bieg i wcisnął pedał hamulca.

— Czemu zwalniamy? Prosiłam!

— Coś na jezdni...

Kolana Marianny uderzyły w fotel kierowcy. Poczuli gorący oddech na szyi i wszystkie włoski na jego karku zjeżyły się w jednej chwili.

— Nie stawaj! Cokolwiek się dzieje nie stawaj!

Tedi zatrzymał samochód. Nagle wszystko to, o czym rozmawiali, odleciało zdmuchnięte czarnymi ustami strachu. Była noc. Byli sami.

Nie było dobrze.

\* \* \*

Leśne poszycie trzaskało. Dwa razy dostrzegł przed sobą odległe światła samochodu i dwa razy je zgubił. Nie liczył się z tym, jak szybka będzie ta ucieczka. Na przyszłość weźmie to pod uwagę. Chociaż z drugiej strony nie



przewidywał, aby coś podobnego zdarzyło się w przyszłości. Skoro już ruszył, pewne sprawy doprowadzi wreszcie do końca. Definitywnie.

Na wzgórzu nieopodal Kadyn skręcił w lewo i wbiegł po zalesionym zboczu, mijając kapliczkę na drzewie. Droga zataczała teraz szeroki łuk daleko w dole, u stóp skarpy. Ludzie są tacy zabobonni, pomyślał. Ryzykował dużo, nawet utratę tropu. Jeżeli jednak będzie wystarczająco wytrwały, przetnie im drogę po drugiej stronie wzniesienia. Wiedział, że jest tam odcinek, po którym następuje wiraż, niemalże pod kątem dziewięćdziesięciu stopni – idealne miejsce na pułapkę. Nie będą mieli wiele czasu na reakcję. Jeżeli nawet nie zatrzymają samochodu, to nie zdołają go ponownie rozpędzić. Dopadnie ich.

Wierzchołki drzew kołysały się lekko, poruszane wiatrem od morza. Od Kadyn szedł pomruk kościelnych dzwonów. Zdyszany, stanął na szczycie wzgórza i rozejrzał się. Wciągnął głęboko powietrze.

Morze...

Niezmiennie.

Wszystko inne ma ledwie pozory trwałości. Kamień traci swój kształt, obmywany bezkształtną falą. Plaża odpływa, zabrana przybrzeżnym prądem. A ludzie uważają, że to ze skały można zbudować coś, co nie przemienie. Myślą tak, bo w skali ich istnienia nie ma miejsca na płynną wieczność. Myślą tak i sami się oszukują. Desperacko pragną, by pewne rzeczy pozostały niezmiennie i odrzucają zarazem tę najtrwalszą ze wszystkich, jaką mają w zasięgu ręki. Nigdy tego w nich nie rozumiał...

Zza zakrętu wyłoniły się dwa małe świecące punkciki. W jednej chwili przywarł do ziemi. Miał ich dokładnie tam, gdzie chciał. Już niedługo. Niedługo zapłacą za wszystko. Skoczył naprzód, pędząc w dół, pomiędzy świerkami. Gdyby nie wrodzona ostrożność, byłby ze szczęścia.

\* \* \*

— Coś musimy zrobić — powiedział niepewnie Tedi. — Na jezdni leży człowiek. Nie możemy tak po prostu: cześć, odjechać.

— Błagam cię, Teodorze, RUSZAJMY.

Sposób, w jaki wymówiła jego imię... wystraszył się nie na żarty.

— Posłuchaj, nie wiem, jak załatwia się takie sprawy w twoich stronach, ale mamusia powtarzała mi zawsze: pomagaj potrzebującym. Ten tam najwyraźniej jest potrzebujący. A ja — przerwał wywód i poczuł się po tym ździebko pewniej — mam zamiar pomóc.

— Ty nic nie rozumiesz. To ON!

— Do ciężkiej cholery! Co znowu za ON?

Marianna wpatrywała się w rozciągniętą na jezdni postać.

— Znalazł mnie. Ten facet, ten, przed którym uciekam. Chce mnie zabić. Jeżeli pozostaniemy tu zbyt długo, przyjdzie po mnie. Musimy jechać dalej. Rozumiesz?! Musimy!!!

Tedi obrzucił ją szybkim spojrzeniem – źrenice niemal połknęły tęczę. Po raz kolejny pojawił się też ten niepokojący, zwierzęcy zapach.

— Słuchaj — powiedział najłagodniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć w tej chwili. — Zamienimy się miejscami. Prowadziłaś kiedyś samochód?

Marianna kiwnęła lekko głową na potwierdzenie.

— Wyjdę tylko na chwilę, zorientuję się w sytuacji. Podejdę najwyżej na dwa metry do tego kogoś na drodze. Nie więcej. Gdyby coś zaczęło się dziać, wciskasz gaz do dechy i uciekasz. OK?

— OK — odpowiedziała cicho.

Tedi odpiął pas bezpieczeństwa i jeszcze raz, dla pewności, spojrzął przez przednią szybę. Czy to, co robi, ma jakiś sens? Pomógł już dzisiaj jednej obcej osobie i gdzie go to zaprowadziło? Daleko od domu, ot co...

Pomógł Mariannie przesiąść się na fotel pasażera. Kiedy to zrobiła, on przecisnął się na tylną kanapę.

Sam nie wiedział, dlaczego oddaje taryfę w obce ręce... Ciało leżące na ulicy, nieznana kobieta, wariactwo. Zupełne wariactwo.

— Siadaj za kółkiem, zapnij pasy. I postaraj się zachować zimną krew. Nie mam zamiaru wracać przez tę głuszę na piechotę, gdyby puściły ci nerwy. To pewnie jakiś zaspany pijaczyna. Przeniosę go na pobocze i pojedziemy dalej.

Błede dłonie Marianny zamykały się i otwierały na obręczy kierownicy.

— Teraz wychodzę — uprzedził ją. Wolał, żeby wiedziała, co będzie robił. To oszczędzi mu pewnie masy kłopotów. — Wyjdę przez tylne drzwi od twojej strony. Będziesz mnie widziała w lusterku. Jak tylko zamknę drzwi, włącz centralny zamek. Jest taki przycisk obok twojej prawej ręki. Tak, właśnie ten. Kiedy już go wciśniesz, nikt nie będzie mógł wejść do samochodu. Ja także nie. To dla twojego bezpieczeństwa. Na wypadek gdyby to na drodze okazało się wilkołakiem i zaraziło mnie przez ukąszenie — zaśmiał się sucho.

Dziewczyna spojrzała na niego. W jej oczach nie tliła się nawet iskierka rozbawienia. Wypełniał je szary popiół strachu.

— Gdyby cię ugryzł, zabiję was obu — odpowiedziała twardo i Wójcik poczuł się naprawdę nieswojo.

— Jak sobie życzysz... — odpowiedział ostrożnie. — Jeżeli mnie ugryzie, rób, co chcesz. Wtedy i tak będzie mi wszystko jedno, no nie?

Marianna milczała. Zdenerwowała go jej nagła małomówność.

— Wychodzę.

Ciało dziewczyny napięło się jak struna.

Buty taksówkarza dotknęły jezdni. Wysiadł i odetchnął głęboko. Pachniało głębokim lasem oraz tym wszystkim, co taki las kryje, i po raz

pierwszy Tedi pomyślał, że nie jest to wcale przyjemny zapach.

Wszedł w szeroki i płaski snop halogenowych świateł i ustawił się w nim tak, aby jego cień nie zasłonił przypadkiem oświetlonego ciała. Zbliżył się na odległość, którą uważał za absolutnie konieczną, ale i bezpieczną. Przyglądał się dobrą chwilę. Mężczyzna. Wyjątkowo duży mężczyzna. Na brzegu jezdni. Głowa w cieniu, twarz miał odwróconą. Nie poruszał się, ale Tedi miał wrażenie, że widzi delikatny ruch pleców pod przykrywającym go grubym płaszczem. To właśnie ten skołtuniony, mechaty płaszcz i ciężki zapach rozgrzanego ciała potwierdziły jego przypuszczenia. Odwrócił się do samochodu i dla dodania sobie animuszu krzyknął:

— Pijaczysko! A nie mówiłem!

Dziewczyna wyjrzała przez opuszczoną szybę. Tedi dokładnie przyjrzał się miejscu, w którym leżała ich znajda – patrzył na małą zatoczkę na zewnętrznym łuku zakrętu, miejsce, w którym być może stał kiedyś przydrożny bar. W ciemności rysowały się zniszczone betonowe fundamenty.

Ponownie odwrócił się do Marianny.

— Żyje — powiedział ciszej, niżby chciał. — Leży na skraju pasa ruchu. Nie wygląda groźnie.

Kiwnęła głową i rozluźniła się trochę.

Wójcik zrobił jeszcze jeden krok. A potem następny. Stał już tak blisko mężczyzny, że dostrzegł jego niespodziewanie bose stopy, całe pokryte igliwem i ziemią.

Wycofał się w stronę samochodu, stanął obok przednich drzwi i powiedział:

— To jakaś śmierdząca sprawa, Marianno. Popatrz na mnie, proszę.

Marianna powoli odwróciła głowę. Z trudem oderwała wzrok od roztaczającego się przed nią obrazka.

— On nie upadł ani nie zasnął — tłumaczył Tedi. — Wydaje mi się, że został porzucony. Zupełnie jak gdyby ktoś zostawił go tam, przejeżdżając tędy samochodem. Może go obrobili?

Obszedł samochód, wszedł od strony pasażera i otworzył schowek.

— Musimy zawiadomić policję. Pokażę ci zaraz, jak używa się radia. Po prostu wywołasz centralę i podasz mój numer identyfikacyjny. Kiedy spytają, o co chodzi, poprosisz o pomoc.

— A co ty będziesz w tym czasie robił?

— Poszukam w bagażniku jakiegoś koca. Trzeba go czymś okryć i zabrać do środ...

Zajęty przetrząsaniem schowka Tedi nie patrzył w jej stronę, kiedy więc nagle wrzuciła pierwszy bieg i gwałtownie ruszyła, zdążył tylko odruchowo szarpnąć ręczny hamulec. Samochód wierzgnął i zgasł. Wójcikowi pociemniało przed oczami.

— Co ty wyprawiasz do ciężkiej cholery?! — wrzasnął, rozcierając czoło. Deska rozdzielcza okazała się wyjątkowo twarda.

— Jego tam nie ma — szlochała Marianna — O Boże! Jego JUŻ tam nie ma.

Spojrzał w stronę zatoczki. Wyjął kluczyki ze stacyjki. Roztrzęsiony, upuścił je na podłogę, podniósł, schował do kieszeni.

— Posłuchaj, do tej pory byłem dla ciebie bardzo miły. Znosiłem wszystkie twoje fanaberie, bo myślałem, że to ty potrzebujesz pomocy...

— Ależ Tedi...

— Zamknij się! — warknął. — Przestało mi się podobać twoje zachowanie. Z tobą jest coś nie w porządku. Mam obowiązek udzielić

pierwszej pomocy każdemu, rozumiesz?! Takie są ZASASY! Tobie jej już udzieliłem, i to w nadmiarze. Teraz kolej na niego!

Wskazał palcem na szybę. Palec lekko drżał.

— Wychodzę. Siedź tu i czekaj. I nie radzę ci zamykać się w środku, kiedy tu z nim przyjdę. Przecież on może być ranny! Półprzytomny! Pewnie się gdzieś odczołgał, może się boi?!

Wyszedł i trzasnął drzwiami.

Marianna drgnęła, jak gdyby uderzył ją w twarz. Mimo to siedziała posłusznie na przednim siedzeniu. Spuściła wzrok i ukryła głowę w ramionach.

\* \* \*

Po mężczyźnie nie było śladu. Tedi podszedł do miejsca, w którym tamten jeszcze nie tak dawno leżał. Na asfalcie odcisnięty został kontur pokaźnej sylwetki. Dotknął palcem rozrzuconej dookoła ziemi. Poczuł, że jest ciepła.

Stanął na skraju lasu i wyteżył wzrok; bez powodzenia. Kucnął i oparł lewą rękę na białym pasie wyznaczającym brzeg asfaltu.

Właśnie dotykam także innej krawędzi, pomyślał. Nie dodał tym sobie ani odrobiny otuchy. Ta historia wyprowadziła go z równowagi. W co on się wpakował?

\* \* \*

Strach stanowił dominującą nutę w zapachu tego człowieka. Siedział nieruchomo na skraju lasu. Przysadzisty, doskonale widoczny spomiędzy drzew, choć sam pewnie też o tym wiedział, stąd ta ostrożność. Światła samochodu padały wprost na jego plecy w żółtej wiatrówce. Długi cień opierał się na pniu, niedaleko miejsca, które Maks wybrał na czasową

kryjówkę, po tym jak umknął z pobocza; w ostatniej chwili wyczuł ich wahanie. Zagrał *va banque*, ale wszystko poszło nawet lepiej, niż sobie obmyślił. Ten gruby dureń zamknął ją w samochodzie jak w klatce. Wystarczy odrobina cierpliwości – aż się przełamie, aż podejdzie bliżej – uciszy go i dopiero wtedy spokojnie zabierze się do Marianny.

Zdeptał suchą gałąź i tamten natychmiast poderwał głowę. Dobrze, ciekawość to jedna z najbardziej ludzkich cech. Nie oprze się jej. Jest zbyt oszołomiony tym, co widział.

Tak jak przypuszczał, mężczyzna zagłębiał się w las...

Wuk powoli się skradał, idąc mu naprzeciw.

Właściwie wolał, żeby tak to się odbyło, myślał, przyciskając brzuch do ziemi. Nie chciał, aby patrzyła, jak zabija człowieka. Tyle razy powtarzał jej, że są ponad takie zachowania, tyle razy ganił, gdy popuszczała wodze fantazji; gdyby teraz zademonstrował, do czego jeszcze jest zdolny, umarłaby w przeświadczeniu, że w gruncie rzeczy wcale nie okazał się lepszy. Nie po to przebył tyle kilometrów, aby na koniec popsuć całą zabawę.

Warkot silnika?!

Niespodziewanie taksówkarz obrócił się na pięcie i rzucił w stronę zaparkowanego wozu. Rozbłysły poderwane nagłym ruchem światła pozycyjne. Ktoś krzyknął.

\* \* \*

Znalazła je! Ktoś tak zapobiegliwy jak Tedi, musiał przechowywać gdzieś zapasową parę. Na dnie schowka, umocowane do ścianki taśmą klejącą. Rzuciła okiem na drogę. Wójcik, na skraju lasu, wypatrywał czegoś w ciemności. Spomiędzy rzadkich włosów na jego potylicy prześwitywała naga skóra.

Marianna bez namysłu włączyła starter.

Samochód zaskoczył od razu. Widziała, jak Tedi, już niemal w lesie, pospiesznie zawraca. Przy masce taksówki potknął się jednak.

Stalowy zderzak zabrzączał odległym, mrocznym drzeniem.

\* \* \*

Samochód ruszył i Maks wiedział, że oto umyka jego ostatnia szansa. Rzucił się w pościg. Dystans między nim a Marianną zwiększał się z sekundy na sekundę, mimo to nie przestawał biec.

\* \* \*

Tam na drodze to na pewno był on. Nie da mu możliwości, nie na tym odludziu. Pal sześć tego nawiedzonego taksjarza! On nie wiedział, co Maks zrobi jej z dala od ludzi. Do tej pory, nawet wściekły, zawsze nad sobą panował. W wirze miasta ten nędzny palant musiał uważać na to, co mówi i robi, by oboje nie wzbudzali podejrzeń.

Tutaj nikt nie patrzyłby mu na ręce. Znała go przecież, w głębi serca był tchórzem i oportunistą. Wolał załatwiać porachunki z dala od oczu innych.

\* \* \*

Czuł, jak potworna siła odśrodkowa rozpruwa mu klatkę piersiową. Jak gdyby gorące wahadło, zamknięte wewnątrz ciała, zerwało wszelkie zabezpieczenia i ruszyło w tan. Ale pędził przed siebie, aż dudniło mu w uszach, rzeźił z wysiłku. Odbite od drzew echo powracało ze zdwojoną siłą, niczym nawoływania niewidzialnego tłumu, widmowy doping.

To dlatego wszyscy o nim zapomnieli. Sasinowie i cała reszta. Wstydzili się, że tak szybko i sprawnie wmieszał się między ludzi. Wstydzili się go,



a jej współczuli. To dlatego wspomniała o domku nad morzem. Chciała jego upokorzenia przy wszystkich. Wytknęłaby mu, jak nędzną egzystencję prowadzi, podczas gdy stara się zasymilować. Zmusiłaby, aby żyli jak dawniej.

Zakończy to.

\* \* \*

Widziała go. Widziała ten ciemny zwierzęcy kształt, rozsadzający wsteczne lustro. Ciągle jeszcze miała szansę uciec.

Ocalić życie.

\* \* \*

Wiedział, że patrzy na niego. Czuł to. Czuł jej rozterkę.

\* \* \*

Nie ucieknie mu... Coś pękło... Wiedziała, że nie ucieknie.

\* \* \*

Złapie ją. Złapie i ona zapłaci.

\* \* \*

Złapie mnie. Cokolwiek bym zrobiła, złapie mnie i tak.

\* \* \*

Mam dość siły, wyprzedzę ten samochód.

\* \* \*

Nie mam siły. Nie na ciągłą ucieczkę...

\* \* \*

Samochód zakołysał się, wziął ostry zakręt i zatrzymał z piskiem opon. Otworzyły się drzwi, a zgięta skulona postać wyskoczyła na zewnątrz i popędziła w las. Marianna w pełnym biegu zrzucała z siebie ubranie. Wiedziała, że nie zdoła mu uciec, ale mimo wszystko wierzyła, że potrafi się obronić. Biegła, dopóki mogła biec na ludzkich nogach. Potem okulała, kiedy stawy w jej ciele przystosowywały się do naciągających je pod innymi kątami zwierzęcych mięśni. Ciało wciągało w siebie piersi, zamykając je w owłosionej klatce piersiowej. Oddychała przez lekko rozchylone czerwone usta, w których pojawiły się właśnie wierzchołki kłów, a pozostałe zęby torowały sobie drogę przez dziąsła. Jeżeli tylko wytrzyma, jeżeli tylko będzie miała szansę, to zmieni się całkowicie, a wtedy... O, wtedy nie podda się tak łatwo.

\* \* \*

Poczuł niespodziewany wybuch woni.

Przemieniała się i Maks wiedział już, że to ostatnia rozpaczliwa próba ucieczki.

Nie wytrzyma bólu. Jest zbyt słaba.

\* \* \*

Tak dawno, robiłam to tak dawno. Tak bardzo to...

A jednak koniec.

\* \* \*

Dopadł ją jeszcze w trakcie. Ukryta pod wilczą sierścią, na poły ludzka twarz była mokra od łez.

Chciała mu coś powiedzieć, ale uderzył ją na odlew. Na gładkiej nieowłosionej skórze w okolicy pępka wykwitły krwawe pręgi.

Kwilła cicho.

— Co ty sobie myślałaś, ty... ty suko? — warknął. Postać na ziemi kulila się w obronnym geście.

— Chciałaś uciec? Uciec przede mną? Wydawało ci się, że zaryzykuję wszystko, co osiągnąłem, i pozwolę ci odejść? Co ty w ogóle sobie myślałaś? — Ludzkie słowa wychodziły spomiędzy wilczych warg gardłowe i zniekształcone.

— Odejdź — poprosiła. — Zostaw mnie. Nigdy nie będę taka jak ty. Nie będę się łączyć do zwykłych ludzi w poszukiwaniu schronienia. Jestem lepsza...

— Jesteś głupia. Nie mamy przed sobą żadnej przyszłości, czy naprawdę tego nie widzisz? Jak wyobrażasz sobie życie w lesie? W dzień będziesz spać w norach, a w nocy pieprzyć się z pierwszym lepszym basiosem? Czy tego ci brakuje?!

— Kiedyś i tobie to nie przeszkadzało.

— Kiedyś nie potrafiłem zadbać o siebie, tak jak robię to teraz — odpowiedział Wuk z naciskiem. — Wyginęliśmy niemal doszczętnie, bo zbyt otwarcie chcieliśmy się zasymilować z nimi. A oni woleli do nas strzelać, niż z nami rozmawiać. Dopóki wierzyli w srebrne kule, dało się jeszcze jakoś żyć. Ale teraz już wiedzą, że można nas skrzywdzić jak każde inne zwierzę. Że nie potrzeba do tego magii, Marianno. Czy tego chcesz? Ciągłej ucieczki?!

— Wolę to niż pieprzone życie z tobą! — wykrzyczała w wilczy pysk.  
— Wolę być wolna! Wolę to, niż żyć ciągłym udawaniem!

Uderzył ją raz jeszcze.

— Zabiję cię za to. Nie rozumiesz, że tutaj chodzi o przetrwanie gatunku?!

Zacisnął łapy na jej gardle.

— Pieprzę twój gatunek! — wysyczała ostatkiem sił. — Ja jestem prawdziwym WILKIEM, a ty... kundlem! Ludzkim kundlem!

Zacisnął pazury i szeroko otworzył paszczę. A potem z ust Maksa Wuka popłynęła fala krwi – ciemnej, gładkiej, słonej.

\* \* \*

Wybrzeże. Nieopodal Kadyń. Słońce wstawało jak co dzień, po prostu rozpalona tarcza wynurzyła się z ciemnej wody. Rubinowe promienie, którymi obwieszczało swoje nadejście, rozlewały się coraz dalej i szerzej, jak gdyby ta woda była żywą istotą, krwawiącym łożyskiem, które pchało na świat ogromną komórkę – złoty zarodek. Mewy, zaskoczone powodzią światła, utopiły skrzydła w złocie, usiadły nieruchomo na brzegu, pokrzykując cichutko.

Świat przerażony tym, że nie zdoła ukryć wszystkich wieczornych tajemnic, znieruchomiał i czekał, co się z nim stanie. Gdy jednak rozżarzona tarcza oderwała się od horyzontu i popłynęła cicho w górę, ponaglił mewy i fale, aby z powrotem odmierzały czas krzykiem i kołysaniem, ukrył swoje zakłopotanie w plusku i harmidrze.

Wójcik znał takie wschody słońca jeszcze z czasów dzieciństwa.

Siedział teraz na skraju lasu. Nogi przerzucił za zieloną skarpe. Prawe oko ukryte pod opuchlizną łzawiło lekko i chociaż koszula, którą miał na sobie, drapała pokaleczoną twarz, ocierał nią powoli płynące po policzku łzy. W oddali samotny spacerowicz szedł brzegiem plaży w stronę miasteczka. Wójcik obserwował tę miniaturową figurkę, aż przyszło mu do

głowy że i on właściwie powinien ruszyć. Wstał, otrzepał spodnie i wyszedł z lasu. Czuł, że nie był tam mile widzianym gościem.

Jedynym sklepem w Kadynach otwartym już o świcie były delikatesy „u Jadzi”. To właśnie tam doczłapał, wlekąc swoje obolałe, wyziębione ciało i poobijaną głowę. Wszedł, był jedynym klientem. Wysypał piasek z butów i poprosił o dwie rzeczy: środki przeciwbólowe i telefon.

— Miał pan jakiś wypadek? — spytała zaspana sprzedawczyni, rzucając na ladę paczuszkę mentosów.

— Raczej nauczkę — odpowiedział na odczepnego. Od razu połknął trzy aspiryny. Kobieta uniosła brwi w grymasie, który oznaczał, że oczekuje na dalsze wyjaśnienia.

— Nauczkę, że nie należy za bardzo wierzyć ludziom.

— Wiara i ufność — usłyszał zza pleców. — Czasami trzeba za to płacić. Może mi pan nie uwierzy, ale ja też przez to przeszedłem.

Odwrócił się. Postawny pięćdziesięciolatek przyglądał mu się z zaciekawieniem.

— Pewnie. A któż by nie. Tyle tylko że ja to przeżywam TERAZ. Chyba już nigdy więcej nie dam się nabrać na pomoc innym.

— Takie to już czasy. Człowiek człowiekowi wilkiem.

Wójcik sięgnął po telefon, który przyniósł właściciel sklepu. Sygnał w słuchawce monotonnie przytakiwał i Tedi przedłożył to nad jakąkolwiek rozmowę.

Jadzia nabiła na kasę należność za cukierki.

— Czy to wszystko, proszę pana?

— Na razie tak. Potrzebowałem tych miętówek, mam okropny posmak w ustach.

— Nigdy nie należy ruszać się z domu bez szczoteczki. To prawda stara jak świat. Do widzenia panu.

— Do widzenia.

Już przy samych drzwiach tamten facet zatrzymał się i odwrócił.

Wójcik spojrzał mu w oczy.

— Nie za zimno trochę na bosc spacerki po rosie? — spytał kwaśno, wskazując na jego stopy.

Mężczyzna uśmiechnął się i wyszedł bez słowa. Ruszył wzdłuż plaży.

## Judasz z krwi i kości

Bruno jechał metrem.

Dookoła ludzie rozplaszczeni na innych ludziach. Naboje w rozgrzanym magazynku, w każdej chwili gotowe wybuchnąć. W powietrzu zapach potu: świeżego, zjełczałego potu. Potu kobiet i potu dzieci.

Smak rozgrzanego metalu.

Wszystko, co gotowało się w pasażerach, leniwie wyciekało z ich ciał. Ciała kleiły się do siebie, mieszały. Bruno czuł się zalewany przez wilgotną ludzką masę. Nozdrza drażnił mu zapach lakieru do włosów; świdrował odór wód kolońskich, swąd płynów do płukania ust i niemowlęcych zasypek na odparzenia; stęchlizna bijąca od staruszków. Ostry zapach ciał nastolatków, którego nie dało się oszukać tanimi kosmetykami.

Przyklejona do Brunona niewysoka blondynka w kaszmirowym sweterku pociła się obficie nad górną wargą. Jej niewielkie piersi wpijały mu się w brzuch. Stali bez słowa, ściśnięci tuż przy drzwiach wyjściowych; z odwróconymi od siebie twarzami, w dziwnej, lubieżnej pozie, kołysani w takt przepelnionego składu metra, zapatrzeni w skotłowaną czerń za szybą. Bruno studiował klasyczną linię nosa dziewczyny. Nie czuł nic.

Nadepnęła mu na stopę. Bąknęła „przepraszam”, ale nawet nie podniosła wzroku – widocznie doszła do wniosku, że w takim tłoku to bezcelowe. Słone krople spłynęły do kącików rozchylnych ust. Zlizwała je. Język miała długi i ostro zakończony. Bruno wiedział, że to, co teraz połknęła, wkrótce powróci na powierzchnię jej skóry. Zastanawiał się, jak długo to potrwa i jaką drogę obierze.

Metro zatrzymało się na Politechnice. Nikt nie wysiadł i po chwili ruszyli znowu. Delikatny powiew przeczesał włosy pasażerów. Pocili się teraz dwa razy obficie.

Otyły mężczyzna uwieszony na emaliowanej poprzeczce wiercił się niespokojnie. Zalaatywało od niego czymś nieprzyjemnym, kwaśnym. Tuż przed kolejną stacją grubas przysunął się bliżej Brunona i naparł na niego całym ciałem. Wolne ramię zadyndało tuż obok uda blondynki. Opuszki grubych palców dotknęły jej skóry. Spojrzała wściekła w górę, wprost w pierwszą napotkaną twarz. Gdy Bruno pospiesznie wychodził z wagonu, skrzekliwy głos tej małej oznajmiał wszystkim, co, kto i gdzie zaraz będzie sobie wkładał. Potem pociąg runął w tunel i zagłuszył wszystko wyciem tysiąca upadłych aniołów.

Winda wypluła Brunona na świeże powietrze.

Po kwadransie spaceru przez rozgrzane Jerozolimskie dotarł do domu. Wszedł, drzwi zatrzasnął stopą. Stał na środku przedpokoju i powoli zdjął z siebie wilgotną koszulę oraz skarpetki. Zsunął spodnie, po prostu pozwalając im opaść. Drobne i dokumenty rzucił na blat drewnianej skrzyni na buty. Potem ściągnął majtki i nago przeszedł do łazienki. Ręcznikiem wytarł się pod pachami i w pachwinach. Pomyślał, że dźwięk monet uderzających o drewno był tak samo tłusty jak powietrze, w którym spadały.

Napuścił całą wannę chłodnej wody. Miejskie popołudnie śmierdziało.

\* \* \*

**Moja Sztuka opiera się na Pierwszym Zamiarze.**

**PIERWSZY ZAMIAR Wszystkiego to Zmiana.**

**Istnienie to suma tworzących je Cząstek, nie jest więc Jednolite.**

**Brak Spójności pociąga za sobą Konsekwencje.**



**Istnienie staje się wypadkową Przyczyny i Skutku.  
Nie ma Harmonii, nie można jej zatem naruszyć.**

\* \* \*

— Mówię ci! Po prostu przedni! — Kiwi mieszał café frappe z wystudiowanym dostojeństwem. Siedzieli przy stoliku trattorii i nic, nawet przytulny wystrój lokalu, nie potrafiło zagłuszyć w Brunonie niechęci do takich miejsc. Rozpalone do białości niebo. Powietrze niczym rozgrzana kamienna ściana. Warszawa zanurzona w piekielnej retorcie, czternastodniowa prognoza pogody nie dawała nadziei na zmianę. Rozpędzone samochody z trudem przepychały się przez żar, ugniatały czarny tłusty asfalt.

Kawa mrożona, myślał Bruno, jak można w ogóle pić zimną kawę? A potem przed oczami mignął mu taki obraz: przytulny gabinet Kiwiego i miękki fotel właściciela największej galerii artystycznej w mieście; obrotowy, skórzany, rozdęty jak pozostawiony w upale kilkudniowy trup. Śledził wzrokiem pulchną dłoń nad filiżanką; poruszała się z gracją magika w finale najlepszej sztuczki. Szczypta kardamonu i ogromny ładunek społecznego awansu, oto co kusilo w tej lurze i nadawało jej niepowtarzalny smak. Stanowisko zobowiązuje. Mrożona kawa, słodka pokuta wyższych sfer.

— Powiedział mi, że sam sobie obciągnie, i wierz lub nie, zrobił to niemal na moich oczach!

Bruno wyłuskał orzeszek z salaterki. Wrzucił go sobie do ust. Zgryzł. Wyobraził sobie, że to czyjaś głowa.

— Widziałeś to? Naprawdę?

Zimna kawa. Wszystkie speluny świata.

— No, prawie... — Kiwi wyraźnie się zmieszał. — W klubie było kompletnie popieprzone oświetlenie... Neo-Paganeo, znasz ten lokal? Kopalnia talentów! Młoda awangarda, trochę chomiczków, ze dwie lesby, ale wszystko w odpowiednich proporcjach! Nie żadne tam szeregowo ruchajewo, nic z tych rzeczy. Zresztą, tak czy siak, ty nie przepadasz za takimi miejscami... Pra-wie! — zachłysnął się po raz kolejny zachwytem. — Sam powiedz: czy ty mógłbyś zaświadczyć, że dane ci było oglądać kogoś, kto PRAWIE zrobił sobie laskę?

— Nie.

— Ha! — Kiwi był wniebowzięty. Z podwójnym entuzjazmem zakręcił łyżeczką. — Otóż właśnie!

— Kiedyś ci się to znudzi.

Kiwi. Kasiasty pampuch z ukrytym wewnątrz chłodnym sprężynowym ostrzem. Bruno widział, jak niedoświadczeni artyści nabierali się na ten złudny wygląd i ginęli w męczarniach w chwili, gdy nieopatrznie weszli w jego zasięg, jak do cna wysysała ich jego galeria. Tyle że na Brunona nie czekał taki samobójczy wernisaż; Bruno był rzeźbiarzem, który zakosztował innego niż kamień materiału... Nie obawiał się. Potrząsał dusznym pudełkiem, w którym na własną prośbę Kiwi sam się uwięził. Za obopólną zresztą zgodą.

— Niby co ma mi się znudzić?

— Kolekcjonowanie takich wspomnień.

— Wspomnienia... Podobno to właśnie one czynią ludzi kalekami. To Vilikovsky — zakrakał Kiwi i teatralnie otarł pot z czoła jedwabną chusteczką.

Ukryte w nim miejsca, zgniłe miejsca, o których wiedzieli nieliczni. Tajemnice.

Bruno wyłowił kolejny orzeszek.

Spojrzał na siedzącą tuż obok dziewczynę, przyjaciółkę, którą dziś ze sobą przyprowadził tłusty marszand, i wyobraził sobie, że ssie jej sutki. Smak arachidu jak smak ciała – czysty, ale zarazem tajemniczy, uderzał w nos, drażnił gardło. Skóra dziewczyny miała kolor i matową fakturę makadamii. Ciemne włosy krótko przycięte; nad kształtnymi uszami beżowy meszek.

— Jak masz na imię? — zwrócił się do niej. Gdy pytał, dziewczyna nie spuszczała wzroku z jego ust. Miała zmęczone wszechwiedzące oczy. Zbyt mocny makijaż noszony niczym część oficjalnej garderoby; z obowiązku, a nie po to, żeby się podobać.

— Tatiana — odparła trochę za głośno i żeby pokryć zmieszanie, spytała zaczepnie — a ty, koleś?

Orzeszek w ustach Brunona ustawił się na sztorc i boleśnie zranił go w podniebienie. Wyjął go dwoma palcami i spokojnie odłożył do salaterki. Jego ostry koniuszek był czerwony od krwi.

— Nie uważasz, że jesteś trochę zbyt bezpośrednia? — spytał i przycisnął ranę językiem.

Dziewczyna szybko otworzyła i zamknęła suwak niewielkiej wieczorowej torebki, którą trzymała na kolanach, a potem zerknęła na Kiwiego.

— Słuchaj, o co mu chodzi? Mówiłeś, że to facet, który nie stwarza problemów.

Kiwi nie odwzajemnił spojrzenia.

— Przepróż tego pana — warknął.

— Przepróżę, ale będzie cię to drogo...

— Tania!

Drobna twarz pozostała niewzruszona, tylko kolorowe plamy makijażu ułożyły się na krótko w maskę smutku.

— Przykro mi. Przepraszam pana. Jeżeli pan chce, może mnie pan uderzyć. Wujcio Kiwi pokryje koszty. Jak zwykle.

Bruno przełknął ślinę i poczuł, że podniebienie krwawi dalej. Wyjął z kieszeni podręczne lusterko i wyszczerzył zęby. Na języku lśniła jasna krew. Starł ją wierzchem dłoni.

— Nie musisz mnie przeproszać. Nic się nie stało. Kochanie, idź teraz do baru, zamów sobie drinka i poczekaj, aż cię zawołamy, OK?

Dziewczyna bez słowa spełniła polecenie.

— Wujcio? — spytał Bruno z przekąsem.

— Lubię młode. I pikantne. Ale ta jest tak młoda, że mogłaby być moją córką. Nie wybaczyłbym sobie tego, że pieprzę moją córkę. Dlatego poszedłem na kompromis i na jakiś czas uczyniłem... no, teraz Tatiana to moja wyuzdana kuzynka. Daleka kuzynka.

— I z daleka...

— Masz na myśli jej imię? To pozory. Nie, nie, ta mała jest z... sąsiedztwa. — Kiwi uśmiechnął się promiennie. — Adoptowana całkiem niedawno z rąk pewnej burdelmamy. Chociaż między nami: powierzona jej rolę nakazałem przed tobą grać do samego końca.

Tatiana pomachała im z oddali.

Bruno odwzajemnił pozdrowienie.

— Nie nadaje się — zawyrokował. — Nie bierz tego do siebie, ale moje modele muszą mieć odrobinę własnej woli. prostytutki to... przedmioty. Ile razy ci to powtarzałem? Kupujesz je. Ja wymagam daleko posuniętej współpracy.

Kiwi powoli wysączył resztkę kawy. Wyglądał na dotkniętego do żywego.

— Doprawdy? Popraw mnie, jeżeli się mylę... bo cały czas wydawało mi się, że do tej pory jedynym wymaganiem była umiejętność poprawnego

zajęcia się twoim KUTASEM!

Przekleństwo ściągnęło uwagę gości.

— Przepraszam! — zreflektował się Kiwi i zamachał rękoma na podkreślenie swoich słów. Kilkoro gości przy sąsiednim stoliku gromiło go wzrokiem. — Tak, szanowni państwo, słyszeliście dobrze. Powiedziałem: kutas! — zwrócił się bezpośrednio do nich. — Powiedziałem też: PRZEPRASZAM!

Jeden po drugim, niechętnie przenieśli wzrok na przystawki i karty dań.

Od Ronda ONZ przemknęła kawalkada samochodów. Ich rozmyte w pędzie kontury wyglądały, jakby opływowe, lśniące bryły topniały, wylewały się poza własne granice.

— Cholerna miejska bigoteria — wysyczał Kiwi do pustej filiżanki. — Światowcy ze śmierdzącymi nogami. Widziałeś, jak na mnie patrzyli?

Bruno skinieniem ręki wezwał obsługę.

— Orzeszki pobudzają pragnienie — zauważył obojętnie i podsunął Kiwiemu pełną salaterkę. Ten sięgnął i położył sobie na języku ubrudzone krwią ziarno.

Brązowa skóra dziewczyny mimo wszystko kusiała.

\* \* \*

Siedzieli tam jeszcze trzy godziny. Wreszcie Bruno obiecał, co prawda niechętnie, że wypróbuje podsunietą mu „kuzynkę”. Ubawiła go ta sytuacja. Przyłapał się nawet na tym, że śmiertelnie znużony paplaniną Kiwiego, dla zabicia czasu zaczął szukać RZECZYWISTYCH rodzinnych podobieństw tej dwójki. Mógł sobie pogratulować. Oboje, tłuścioch i kurewka, byli sobie bardzo bliscy, o wiele bliżsi niżby kiedykolwiek mogli podejrzewać. Ze wszystkich więzi pokrewieństwa ich najlepiej

charakteryzowało jedno – najsilniejsze w świecie – pokrewieństwo interesów.

Z drugiej strony, rozmyślał, ta znajomość mogła okazać się cenna. Znajdował w nich coś, co wyjątkowo cenił – świadomość, że należy się pozbyć złudzeń. Lubił ten stan: żadnych złudzeń. Czuł się wtedy czysty. Nieskrępowany. Te uczucia odgrywały kluczową rolę w jego pracy. Czystość i brak ograniczeń.

Dlatego uległ.

Umówili się na kolejne spotkanie za tydzień. Bruno wezwał taksówkę. Pojechał do Wesołej, do pracowni. Postanowił, że zrobi trochę porządku. To zwykle koło jego nerwy. Tamta trattoria ci ludzie...

Zapadał zmierzch, zerwał się przyjemny, orzeźwiający wiatr, zapowiedź odrobiny nocnego chłodu.

Wjechali w wąską, gęsto zadrzewioną Fabryczną. Kierowca zaparkował na poboczu. W długim już o tej porze cieniu rosnącego tam dębu Bruno uregulował rachunek. Podziękował, wysiadł i ruszył w stronę furtki. Zamknął za sobą kute ogrodzenie otaczające dwupiętrową willę.

Przekręcił klucz w drzwiach wejściowych, pchnął...

Dom ział pustką. Kroki Brunona odbijały się twardym echem. Lubił je. To było jego echo. Niewidzialny pupil. Pod jego nieobecność dbało o kurz, który z braku kryjówek wił na podłodze włochate gniazda. Bruno od wielu lat ogołacał ściany i patroszył pokoje każdego nowego miejsca, które nawet na krótko ogłaszał swoim domem. Wierzył, że takie upiorne feng-shui sprzyja wewnętrznej równowadze. Niezaburzona przestrzeń to niezaburzony umysł; dlatego też gdziekolwiek by się znalazł, echo sumiennie pełniło służbę w pustych, pozbawionych mebli pomieszczeniach.

Miękki dywan w pokoju gościnnym stanowił jedyne odstępstwo od żelaznej zasady. Był też jedyną rzeczą, na którą wyłożył własne pieniądze.

Za resztę płacił Kiwi. Taki mieli układ.

Bruno zszedł z buty. Czuł, jak stopniowo spływa z niego nagromadzone przez cały dzień napięcie. W jednej chwili kroki umilkły, wessane przez miękki materiał – Bruno wyczuwał delikatny deseń go zdobiący: uproszczoną reprodukcję *Alegorii cnoty i zazdrości*. Pod dywanem znajdowała się zapadnia. Schylił się, szarpnął za róg dywanu i odsłonił wejście.

Pracownię umieścił w podziemiach.

Schody w dół.

Niewielkie pomieszczenie o podłodze wyłożonej posadzką. Wszystkie sprzęty rozstawione po kątach i przy ścianach tak, że środek pozostaje pusty. Tam, czarny odpływ. Weneckie lustro w ścianie naprzeciw wejścia. Za nim w niewielkiej komórce o obniżonym suficie niewyszukane miejsce dla „specjalnych gości”.

Dookoła zimnej i połyskującej tafli lustra oprawione zdjęcia ilustrujące co ważniejsze dokonania Brunona. Między innymi *Niewidzialne krzesło*, jedna z pierwszych prac. Białe ekrany ściany, oparta o niego sztywna sylwetka kobiety, szczupłej szatynki o niewielkich piersiach i kształtach dobranych z rozmysłem tak, by oparcie nie było niewygodne.

Albo *Czarna spirala*. Mulatka, która mu pozowała, mozolnymi ćwiczeniami starła niemal w proch swój kręgosłup, byle tylko jej ciało osiągnęło odpowiednio zakrzywioną linię. Gdy raz za razem wyginała się w łuk, odruchowo otwierała usta; i ta jej część, ta najbardziej intymna, także delikatnie się uchylała.

W gładkim szkle zabezpieczającym zdjęcia Bruno widział kontury swojej twarzy. Patrzył na siebie jak na oś kompasu, jego ręka odpowiadała namagnesowanej igle – wszystko co w niej trzymał, wskazywało nowe nieodkryte kierunki. Pędzel, młotek czy nóż, nie miało to żadnego

znaczenia. Ich ruchu nie dało się przewidzieć – w momencie kiedy je w ten Ruch wprawiał, rozpoczynała się Sztuka. Nikt nigdy nie pytał, skąd się brała. Pochodziła znikąd. NIGDZIE to straszliwe miejsce, mało kto chciał rzucić na nie okiem choćby przez chwilę.

Przeciął pomieszczenie.

Pogładził skórzane futerały, w których trzymał sprzęt fotograficzny. Oparł się o blat metalowego regału. Miał na nim swój cały warsztat pracy. Młotki, igły i rylce. Dłuta – największe z nich przypominało nóż rzeźnicki. Otworzył jedną z szuflad i czule pogładził narzędzia. Matowa od wilgoci chirurgiczna stal.

Dotykał PEWNOŚCI.

Kiwi i Tatiana. Umówił się z nimi za tydzień.

\* \* \*

### **Harmonia to SZKIELET**

**Wszystko dąży do zmiany. Paznokcie i włosy. Drobne, drobne Części.**

**Erozja ciała jest FAKTEM! Faktów się nie lekceważy.**

**Kierunek jest NAJWAŻNIEJSZY. Strach to INTERPRETACJA PRZYCZYN.**

**Nie myśleć o nich to być NIEUSTRASZONYM.**

\* \* \*

Siedział w kinie. Trwał festiwal filmu wojennego. Rozświetlony ekran przeżerał ciemność acetylenowymi błyskami. Światło uderzało w daremnych próbach wypełnienia dusznej sali, Ludzie mieli oczy pozbawione wyrazu. Jedyłą oznaką tego, że żyją, były źrenice tętniące w takt wybuchów blasku.



Od kilku dni blask miał zawsze ten sam odcień – pożogi. A może to były wybuchy ciemności. Czy ktoś na tej sali zadawał sobie takie pytania? Bruno wątpił. Żrenice posłusznie pulsowały.

Bruno przyszedł tu w poszukiwaniu Natchnienia – tygodnie upałów wysuszyły źródła pomysłów. Pustkę po nim powoli wypełniała wolno zbierająca się, mętna kałuża frustracji.

Natchnienie... Oślizły gad, który kapryśnie zakopał się gdzieś w terrarium duszy i ze swej kryjówki żąda, aby stworzono mu odpowiednie warunki. Chce, by ktoś je wabił, kusił, uwodził. Namawiał do tego, aby się ujawniło. Bruno wiedział, jakie to uczucie, gdy przychodziło. To mroczne miękkie uderzenie.

Cienkim dłutkiem wyjętym z kieszeni spodni naciął opuszkę palca wskazującego i włożył go sobie do ust. Ssał. Smakował. Nadszedł długo oczekiwany czas karmienia.

Płonący śmigłowiec spadał na nieprzyjacielską wioskę; znajdujące się na niewielkim placyku przerażone, zapatrzone w niebo dziecko nie próbowało nawet ucieczki.

Nagle gorąco rozlało mu się po kroczu; wybuchło w brzuchu; zagotowało w piersiach.

Ludzie-otwarte rany, ludzie pozbawieni kończyn, ludzie-pochodnie, wszyscy pełzli po ziemi jak krwawe pomrowy.

Podważył i zerwał teraz płytkę paznokcia. Opuszek wskaziciela zamienił się w bolesną grudkę mięsa. Ssał go i przygryzał. Tysiące rozżarzonych igieł przerzynało dłoń, ale nie skarżył się, to, na co czekał, warte było odrobiny cierpienia. Zaciskał usta i powieki. Krzyczał do wewnątrz siebie tak, by Natchnienie usłyszało, jak bardzo je potrzebuje.

I znów lekki ucisk w dole brzucha. Zaczyna się. Nie ma nic lepszego niż porządny film wojenny!

Helikopter spadł, wszystko dookoła utonęło w rudej powodzi płomieni.

Kobieta była gwałcona przez ustawionych w kolejce żołnierzy. Wszyscy śmiali się, żuli gumę. Ona także się śmiała – obłąkańczo, ból i smutek już dawno zniknęły z jej twarzy.

Ludzie na sali także poruszali szczękami, uśmiechnięci.

Natchnienie poruszyło się gwałtownie. Bruno wziął głęboki oddech. Poczuj to, powtarzał sobie w myślach, poczuj ten zapach, poczuj tych ludzi. Żaden z nich nie przyszedł tu po to, by PRZEŻYĆ ten film. Wszyscy chcą zobaczyć...

*Puf!* Żołnierz nadepnął na minę przeciwpiechotną. Rozkwitł różowy fajerwerk; ludzka purchawka.

Za zamkniętymi powiekami Brunona gęstniała ciemność. Cienie powoli ułożyły się w trójkątny łeb, kształt kobry. Natchnienie otrząsnęło się z odrętwienia.

W cierpkim powietrzu wisiało oczekiwanie. Cedził je przez zęby, gorzkie niczym narkotyku, oleiste.

\* \* \*

**Człowiek to tylko zbiór elementów, które przypadkowo do siebie pasują. Zabierzcie mu jakąkolwiek kończynę, zostanie kaleką. Odbierzcie wzrok, będzie ślepcem. Pozbawcie zdrowych zmysłów, a już na zawsze pozostanie wariatem. Człowiek. Człowiek to układ w stanie chwiejnej równowagi – mało kto zdaje sobie z tego sprawę. Bycie człowiekiem. Dynamika. Być człowiekiem to znaczy nie zapaść się w coś, co tym człowiekiem nie jest; to bardzo trudne, to walka. Z Nieznanym. Ktoś, kto balansuje na granicy Nieznanego, musi doskonale zdawać sobie z tego sprawę. Wtedy świadomie wygra. Nieznane, które umyka tęgim umysłom, można osaczyć, okroić,**

**odrzucić wszelkie niepotrzebne części, za którymi się ukrywa. Cel to wiedza, że któregoś dnia zagoni się Nieznane w ślepy zaułek i nada mu Twarz. I człowiek stanie się zbędny. Bo w gruncie rzeczy taki właśnie jest. Bo w gruncie rzeczy oto czym jest: pękniętym naczyniem. Wystarczy tylko odnaleźć odpowiednio głębokie rysy i lekko nacisnąć**

\* \* \*

Pierwsze cięcie poprowadził niezwykle płytko; dla pełnego sukcesu kluczowe było, aby Materiał cały czas pozostawał przytomny. Długie cięcie – białe pasmo ślepej tkanki, na której zaraz wybiły karmazynowe źródelka. Jęk.

Skóra ustępowała bez oporu.

Długie cięcie – od nasady włosów na karku do tego delikatnego miejsca na plecach, w którym stykały się dziewczęce pośladki.

Bardzo długie cięcie. Właśnie takie jak lubił. Był prawie nagi, nie miał na sobie nic oprócz przepaski na biodrach – kawałka tkaniny w odcieniu krwi, w kolorze Sztuki.

Czy boli, zapytał, a ona odpowiedziała, że boli. I to było dobre. Obcowali z Prawdą.

Ciemne weneckie lustro, a za nim głodne oczy. Połyskliwa tafla, soczewka. Żrenica owada, żrenica cyklopa. Kiwi nigdy nie mówił, kim są zaproszeni przez niego goście, taka była umowa. A on? Jego to nie obchodziło. Nie miał nic do ukrycia. Przygotował się na ujawnienie wszystkiego. Pragnął tego.

Trzasnęła przesłona aparatu fotograficznego. Błysnął flesz. Samowyzwalacz został tak ustawiony, by uaktywniał się co dwie minuty. Przy trzydziestu dwu klatkach filmu dawało to godzinę i cztery minuty. Bardzo długą godzinę.

Stukot metalowych narzędzi chirurgicznych; po kolei usuwały zbędny, miniony czas. Cięły już pięć minut, dziesięć, kwadrans. Niedługo nastąpi Przemiana. Na razie jednak ciął głębiej. Na razie poszukiwał. Na razie...

Gdy wsunął palce pod skórę i zaczął odwarstwiać ją od żeber, Tatiana wywróciła oczami i zemdląła. Nie przerwał jednak pracy, wiedział, że nim skończy, zdarzy się jej to na pewno jeszcze kilka razy. Obcęgami przeciął kruche żebra i dopiero wtedy podał kolejną dawkę morfiny. Gdy flesz błysnął po raz szósty, znał już Materiał na tyle dobrze, że w jego głowie ukształtowała się Forma. Przeciął ścięgna, wyłuskał kości barku i przyciągnął je do kręgosłupa. Stworzy *Anioła*. Skóra na klatce piersiowej Tatiany napięła się, gdy ramiona przesunęły się na plecy i dały początek najprawdziwszym skrzydłom. Lustro patrzyło w niemym zachwycie. Flesz błysnął po raz wtóry.

\* \* \*

**Zmiana to Matka Przyczyn i Macocha Skutków.**

**Ja jestem ich Ojcem z Wyciągniętą Ręką.**

**Potrafię rozpoznać Pierwszy Zamiar, gdy przechodzi tuż obok.**

**Potrafię wyprzedzić Zmianę, nadać jej dowolny Kierunek.**

**Kąpię się w Deszczu Cząsteczek, przesypuję je między palcami.**

**Na Granicy Rozpadu uwalniam Je.**

\* \* \*

Przedtem od samego początku dużo mówiła. Może to dlatego później, gdy już zamilkła na dobre, wydała mu się nieomal święta?

— Wiesz, czasami ludzie mi się dziwią. No... Że nie umiem się martwić. Naprawdę!

Tatiana brała prysznic. W przezroczystej kabinie za zasłoną wody wschodził i tonął połyskliwy owal jej twarzy.

— A ty? Czy było w twoim życiu coś, co zmartwiłoby cię dłużej niż na chwilę?

Bruno nie odpowiedział, wpatrzony w jej ciało, tak żywe i gibkie, że zdawało się, iż nie tylko zajmuje sobą przestrzeń, ale nagina bieg każdej kropli.

— Hej, słyszałeś, o co pytałam?

— Czy mogłabyś kucnąć i rozsunąć uda?

Dziewczyna roześmiała się i spełniła polecenie. Woda zabulgotała jej w gardle, gdy ciągle rozchichotana, nadstawiła otwarte usta i łapała w nie spadający z wysoka strumień.

— Tak dobrze? Czy teraz zasłużyłam już na odpowiedź?

Bruno skrzywił się i wrócił do wertowania ilustrowanych atlasów anatomii Sinielnikowa. Przeglądał je wszystkie naraz. Jeden rozłożył na podłodze, drugi trzymał na kolanach, a ostatni oparł o brzuch. Ten Sinielnikow... uczynił z anatomii poezję. Sinielnikow, Starszy Brat w Sztuce – lubił tak o nim myśleć.

— Pierwszy dotyk — odburknął Bruno po jakimś czasie. — Tylko do tego nigdy chyba nie umiałem się przyzwyczaić.

Tatiana zakręciła wodę, przebiegła przez całą szerokość łazienki i gołą pupą pacnęła na miękki dywanik frotté. Z przesadną zajadłością wytarła ręcznikiem włosy, a potem zawiązała na głowie niewielki turban.

— Co miałeś na myśli, mówiąc o tym „pierwszym dotyku”?

Bruno potarł powieki. Zmuszał się do tej rozmowy. Każde słowo wywoływało w nim coraz większą irytację. Słowa, słowa. Wyrazy. Dźwięki. Nie znosił wdawania się w bliższe kontakty ze swoimi modelami. Nie w ten sposób... Ale ta mała miała nad nim jakąś moc. Dostrzegał w niej

zapowiedź wielkich rzeczy. Nieznanych obszarów, dla których opłacało się łamać ciszę.

— Mówię o czymś, czego nie można cofnąć. To dzieje się wtedy, gdy widzisz coś pięknego. Na przykład ogromne pole, zaraz po tym jak zasypał je śnieg. Podziwiasz symetrię. Chcesz być w jej środku. A kiedy już tam dotrzesz, okazuje się, że zostawiłeś za sobą ślady. Nic już nie jest takie, jak było.

Tatiana podrapała się po nagiej piersi.

— Czy nie wystarczy wtedy po prostu cały czas iść do przodu? Nie oglądać się za siebie?

— Albo gdy kogoś dotkniesz — ciągnął Bruno beznamiętnie, nie szukając dialogu — łamiesz tę delikatną zimną powłokę oddzielającą cię od drugiego człowieka. Dajesz przyzwolenie, aby i on dotknął ciebie.

Tatiana położyła dłoń na jego udzie.

— Ja ciebie teraz dotknęłam.

Spojrzał zdziwiony na jej przedramię. Ciepła gliniasta bryła przyczepiona do innej bryły, także rozgrzanej i miękkiej. Prześledził jej bieg, prześlizgnął się po niej, po łagodnym łuku barku i zawiesił wzrok na wcięciu mostka. Skośne mięśnie po obu stronach szyi wskazywały na to zagłębienie jak na coś ogromnie ważnego. Podniósł wzrok, spojrzał jej w oczy. Czy ona o coś pytała?

— Wstań. Wyciągnij ręce przed siebie i zrób skłon.

Bruno zapamiętał wartości kolejnych kartek, kolejne alegorie mięsa.

— Miałam kiedyś koleżankę — podjęła po chwili Tatiana, nadal pochylona. — Walczyła o prawa zwierząt. Trochę nawiedzona, sam rozumiesz. Najbardziej ze wszystkiego nienawidziła objazdowych cyrków. Urządzała pikiety, sabotaże. Dorobiła się nawet przez to złamanego nosa i kilku wybitych zębów.

Bruno zachęcił ją skinieniem głowy, a sam przesunął palce wzdłuż napiętej struny jej kręgosłupa. Z jakiegoś powodu dziewczyna nie potrafiła przyjąć tego jako pieszczoty.

— No więc ta mała wściekła suka kąsała i gryzła, kiedy tylko miała ku temu sposobność. Z jednym nie potrafiła wygrać – z tą chwilą, gdy cyrk wjeżdżał do miasta. Mogła urządzać blokady, nie robiła tego. Mogła kłaść się pod kołami ciężarówek, a grzecznie stała na chodniku. Nie dlatego, że się bała – miała nerwy ze stali. Kiedyś powiedziała mi, że te momenty tuż przed postawieniem cyrkowego namiotu są dla niej najpiękniejszym i najsilniejszym doznaniem w życiu. Uwielbiała, gdy cyrk przyjeżdżał do miasta – w cudowny, dziecinny sposób. A chwilę potem, gdy ostygły silniki transporterów, gdy zamiast hurgotu ciągników odzywały się kolejne uwieszone w klatkach zwierzęta, gotowa była puścić całą budę z dymem. Tak jakby ten przepiękny, rozdmuchany obraz z bajki stygł nagle, zmieniał stan skupienia i kładł się jej na sercu ołowianym ciężarem. To jej słowa, tak mi powiedziała: ołowiany ciężar. Dokładnie tak. Zapamiętałam je, bo nikt jeszcze w życiu nie mówił do mnie w ten sposób. Miała niezłego szmergla, co?

Do przodu, pomyślał Bruno, wszyscy idziemy do przodu i wszyscy w złym kierunku. Założył książkę palcem. Nie interesowało go, co miała do powiedzenia dziewczyna, nic, co ludzie mówią, nie jest ważne... Patrzył na sposób, w jaki wyginała zgrabną szyję. Podziwiał. Czuł świeży zapach jej skóry – skóry, która przecież mogła pachnieć na tyle sposobów, a dla niego wybrała delikatną nutę wanilii. I piżma. Widział zagłębienia łokci, nadgarstki, wnętrza pachwin. Tajemne miejsca: otwarte dla miłości, otwarte dla śmierci, potrafiły przyjąć usta i nóż – tak zostały stworzone. Bruno patrzył w skupieniu, wchłaniał te pojedyncze fragmenty, aż zupełnie jak w „magicznym oku” utworzyły one obraz, osobę.

Wtedy nie bez wysiłku powiedział:

— Nie obraż się, kochanie, ale czy mogłabyś się teraz po prostu zamknąć i robić, co ci każę? Tak, żebym obejrzał cię w całości. Od razu. Uwierz mi, nie mam na to całego dnia...

Nastąpiła jedna z tych nielicznych chwil, gdy pozwolił Tatianie na istnienie w całości. Nie miało ich być wiele.

\* \* \*

Anioł jaśniał wewnętrznym światłem. Nie było to światło dostępne dla oczu zwykłych ludzi, ale Bruno, dzięki swojej Sztuce, umiał je dostrzec. Miało lekko seledynowy odcień morskiej wody, a w miejscach, w których ze świeżo zszytych ran wyciekła odrobina krwi, podbarwiało się najdelikatniejszym z odcieni różu. Kłuło w oczy, żądało, aby je dostrzeżono.

Nowo narodzony płomień. Nowo narodzone istnienie.

Szpitalne łóżko przełamał tak, aby ulżyć ciału o zupełnie nowej architekturze; podłączył kroplówki – leniwie mieszają się z krwią. Bruno podszedł do Anioła i zrzucił narzucone na niego prześcieradło. Nie krył wzruszenia. Zwykłe kobiece ciało, tajemnicze i zawile już samo w sobie, które on, Bruno, wyniósł na piedestał Tajemnicy Tajemnic; nadał mu nowy kształt, jeszcze bardziej splątał ścieżki w labiryncie fizjologii. Fioletowe wargi sięgały ku niemu w parodii pocałunku. Przetarł je zwilżonym wacikiem – w chwili, w której spomiędzy nich wysunął się różowy język, dotknął go palcem; elektryczny łuk zapłonął wzdłuż pleców, rozpałił elektrodę w głębi mózgu i jej bliźniaczą siostrą gdzieś w lędźwiach. Anioł westchnął. Światło rozjarzyło się jeszcze bardziej. Bruno zdjął spodnie, ujął penisa w rękę i zaczął onanizować się w tym blasku; jego podświetlone ciało mieniło się na różowo. To już nie skóra tarła o skórę, lecz żyła o żyłę,



nerw o nerw. Bruno zamknął oczy i wyobraził sobie siebie jako tablicę w atlasie anatomii – niebieskie, czerwone i białe powrozy symbolizujące naczynia krwionośne, splątane teraz między nogami w tłustym węźle pożądania. Wszystko statyczne i twarde. Skończył, łapiąc wytrysk w dłoń.

Anioł znowu zadrżał, niespokojny.

Długo, długo Bruno stał nieruchomo, nie wykonał najmniejszego nawet ruchu. Czuł, jak wszystko, czym był przed chwilą, te kilka sekund rozkoszy, absolut, rozpływa się teraz, ginie, na powrót kurczy. A potem klęknął i zaczął szeptać Aniołowi do ucha:

— Kocham cię, kocham cię nad życie i dlatego nie zostawię cię tak samej. Nie zginiesz, nie odejdziesz. Pokażę cię wszystkim, niech się zachwyca. Chcę was mieć oboje, mojego Boga i ciebie – w jednym miejscu.

Anioł odpowiedział straszliwym milczeniem. Bruno czule odsłonił jeden z opatrunków. Rany goiły się nadzwyczaj dobrze, równe brzegi były tylko nieznacznie opuchnięte.

— Kocham cię! — wyszeptał po raz kolejny i na dowód swojego uczucia oblizwał całą długą ranę, chłonąc jej smak. Była nierówna, słodkawa. Szwy łaskotały go w usta i podniebienie, jak gdyby zmalretowana tkanka oddawała pieśczętę za pieśczętę. Anioł na chwilę otworzył oczy. W odróżnieniu od Brunona widział wyłącznie ciemność.

\* \* \*

— Czy trzymałeś kiedyś w ręku duszę?

— Tak. Jest mała, oślizła, znajduje się na lewo od serca. Można wycisnąć ją jak pryszcz.

Przez twarz dziewczyny przebiegł cień. Odwrócony tyłem Bruno nie mógł go widzieć. Przeglądał narzędzia chirurgiczne. Podnosił je z jednego

stolika, zbliżał do twarzy i odkładał na drugi. Dziewczyna widziała fragmenty tych narzędzi wyskakujące tu i tam zza obrysu męskiej głowy.

— Naprawdę? Naprawdę tam jest? — wyszeptała.

Srebrne narzędzie pokazało się tuż przy lewym uchu, weszło tuż nad krótko przyciętymi włosami i opadło, zatoczywszy półkole, gdy Bruno uznał, że je odpowiednio wyszorował.

— Jest dokładnie tam, gdzie ty tego chcesz. A to oznacza, że może jej zupełnie nie być.

— Czy ona pachnie?

— Nie. Tak. To nie ma znaczenia. Zawsze jest zgniła.

Kolejne narzędzie zerwało się w powietrze i po krótkim locie brzęknęło o metalowy stolik.

— Mogę się napić?

— Wody?

— Wódki.

Bruno obrócił głowę tak, że widziała teraz jego ostry profil.

— Jest tylko siedemdziesięcioprocentowy alkohol do sterylizacji. Nalej sobie pół szklanki i dopełnij kranówką. Nie jest taki zły.

— Dziękuję.

Zsunęła się ze stołka i podeszła do przeszkolonej szafki.

— Jeżeli chcesz, dodaj do tego parę kropli miętowych. Nie będzie to co prawda crème de menthe, ale lepsze to niż nic.

— Niż nic... — powtórzyła dziewczyna i wymieszała wszystkie składniki. Potrzebowała czegoś na rozluźnienie, to się czuło. Wróciła na miejsce z pełną szklanką mętnej opalizującej cieczy. Pierwsze kilka łyków wypija ostrożnie. Potem jednym haustem wlała w siebie pół szklanki. Skrzywiła się.

— Uch! — sapnęła i otarła usta. — A podobno picie zastępuje wiele przyjemności.

Nie uzyskała odpowiedzi. Spróbowała więc z innej strony:

— Czy ty w coś wierzysz?

— Tak. Zwykle w to, co można odrzucić.

Dziewczyna siorbnęła brudną namiastkę drinka.

— Masz w sobie tyle złości... czy to pomaga?

— Nie. Ale to tani i wygodny sposób na opędzenie się od natrętnych pytań.

— A Bóg? — zapytała naiwnie.

— Co: Bóg?

— Co On dla ciebie znaczy?

Bruno zastygł na moment.

— Kiedyś, bardzo dawno temu, miał parę dobrych posunięć. Teraz gdy rozglądam się wokół, wydaje mi się, że ma kłopoty z rozegraniem tej partii.

— Nie rozumiem... — przyznała się Tatiana.

— Zmaterializował ciało. Stworzył mnie. Dał mi narzędzia. Widzisz? Drobnе sukcesy.

— To strasznie egoistyczne podejście.

— „Bóg jest jeden”, przypominasz to sobie? I jakoś nie robi sobie z tego powodu większych wyrzutów.

Bruno skończył przegląd narzędzi i zabrał się teraz do mycia podłogi.

— Ciało... — powtórzyła nagle Tatiana. — Gdybym ja umarła, nie martwiłabym się o swoje ciało. Nie obchodzi mnie, co się z nim stanie.

Przejechała po brzuchu brzegiem pustej już teraz szklanki. Palcem zbadała czerwoną pręgę, która od razu wystąpiła jej na skórze.

— Czasem mam wrażenie, że z jakiegoś powodu nie należy do mnie.

Wpatrzony w kafelki podłogi Bruno nie krył zadowolenia.

\* \* \*

Oświecenie. Za wszelką cenę bronił się przed tym słowem. Zastrane pogaduszki tej małej o Bogu! Nie chciał myśleć o tym, co go spotkało, w TAKICH kategoriach.

PRZEŚWIETLONY – o tak, o wiele lepiej. Przypadkowo odnalazł siebie w nagłym, jasnym promieniu – potem w jednej chwili dojrzał w nim odbłaski i znaczenia, które z jakiegoś powodu do tej pory mu umykały. Jak gdyby ta jasność, która go przeniknęła, utrwaliła tylko wizerunek czegoś, co od dawna nosił w sobie. Zatrzymał się wtedy spokojny, bo poczuł, że zbliża się coś wielkiego: CEL. Medytował. Wzburzony umysł zastygł w idealną kulę, symbol perfekcji; a w końcu na jego gładkiej powierzchni utrwalił się obraz. Cudowny obraz. Wspaniały. Obraz nie mający sobie równych. Straszliwy. I wówczas Bruno poczuł, że się boi. Bo oprócz dzieła, które nadchodziło, spełnienia w oczekiwaniu, zobaczył o wiele, wiele więcej. Odnalazł rąbek Przeznaczenia. A była w tej wizji zapowiedź końca i początku.

I tylko jedna droga. Bez odwrotu.

\* \* \*

**Jestem MIŁOSIERDZIEM!**

**Moja Sztuka.**

\* \* \*

Kiwi wytrzeszczał oczy.

— Co, kurwa? Odnalazłeś w sobie... wiarę?

Bruno milcząco przytaknął.

— Rozmawiamy o tym samym, prawda? WIARA? Druga obok wojny POWAŻNA SPRAWA pisana przez duże W? — dopytywał dalej. Oszołomiony pociągnął solidny łyk Czarnego Rosjanina.

— Ja pierdolę. Ty, ty tak całkiem serio...

Bruno nie odpowiedział. Kiwi potarł palcami oczy, a potem złożył obie dłonie i przycisnął je do warg. Wyglądało to, jakby w skupieniu wąchał palce tuż po tym, gdy przelotnie musnął jakieś dziwo. W końcu odchrząknął.

— Czy ten twój... no, to w co wierzysz, ma jakieś imię?

— Cały czas je poznaję.

Kiwi strzelił palcami i niecierpliwym gestem zamówił następną kolejkę. Barman przyniósł drina. Stał chwilę przy zapatrzonych w siebie mężczyznach, a kiedy zorientował się, że otrzymał całość należnej mu na tę chwilę uwagi, niedbale postawił szklanę na środku stolika i odszedł bez słowa.

— Jezu... — Kiwi krztusił się wódką z kahluą — ty już nawet brzmisz jak przyszły mesjasz.

Bruno nie odpowiedział.

— Chcesz coś z tym zrobić? To znaczy z tą nową religią? Takie rzeczy nieźle się teraz sprzedają...

— Nie. To tylko moja sprawa.

Kiwi nie spuszczał wzroku z przyjaciela.

— Bezimienny Bóg jednego człowieka. Mocna rzecz — zadecydował.

— Czy wy... no wiesz... — zająknął się. — O rany, nie przywykłem do rozmów na takie tematy...

Zamilkł.

— Wiesz, jak to jest z rozmowami z Bogiem. To jest. To znaczy. Jak to mówią. Modlitwa. Ale...

— Nie martw się, Kiwieńku. Wszystko jest w porządku. Rozumiesz? Wszystko w JAK NAJLEPSZYM porządku. To połączenie tylko w jedną stronę.

— Ach... Aha.

Kiwi obrócił trzymaną w palcach pustą szklanę.

— Nie wiem, nigdy nie chodziłem do kościoła, masz tę całą...

— Liturgię? Nie. Zamiast klepać hymny, uhonoruję go w inny sposób.

— W jaki, jeżeli można spytać?

Oczy Brunona zapłonęły.

— Ołtarz. Wystawię mu ołtarz.

— Mówisz poważnie? Zrobisz kapliczkę? Taką małą, ze spadzistym daszkiem?

— Nie kpij. Przyjdzie czas, że będziesz błagał, aby stanąć obok mnie. Oddam mu to, co uważam za najcenniejsze: siebie i swoją Sztukę.

Tego dnia nie zamienili już więcej ani słowa.

Kelnerzy nie mogli nadążyć z podawaniem kolejnych drinków do ich stolika. Kiwi czuł, że musi się upić. Nie potrafił.

\* \* \*

Bruno zaprzągnął do pracy potwora. Obawiał się go, ale wiedział, że tylko przy jego pomocy osiągnie to, co postanowił. Potwór dla niepoznaki przybrał maskę – wierną kopię twarzy Brunona. A gdy wszystko zostało postanowione, gdy już nie było odwrotu, rozpoczął polowanie. Pożerał kolejne ciała, darł je na strzępy, a wszystko co pozostawiał za sobą, Bruno skwapliwie zbierał i zanosił do kryjówki, w której rodziło się Dzieło.

Teraz to już nie Kiwi przyprowadzał kolejne modele. Bruno sam sięgał po to, czego potrzebował. Wściekle i brutalnie. Na ulicy w ciemnościach. W pospiesznie wynajmowanych pokojach. W parkach wśród przypadkowo spotkanych osób. Ręce miał pewne i szybkie.

Czysta żądza, czyste cięcie.

Ogołocił pracownię z niepotrzebnych sprzętów. W drzwi wstawił nowe zamki, a lśniące weneckie lustro zamalował białą olejną farbą. Rozbił aparat fotograficzny. Nikt nie miał prawa wstępu do miejsca, w którym sam na sam obcował ze swoim Bogiem. To była Świątynia, jego Arka Przymierza – tylko jego oczy mogły ją oglądać, tylko on mógł mącić jej powietrze, naruszać spokój. Dodatkowy agregat chłodniczy, który zamontował, obniżył temperaturę w pracowni poniżej zera, mimo to nie zrezygnował ze swoich przyzwyczajień i nadal pracował tylko w cienkiej przepasce na biodrach. Zbyt wysoka temperatura skruszyłaby delikatne dzieło. Skoro chłód sprzyjał tworzeniu w imię Jego, Bruno nie śmiał się temu sprzeciwić – pracował, przyjmując zimno jako dar łaski. Stracił kilka palców u bosych stóp, a z jego dłoni nawet po zakończonej pracy nie schodził fioletowy odcień odmrożeń. Mimo to wieczorem, gdy wył z bólu, a całe ciało ogarniały kurcze, kierował myśli ku zimnej krypcie w piwnicy. Cierpienie dodawało mu skrzydeł. Usypiał spokojnie. A gdy w nocy, w atramentowej ciemności podkradał się potwór i żądał swojej maski, oddawał mu ją z ochotą. Nic nie mogło stanąć mu teraz na drodze. Ścieżka, którą sobie wytyczył, była prosta i jasna.

Odrzucił zwątpienie. Kierował nim dogmat.

Tymczasem Kiwi obserwował, Kiwi czekał. Ale w odróżnieniu od Brunona, zamiast obecności budzącego się do życia Boga, czuł na plecach gorące tchnienie przedSIONKÓW każdego z kolejnych piekielnych kręgów. Tuż.

\* \* \*

**Wszyscy dalecy są od ujawnienia swoich prawdziwych Zamiarów,  
Ponieważ prowadzą one do Jądra Istnienia,  
Skoro odnaleziono by Pierwsze, kim stałby się ten Patrzący na Nie?  
Żaden człowiek nie udźwignie roli Zera.**

\* \* \*

Bruno kroił i szył. Przymierzał, pruł i szył od nowa. Mięso w dłoniach, mięso na kolanach spływało na ziemię niczym czerwony jedwab. Czegokolwiek ta tkanina dotknęła, barwiła od razu, jakby była zbyt delikatna nawet na to, aby trzymał się jej kolor. Rozpięte na wielkim stelażu płaty błon otrzewnej lśniły w półmroku niczym tłusta mika. Powietrze pachniało tajemnicą. Krew rozsiewała woń pizma. Niekompletne ciała leżały porozrzucane tu i tam, ludzka glina, którą rzeźbiarz okroił i uznał za niepotrzebną. Wydawać by się mogło, że to tylko zbędne kalekie części, takie jak but bez pary – rozrzucone na pchlim targu rodem z koszmaru – cicho oczekiwały, że ktoś je podniesie i znajdzie nowe zastosowanie. Na stalowym stoliku granatowe sierpy nerek leżały niczym egzotyczne owoce o ostrym korzennym zapachu. I tylko głucha cisza nie dała się zwieść – wisiała nad tym wszystkim z powagą należną grobom. Bądź co bądź tym właśnie stała się pracownia: masowym grobem w oczekiwaniu na zmartwychwstanie. Obłoczek oddechu jedyne go świadka i jednocześnie sprawcy nowego cudu odmierzał czas, jaki pozostał na dokonanie się Dzieła.

W głowie Brunona huczało od niespokojnych myśli. Maszyna zbawienia, którą skonstruował we własnej wyobraźni, działała z siłą



i nieustępliwością mechanicznego młota. Jednocześnie popychała go naprzód i utrwałała fundamenty jego wiary.

Czuł, że głowa pulsuje mu od tępych uderzeń. Bądź! Bądź! Bądź!

W zaciszu pracowni Dzieło STAWAŁO się.

\* \* \*

Anioł zmarł.

Groteskowe ciało w przedśmiertnym spazmie nie miało w sobie nic z wzniosłości świetlistych istot. Bruno stał w drzwiach i przyglądał mu się tępym wzrokiem. W spierzchniętych ustach trzymał kilka igieł, wypluł je na podłogę. Trup; okaleczony trup, stłuczony boski neon, wspomnienie światła, jakim się żywił. Białe placki opatrunków i ciemne plam opadowych. Bruno dotknął szczupłych ramion, potem nóg. Stężenie pośmiertne ścięło je czarnym trumiennym lodem. Nie dało się już nic zrobić. Nawet gdyby je przełamał, Anioł nie mógłby zająć miejsca w sercu ołtarza. Gdyby teraz wykorzystał go tak, jak to planował, zniweczyłby cały efekt. Tyle pracy na marne, myślał Bruno, tyle pracy... Umocowany na ołtarzu, wyglądałby jak ściervo wrony, które na przestrożę rolnicy wieszają na obrzeżach pól; zawieszona na drucie święta kpina.

Zrezygnowany, wziął ciało na ręce, zniósł je do pracowni i ułożył w kącie. W cieniu, poza zasięgiem wzroku przywodziło na myśl raczej połamany mebel niż ludzką postać. Wywrócone do góry gałki oczne patrzyły w ścianę. Po raz pierwszy w życiu Brunonowi zbierało się na płacz. Sięgnął po małe dłutko i z pasją obciął jeden z czarnych, odmrożonych paliczków u swojej stopy. Cięcie i ból były krystalicznie czyste, to przywróciło mu równowagę.

Chuchnął w dłonie. Nie chciał się poddawać. Podjął porzucony ścieg.

A może był w tym jakiś głębszy sens? Może zadziało coś więcej niż zwykły przypadek? Ta kobieta, ta, co tu dużo mówić, dziwka, nie musiała być przecież godna tego, co ją spotkało. Czyżby zadziałał boski plan? Bruno przerwał szycie, uniósł wzrok i przyjrzał się szczątkom Anioła. Czyżby? Zastanowił się nad tym głębiej: to miałoby sens. Bóg kieruje jego poczynaniami, ale ręce Boga są nieskończone jak on sam, mogą dotknąć wszystkiego nieprawdaż? Wytarł dokładnie narzędzia i odłożył je na niewielki stolik. Kleszcze, nóż i igły, dłuta. Wsparł łokcie na kolanach, a głowę ujął w dłonie. Wątpliwości – prędzej czy później musiał wpaść w ich lepkie sidła. Małe, szare, wielonogie, tkające swoją sieć na zakurzonym strychu świadomości. Zamiast krzyżyka na swoich grzbietach nosiły niewielkie znaki zapytania. Bruno szukał po omacku, ale czuł, że gdzieś w sobie ma ich całe gniazdo – jeśli tylko stworzyłby im odpowiednie warunki, wyroiłyby się skotłowaną masą. Setki, tysiące. Miliony. Zamiast krzyżyka – pytajnik. Zamiast najcieńszych srebrnych nici natchnienia – powróż niepewności. Wbił wzrok w stolik z narzędziami. Proszę, pomyślał, oto doskonałość formy. Lita stal; nieruchoma pozostaje piękna, a gdy umiejętnie nią uderzam, część z tego uniwersalnego piękna odpryskuje i na zawsze tonie w moim dziele. W ruchu ramienia, w skoku dłuta nie ma wątpliwości; ale zatrzymajmy się w pół kroku, trwajmy choć chwilę nieruchomo, a od razu wystawimy się na uderzenia tego lodowatego wichru nazywanego przez niektórych czasem, a będącego tylko pustym naczyniem, gdzie tłucze się umysł pozbawiony celu. Myśl. Myśli są jak trąd, poddają wszystko bezbolesnemu procesowi rozkładu. To tutaj nie jest łamigłówką, nie otrzymamy wyniku po chwili zastanowienia. Odpowiedź, na którą czekamy, można tylko przyjąć. Wytrzeszczył oczy tak silnie, że na chwilę zapomniał o mruganiu. Narzędzia lśniły. Patrzył na nie. Gdzie jest

odpowieź? Czekam na odpowieź! Narzędzia na kratce autoklawu jak srebrne nuty na pięciolinii.

Z oddali nadchodziło...

I nagle widział, miał ją! Tuż przed sobą! Ba, nie jedną – zwielokrotnioną. Pochylił się nad stolikiem i spojrzał wprost...

\* \* \*

W lustrach to nie on.

TO...

\* \* \*

Zapach siarki. Kiwi poczuł go, kiedy tylko odsunął dywan i uniósł klapę do pracowni. Pierwsze dwa stopnie wyłaniały się z ciemności uczipione resztek światła, potem zapadały się w siebie, nikły. Coś zakotłowało mu się nagle w piersi i ścisnęło za gardło. Za bardzo to wszystko było prawdziwe. Zbyt silne. Pociągnął nosem. Powietrze gęste i wilgotne, rozgrzane. Wzdrygnął się jak ktoś, kto przypadkiem posmakował zepsutego jedzenia.

Pierwszy krok. Niewielki kroczek na sam brzeg schodów, na sam skraj ciemności. Stop. Czy jeżeli Bruno powołał do życia Boga, to także narodziło się Jego przeciwieństwo? Kiwi zatrzymał się. To śmieszne. Czasami bardzo trudno pogodzić się z rzeczywistością... Jeszcze raz: diabeł? Śmieszne. Ale diabeł nie byłby taki zły, pomyślał, przynajmniej wiedziałbym, na czym stoję. A tu? Otchłań domysłów. Wziął głęboki oddech. Rozsądek, uzbrój się w zdrowy rozsądek!

Czujesz to? Poczuj. Kiwi drżał cały. Ale gdy to drżenie rozlało się już po każdym centymetrze jego ciała, niespodziewanie ogarnęła go fala spokoju. Odetchnął z ulgą. Zrozumiał. Cokolwiek czekało na dole, siarkowodór na razie odbierał temu wszelkie aspiracje do mistycyzmu. Bo chociaż na

moment dał się ponieść wyobraźni, Kiwi już wiedział, że to, co czuje, to wyłącznie mięso. Oto konkret. Uczepił się go rozpaczliwie. Gnijące mięso. Przyłożył do ust chusteczkę. Wszystko wokół śmierdziało padliną. To też był konkret. To krzepiło. Tak mu się przynajmniej wydawało...

Schody niechętnie przyjęły jego kroki. Twarde i sprężyste, odbijały stopy w drogich mokasynach – tak to odczuwał. A potem – strach – pomyślał. Zakręciło mu się w głowie. Rozluźnił trzymaną przy twarzy rękę. Jeszcze chwila, a by się udusił, tak mocno i szczelnie objął materiałem nos i usta. Kretyn, pomyślał. Spojrzał na swoje dłonie, popielate i szare w mroku piwnicy. Miał wrażenie, że zanurza się w ogromnej paszczy; gardzieli bez dna. Z wnętrza tej paszczy wiało ohydą i napięciem, jak gdyby przelało się przez nie morze nieczystości w akcie wymiotów na kosmiczną wręcz skalę.

Wyciągnął przed siebie ręce w obawie, że wpadnie na coś, błądząc po ciemku. Na co do cholery mógłbym wpaść, zganił się zaraz w myślach. Na tego kulawego niby-Boga, o którym bredził Bruno? Opuścił ramiona i przycisnął je do tułowia. Jego palce drapały uda; nie panował nad nimi.

Począł, aż oczy przyzwyczajają się do gorszego oświetlenia. Skupił się na oddychaniu. Jeden oddech, drugi oddech, trzeci, czwarty. W końcu z jednostajnej szarości wyłoniły się pajęczne kontury rzeczy.

Drzwi do pracowni były uchylone. Widział czarną linię pomiędzy skrzydłem drzwi a futryną – czarniejszą czerń w otaczającym mroku. Na samym dole ciemność rozmiękła i rozplynęła się w matową kałużę. Ostrożnie podszedł i zanurzył w niej nosek buta. Woda. Czy Bruno nie wspominał mu o chłodziarce? Przyłożył grzbiet dłoni do szczeliny w drzwiach, ale nie poczuł bijącego z niej chłodu. Widocznie padł agregat i tam w środku wszystko powoli tajało. Nadstawił ucha. W oddali pojedyncza kropla opadła z cichym *plum!*, potem znów zapadła cisza.

Woda, na pewno woda. Agregat padł i stąd ta kałuża, ten smród, to... *Plum. Plum-pa-plum.* Na pewno.

Obejrzał się przez ramię, spojrział prosto w zawieszony za plecami jasny kwadrat wejścia, a potem energicznie sięgnął przed siebie i otworzył drzwi. Odór przybrał na sile, zupełnie jakby w miarę ustępowania pod naporem jasności mrok pracowni wyrzucał z siebie nadmiar zepsutego powietrza. Uderzenia kropli brzmiały teraz głośniej, bardziej stanowczo, metalicznie. *Plum!* Nie wejdę tam, dopóki nie odnajdę i nie włączę choćby najmniejszej żarówki, pomyślał, wiem, co tam zastanę – rozkład i bezruch, ale mimo to chcę, by ukazało mi się to w świetle. Oparł się piersiami i brzuchem o ścianę, przełożył lewą, zgiętą w łokciu rękę przez futrynę i po omacku szukał kontaktu. W górę i w dół, metodycznie szurał nią po ścianie. Bezskutecznie. Przemógł się i zbliżył do futryny tak, że jej ostry brzeg miał teraz pod pachą. Zahaczył palcami o metalowy wieszak i zrzucił z niego coś, co z cichym plaśnięciem opadło po drugiej stronie na podłogę. Tuż poniżej wieszaka namacał przełącznik. Nic się nie wydarzyło. Szarpnął przełącznikiem jeszcze kilka razy, ale światło nie zapaliło się. Widocznie cała piwnica pozbawiona była prądu. Widocznie tak właśnie było. Na pewno. Cofnął rękę. Wyślizgnęła się z mroku, ciągnąc za sobą pasmo zepsutego powietrza. Przez chwilę walczył ze sobą, a potem powąchał dłoń – pachniała kawą i papierosami, które palił kilka godzin temu. Było to tak nie na miejscu, że poczuł skurcz żołądka. Sztywno wycofał się do schodów. Zrobił to tak szybko, że pierwszy stopień podciął go i niemal na nich usiadł. Potem przekręcił się i pomagając sobie rękoma, zaczął biec pod górę. Zatrzymał się w połowie drogi. Jego uwagę zwróciła niewielka metalowa skrzynka zawieszona na ścianie – nie zauważył jej, gdy schodził na dół.

Usiadł i przyjrzał się jej dokładnie.

Z dwóch górnych otworów przykręcanej pokrywy sterczały zardzewiałe śruby, pozostałe ziały pustką. Ostrożnie wyciągnął te śruby, a wieko odłożył na bok. Bezpieczniki. Miał je na wyciągnięcie ręki: stare, porcelanowe. Wykręcił każdy z osobna i sprawdził, zanim zamontował z powrotem. Trzy okazały się przepalone – wymienił je, korzystając z zapasu umieszczonego po wewnętrznej stronie pokrywy. Ta metodyczna praca przywróciła mu odrobinę spokoju. Wkręcił ostatni z białych cylindrów i z przyjemnością wsłuchał się w ciche brzęczenie elektryczności, która je wypełniła. A potem w jednej chwili całą piwnicę zalało światło. I wbrew sobie Kiwi pomyślał, że jest ono o wiele gorsze niż półmrok, którego do tej pory się tak obawiał...

\* \* \*

To wszystko... Podłoga. On. Schody. Krople. Siedział. Nie poruszał się. Ile tak już siedzi? Czas spędzony w pracowni – nie umiałby go zmierzyć. Próbował na wiele sposobów. Przekładał go na czkawkę jarzeniówek, ale ich mruganie było zbyt nieregularne. Potem liczył drobniutkie fale na różowo podbarwionej wodzie, która stopniowo zalewała podłogę. Liczył obroty zawieszonych w niej ławic martwych much. Wszystko na nic.

On. Krople. Schody. To wszystko. Na nic.

„Chcę, by ukazało mi się to w świetle”, czy nie tak sobie postanowił? Oparł ręce na metalowych schodach. Były lodowato zimne. Każda rzecz w zasięgu wzroku musiała być tak zimna. Jego samego także przepęniał chłód. „Wiem, co tam zastanę”.

Spojrzał na swoje mokasyny. Przemoczył je tak, że z drogiej skóry pozostały tylko dwa brudne ochłapy. Skóra, pomyślał, martwa skóra; mam ją tuż przy ciele, ale obawiam się spojrzeć przez te pieprzone drzwi, bo wiem, że zastanę tam kolejne zwały martwej skóry, całe bele skóry

naciągnięte na resztki tego, co kiedyś pokrywała, na kościste krzewy, które opięły się nią niczym ogromnym liściem, pokryły nią swoje delikatne i ciepłe owoce. Na trupa. Trupy. Na ciała i szczątki. Wszystko pokryte skórą...

Wiedział, co Bruno potrafił z taką skórą zrobić i, nie okłamujmy się, kiedyś go za to podziwiał. Ale dawna fascynacja zrodziła strach. To, czym zajmował się jego przyjaciel, nigdy nie dotyczyło go w sposób bezpośredni. A teraz? Teraz już nie ma marginesu bezpieczeństwa. Nie ma dzielącej go od tego szyby. Wszystko skończyło się, gdy tu zszedł, kiedy włączył światło. Kiedy uznał, że musi zobaczyć. MUSI.

Jest współautorem Dzieła. Osobą, która zachowa je w pamięci, nada mu kształt. Opowie o nim każdemu, kto zechce posłuchać.

Czy nie to właśnie zostało mu przepowiedziane? Że stanie kiedyś obok Niego? Że będzie błagał o to miejsce?

Wstał i zaczął schodzić. Powoli. Z szacunkiem. Spokojny.

\* \* \*

Przed wejściem do pracowni przystanął.

A potem podniósł wzrok.

\* \* \*

Wśród ludzkich szczątków ułożonych w najpiękniejszy sposób, jaki kiedykolwiek oglądał, dostrzegł ciało przyjaciela.

Na sinych piersiach wycięte miał imię swojego Boga.

\* \* \*

A imię Jego brzmiało: **B R U N O**.

## Pięć minut przed końcem lata

Na pięć minut przed końcem lata skryłem się wśród kęp turzycy na tyłach domu, rozejrzałem uważnie i zapaliłem pierwszego w życiu papierosa. Miałem osiemnaście lat. Papieros był suchy jak wiór – mimo to trzeszczał i dymił, jakby ukręcono go nie z tytoniu, lecz z mokrego siana. Żar łąpczywie pożerał bibułę i pamiętam to doskonale, bałem się, że wypalę go zbyt szybko, aby móc zapamiętać każdy szczegół tego wydarzenia.

Na pięć minut przed końcem lata takie rzeczy są godne zapamiętania.

Trawa, w której znalazłem schronienie, wyrastała dookoła mnie gęstą, chybotliwą ścianą. Jej źdźbła i polne kwiaty pochylały się nade mną, drapiąc w kark i uszy. Z kłosów opadały nasiona – niektóre z nich podpalałem od niechcienia, a one wtedy wzbijały się ponad moją kryjówkę.

W oddali rozbrzmiewały głosy: niecierpliwe nawoływanie rodziców pakujących zaparkowany na podjeździe letniego domku samochód; ujadanie psa; charkot zdezelowanego do granic możliwości czternastowatowego radia w pokoju mojego młodszego brata. Mleczny jęk oczekujących na udój krów z pobliskich pól płynął miękko, jak gdyby przelewał się ponad tym wszystkim, obok tego wszystkiego.

Na pięć minut przed końcem miałem je tylko dla siebie.

Lato.

Palilem i myślałem: na razie wszystko jest w porządku, na razie jest ONO. To dlatego mogę robić to, co robię: lato wszystko wybacza, każdy o tym wie. To niepisane prawo młodości. Takie prawa istnieją od zawsze;



„zawsze” zawiera ogrom czasu; dodaje każdemu z ulotnych dziecięcych praw splendoru i powagi.

Papieros smakował rozgrzaną smołą, ogrodową wędzarnią; sadzą z węglowej kuchni.

Nigdy już nie trafię na papierosa, który dorównałby temu pierwszemu, palonemu wśród traw, w falującej ciszy, pomyślałem.

Zielone głowy traw przytaknęły.

O! Przed chwilą znowu szczekał jak oszalały. Trefl – nasz pies. Znam jego sztuczki. Biegał dookoła naszego poloneza, a kiedy uznał, że pora dać upust nadmiarowi energii, popędził przed siebie. Robi tak, odkąd pamiętam, od szczeniaka. Właśnie przemknął niedaleko mnie. Chyba mnie nie zauważy; szkoda byłoby kończyć przed czasem to moje nikotynowe misterium. Do złotego paska koło filtra został mi jeszcze spory kawałek. Pociągnąłem na wszelki wypadek mocniej... Nie, nie ma się co martwić. Trefl szerokim łukiem zakręcił w stronę domu i wyskoczył po drugiej stronie podwórka. Zdzierał swoje psie gardło tak radośnie, jakby właśnie odkrył, że potrafi opróżnić pęcherz z obiema tylnymi łapami w górze. Ojciec rzucił: „Trefl! Ty bydlaku!”, ale w jego głosie nie było cienia złości, w żadnym wypadku. Pobrzmiewała raczej duma, jaki jest ten jego zwariowany pupil. Założę się, że podrapał go za uchem w nagrodę za tę... treflowatość.

Dymek.

Koniec lata miał nadejść za pięć minut i słońce w oczekiwaniu na ten moment powoli zmieniało barwę. Gdzieś w górze majestatycznie przekręcał się galaktyczny filtr: ciepłe promienie zastępował halogenowy blask. W oddali rząd srebrnych świerków wyczekujący wczesnej jesieni. Na ciemnej ścianie lasu, żółta kora sosen więziła resztki pomarańczowego refleksu.

I dymek.

Pięć minut. Wieczność. Tam i wtedy. Tu i teraz...

To trwa już tak długo. Powoli wszystko mi się płacze...

\* \* \*

Przekroczmy magiczne osiemnaste urodziny, a wszystkie „nie wolno” bez ostrzeżenia zastąpione zostaną przez „nie powinienes”. Oznacza to, że możesz nocować u przyjaciółki, chociaż nie powinienes, bo co sobie ludzie pomyślą. Możesz wracać w nocy do domu, będąc na lekkim rauszu, chociaż nie powinienes – wiadomo ulice bywają niebezpieczne. Możesz niemal bezkarnie powiedzieć dorosłej osobie, żeby pocałowała się gdzieś, chociaż nie powinienes, bo w dziewięciu przypadkach na dziesięć ta zupełnie dorosła osoba może to sobie zapamiętać, a kiedy taka osoba coś sobie zapamiętuje, robi to zwykle w jakimś celu – by ci się zrewanżować w sposób mniej lub bardziej upierdliwy.

Miałem osiemnaście lat, pierwsze nieśmiałe włoski dookoła sutków i jako tako orientowałem się w gustach dziewczyn, kiedy przychodziło co do czego. Te wszystkie dotykaj, nie dotykaj – rozpracowałem to nie najgorzej. To się liczyło. Jak na razie ten nowo odkryty dwójkowy system „powinienes – nie powinienes” zupełnie mnie nie obchodził.

Na razie z zadowoleniem poruszałem się po omacku.

Pięć minut przed końcem lata miałem ważniejsze sprawy na głowie.

Dziewczyny... Aha, tylko one mi w głowie, co? Ale przepraszam, na razie nie było miejsca na dorosłe zmartwienia, te, co wkrótce zakradną się tylnymi drzwiami. Wtedy z papierosem w ustach myślałem, że będę miał na te utrapienia jeszcze czas, mnóstwo czasu, gdy w końcu wywietrzeje mi z głowy zapach lata. Zapach *terra incognita*, rozłożonej przede mną

szeroko, rozgrzanej plaży, na którą ostrożnie wychodziłem z szalupy dzieciństwa.

A jeżeli jest na tym świecie coś wspanialszego od odkrywania nowego ładu, to chwila, gdy odbija się od niego i wiatr szepcze do ucha: do widzenia, Kolumbie. Tak więc w rozkwieconym gąszczu na tyłach domu szukałem drogi powrotnej do miejsc, z których zabrały mnie dziwne prądy, a robiłem to, dobrze wiedząc, że moja podróż już zawsze odbywać się będzie nie przez przestrzeń, lecz poprzez czas.

Mam tylko pięć minut, więc ta historia będzie krótka.

### **Czerwiec**

Po raz pierwszy spotkałem Joannę w samo południe. Pewnej upalnej soboty jechałem rowerem na zakupy do wiejskiego sklepu, oddalonego od naszego domu o jakieś cztery kilometry, przemierzając – na zmianę przez rzadki las i gęste pastwiska – szutrowy trakt. Joanna siedziała na poboczu zapatrzona przed siebie, na drobnej twarzy malowało się niezwykle skupienie. Mokra od potu koszulka okleiła jej ciało, podkreślając niewielkie piersi. Lewa, nieco większa od prawej, rysowała się bardzo wyraźnie pod wilgotnym materiałem. Zauważyłem, że oba kolana zdarte ma do krwi, w rękach okulary w cienkiej oprawce. Szkła tych okularów pokrywała siateczka pęknięć i rys; to tłumaczyło wyraz jej twarzy – tę krótkowzroczną, powagę.

Zwolniłem i zatrzymałem się, balansując tak, aby przymocowana do bagażnika torba z butelkami na wymianę nie przeważała roweru. Łokcie oparłem na kierownicy. Przyjrzałem się dziewczynie jeszcze raz, zauważyłem resztki ogniw łańcucha rozsypane na asfalcie.

— Cześć! — powiedziałem.

I ona też powiedziała: cześć, ciągle z wzrokiem utkwionym w dal.

— Mały szlif? — spytałem wesoło i to ta moja wesołość zmusiła ją chyba, żeby spojrzeć wreszcie w moją stronę. Ciemne oczy astygmatyczki z powagą wdrapały mi się na twarz, a potem przez kilka chwil dostrajały do niej, jak gdyby mój głos i głowa stanowiły nadajnik, którego pasma poszukiwały.

— Nie rozumiem...

— Wypadek? — podrzuciłem.

— Ach, to. — Joanna natychmiast zasłoniła kolana, ale gdy tylko dotknęła ich spoconymi dłońmi, syknęła z bólu.

— Aj!

— Nie dotykaj — ostrzegłem. — Będzie piekło.

— Przecież nie dotykam — burknęła.

Zsiadłem, zdjąłem z bagażnika torbę na zakupy i wyciągnąłem podpórkę.

— Gdzie twój rower? — zapytałem.

— W rowie — odparła rzeczowo.

Zszedłem na pobocze.

— Gdzie w rowie?

— GDZIEŚ.

Zsunąłem się po nasypie w zielsko.

Dno wykopu melioracyjnego okazało się miękkie, lecz dość suche, za to tam, gdzie ziemia najeżona świeżym, niemal czarnym od zieleni tatarakiem pozostawała cały czas w cieniu, ugięło się nieprzyjemnie pod stopami. Przeczłapałem po nim raz w jedną, raz w drugą stronę i w końcu natknąłem się na niewielki staromodny, niebieski składak. Wytargałem go z powrotem na drogę. Materiał na siodełku i gumowa rączka po lewej stronie nosiły ślady upadku. Zębatki zalepiało cuchnące błoto.

Kucnąłem i pozbierałem z asfaltu resztki łańcucha. Rude od rdzy ogniwa nie miały na sobie ani odrobiny smaru.

— Łańcuch pękł, bo o niego nie dbałaś, wiesz?

— Och? — zdziwiła się Joanna, tą jedną sylabą zbywając mój mentorski ton.

— Słuchaj, z tobą na pewno wszystko w porządku? Nie uderzyłaś się czasem w głowę?

Joanna nie odpowiedziała, zerwała się na równe nogi i zanim się zorientowałem, poderwała swój składak. Pomaszerowała z nim tak żwawo, że w kilka sekund oddaliła się o dobre pięćdziesiąt metrów. Kiedy już otrząsnąłem się ze zdziwienia, też wsiałem na rower i mimo że oznaczało to nadłożenie co najmniej połowy drogi, zawróciłem i pojechałem do domu okrężnymi, drogami. Wszystko, dlatego, że bałem się ponownego spotkania z tą zagadkową, nadąsaną dziewczyną, nawet, gdybym miał ryzykować zaledwie milczącą mijankę na drodze. Zakupy mogły poczekać.

Właśnie tak zakochałem się w Joannie.

\* \* \*

Oczywiście o tym, co we mnie kiełkowało, wiedziało na razie jedynie Lato, choć ani na chwilę nie zwolniło gorączkowego biegu z powodu takiej błahostki: kwitło, pachniało, dojrzewało, zieleniło się i złociło, niekiedy wytrząsało nadmiar energii w krótkich letnich burzach; zaraz potem, jakby na przekór, zatrzymywało czas i stawało w gorących popołudniach, gęstych oraz rozpalonych. Byłem z nim w każdej z takich chwil i w głębi serca myślałem, że cały czas traktujemy się jak przyjaciele. Tym bardziej zdziwiła mnie przebiegłość, z jaką mnie potraktowało.

Albowiem Lato zastawiło na mnie pułapkę.

Dwa tygodnie po mojej niezręcznej próbie niesienia pomocy i rozczarowaniu, jako jedynej za nią zapłacie, pedałowalem w największy z możliwych upałów. Opony roweru kleiły się do jezdni. Trwały sianokosy. Pachniała nagrzana ziemia i schnące siano, a ja jechałem powolutku nie z powodu zmęczenia, ale dlatego, że szybka jazda nie wydawała mi się odpowiednia. Ciężkie traktory urzędu gminy wykosiły jakiś czas temu pobocza i wszystkie potrzaskane w nich butelki, mieniły się wśród kęp i kretowisk na zielono i brązowo. I kiedy tak powoli przesuwałem się przez kolejne pasma zapachu, kątem oka złowiłem znajomy refleks.

Okulary Joanny.

Wziąłem je do ręki i jedno ze szkiełek rzuciło mi prosto w oczy chybotliwego świetlnego zajaczka. Sięgnęło dalej niż pod powieki, bo ni z tego, ni z owego poczułem w sercu ukłucie. Aha, pomyślałem, no to po mnie. Dałem się podejść. Teraz już na pewno nie zasnę spokojnie, dopóki nie zwrócę zguby

Tak myślałem, gdy na nowo potoczyłem się jezdnią.

Błysk słońca cały czas trzepotał mi w piersiach niczym rozjarzony motyl.

\* \* \*

— Czego tu chcesz?

Joanna wyglądała jeszcze piękniej niż przy naszym pierwszym spotkaniu. Chciałem jej powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że moje poszukiwania dobiegły końca, jak dumny jestem z tego, że wypełniłem swoje postanowienie. Nie wykrztusiłem jednak ani słowa. W otwartych drzwiach wyrosła przede mną uniesiona gniewem księżniczka, zła, lecz pociągająca królowa, najbardziej czysta z dziewczęcych złości na świecie.

Zamiast się przywitać, wyciągnąłem rękę.

— Odnoszę okulary. Zostały w rowie. Myślałem, że będziesz ich potrzebowała...

Z głębi domu dobiegł melodyjny kobiecy głos:

— Kto tam? — padło pytanie. A zaraz potem ten sam głos upomniał — przeciągi!

— Nikt! — odkrzyknęła Joanna i zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o nie plecami, dłonie ułożyła z tyłu na klamce. Patrzyliśmy na siebie bez słowa.

— Nie potrzebujesz ich? — przerwałem w końcu ciszę, cały czas z ręką w górze. Bark szczypał mnie już z wysiłku, tyle że niespodziewanie ubzdurało mi się, że biorę udział w jakiejś grze i jeżeli opuszczę ramię, to okaże się, że przegrałem.

Jak nazywa się ta gra?

— Nie chcę ich. Bez nich lepiej widać moje oczy — odparła Joanna i zbliżyła się do mnie o krok. Nasze twarze dzieliły centymetry.

— Widzisz, jakie zielone?

Poczułem jej oddech, delikatnie miętową nutę. Z ustami niedaleko jej ust, z ręką jak gdyby zatrzymaną w pół objęcia zrobiło mi się naprawdę nieswojo, plecy spłynęły potem.

— Bardzo zielone...

— Chodźmy! — zakomenderowała nagle, i pociągnęła za sobą. Pobiegliśmy za róg domu, a potem wprost do dużego ogrodu.

Warzywa i owoce wyrastały na każdym wolnym skrawku ziemi. Pomiedzy pętlami fasoli i szorstkimi łachami porów rosły drzewka owocowe, pobielone i skrzętnie okopane, lecz na pierwszy rzut oka wyrodzone. Stały w nieregularnych odstępach i pomyślałem, że część z nich umarła, a potem została wycięta. Mijałem w biegu puste miejsca oznaczone kępami twardej wysokiej trawy, która syciła się jeszcze

nasiąkniętą nawozem glebą, zielone nagrobki śliw, moreli i grusz. Ktoś od dawna nie dbał już o drzewa. Wrażenie ładu i porządku w ogrodzie przywracało dopiero osiem rzędów gęsto obrośniętych bluszczem, ciemnych sześcianów, które, jak wywnioskowałem z bliskości kwietnika i drzewek, były niczym innym jak baterią starych uli. Rozstawione z obłądną precyzją wzdłuż żwirowej ścieżki, zrobiły na mnie jednak niemiłe wrażenie. Wiało od nich chłodem. Nie usłyszałem też pszczoł.

Tymczasem Joanna wyprzedziła mnie i pierwsza wskoczyła na hamak rozpięty pomiędzy jabłoniemi. Czy tego chciałem czy nie, w udziale przypadł mi zmurszały lipowy pień; zanim na nim usiadłem, stoczyłem bój z zamieszkującym go batalionem mrówek. Nie mogłem im mieć tej krótkiej potyczki za złe. Cień drzew chronił przed upałem, a gdy przechyliłem się, oparłem plecy o wygodnie rozszczepiony pień. W najszerszym miejscu długiej gładkiej blizny, ponad metr nad moją głową, wisiała niewielka drewniana kapliczka.

Hamak kołysał się i trzeszczał. Joanna huśtała się z półprzymkniętymi powiekami.

Na jej twarzy nie odnajdywałem najmniejszego śladu tamtego mrocznego skupienia sprzed dwóch tygodni. Kolana zagoiły się i tylko skóra w miejscach po otarciach różowiła się lekko.

— Naprawdę przyszedłeś do mnie tylko po to, by zwrócić zgubę?

A w tle hamak popiskiwał szyderczo i w najlepsze.

— Nie, skądże. Lubię słoneczne dni, gdy w obcych ogrodach mrówki ogryzają mi tyłek.

Joanna roześmiała się przyjemnym, szorstkim śmiechem. Ten śmiech okazał się podobny do niej samej – nieodgadniony, lecz w gruncie rzeczy szczery. A choć pobrzmiwała w nim kpiąca nuta, to tylko sprawiła ona, że w moich oczach właścicielka nabrała uroku.



— Miły jesteś... — skwitowała potem mój mrówczany żart.  
— Siostrzyczki powiedziałyby o tobie: uczynny.

Jakie znowu „siostrzyczki”, przemknęło mi przez głowę, a to wahanie odbiło się zapewne na mojej twarzy, bo od razu udzielono mi wyjaśnienia:

— Siostry zakonne.

— To tutaj w okolicy mamy jakiś zakon? — spytałem trochę nieprzytomnie, a trochę po to, żeby podtrzymać rozmowę.

Joanna obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem.

— No co ty? Nie chodzisz do kościoła?

— Nie — odparłem. — Jestem ateistą.

— O!

Oboje pozwoliliśmy pojęczeć hamakowi.

— To ty z tych, co nie jedzą mięsa, tak?

— Coś w tym stylu — przytaknąłem na odczepnego i to rozwiało chyba wszelkie wątpliwości, bo Joanna porzuciła temat i machnęła drobną stopą w bliżej nieokreślonym kierunku.

— Podoba ci się? — spytała.

— Ogród? Trzeba tu chyba nieźle harować.

— Siostry dbają o to wszystko.

— I ten dom — kiwnąłem w stronę budynku — też ich?

Przytaknęła.

— Jesteśmy w klasztornym ogrodzie.

— To co ty tu robisz?

— Lubię je — skwitowała moje dociekania. Więcej nie pytałem.

W ciągu wspólnie spędzonego dnia okazało się, że Joanna lubi bardzo wiele rzeczy i mnóstwo z tych rzeczy ja też uważam za warte lubienia; w parę godzin staliśmy się sobie ogromnie bliscy, na wakacyjną dziecięcą modłę, która już nie była przyjaźnią, a jeszcze nie dorosła do prawdziwej

miłości; oboje promieniowaliśmy tym uczuciem i, tak mi się wydawało, oboje chcieliśmy pozostawać w jego zasięgu najdłużej, jak się tylko da.

Zwiedziliśmy sad i najedliśmy się zielonych jabłek. Rozbolały nas brzuchy, ale nie daliśmy tego po sobie poznać. To było zbyt przykre, aby zajęło naszą uwagę na dłużej. Postanowiliśmy, że po prostu zapomnimy o bólu, i ku naszemu zaskoczeniu ból minął. Niepostrzeżenie nadeszła pora obiadowa, ale że nikt nas na ten obiad nie wołał, nie zawracaliśmy sobie nim głowy. Pod wieczór poszliśmy nad rzekę i kąpaliśmy się, każde jeszcze lekko zawstydzone swoim towarzystwem. I nawet gdy roześmiani chlapaliśmy się wodą, to tak, aby przypadkiem nasze ciała się nie dotknęły. Przedwczesny dotyk, to prawda stara jak świat, zerwałby nić płochego porozumienia.

Po kąpieli, zmarznięci i sinouści, zakradliśmy się z powrotem do ogrodu i z chichotem chowaliśmy się wśród zieleni, kpiąc z ukrytych pod habitami właścicielek.

Na koniec, gdy zrobiło się już naprawdę późno, na pożegnanie podaliśmy sobie dłonie, a ja w tym uścisku odnalazłem elektryczną czułość.

## **Lipiec**

Co to za uczucie? Jak je nazwać? Spędzałem z Joanną całe długie dni, nic nie zaprzątało mnie bardziej niż ona. Rodzice dopytywali się: kto, gdzie, więc odpowiadałem im ta a ta, tu i tam, a oni tylko kiwali głowami i uśmiechali się słodko. Zauważyłem, że te uśmiechy nie były kierowane do mnie, raczej oświetlały panoramę ich wspomnień. Czyżby i oni brali kiedyś udział w takim letnim spektaklu? Chyba tak... Co więcej, swój własny występ uważali za wyjątkowo udany, skoro tak beztrąsko podchodzili do wieczornych prób przed premierą mojego przedstawienia – nigdy jeszcze nie wracałem do domu tak późno, nigdy też nie traktowano mojego łązikowania tak pobłażliwie.

Razem z Joanną objęliśmy w posiadanie cały ogród. Mrówki w końcu poddały się i opuściły lipowy pniak, aby uprzykrzać życie komuś innemu. Siadywałem na nim codziennie, zapatrzony w rozkołysaną dziewczęcą sylwetkę na hamaku. Rozmawialiśmy godzinami. Albo tylko trzymaliśmy się za ręce. Albo robiliśmy to wszystko na zmianę i sam nie wiem, co przynosiło więcej przyjemności: rozmowa, nasze splecione dłonie czy wynajdowanie takich układów tych dwóch czynności, by jak najmniej nudziły. Zza okien klasztoru przypatrywały nam się czasem woskowe twarze zakonnic; patrzyliśmy, jak przesuwają się za szybą, coraz to nowa, dwie lub trzy naraz, ale nigdy w ich oczach nie pojawiła się skierowana do nas, nastoletnich szkodników, przestroga, to raczej troska marszczyła im czoła. Na początku bałem się śmiertelnie poważnych spojrzeń, ale Joanna rozwiała mój niepokój – latem siostry rzadko wychodziły do ogrodu w ciągu dnia. Słońce przepalało czarne habity zbyt mocno, od rana do wieczora nie podejmowały żadnej pracy. Świt i początki zmroku to czas, w którym pielili i podlewały grządki. Oboje z Joanną sypialiśmy długo, a wieczory zabierała nam w całości rzeka, spotkanie z tymi milczącymi bożymi służebniczkami nie wchodziło zatem w rachubę. Mimo to w głębi serca obawiałem się ich. Towarzyszyły nam przez cały czas, na krawędzi uwagi, jak zapowiedź jakiejś niemej... ostateczności. Wydawało mi się, że nie odstępują mnie na krok, mroczne, skupione, uważne. Joanna sądziła, że wszystko to bierze się z mojej niechęci do Kościoła i kiedyś nawet niemal się o to pokłóciliśmy. W odróżnieniu ode mnie uważała się za osobę religijną, przynajmniej tak traktowała wszystko, co z religią pozostawało związane. Nie lubisz Kościoła, zarzuciła mi kiedyś, a ja szczerze odparłem, że trudno mówić o niechęci do czegoś tak dla mnie obojętnego jak mikser albo telewizor. Uciekła rozzłoszczona i mimo że szukałem jej kilka godzin,

spotkaliśmy się dopiero następnego dnia. Nigdy już nie wróciliśmy do tego tematu. Uznaliśmy, że najzwyczajniej w świecie szkoda na to czasu.

Ciekawe, co na ten temat miałyby do powiedzenia siostry?

Ale oto lipiec nadgorliwie wdał się w zwiastowanie sierpnia i wszystko w nas i dookoła nabrało rozpędu, jakby chciało za wszelką cenę zdążyć przed finiszem opowieści. Minał letni półmetek, a świat niespodziewanie przeskoczył w krainę chłodnych nocy i porannych mgieł. Rzeka płynęła wolniej; nie kusiała już ciepłą wodą, stygła cicho, niezauważalnie. Druga połowa lata to melancholijny czas, zapatrzony w jesień – rozpoczęło się wygaszanie słonecznych pieców, często nadciągały chmury. Deszcz, który niosły, padał równo i nieustępliwie, Szpalery topoli na miedzach zmieniły kolor liści, ich strzeliste szeregi doglądały zmiany pór roku.

Właśnie podczas takiej szarugi poznałem zakonnice.

To był jeden z tych dni, który kusi pogodnym porankiem, po czym i zapowiedź wspaniałej pogody obraca się z biegiem czasu w kpinę. Skuszony słońcem przyszedłem do ogrodu wcześniej niż zazwyczaj i w oczekiwaniu na Joannę już-już zanurzałem się w siatce hamaka, kiedy nadciągnęła lodowata mżawka.

Uciekłem pod dach klasztorного budynku. Wyżymałem właśnie ukradkiem koszulkę, kiedy jedno z okien otworzyło się na oścież i pojawiła się w nim głowa w kornecie. Zamarłem. Stojąc pomiędzy dwoma ciężkimi okiennicami, uśmiechnięta szeroko zakonnica przyglądała mi się, zaciekawiona. Spod kornetu wysunął jej się kosmyk rudych włosów, pod nosem dostrzegłem poszarpane V zajęczej wargi.

— Zmokłeś jak kura. Wejdiesz? — spytała. Wada wymowy nadała temu pytaniu miękkości. Głos nie miał wieku, jakby jednocześnie należał do dwóch osób: poważnej dwudziestolatki i radosnej staruszki. Kiwnąłem głową, a ona wskazała zapraszająco na drzwi.

Wewnątrz panował półmrok i chłód, lecz oba z gatunku tych przyjemnych. Pachniało czystą pościelą. Z kuchni dochodziła ostra woń szarego mydła.

Zakonnica zamknęła okno, wygładziła przód habitu i podeszła, żeby się przywitać.

— Jestem siostra Urszula.

Ja także się przedstawiłem.

— Napijesz się czegoś? Herbaty? Mogę też rozmieszać porzeczkowe konfitury z wodą.

Poprosiłem o szklankę zimnej wody z porzeczkami. Urszula znikła w spiżarni. Zostałem sam w pokoju, który służył chyba dawno temu jako salon, a teraz zaadaptowany został na mieszkancko dla jednej osoby. Szafa, stół, krzesła, łóżko pod ścianą i niewielki sekretarzyk wykonane z ciemnego drewna emanowały spokojem i powagą, tak jak ich uduchowiona właścicielka. Jedyńm przykuwającym wzrok elementem wystroju był duży krzyż z jasnego drewna, o gładkiej, prawie diamentowej politurze. Zawieszono na nim Chrystusa przeżerały już miejscami korniki. Naturalnych rozmiarów udręczona postać zajmowała całą ścianę.

— Podoba ci się? To kopia krucyfiksu Gerona. Proszę, twój napój.

Urszula mówiła teraz powoli i wyraźnie, z jej czoła zniknął niesforny miedziany kosmyk. Stała obok mnie i spojrzała na krzyż.

— Jest taki... miękki, prawda?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc piłem kwaśny porzeczkowy przecier i dziwiłem się, jak bardzo jest orzeźwiający i jak niesłychanie mi smakuje.

— Wyśmienite, prawda? Zbierane z naszych krzaczków. I bez cukru.

Pomyślałem, że w ramach wymiany uprzejmości wygłoszę jakąś pochwałę. Przypomniałem sobie sad i pasiekę.

— Macie tutaj całkiem spory ogród — zagailem grzecznie.

— Dwa hektary.

— O, aż tyle?

— To zależy, jak na to spojrzeć — zauważyła siostra Urszula i odebrała ode mnie pustą szklankę. — Jeśli idzie o pracę na tej ziemi, to ogromny obszar. Ale pożytku z niej niewiele. Pracujemy w ogrodzie dla przyjemności.

— Prawie jak wasze pszczoły — zacząłem z drugiej strony. — Z tyłu uli musi być cała masa miodu, prawda?

— Ule? — W oczach zakonnicy odmalowało się zaskoczenie. — Ależ my nie mamy tu uli...

Pomyślałem, że być może nie pamięta o tej części ogrodu, tak opuszczona była i zarośnięta. Opisałem więc miejsce w kłębowisku chaszczki.

— Och... Nie, nie — po chwili zastanowienia roześmiała się serdecznie. — To o czym mówisz, to tylko stary cmentarzyk. Chociaż nie dziwię się, że odniosłeś inne wrażenie.

Cmentarz w ogrodzie, pomyślałem. A nas dwoje cały czas na hamaku... Nareszcie zrozumiałem, skąd brały się te spojrzenia rzucane z wnętrza klasztornego budynku. Zapłonęły mi policzki. Czy dlatego zostałem tu zaproszony? Czekam na nagana? Staliśmy naprzeciwko ogromnego krucyfiksowi – Bóg, jego służebnica i ja – i rósł we mnie niepokój: co zrobię, jeżeli zostaną poprowadzony do tamtych grobów i w ramach pokuty Urszula nakazuje modlitwę? W tej samej chwili, zupełnie jakby stan zakonny predysponował do czytania w myślach, zakonnica dotknęła mojego ramienia i obróciła grzecznie, sadzając przy stole.

— Nie przejmuj się. To się zdarza, Jego majestat czasem działa tak na ludzi.

Pomyślałem, że na szczęście źle odczytała powód przestרחu.

— Przepraszam. Nie chciałem... siostry urazić. Nic z tych rzeczy — bąknąłem

— Daj spokój. Czymże znowu?

— No, tym moim... zapatrzeniem.

— Jesteś niewierzący, prawda? Wiedziałam. Nigdy jeszcze nie klęknąłeś przy naszej ogrodowej kapliczce. W takim razie dla ciebie to tylko rzeźba. Uraziłeś kiedyś kawałek drewna?

— Racja — zgodziłem się i nerwowo potarłem dłonią czoło. — Racja...

— Słuchaj, zaprosiłam cię, abyś się schronił przed deszczem. Nie głoszę ewangelii na zawołanie. Siedzę dziś sama i pomyślałam, że być może we dwoje będzie nam różniej. Ale ty chyba jesteś z tych, co lubią samotność, co?

— Nie, nie bardzo — odparłem całkiem zbity z tropu.

— Naprawdę? Nie wierzysz w Boga, nie lubisz samotności, to po co przychodzisz tu do klasztornego ogrodu i wysiadujesz w nim całymi godzinami?

— Właściwie... — zacząłem niepewny, jak to wyznanie zostanie odebrane. — To ja się tu z kimś spotykam...

— Czekasz na spotkanie?

— Nie! — przerwałem. — SPOTYKAM! Z... z Joanną! Nie zna jej pani?

— Pierwsze słyszę. A kim jest ta Joanna, jeżeli wolno spytać?

Przełknąłem głośno ślinę.

— Oho, uważaj — przestrzegła. — Może spotykasz się z duchem.

\* \* \*

Nie wiem, czy spędziłem u sióstr jeszcze kwadrans czy godzinę, pamiętam za to, że gdy tylko moje ucho zarejestrowało krótką przerwę w deszczu, wyniosłem się stamtąd pod błahym pretekstem. Porzuciłem ogród i całe to nawiedzone zakonne paplanie. Nie chciałem tego spotkania, niechęcią o tyle większą, że gdy w końcu do niego doszło, wszystko przebiegło dokładnie tak, jak się tego spodziewałem. A Joanna dziwiła się moim uprzedzeniom wobec zakonnicy, dobre sobie. Teraz gdy zgnębiony włókłem się powoli polną drogą do domu, nawet pogoda ze mną igrała, pompowała deszczem, który kroił, to znów przybierał na sile. Pobiegłem w końcu na skrót przez las, szybko i na oślep starając się wydyszeć z siebie niepokój, który zasiała we mnie Urszula. Przewrotna wrona, myślałem. Niby przymilna siostrzyczka, a mści się na mnie za to, że kicham na jej kapliczkę i spróchniałego Jezusa.

Potknąłem się, przewróciłem i ostra gałąź rozdarła mi koszulkę.

Co za zabobony wciskał mi ten okropny babsztyl! Duch!

Soczek porzeczkowy, w dupę lepszy! Miękki Geron! Dwa hektary bez cukru!

Biegłem. Drzewa śmigały obok mnie, a ja wciąż nie byłem zadowolony z szybkości, z jaką przede mną umykały, wbijałem stopy w wilgotny piach i darłem nimi tak silnie, aż łapał mnie skurcz w łydkach.

W domu, w obawie przed litanią wścibskich pytań rodziców, szybko wziąłem prysznic. Zmyłem błoto i igliwie i zaszyłem się w swoim pokoju, a chociaż walczyłem z tym przymusem na wszystkie sposoby, nie potrafiłem przestać myśleć o tym, co mi się przytrafiło. O tym, co czułem do Joanny... Duch. O naszych spotkaniach – zawsze w tym samym miejscu i w tym samym czasie. Duch! Myślałem o cmentarzu, obok którego odbywały się nasze rozmowy. O tym, że nigdy nie było mowy o jej rodzinie. D u c h! Nie, nie... Nie. Co to za bzdury, co za brednie.



Przewracałem się w pościeli z głową ciężką od niespokojnych myśli. Przypominałem sobie usilnie wszystkie szczegóły związane z Joanną, każdy delikatny pieprzyk na odsłoniętej szyi, po raz kolejny i znów. Przeprowadzałem dowody jej istnienia oparte na wspomnieniach dotyku i zapachów. Pamiętam przecież te przelotne muśnięcia, każdy gest... Tylko ten stary cmentarz bardzo niepokoił. Nie wierzyłem, że nie wiedziała, co to za miejsce.

Zaraz! O co ja ją oskarżam?

Kiedy po długiej walce zasnąłem, zapadłem w koszmar.

W moim śnie przemierzałem ogród w oczekiwaniu na Joannę; wokół aura niepokoju. Jakby każde drzewo i krzew pod nieobecność człowieka prowadziły tajemne życie. Wyśniłem ogród przyłapany na gorącym uczynku – w najlepsze załatwiano w nim ukryte porachunki. Ale oto zapanowało nagłe poruszenie: do środka wdarł się intruz, zostałem odkryty, wybuchło powszechne niezadowolenie. Porzeczkki poczerwieniały ostrzegawczo. Agrest zjeżył kolce. Jabłonie kiwały koronami, rozsiewając wokół złe, mdłe i gorzkie tchnienie. Karłowate, drzewa natarły na mnie, sunąc nisko przy ziemi, obciążone jakąś niemą wiadomością, niczym znaki ostrzegające o niebezpieczeństwie. Krzewy zastępowały drogę – poddałem się im posłusznie – krocząc tam, gdzie pozwalano mi iść, zawracając, gdy wzbraniano dalszego kroku... Czas, jak to we śnie, mijał w skokach i interwałach. Noc zapadła niespodziewanie, zaraz po dniu, bez zbędnych wstępów. Natychmiast. Zanim się spostrzegłem, zgasły wszystkie kolory, rozlały się długie szare cienie. Ogród wciąż nie ustępował w szeleszczącej nagonce i zrozumiałem, że popychany byłem w jakimś określonym kierunku. Panowała przejmująca cisza, tylko od strony cmentarza dochodził cichy chrobot. To właśnie tam mnie prowadzono. Wyrwałem się polującej na mnie roślinności. Zadudniłem w drzwi klasztoru. Zamknięty na cztery

spusty, odpowiedział pustym echem. Noc gęstniała z minuty na minutę. Po jakimś czasie dostrzegałem tylko białą ścieżkę pomiędzy nagrobkami; jaśniała niczym podświetlona. Patrzyłem na nią i patrzyłem, aż poczułem, że oczy nie widzą już niczego poza białą wstęgą. Na obrzeżach żwiru ustawiły się rzędem stare drzewa, niezliczone gałęzie kiwały do mnie zapraszająco – wejdź. Zrozumiałem, że nie mam wyboru. Jeżeli nie wstąpię na ścieżkę, i ja rozpląnę się w mroku.

Ostrożnie wszedłem pomiędzy groby.

Bluszcz oplatający kamienie wydawał się jeszcze gęstszy niż w rzeczywistości, żarząc się toksyczną zielenią. Pod każdym z poplątanych baldachimów coś poruszało się żwawo, kwitły ukryte złe sekrety. Oberwałem miękkie gałązki z cmentarnej płyty i w tej samej chwili cały ogród wybuchł w niespodziewanym, radosnym skrzeku. Powój ukrywał kłęzącą na ziemi zakonnicę. Długimi palcami rozgrzebywała podstawę nagrobka. Zapytałem, co robi, a brak odpowiedzi nie zniechęcił mnie, bo we śnie wiedziałem, że moje pytanie usłyszano i tajemnicza kobieta drwi z niego w duchu. Zakonnica miała bladą, nieruchomą twarz, która przypominała nagrobną fotografię. Stałem tak, patrzyłem, zadawałem kolejne pytania, za odpowiedź mając jedynie dźwięk osypującej się ziemi. Drzewa nie miały mi już nic więcej do przekazania. Pomyślałem: to sen. Klęknąłem i zacząłem kopać.

Ryłem, a im głębiej sięgałem – po przedramiona, po łokcie – tym dotkliwiej drętwiały mi ramiona. Zakonnica niezmiennie milczała, z twarzą bez wyrazu. Zaczął się wschód księżyca i jego łuna posrebrzyła cały cmentarz. Grudy ziemi roziskrzyły się, jakby spod trawy wydarto nie tłusty czarnoziem, lecz opróżniła się ukryta tam diamentowa żyła. Zauważyłem, że księżyc zaniepokoił moją towarzyszkę. Zdwoiła wysiłki. Niespodziewanie także mnie udzielił się niepokój. Młóciłem rękoma

z zapamiętaniem, ale wystarczyło, byśmy wyrównali tempo, a siostra zakonna bez najmniejszego wysiłku przyspieszała jeszcze bardziej. Pod cementarną płytą ziała teraz wyrwa rozmiarów grobu. Nasz wyścig trwałby dłużej, lecz niespodziewanie skarpa pod moimi kolanami osypała się, zapadła i straciłem równowagę. Runąłem ciężko, na plecy. Tuż przed upadkiem, brudną ręką zatoczyłem szeroki łuk i z rozmachem uderzyłem zakonnicę w usta. Nie ciało poczułem w chwili uderzenia, lecz twardą nieustępliwą maskę. Rozciągnięty na gliniastym dnie, wyrzuciłem przed siebie ramię i wbiłem palec w jeden z ziejących nade mną oczodołów. Szarpnąłem. Opadła marmurowa fasada. Spod ciemnego kornetu przyglądała mi się moja własna, przerażona twarz. Spoglądałem w lustro. I wtedy zrozumiałem, co zostało odkopane.

Nad moją głową zamiast księżycy płonął ogromny neonowy krzyż. Zawieszony na nim Chrystus uśmiechał się miękko. Szyderczo.

\* \* \*

— Słuchaj, może przestraszyłeś się, bo nigdy nie rozmawiałeś tak zwyczajnie z osobą duchowną.

Odbicie Joanny przemówiło do mojego odbicia, nasze twarze płaskie, prawie czarne. Siedzieliśmy nad rzeką. Trzciny na mieliźnie szemrały; wodne ptaki raz po raz łamały ciszę, podnosiły piskliwy raban, trzęsąc ostrymi łodygami.

— A może spotkałeś zjawę? — zażartowała.

Spojrzałem bystro na Joannę. Dlaczego i ona raczyła mnie paranormalną śpiewką? Jej dziwaczny pomysł rozdrażnił mnie.

— Kpisz chyba...

— Nie, naprawdę. — Joanna zsunęła buty, zanurzyła stopy w wodzie i nasz wspólny odbity obraz rozpadł się w miękkim chlupocie. Wzburzone

dno w okamgnieniu przyciągnęło ławicę niewielkich rybek. Myszkowały w poszukiwaniu pożywienia. Najbardziej bezczelne skubały drobne palce Joanny tak delikatnie i czule, aż poczułem do nich niechęć.

— Nie wierzę w duchy — powiedziałem chłodno i sam zdziwiłem się brzmieniem własnego głosu. Joanna plusnęła z całej siły nogą. Wszystkie rybki umknęły w popłochu.

— Ojej, ojej, jacy dziś jesteście kategoryczni — zawołała. — Lepiej od razu się przyznaj: od początku miałeś stracha.

— Bo niby to duch był? — zakpiłem.

— A dlaczego niby nie? — wstała i spięła włosy. — To stary klasztor. Przypomnij mi, jak ta siostra miała na imię.

— Jakbyś sama nie wiedziała. Urszula.

— Nie znam przecież WSZYSTKICH sióstr. A Urszula to nie jest imię dla zakonnicy — oświadczyła.

— Pewnie, pewnie... Za to w sam raz pasuje do twojej zjawy.

— A co, myślisz, że poznałbyś umarłego, gdybyś go spotkał?

— No pięknie... — prychnąłem. — Wakacje z duchami!

— A dlaczego niby nie? — powtórzyła raz jeszcze.

— A dlaczego niby tak? — przedrzeźniałem ją.

Joanna obrzuciła mnie przeciągłym spojrzeniem.

— Wiesz co? Dajmy spokój.

— Ja jestem spokojny.

— Tak właśnie pomyślałam — odparła. Wstała i rozpięła płócienną bluzkę, błysnął ukryty pod materiałem strój kąpielowy.

— Wchodzisz? — spytała.

— Jeszcze nie. Poczekam, aż woda się trochę ustoi.

Joanna tylko westchnęła. Przyglądałem się, jak niespiesznie brodzi przy brzegu, a potem idzie dalej, jej szczupłe uda tną powierzchnię rzeki. Zaczął

kropić deszcz. Nadciągnęło ochłodzenie. Nasze oddechy wystrzeliły miękkimi obłoczkami pary.

Joanna zatrzymała się i odwróciła ku mnie.

— Wchodzisz czy nie? — ponagliła, a gdy nie udzieliłem odpowiedzi, sięgnęła za plecy i kucnęła w wodzie.

— Nie mam na sobie zupełnie nic — szepnęła. — Chciałbyś mnie dotknąć? Zanim... zanim skończy się lato?

Patrzyła na mnie w nieznany mi, zdesperowany sposób. Może ten jej nowy wzrok, a może przybierająca na sile ulewa spowodowała, że w jednej chwili ciało pokryła mi gęsia skórka.

W wodzie przywarliśmy do siebie mocno, bardzo mocno. Gruchnął grzmot, rzeka zagotowała się od ciężkich kropli. Staliśmy nie tak daleko od brzegu, ale w tamtej chwili równie dobrze moglibyśmy ugrzęznąć na środku rzecznej nurtu, bo ściany kropel zamknęły nas ze wszystkich stron w spienionym krajobrazie bez konturów i horyzontu. Unosiliśmy się, zanurzeni w szarości. Jak duchy, o których mówiła, pomyślałem i poddałem się impulsowi: dla potwierdzenia naszej cielesności obrysowałem palcami dwa białe równe trójkąty, które broniły opaleniznie dostępu bliżej niż kilka centymetrów od twardych dziewczęcych sutków. Pogładziłem jej pośladki, wilgotne, doskonałe i śliskie, jakby utoczone ze szkła. Wyczułem szorstką kępkę włosów opartą na moim biodrze, a potem Joanna sama poprowadziła tam moją rękę i okazało się, że te włoski są miękkie i falują jak najdelikatniejsze w świecie wodorosty. Byliśmy tak blisko, że woda oddzielająca nasze ciała rozgrzała się i nie umieliśmy odróżnić, czy to, co czujemy na wargach, to jeszcze smak rzeki czy naszych pocałunków.

Joanna... Jeżeli była duchem, to chciałem, aby była duchem szczęśliwym.

Dobrnęliśmy do brzegu i ukryci na niewielkiej plaży wśród trzcin przytulaliśmy się do siebie dalej, dwa zziębnięte ciała, w których tylko dwa miejsca pozostały naprawdę gorące: nasze rozbujane biodra oraz para niecierpliwych ust.

\* \* \*

Papieros przygasa mi w dłoni, oto znak, że dobiega kresu moje pięć minut. Nikt nie wie, jak to mało czasu – pięć minut – nawet zwykła jętka ma przecież darowany cały dzień.

Dzień!

Nie trzaskają już drzwi naszego samochodu, nie szczeka pies. Umilkło radio brata. Nie ma na to rady... Lato kończy się w ciszy, mimo to wszystko dookoła nasłuchuje niecierpliwie. Na próżno. Nie rozlegnie się huk, najmniejszy trzask, nic nie poprzedzi oczekującego nas kroku w stronę jesieni.

Lato rozwiewa się, niknie, odchodzi bez pożegnania.

Do tej pory zawsze takie samo, lato, które podsunęło mi Joannę, wlało we mnie swoją truciznę. Ukwiecony prześmiewca.

Czas nagli.

Oto więc dalsza część opowieści o jego zdradzie.

**Sierpień**

Koniec lata. Zauważaliśmy to ze smutkiem. Rzeka odrzuciła nas miękko, zamykał się także przed nami klasztorny ogród. Zgubiliśmy z Joanną ten słodki spokój, którego przecież dotąd te miejsca nam nie skąpiły. Dlaczego? Ciągle nie potrafiłem wyrzucić z głowy historii o duchach. Ale patrzyłem na swoje ręce i nogi, spoglądałem na piersi i biodra Joanny – wyglądaliśmy dokładnie tak samo. Czy to, co zrobiliśmy tamtej burzowej nocy, przemieniło nas aż do tego stopnia? Mieliśmy teraz siebie w zupełnie nowy,

odmienny sposób, to prawda, ale przecież na zewnątrz pozostaliśmy tacy jak byliśmy do tej pory, niezmienieni. Oto dowód. Czyżby? A kim byliśmy do tej pory?

Przegryzał nas nieznany niepokój. Przyłapywaliśmy się na tym, że wiele rzeczy robimy w pośpiechu, jakby zawisł nad nami jakiś bliżej nieznany termin, granica, poza którą wiele spraw skończy się, przepadnie bezpowrotnie. W takich chwilach, nagłego strachu, miotaliśmy się, spragnieni siebie, ale też głodni skosztowania czegoś prócz nas samych w czasie, dzielącym nas od rozstania. Bo rozumieliśmy to już całkiem dobrze: w końcu i tak nasze drogi rozejdą się u schyłku lata. Tak się płaci za wakacyjną miłość. To były okropne chwile i gdybym mógł, chętnie bym o nich zapomniał... Joanna także nosiła w swoim sercu ogromny ciężar. Ukrywała to co prawda, ale wystarczyło się przyjrzeć uważnie, by zrozumieć, iż stara się dźwignąć więcej, niż potrafi nieść. Zapytana wprost, zaprzeczała wszystkiemu.

Rodzice, gdy im o wszystkim opowiedziałem, ku mojemu zaskoczeniu spuścili tylko wzrok. Są rzeczy, z którymi musisz poradzić sobie sam, powiedzieli. Wiemy, co teraz czujesz, będziemy zawsze przy tobie i podniesiemy cię z ziemi za każdym razem, gdy któraś z tych spraw cię przygniecie, ale do walki ruszasz tylko ty. Nasze rady nic tu nie dadzą, obrócą się jedynie przeciwko nam. Zbyt mocno cię kochamy, dlatego nigdy, przenigdy nie uzbroimy cię w łatwe rozwiązania.

Wreszcie zrozumiałem, że pomoc znajdę tam, gdzie bym się tego najmniej spodziewał.

\* \* \*

Oddychałem głęboko, z nosem przylepionym do starego drewna.

— Czym ci pachnie?

— Cynamonem? — zaryzykowałem.

— Prawda? Taki słodki, ziemisty...

Głos Urszuli dochodził z kuchni, a ja pochylony, z zapalem wachałem stopy Jezusa.

— Nie wiem, co to mogło być za drzewo, ale ten, który je wybierał, był chyba geniuszem. Pachnie zupełnie jak domki letniskowe z mojego dzieciństwa, z czasów gdy moja rodzina odwiedzała góry. — Urszula wróciła do pokoju z tacą pełną bułeczek z konfiturami. — Pachnie mi spokojem, bezpieczeństwem. Pomyślałam, że skoro masz ochotę na poważną rozmowę, sam soczek nie obleci — wskazała talerz. — Częstuj się. Bułeczki są wyjątkowo smaczne i świeże.

— Może później — odmówiłem grzecznie.

— Dobrze. Tylko proszę, bez zbędnego krygowania.

Usiedliśmy przy stole.

— Zostałaś zakonnica, bo ładnie zapachniał ci krucyfiks? — wypaliłem po chwili i od razu ugryzłem się w język. — Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać od zadania tego pytania.

— Nic nie szkodzi.

— Brzmiało lepiej, gdy powtarzałem je w myślach.

Urszula pokiwała głową.

— Powód dobry jak każdy inny, nie uważasz? Jeżeli tylko wierzy się we wszystko, co z nim związane... — odpowiedziała i niby ukradkiem umoczyła koniuszek palca w konfiturze.

— Uwielbiam te słodkości — dodała tonem usprawiedliwienia, gdy uśmiechnąłem się półgębkiem. — To grzech. Wiem o tym.

Przeżegnała się dwukrotnie. Cynamonowy Jezus zdawał się niezainteresowany karaniem takich błahostek.

— Ja sama...



— Czy mogę o coś zapytać? — przerwałem.

— Słucham.

— To, co zaraz powiem... — uprzedziłem — jest dla mnie niezmiernie ważne, więc proszę, obiecaj mi szczerą odpowiedź.

— Najszczerzą — przytaknęła.

— Od pewnego czasu spotykam się z dziewczyną...

— Uprzedzam, zwracasz się do źródła niezbyt obeznanego w temacie...

— Nie przerywaj — odetchnąłem głęboko, z wysiłkiem. — Pozwól mi tylko skończyć.

Pozwoliła.

— Ta dziewczyna bardzo mnie niepokoi. Widzisz, na początku wszystko układało się fajnie, ale teraz gdy się nad tym zastanowię... Dużo myślałem o tym, co powiedziałaś podczas ostatniego spotkania... O duchach i takie tam.

Oczy zakonnicy zrobiły się okrągłe jak spodki. W ustach zabrakło mi śliny. Czy ja dobrze widzę? Ona śmieje się z całego serca.

— Do cholery! — zerwałem się z krzesła. — To tak Kościół reaguje na wołanie o pomoc? Śmiechem?

Chichot Urszuli urwał się natychmiast.

— Słodki Jezu, wybac mi, nie zapanowałam nad sobą w porę — poprosiła jeszcze z łzami rozbawienia w oczach. — Siadaj, siadaj z powrotem... Daj mi jeszcze jedną szansę.

Usiadłem. Z braku pomysłu na okazanie, jak wielkie jest moje wzburzenie, wepchnąłem sobie do ust bułeczkę z konfiturą. Urszula przyglądała mi się uważnie, jej spojrzenie łagodziło mój gniew – czytałem w jej oczach i nie odnalazłem tam szyderstwa.

— Nie sądziłam, że aż tak zajdzie ci to za skórę — odezwała się w końcu.

— Ładne rzeczy — prychnąłem

— No dobrze już, dobrze. Nie zakrztuś się.

Zakonnica potarła bliznę po zajęczej wardze.

— Znam Joannę, przychodzi tu od początku wakacji — powiedziała i zrozumiałem, że właśnie do czegoś mi się przyznaje. — Miła dziewczyna. Pewnego dnia opowiedziała mi, jak nieswojo czujesz się w pobliżu kościołów, więc postanowiliśmy zabawić się twoim kosztem. Jak widzę, żart udał nam się aż za bardzo!

— Żart? Jaki żart? — spytałem nieprzytomnie.

— Cała ta historia z duchami. Sama nie wiem, jak wpadliśmy na ten pomysł.

— A cmentarz?

— Najprawdziwszy. Obejrzyj go sobie kiedyś w wolnej chwili. Naprawdę ładne nagrobki.

Zabrakło mi słów. Więc o to w tym wszystkim chodzi? O głupi dziewczęcy psikus? Nie, to niemożliwe, pomyślałem. Joanna nigdy by tego nie zrobiła. Ufałem jej. A może nie chodziło tu o ufność. Może za wiele obiecywałem sobie po tej... przygodzie. Zadrzałem. Nigdy dotąd nie myślałem o tym, co nas łączyło w ten sposób. Przygoda, wakacyjna przygoda. Miłośćka i tyle.

— Przepraszam, muszę już iść — wyszeptałem. Zerwałem się z krzesła i wypadłem przez drzwi.

Jeszcze w ogrodzie dobiegło mnie wołanie Urszuli:

— Nie przejmuj się! To tylko głupi żart!

\* \* \*

To był trzydziesty pierwszy sierpnia. Dzień powrotu do domu.

Dzień, który będę przeżywał tak wiele razy. Siedzieliśmy z Joanną nieopodal trzcin, pod których schronieniem po raz pierwszy kochaliśmy się. W deszczu – dawno i niedawno zarazem. A jednak dawno... Przerzedzone łodygi żółkły już i pokładały się na sobie. Uczepione czubków pałek niewielkie gniazda wikłaczy wiatr zanurzał raz po raz w mętnej wodzie; podtapiał je uradowany własną bezdusnością. Wrzesień ostatecznie rozliczy się z latem lekkoduchem, już teraz zapowiadał rządy czerstwej, żylastej dłoni. Sterty zdechłych ślimaków przyozdabiały granicę plaży. Joanna oddychała przez usta, miała czerwone, zapuchnięte od płaczu powieki, zatkany nos. Ja nie płakałem, lecz w piersi czułem podobny tkliwy, zabierający oddech obrzęk. Rozsiadł się w miejscu, na które spadło niespodziewane uderzenie i wiedziałem już, że najgorszy cios to ten zadany bez pomocy pięści. Taka wiedza, choć zdobyta wysiłkiem, nie cieszy. Taka wiedza to pierwszy krok w dorosłość.

Bez słowa na wędnącej plaży. Nawet piasek promieniował nijakością, jego żółty kolor odległy od wspomnienia ciepła, które do tej pory oferował. Bez słowa.

Joanna pociągnęła nosem i objęła się ramionami.

I dalej w ciszy, bez najmniejszego bodaj drgnięcia, czekaliśmy. Przyszedł czas na ostatni ruch w tej grze. Należał do każdego z nas i dlatego nikt nie mógł rozpocząć pierwszy.

— Ja. Ty... — oboje zaczęliśmy w tym samym momencie i oboje urwaliśmy w pół słowa. Jeszcze nie czas, nie czas. Poczekajmy. Wiatr ustał. Wilgotne ptasie gniazda znieruchomiały i wpatrzyły się w nas otworkami wejść. Razem z wodą wylewała się z nich pustka.

Zbłąkany wikłacz uczepił się jednej z trzcin i zajrzał do wnętrza swojego domu, głową w dół. Uciekł ze świergotem przerażony tym, co zastał.

— Myślisz, że wrócą? — odezwała się nagle Joanna.

— Kto? — spytałem wyrwany z zadumy.

— Te skrzydlate maluchy — odparła i wskazała na kępę sitowia.

— Nie. Nie teraz. Może kiedyś, kiedy indziej.

Joanna pociągnęła nosem.

— A co z ich jajeczkami?

— Przepadły. Woda jest teraz tak lodowata, że nie miały najmniejszych szans. Wszystko wokół potrzebuje ciepła.

— Mówisz tak, żebym poczuła się jeszcze gorzej?

Położyłem się na piasku i spojrzałem prosto w mleczne niebo.

— Nie — odparłem zgodnie z prawdą. — Mówię, co myślę.

— A mnie się wydaje, że jednak robisz to specjalnie.

— To źle ci się wydaje.

— Patrz na mnie, gdy do mnie mówisz!

— Patrzę na chmury... O, spójrz — wskazałem palcem. — Ta wygląda zupełnie jak Zaufanie.

— Przestań!

— A tamta przypomina...

Drobna dłoń Joanny zatkała mi usta, poczułem na języku drobinki piasku. Podniosłem tę dłoń delikatnie i położyłem sobie na czole.

— Tamta przypomina mi ciebie. Ale za minutę lub dwie zmieni kształt. I co wtedy?

— No co też wtedy?

— Nic.

— Nic?

— A powiedz, czujesz coś innego oprócz „nic” właśnie?

Białe strzępiaste cumulusy nad nami przewalały się tam i z powrotem.

— Polubiłam cię, bo byłeś taki słodko naiwny. Tak łatwo uwierzyłeś w to, w co wplątałyśmy cię wspólnie z Urszulą — wyszeptała Joanna,

a zrobiła to tak miękkim i spokojnym głosem, że wiedziałem jedno: zdobyła się na prawdziwe i bolesne wyznanie.

— Ja spałam już z jednym czy dwoma chłopcami, ale wtedy to oni tego chcieli. A tamtego dnia na plaży byłeś taki... taki... wystraszony, rozumiesz to? Wszystko co ci wtedy dałam, pochodziło wyłącznie ode mnie... Nadal na mnie nie patrzysz.

— Właśnie przepływa nad nami Szczerzość.

— A ty w kółko jedno i to samo.

— Inaczej nie potrafię. Dla mnie to też bardzo trudne. Ale mów, nie przejmuj się. Mów.

Joanna przełknęła ślinę. Chrząknęła.

— Przecież to tylko takie wakacyjne...

— Co wakacyjne? — przerwałam jej, bo obawiałem się słowa, które miało nadejść.

— Zauroczenie. Każde lato kiedyś się skończy. Nie myślałeś chyba...

— Koniec tego lata to ja dobrze sobie zapamiętam.

Zapadła cisza.

— Nie obwiniaj mnie za to, że byłam pierwszą osobą, w której się zakochałeś.

— Jak na szesnastolatkę to ty dużo wiesz o życiu — zakpiłem.

— Myślisz, że dlaczego spędzam to lato pod nadzorem sióstr? Swoje wiem.

Coś zadrapało mnie w gardle.

— Opowiesz mi o tym? — poprosiłem.

— Nie teraz. Może kiedyś.

— Uważasz, że spotkamy się jeszcze?

— Ja nie mam zamiaru cię unikać. Ale to ty uciekniesz...

— Masz rację — przytaknąłem po dłuższej chwili. — To ja ucieknę.

— Widzisz? Jednak trochę wiem.

Nagły szkwał uderzył w trzciny i z całej siły trzasnął nimi o wodę.

— Pocałujesz mnie?

— Nie — odparła stanowczo.

— Dlaczego?

— Pamiętam tylko szczęśliwe pocałunki.

Wstałem i otrzepałem spodnie.

— Okłamałaś mnie. Oszukałaś, abym poczuł to, co do ciebie czułem.

— Nie będzie przeprosin, jeżeli na nie czekasz. To kłamstwo to było dobre kłamstwo.

— Jesteś jedyną osobą, która mogłaby coś takiego powiedzieć. Dobre kłamstwo.

— Powtórzę słowa Urszuli, wszystko to kwestia wiary. Wierzę w dobre kłamstwa i szczęśliwe pożegnania. A ty?

— A ja? — zapytałem sam siebie. I zanim się spostrzegłem, odszedłem.

### **Koniec lata**

Koniec i początek. Nowy koniec i kolejny początek, a następnie koniec i początek raz jeszcze, i na nowo: koniec, początek, koniec, początek, koniec. Ile czasu trzeba, by harmonia takiego porządku rzeczy poddana została w wątpliwość? Nie, to nie pytanie o czas okazuje się najważniejsze – niemal wszystko zależy od tego, komu ten czas przynależy.

Znaczenia słów. W ogrodzie na tyłach domu. Joanna, miłość. Wakacyjna przygoda.

Tamto lato, lato moich osiemnastych urodzin, nauczyło mnie wiele. Szkoda tylko, że trzy miesiące i trzysta lat to i tak bez różnicy z mojej obecnej perspektywy.

Ach, tak... MOJA perspektywa.

Tamtego lata po sto razy przeplukał mnie deszcz, sto razy przedestyłowało słońce. Teraz nie zwracam już na nie żadnej uwagi. To smutne. Smutek to jedyne, co we mnie pozostało. Ciężki ołowiany osad.

Nie będę robił z tego tajemnicy, po kilku krokach zawróciłem nad rzekę. Joanny już tam nie było. Zresztą co bym osiągnął, gdyby tam jeszcze siedziała? Wydawało mi się jednak, że tak trzeba, że tego się po mnie spodziewano. Źle mi się wydawało. Ciekawe, czy Joanna kiedykolwiek mnie wspominała?

Ja nauczyłem się pielęgnować wspomnienia. To łatwe – album moich wspomnień ma teraz jasno określone ramy. Pierwsze, co pamiętam, to papieros. Siedzę na tyłach domu i palę papierosa. Za każdym razem tak właśnie się budzę: ze smakiem nikotyny w ustach.

A ostatnie z moich wspomnień? Oto ono.

Prowadziłem naszego zdezelowanego carusa, z całych sił ściskając w dłoniach kierownicę. Całą rodziną, załadowani po sam dach, wracaliśmy z wakacji do domu. W osiemnastym roku życia, ojciec po raz pierwszy pozwolił mi poprowadzić – takie rzeczy warte są zapamiętania.

Tamten samochód nadjeżdżał z pełną prędkością. Nie widziałem go jeszcze, tak daleko był i tak szybko się poruszał. Przypominał pocisk; pocisku nikt się nie spodziewa.

Jechaliśmy powoli przez las, a ja cały czas ukradkiem obciążałem stopę opartą na pedale gazu. Wskazówka prędkościomierza wspinała się ukradkowo ku górze. Ojciec przejrzał mój podstęp; roześmiał się tylko. Położył dłoń na ręcznym hamulcu i ostrzegł: uważaj. Nie posłuchałem. Gdzieś po drodze miniemy bramę klasztoru. Jeżeli przejadę obok zbyt wolno, jeżeli pokuszę się i zerknę w tamtą stronę, na pewno zobaczę Joannę na hamaku. Ona dojrzy mnie przez drzewa i krzewy. Gdy spojrzymy oboje

w tym samym momencie, już nigdy jedno nie uwolni się od drugiego. Tak będzie.

Tamten samochód nie miał włączonych świateł. Przypominał lśniący garb asfaltu. Miraż. Żadne z nas nigdy nie widziało takiego mirażu, nikt się nim nie zaniepokoił.

Na tylnym siedzeniu mama i brat przekomarzali się w najlepsze. Pies spał pod ich nogami. Ojciec przymknął oczy i oparł głowę na ramieniu.

Na wysokości klasztoru wiedziałem, że się nie oprę. Spojrzałem w bok. Pierwszy raz prowadziłem samochód, pamiętam to doskonale. Niedoświadczone ręce podążyły za spojrzeniem. Zjechałem na przeciwległy pas jezdni. W ogrodzie nie dojrzałem nikogo. Hamak zwisał w smutnych strzępach – i już – zniknął razem z bramą i ogrodem.

Chwilę potem przednią szybę wypełnił skowyt i błysk kraksy. W momencie zderzenia powrócił do mnie sen o cmentarzu, a wtedy zrozumiałem: ten sen śniłem już wielokrotnie.

Pięć minut przed końcem lata usłyszałem coś, czego nikt inny nie potrafiłby usłyszeć. Cichutki trzask. Jakby zamykały się maleńkie drzwiczki.

Zginęliśmy wszyscy pięcioro. Zgaśliśmy po kolei przy wjeździe na obwodnicę.

\* \* \*

Papieros parzy mnie w palce.

Tak to się właśnie zawsze odbywa, myślę i gaszę peta. Ruszam w stronę domu. Lato pozostaje za mną.

Pięć minut, tylko pięć minut.

Znów tracę Joannę. Wszystko toczy się jak zwykle i zaczyna od nowa.

Ruszamy, bagaże piętrzą się między nami słodkim ciężarem.



Koniec wakacji. Nie dla mnie. Ja niebawem obudzę się w swoim niebie,  
na pięć minut przed końcem lata, paląc pierwszego w życiu papierosa...

Rozmyślając o tym, co mogło stać się moim udziałem.

Tylko w głębi serca ciąży mi potworna pewność – moje własne lato nie  
ma końca.

Tak wiele widziałem jego zakończeń, tak nieskończenie wiele.

Tyle ich jeszcze zobaczę. Ja. Duch.

Taki żart.

Wyjątkowo gorzki.

## **To dla Małej Leny, choć Małej Leny już tu z nami nie ma**

Mężczyźni przewrócili Żmudę na ziemię i rozpoczęli młóckę.

Ten mniejszy, milczący mongoł o ponurych oczach, klęknął i systematycznie, cios za ciosem, pracował nad twarzą. Drugi, zwalisty blondyn w dwurzędowym garniturze i roboczych butach, kopał w nogi. Twardym czubem starał się trafić w nerwy, by bardziej bolało. Włosy na spoconym karku zlepiły mu się w tłuste kosmyki.

Zza drzwi baru dochodziły pojedyncze, wysokie nuty listy życzeń disco polo tiwi. Wokalista, rznący kowboja, wyśpiewywał nosowo: „... talia kart jest moją Biblią, kalendarzem i modlitewnikiem...”.

Asfalt pod potylicą oddawał uderzenia, odzywał się w głowie echem – kamienny dzwon, który bił nie na zewnątrz, lecz do środka. Uda powoli zamieniały się w kawałki zdrętwiałego mięsa. Żmuda leżał i nie protestował.

Siąpił deszcz. W zetknięciu z migotliwym neonem „Piwo Wino Wódka” krople trzeszczały jak rozgrzany olej; *psyk*, momentalnie parowały.

Mężczyźni mokli, posapywali i klęli.

W oddali, w wąskim prześwicie między kamienicami, przemykały samochody. Niskie sylwetki wozów osobowych, nadęte bryły ciężarówek. Raz po raz mignęła taksówka. Żaden z kierowców nie spojrział nawet w stronę zaułka. Takie miejsca pozostawia się samym sobie.

Pomoc nigdy nie nadchodzi.

Tamci dwaj ciągle bili. Tak miało być.

Żmuda poczuł, jak pęka mu łuk brwiowy. Pomyślał o Małej Lenie. O tym, jak bardzo ją kocha. O tym, jak ona go cały czas KOCHAŁA. Bardzo. Także. O tym, jak nienawidziła tego, co robi. Wreszcie o tym, jak on sam kocha zarazem i ją, i speluny, i jak cholernie ciężko przychodzi utrzymanie na dystans takich dwóch rozdrażnionych miłości, by nie skoczyły sobie nawzajem do gardeł. Jaki to trud.

Ale skąd mógłby to wiedzieć prosty wykidajło? Bił.

Wreszcie ciosy zaczęły spadać rzadziej, omijać wrażliwe miejsca.

Uspokoił się. Zanosilo się na koniec wyboistej przejażdżki.

Przestali, a wtedy te wszystkie ciosy, które do tej pory przyjął, zwały się na niego w jednym ołowianym uderzeniu, miękkim i strasznym. Przekręcił się na bok i zwymiotował. Rzucił okiem na przyciśnięte do piersi ręce. Wyszły z tego bez szwanku. Szczęście? Oto szczęście szulera; zaniósł się zduszonym kaszlem. Dziesięć złamanych żeber za dziesięć nietkniętych palców. Ukradkiem wymacał zawiniątko schowane w kieszeni na piersi. Całe, pomyślał, i rozluźnił się nieco. Ból tylko na to czekał i zaatakował ze zdwojoną siłą. Wbrew sobie zaskomlał.

— Szljucha! — sapnął mniejszy z mężczyzn, ten od twarzy. — Jobanyj twaj rot!

Ciężki but wylądował na kroczu Żmudy, odbierając oddech.

— Wróć tu jeszcze raz, a nie wywiniesz się kilkoma marnymi kuksańcami — ostrzegł ten drugi, przylizując włosy.

Grubokościsty, ze swoimi stu dwudziestoma kilogramami żywej wagi, Żmuda z łatwością dawał w przeszłości radę całym stadom takich dupków. Ale w życiu, tak jak w pokerze, jedyne co naprawdę się liczy, to bluff. Podkul ogon i pozwól utoczyć sobie trochę krwi, a gnojki łatwo zapomną, że przyszły po swoje.

— Ostatni mięczak — podsumował sucho dryblas i zapalił elema. — Nawet pięści nie uniósł. — Deszcz zamoczył ciemny tytoń. Kowboj ze złością odrzucił papierosa. Niedopałek trafił Żmudę w czoło. Zamknął oczy i cierpliwie czekał, aż to wszystko się skończy.

Wreszcie trzasnęły drzwi tylnego wyjścia. Discopolowy kowboj z całych sił ryknął: „... dziewięciu było trędowatych!”. Barowy neon odbijał się w kałuży. W oddali marcowwały się koty, przemykały po metalowych pojemnikach na śmieci.

Żmuda przewrócił się na plecy. Lewe oko tonęło pod krwiakiem, wzrok stracił poczucie głębi. Sinoczarne niebo, ściany bloków z czerwonej cegły, plamy rozświetlonych okien – płaska plansza wsparta na jednym człowieku. Deszcz obmywał rozbite usta, nie niosąc najmniejszej ulgi.

Dziki kocury, ci parszywi hipokryci, rozwrzeszczały się niespodziewanie ze zdwojoną siłą, jakby ich nawoływania kiedykolwiek przekonały kogoś, że to, co robią, to nie przygodny seks i że przypłacają ten grzech aż takim cierpieniem.

Żmuda rzucił w ich stronę pustą butelką po piwie. Deszcz wessał dźwięk szkła.

Wszystko szło jak po maśle, dopóki ten grubas nie postanowił zgrywać CWANIAKA! Prosto, szybko, tak jak sobie obiecał. Parę stów na drobne wydatki. Żadnych ryzykownych sztuczek. Trochę niezobowiązującego szmalu, kilka dziesiątek, może pięćdziesiątka wyrwana z kieszeni jakiegoś naiwniaka, w typie spuszczonego z żoninej smyczy państwowego urzędnika. Wszystko w stylu, który zawsze uważał za najlepszy, a nazywał się: najmniejsze ryzyko. Tylko tyle. Za tydzień wpadłby tutaj znowu i ogolił kolejną, niczego się nie spodziewającą owieczkę...

Ale ten grubas! Ten PIEPRZONY grubas!

Ciągle leżąc na wznak, Żmuda przymknął oczy.

Widzi go. Siedzi za stolikiem, lśniący od potu. Pulchne paluszki miętołą stowę. Dwóch miejscowych w dresach po obu jego stronach uśmiecha się od ucha do ucha. Żmuda zna te męty, zawodników z tej samej ligi. Zamówił coś do picia. Ci dwaj dostrzegają go, wymieniają spojrzenia, zachęcająco kiwają głowami. Rusza w ich stronę. Kiedy podchodzi do stolika, pierwszy z brzegu karciarz grzecznie wstaje, rubasznie klepie go po ramieniu i bez zbędnych wstępów przedstawia jako młodszego kuzyna. Żmuda dopija powoli piwo i po chwili zastanowienia przewiesza płaszcz przez poręcz krzesła. Uśmiecha się pod nosem. Ci dwaj nachapali się po pachy; humor im dopisuje, teraz ktoś inny z „towarzystwa” ma szansę na łatwy zarobek. Taki karciany *savoir-vivre*. Urok tego miejsca. Grubas oczywiście nie ma nic przeciw podmiance. Chwył z kuzynem niezmiennie działa na frajerów. To pojedyncze słowo dźwiga w sobie ładunek bezradności, który podrażnia każdą, nawet ledwo zipiącą ze zmęczenia ofiarę, zmusza do dalszej walki. Gruby ma przegraną wyrytą na lśniącej łysinie. I tylko on o tym nie wie.

Witają się. Rozdającym jest jeden z wesołej parki kuzynków *in spe*. Żmuda ostrożnie sprawdza sposób, w jaki trzyma karty, charakterystyczne ułożenie palców, i, zaskoczony, podnosi wzrok. Zamiast obojętności, która pokryłaby szulerkę, napotyka rozbawione spojrzenie mężczyzny. Szuler nawet nie stara się ukryć, że jest „mechanikiem”. Jeżeli rzeczywiście ma zamiar oszukiwać, na wierzchu i spodzie talii powinny być ułożone silne karty dobrane tak, aby zdejmując je przy rozdawaniu, z łatwością obdzielał nimi wybranych graczy. Grubas najwidoczniej nie odróżnia pokera od pakamery. Tamten kładzie karty na stole.

— Kto rozdaje? — pyta od niechcienia i już wyrzuca pierwszą kartę, gdy:

— Ja! — przerywa mu grubas i gwałtownym ruchem zabiera talię.

Szuler spogląda na Żmudę, a potem od niechcienia wzrusza ramionami. To twoja gra, daje do zrozumienia.

Karty niezdarnie wirują w tłuściutkich dłoniach.

Frajer, którego skubią, nazywa się Bąk – manna z karcianego nieba. Żmuda nie może wciąż pojąć, jak ktoś taki znalazł się w takim miejscu. Zabłądził? Ale jak można zabłądzić od razu do takiej nory. A może pił gdzieś samotnie piwo, natura dała mu się we znaki i skręcił w ten zaułek, żeby sobie ulżyć? I trafił akurat w TEN zaułek, akurat za TEN stolik...

Bez znaczenia. Po tym co mu się dzisiaj przytrafi, Żmuda zapamięta, że nie ma gorszej rzeczy niż zbłąkany frajer. I do tego taki pozbawiony instynktu samozachowawczego. Gdyby przewidział to wszystko, o wiele wcześniej przerwałby rozgrywkę. Ale w momencie kiedy wątpliwości zaczną przeważać nad pragnieniem gry, Bąk wyciągnie ten cholerny pierścionek.

Deszcz ustał. U wylotu zaułka pojawiła się spacerująca parka; obie głowy jednocześnie odwróciły się w stronę neonu. Nagle przyspieszyli kroku. Stukot obcasów cichł i oddalał się. Żmuda sięgnął do kieszeni i otworzył zawiniątko. Palcem przesunął po wnętrzu obrączki. Nietknięta. W szmaragdowym kamieniu światło przelewało się niczym zamknięte w butelce wino. Metal był zaskakująco chłodny. Na moment przeraził się, że nawet ciepła dłoń Leny nie podoła temu chładowi, nie rozgrzeje zimnego złota. Tylko na moment...

Początkowo mają z górki. Umawiają się na krótką rozgrzewkę po niskich stawkach. Żmuda z rozmysłem daje się ograć Grubemu i traci parę dych.

Facet po lewej stronie Bąka, przedstawił się wcześniej jako Siwy. Spod ciężkich powiek spogląda teraz znudzony, jego wzrok błądzi po twarzach w lokalu, nie zatrzymuje się na żadnej. Twarze są dla niego niczym innym

jak odbiciem rysunków figur w talii. Nie znaczą nic, liczy się tylko wypisana obok szarża. Zapala w końcu papierosa i mówi:

— Dobra, chłopcy, koniec pierdolenia. Zabieramy się na poważnie. Wejście od pięciu do dwudziestu pięciu. Gramy bez górnego limitu. To talia z pluskwą. Pluskwa siedzi na siódmkach. Sprawdzamy bez wykładania ręki. W porządku?

— W porządku — odpowiada Żmuda ostrożnie. Lubi grać z pluskwą. Bardzo upraszcza to grę, ale prosta gra jest tym, czego w tej chwili potrzebuje. Siódemka pełni rolę asa lub dowolnej karty w stricie. Karcioszki dla panienek. Nie spuszcza oka z tasującego Bąka. Grubas wyciąga w końcu dłoń.

— Przełoż — prosi.

Żmuda ostrożnie podnosi talię. Przecina ją delikatnie. Błyska przekładana siódemka. Jednym płynnym ruchem czwartego palca zagarnia ją pod nadgarstek. To na wszelki wypadek, myśli, kładąc obie ręce na blacie. Wie, że w odpowiednim momencie przełoży kartę w bezpieczniejsze miejsce. Tymczasem Bąk drżącymi rękoma rozdaje karty, następnie ze skupieniem układa je w dłoni zgrabny wachlarzyk. Żmuda szybko rzuca okiem na swoją talię. Dwa asy, dwie ósemki i szóstka. Przeklina cicho pod nosem. Ręka umarlaka. Pierwsze rozdanie i takie gówniane karty. To właśnie wtedy przysiada się do nich czwarty gracz, a są nim: kłopoty.

Siwy wchodzi za dziesięć, Żmuda dorzuca piątkę, Bąk utrzymuje. Ni z tego, ni z owego Gruby zaczyna grać zachowawczo, a to oznacza, że się boi. Siwy podnosi na dwadzieścia. Siedzi uśmiechnięty i robi to, co nosi nazwę „pompowania naiwniaka”. Wziął na siebie rolę nagonki, Ale Żmuda na wszelki wypadek utrzymuje. Chce wygranej, a najgorsze co mógłby zrobić, to spłoszyć potencjalne źródło dochodu. Bąk idzie w ślady Żmudy. Wymieniają karty. Oni po jednej, Żmuda zrzuca te dwie ósemki. Bierze

waleta i kolejną pluskwę. Ma teraz na ręku trzy asy – całkiem nieźle. Razem z pluskwą w rękawie kończy z kareta. Z takimi kartami można zaryzykować. Teraz wszystko zależy od tego, jak dobrze poradzi sobie z Bąkiem. Siwy zaczyna od trzydziestu. Żmuda podwyższa o pięć. Bąk dorzuca kolejną piątkę i Żmuda wypuszcza z ulgą powietrze. A więc dostał wiatr w skrzydła.

Siwy pasuje. Wykorzystał swój limit ryzyka. Wyłożył ponad cztery dychy, o które upomni się potem. Zakłada ręce za głowę i spokojnie przygląda się grającym. Żmuda podwyższa na pięćdziesiąt. Przychodzi pora na przyspieszenie tej zabawy w ganianego i przeskakiwanie po dwa schodki. Bąk blednie. Sięga do portfela, grzebie w nim, szuka pieniędzy, których już tam nie ma. W końcu ociera pot z czoła i wyciąga z kieszeni pierścionek. Dopytuje się:

— Przyjmiecie pod zastaw?

Siwy prycha.

— Nie jesteśmy w lombardzie! Nie masz, nie grasz.

Żmuda przygląda się obrączce z ciemnego złota i zdobiącemu ją zielonemu kamieniowi. Czytał kiedyś o zaczarowanych pierścieniach obdarzonych przedziwną mocą i teraz wydaje mu się, że właśnie na taki trafił. Pierścionek musi kryć w sobie jakiś czar, bo gdy tylko rzuca na niego okiem, w jego głowie gaśnie wszystko poza odbłaskiem świecidełka.

A po chwili głowę rozpala mu myśl: muszę go mieć. Dla Małej. Cokolwiek by się działo. Będzie mój.

— Przyjmujemy — decyduje szybko.

— Panowie, to jest warte prawie dwie...

— Znamy światowe ceny tombaku — przerywa mu szorstko Żmuda.

A potem w kilka chwil piekielna maszyna przyczyn i skutków rozkręca się z suchym terkotem.



Licytują po dziesięć, każdy stara się przechytrzyć przeciwnika, wybadać go. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt. Żmuda czuje, że serce bije mu o wiele za szybko jak na doświadczonego gracza. Nie dam tak łatwo, osiemdziesiąt. Obaj patrzą tylko na dłonie przeciwnika, bo to jedyny sposób... To najprawdziwsze dziewięćdziesiąt, sto.

Sto i sprawdzam!

W cudowny sposób pluskwa dołącza do swojej koleżanki. Bąk musiałby mieć pokera, żeby to przebić. Pierścionek należy do Żmudy.

I gdy wydaje się, że wszystko załatwiono jak należy, Bąk bardzo spokojnie odkłada swoje karty.

— Nie chciałem. Naprawdę nie chciałem tego mówić. Ale....

Z twarzy Siwego bardzo powoli znika uśmiech.

— Oszukałeś... oszukiwałeś! — biadoli Bąk.

— Coś ty powiedział, góro tłuszczu?

Siwy robi, co może. — Oszukiwał! — wrzeszczy grubas i oskarżycielsko mierzy palcem. Żmuda wie z doświadczenia, że wdawanie się w pyskówki nie ma sensu – raptownie odsuwa się razem z krzesłem. Zahacza przy tym z rozmysłem stopą o jedną z nóżek stolika i zrzuca z niego część kart. Lewa pluskwa od razu ginie między nimi. W lokalu panuje grobowa cisza.

Ten skurczybyk nic nie wie, gorączkowo ocenia sytuację.

Oddaj mi ten pierścionek, warczy i przymila się jednocześnie Bąk, który nagle nabrał manier wiejskiego kundla i nie wie, czy spieprzać, czy jeszcze ugryźć, zanim ostatecznie poda tyły.

Należał do mojej matki, wiem, że to gra, mówił, ale tak PO PROSTU nie można. Po prostu nie można! Ona umarła, oszust, na raka, pamiątka, a teraz ty... jak tak można, mów, jak? Szedłem do jubilera, tylko na chwilę tu wpadłem, sam nie wiem po co, oddaj...

Poker to gra przez duże G, odpowiada chłodno Żmuda i najspokojniej w świecie zakłada płaszcz. Tak jak z ciebie pisane wielką literą GÓWNO. Pauza.

Bąk zamienia swoją sromotną przegraną w premierową barową burdę.

A ponieważ jest tu na Pradze obcy, a obcych takie lokale boją się najbardziej, Żmuda obrywa za to, że dopuścił, aby frajer zakłócił spokój w szulerni.

Pierścionka mimo wszystko nie oddał. Stracił większość wygranej i co najmniej jeden ząb. Ale teraz, gdy leży na chodniku i moknie na deszczu, powoli dochodzi do wniosku, że rachunek nie wypada tak źle.

Liczy się jedynie Mała Lena. I wierzy w to mocno. A przynajmniej tak mu się wydaje.

\* \* \*

Zupełnie niespodziewanie Żmuda poczuł, że ktoś mu się bacznie przygląda.

Obrócił się na brzuch i zacisnął pięści, gotowy na walkę choćby i w parterze. Jeżeli tamte sukinsyny gotowały się na dogrywkę, to tym razem nie będzie dla nich taki milusi. Sfingowana walka to jedno, przegrał tę rundę na własne życzenie, ale pastwienie się nad leżącym to lekka przesada. Rozejrzał się uważnie. W uchylonych drzwiach samotnej klatki schodowej majaczyła niewyraźna, przyczajona sylwetka.

— Kto ci pozwolił tu leżeć?

Schował pierścionek z powrotem do kieszeni, a potem podparł się rękoma i z trudem stanął na czworakach. Szarpnęły nim zawroty głowy. Upadł, uderzając się w łokieć. W oczekiwaniu aż ból rozejdzie się po ramieniu, zamknął na chwilę oczy; wstał, zatoczył się jeszcze raz, doczołgał do drzwi i oparł o nie plecami – ich metalowe skrzydła drżały rytmicznie,

mrucząc murmurando będące jednocześnie głosem metalu i chórem wszystkich dźwięków wnętrza speluny.

— Ojej. Przepraszam. Nie wiedziałam, że jest aż tak źle...

Chuda dziewczynka przycupnęła tuż obok Żmudy. Machnął ku niej od niechcienia ręką. Sam nie wiedział, czy odgania dzieciaka, czy naiwnie pokazuje mu, jaki jest twardy i że lekceważy to, jak się czuje. A czuł się...

— Ale jatka. Słuchaj... To nie wygląda najlepiej. Mogę jakoś pomóc?

— Smarku — powiedział, nadając swojemu głosowi pozory beztroski.  
— Uciekaj do domu. To nie jest miejsce na poobiednie przechadzki.

— Ja tu mieszkam — ucięła dziewczynka. Powaga dziecinnej buzi świadczyła, że według niej to, co powiedziała, w tym sąsiedztwie starczy za jakiegokolwiek wyjaśnienia.

— Gdzie jest to „tu”? — spytał Żmuda na odczepnego. Drugi oddech, tylko tyle potrzebował. Nawet za cenę idiotycznej dziecięcej paplaniny.

Błady, okrągłutki podbródek dziewczynki wskazał ruinę budynku na końcu zaułka.

— Tamta kamienica?

— Aha.

— No cóż. To pewnie nie twoja wina. — Chciał ją uspokajająco poklepać po sterczącym bladym kolanie, ale rozbite ramię zatoczyło niezgrabny łuk, a dłoń pacnęła w kałużę. — Tak czy siak wracaj do domu. Robi się późno. Pogoda jest do bani, a to paskudna dzielnica. Zresztą sama wiesz. No to rodzice pewnie się o ciebie martwią, albo coś w tym stylu. Widzisz — dodał — ja nie należę do miłych ludzi, nie opłaca się nieść pomocy takim jak ja.

— Wiem, kim jesteś. Co, myślisz, że jestem naiwna? — zachnęło się dziecko.

Żmuda kaszlnął i na próbę podciągnął kolana pod brodę. Z nogami nie było aż tak źle. Jeżeli się postara, to może wstanie o własnych siłach i przejdzie parę przecznic. Byle do Wileńskiego, a potem na spokojnie coś wykombinuje.

— Od kiedy to przeszliśmy na ty?

— Od kiedy tamtych dwóch wycisnęło z ciebie resztki rzadkiej sraczki.

Żmuda oblizwał rozbite wargi. Męczyła go ta rozmowa. Chciał tylko odrobiny świętego spokoju – żeby odetchnąć, żeby się pozbierać, zniknąć.

— Widziałaś, jak mnie obrabiali?

— Widziałam, jak dałeś się im sponiewierać.

— Jak na kogoś w twoim wieku jesteś bardzo spostrzegawcza, siostrzo.

— Pomieszkaż na Szmulkach, nabierzesz wprawy.

Przyjrzał się uważnie małemu natrętowi.

— Spływaj, mała — wycedził w końcu.

— Dobra — zdecydowała dziewczynka i wstała, prostując patyczkowate nogi podlotka. — Rób, jak chcesz. Leż tu i moknij. Ale coś mi mówi, że prędzej czy później twoi kolesie wyjrzą zza tych drzwi z zamiarem sprawdzenia, czy wystarczająco mocno wdeptali cię w ziemię.

Żmuda nie zareagował.

— U mnie mógłbyś spokojnie odsapnąć.

— Nie bój nic — odparł. — Dam sobie radę.

— Oczywiście. Ty zawsze dajesz sobie radę, co?

— Wkurwiasz mnie...

— Phi!

Żmuda patrzył w ślad za oddalającą się drobną postacią. Przyłapał się na wmawianiu sobie, iż czuje ulgę związaną z tym, że wreszcie poszła, tymczasem wiedział, że w tym co mówiła, było wiele prawdy. Kurwa mać, pomyślał.

— Ej, mała! Poczekaj!

Podniósł się ostrożnie, bo wciąż miał wrażenie, że jego ciało to worek, do którego ktoś na chybił trafił powrzucał to wszystko, co się na nie składało: nerki, wątroba, płuca; wszystko skotłowane, obite, zszargane.

Potrzebował odrobiny odpoczynku. Tak, bardzo jej POTRZEBOWAŁ!

— Namysliłem się — mruknął i wyminął dziecko, które podtrzymywało drzwi. — Wpadnę na chwilę i zobaczę, czy warto.

— Maja.

— Co takiego? — spytał z ręką już na poręczy.

— Imię moje, Maja.

Zabrakło tylko chleba i soli.

— A więc, Majka, prowadź.

Wdrapywali się po niskich, zbitych z desek schodach. Klatkę schodową pomalowano nieśmiertelnym odcieniem olejnego brązu. Podłoga zasłana była wilgotnymi gałganami kurzu i płatami tynku z sufitu. W przedsionku czyjaś niewprawna ręka stawiała czarnym flamastrem straszny zarzut dotyczący matki Bolka i sposobu, w jaki przyszedł na ten świat. Ta niema filipika toczyła się dalej przez kolejne piętra, na każdym następnym dołączali głos kolejni obrońcy lub wrogowie. Powszechnie pierdolono policję.

Gdzie odpadła farba, ścianą zawładnął grzyb.

— Które? — spytał Żmuda w imieniu swoich nadwerężonych stawów.

— Trzecie.

Posapując, wspinał się w ciszy, wsparty o poręcz jak o kulę.

Mam go, mam pierścioneł, rozmyślał gorączkowo, mam i teraz już nikt się o niego nie upomni. Jutro rano wstanę, wezmę prysznic i pójdę do Lenki. Gdy spyta, co mi się stało, powiem jej, że wpadłem na bandę gnojków szukających mocnych wrażeń. Powiem jej tak, a ona wtedy

wygarnie mi, jaki ze mnie drań, może nawet zrobi scenę, ale ja poczekam, aż w końcu usiądzie mi na kolanach i pocałuje w czoło i spyta, czy boli. Nie odpowiem, wezmę jej dłoń, uchwycę ten niewielki mały palec i po prostu wsunę na niego...

— Jesteśmy. — Maja wyciągała drobną rączkę. — Chodź — rozkazała. — Rodziców nie ma w domu, a sąsiadka z naprzeciwka to wścibska krowa. Bez słowa protestu dał się przepchnąć przez drzwi.

— Łazienka na lewo. Obmyj twarz. Miałam ci to już dawno powiedzieć: wyglądasz, jakbyś próbował golić się maszynką do mielenia.

Uznał, że jakakolwiek dyskusja nie miałaby sensu.

Klitka, w której z trudem upchano wannę i pakowaną od góry pralkę, miała dokładnie tyle miejsca, aby dwie stopy dorosłego człowieka zmieściły się na podłodze w jako tako wygodnej pozycji. Pomiedzy mnogością półek, kilka centymetrów od brudnego lustra i ze złączonymi piętami, Żmuda miał dziwaczne wrażenie, że odpowiada przed samym sobą w pozycji na baczność. Ale trwało to sekundę, bo zaraz poczuł parcie na pęcherz i ukradkiem wysikał się do zlewu. Sięgnął po przewieszony przez suszarkę ręcznik, zmoczył go w zimnej wodzie i ostrożnie przykładął do policzków, brody i ust.

— Herbaty?

Zastanowił się.

— Wolałbym cokolwiek z procentami — odpowiedziało odbicie.

Drobne kroki odmierzyły odległość, pewnie z kuchni do barku. Brzęknęło szkło.

Żmuda wychylił się i zerknął w tamtą stronę. W jednej z szafek meblościanki ustawiono kilka napoczętych wódek.

— Daj mi tę po lewej — wybrał w końcu. — Tę z długą cienką szyjką.

Dziewczynka wyjęła wskazaną butelkę i postawiła ją na stole. Z przeszklonej szafki wyłowiła niewielki kieliszek, przyjrzała mu się, wając go w dłoni, a potem odstawiła na miejsce i sięgnęła po szklanę.

Żmuda umył twarz i ponownie przejrzał się w lustrze. Wyglądał naprawdę czarująco. Spod brudu i błota, które do tej pory maskowały prawdziwe rozmiary jego kłęski, wyłoniło się teraz każde stłuczenie, każde najmniejsze choćby zadrapanie.

Wszedł do pokoju i sięgnął po butelkę. Napełnił szklanę do połowy. Powąchał zawartość, przystawił do ust i pociągnął solidny łyk – gorzkawy trunek zaatakował rozbite dziąsła. Żmuda poczuł, że zaraz eksploduje mu obolała głowa – zerwał się z miejsca, na chybił trafił wybrał jedną ze stojących na parapecie pękających doniczek i splunął.

— Przepraszam — powiedział, ocierając rękawem brzeg naczynia. — Na to nie byłem przygotowany. Mało brakowało, a zakrztusiłbym się... cholera...

Maja machnęła ręką.

— A może zrobię coś do jedzenia?

— Daruj sobie — kilka razy odkaszlnął. — Nic nie przełknę.

— Chłopcy z dołu wzorowo odrabiają swoje lekcje, co? — Maja spokojnie naląła kolejną porcję wódki. — Ten klub to ostatnia mordownia...

— Brawo. Spozregawcza z ciebie bestia, dziewczyno. Nie ma co.

— Daruj sobie ironię. Co tam robiłeś?

— Grałem w karty — odpowiedział Żmuda i z przesadną ostrożnością siorbnął wódkę; teraz nareszcie poczuł przyjemne ciepło rozlewające się po brzuchu, a potem nagły przypływ czujności. Do czego ta mała zmierza?

— I jak? Wygrałeś coś? Warto było dać się tak wywrócić na drugą stronę?

Nic jej nie mów! A już na pewno nic o pierścionku. Oskubie cię, gdy zaśniesz i wszystko na nic, zganił się za własną bezmyślność. Brakowało tylko tego, żeby w zamian za pomoc musiał się pozbyć prezentu dla Małej Leny.

— Tajemnica spowiedzi, kotku.

Majka prychnęła i wydawało się, że od razu straciła zainteresowanie tematem. Spuściła wzrok na podłogę, na poprzecieraną wykładzinę. Palcami bosych stóp rozgarniała tam i siam blade, zmierzwiłone nici.

— No? — zapytała po jakimś czasie z wyrzutem. — I co teraz będziemy robić?

— Ja będę spał — odpowiedział Żmuda. — Prześpię się, bo to podobno dobre na cerę, i tyle tu po mnie. — Odstawił pustą szklankę i wskazał na swoją twarz. — Wierz mi, jak tylko twój stary zobaczy, jakiego pokroju koleśowi dałaś schronienie przed deszczem, to z miejsca postanowi nanieść poprawki na mojej gębie.

— Daj spokój. Wzięłam cię do siebie, no nie? Jesteś w porządku. Chyba należy mi się coś w zamian?

Żmuda uśmiechnął się kwaśno. Pyskaty bachor.

— A więc to tak... Wszystko ma swoją cenę?

— Ty chyba o tym wiesz najlepiej. Zwykła życzliwość też ma swój kurs wymiany.

Odchylił się na krześle i wyciągnął nogi. Może powinien wstać i wyjść? Co stało na przeszkodzie? Powoli docierało do niego, że tego dzieciaka nie wyprowadzi w pole tak łatwo, jak to sobie z początku wyobrażał. Gdyby tylko nie to wspaniałe uczucie ulgi, pod którym tajały zeszywniałe ręce i nogi... Dobra. Na razie kapituluję, zdecydował.

— Co chcesz w takim razie robić? Tylko bez żadnych zabaw w policjantów i złodziei.



Maja ujęła dolną wargę między dwa palce i wywinęła jej różowy płatek.  
— Jesteś karciarzem, no to zagrajmy w karty — zażądała.  
— Karty są winne temu, jak wyglądam — sprzeciwił się Żmuda.  
— Normalnie nie miałbym nic przeciwko, ale dzisiaj...  
— Daj spokój. Wykorzystałeś już chyba swój przydział pecha, nie uważasz?  
— Tak, ale...  
— Zagramy — podjęła decyzję Maja. — Ojej, tylko parę partii. Dla zabawy. Nigdy nie grałam w karty z kimś, no wiesz... takim jak ty.  
— W karty — odparł Żmuda chłodno — nie gra się dla zabawy. Dla zabawy możesz rozłożyć chińczyka albo puzzle.  
— Jezu, nie sądziłam, że weźmiesz to aż tak poważnie...  
— Słuchaj, Majka, fajny z ciebie dzieciak, ale nie łapiesz jednej podstawowej rzeczy. — Pochylił się w jej stronę. — Ja za pomocą tych pięćdziesięciu dwóch kolorowych papierków wygrywam inne kolorowe papierki. Papierki o dużych nominałach. To mój sposób na życie. Żartując z kart, żartujesz ze mnie, a ja, tak się cholera dziwnie składa, nie lubię być obiektem jakichkolwiek żartów. ROZUMIEMY się?  
Maja skinęła powoli głową, ale wyglądało na to, że nie da za wygraną:  
— W takim razie... możemy zagrać o coś.  
— O coś? Co mogłabyś mieć takiego, co chciałbym wygrać?!  
— Nie wiem — wzruszyła ramionami. — Tak tylko powiedziałam. A może ty masz coś, co chciałbyś przegrać?

To jednak zaczyna być męczące, pomyślał i tęsknie spojrział w kierunku drzwi. Nigdy nie rozumiał i nie zrozumie dzieci. Ich umysły działają na innych zasadach. Z ich sposobem myślenia jest jak z ruchem drogowym w Londynie: zupełnie szalony pomysł, a mimo wszystko nikt nie przejmuje się tym, że wszystko działa na opak.

— Dobra. Mam tego dość. Wyjmę trochę drobnych, podzielimy się po połowie i zagram z tobą kilka kolejek.

— Bez sztuczek?

— Słuchaj, jesteś za cwana jak na swój wiek, mówił ci to już ktoś? Kilka kolejek, a później dasz mi się spokojnie przespać. Stoi?

Kiwnęła głową na zgodę.

Żmuda sięgnął do kieszeni spodni. Wyłuskał portfel i otworzył przegródkę z bilonem. Kiedy wysypywał monety na stół, z jednej z plastikowych zakładek wyfrunęło zdjęcie. Maja podniosła je.

— To ona? — spytała z namaszczaniem.

Czarno-biała damska twarz.

— Niby kto?

— No. Sam najlepiej wiesz, kto... Przecież masz jej podobiznę.

Żmuda podrapał zagłębienie dłoni i na odczepne bąknął:

— Na imię ma Lena.

— To takie... wesołe imię....

Sięgnął po zdjęcie i wyjął je spomiędzy dzieciennych paluszków. Wesoła? Lena na ujęciu była smutna i śmiertelnie zmęczona. Przetarł fotografię kciukiem, wyraźnie wyczuwał ziarnistość chemicznych odczynników. Cienie na policzkach Leny pozostały.

Oczy Mai cały czas zadawały tamto pytanie.

— Tak, to ona — odpowiedział dziwnie poirytowany. — Jeżeli tak BARDZO cię to interesuje.

— Takie wesołe imię, a ona taka smutna... Zagramy o nią? Podoba mi się.

— O fotografię?

Maja nie odrywała wzroku od zdjęcia.

— Jeżeli wygram, to ją wezmę. — Delikatnie musnęła papier koniuszkami palców. — Zabiorę ją. Będzie moja.

Ruch w Londynie, pomyślał kpiąco, o nie, Londynu nawet nie ma co porównywać z bałaganem w głowie tej małej.

— Hej, Maja, wiesz, co oznacza słowo „perwersyjny”?

— To tak jakby film tylko dla dorosłych — odparła dziewczynka po namyśle.

Patrzyła na niego jakoś tak... Nie czuł się dobrze pod tym spojrzeniem. W jej oczach migotało znudzenie i rozbawienie. Dziwność.

— To z łaciny — wyjaśnił — *perversio*, obrócenie w niewłaściwym kierunku, przekręcenie, zepsucie. Zresztą co cię to może obchodzić...

Przetrzęsął kieszenie płaszcza w poszukiwaniu choćby jednej z wielu talii, które zwykle upychał w swoich ubraniach; na próżno. Sprawdził z kolei w spodniach – drobne monety wbiły mu się pod paznokcie – wyciągnął je i dosypał do tych na stole.

— Przykro mi, ale nie mam kart. Musiały mi wypaść, kiedy zbierałem baty – wtedy, od tamtych dwóch.

Patrzyła na niego. Doskonale wiedziała, że nie jest mu przykro.

— Moja mama ma w swoim pokoju talię.

*Cyk, cyk*, włączył się do tej rozmowy ukryty gdzieś zegar.

— Mam jej poszukać? — zaszcebiotała, ale nie ruszyła się z miejsca.

Teraz to Żmuda poczuł się bardzo nieswojo. Zaszło mu w ustach. Chętnie złożyłby to na karb kilku pięćdziesiątek na pusty żołądek, ale, tu się nie mylił, powoli rozpałało go napięcie.

Twarz paliła żywym ogniem. To przez alkohol. Wypił za dużo. Jest lekko wstawiony. Ma wstrząs mózgu, na bank; to dlatego wszystko wokół wydaje mu się takie... nierzeczywiste.

*Cyk, cyk, cyk, cyk...*

— Mam jej POSZUKAĆ?

Obdarzyła go tym swoim spojrzeniem, nie-spojrzeniem. Przytaknął, zdziwiony, że własna głowa wydaje się tak ciężka. Wyraźnie widział różowe spody bosych stóp, gdy wbiegała do pokoju matki. Przyniosła stamtąd niewielkie czarne pudełko

— Musimy tylko bardzo uważać. Mama potrzebuje tych kart do pracy. Byłaby wściekła, gdyby cokolwiek im się stało.

Żmuda sięgnął po pudełeczko. Otworzył je. Przez chwilę przyglądał się zawartości, a potem odstawił z powrotem.

— Te się nie nadają.

Dziewczynka zmarszczyła brwi i przysunęła pudełko w swoją stronę.

— Wyglądają całkiem normalnie.

— To są karty do tarota. Nie możemy nimi grać.

— Dlaczego?

Czy wszystkie dzieci muszą zadawać to okropne pytanie? Pytanie-zdradę. Pytanie-cios w plecy. Pytanie-klątwe.

— Po pierwsze, jest ich za dużo, bo siedemdziesiąt osiem — wyjaśniał niecierpliwie. — Po drugie, te fikuśne obrazki przydałyby się w Czarnym Piotrusiu, ale co my z nimi zrobimy? Jeżeli mamy grać... — Żmuda przerwał zdziwiony gwałtownością, z jaką Maja opróżniła pojemnik. Rozsypała stosik na obrus.

— Ile jest kart w tej... w talii? — zapytała.

— Pięćdziesiąt dwie — odparł Żmuda. — Od dwójek do dziesiątek, figury, asy, no i dodatkowy joker... Wszystko w czterech kolorach — dodał z naciskiem, jakby oczekiwał, że ostatnia wiadomość całkowicie pokrzyżuje jej plany.

Dziewczęce paluszki przebierały szybko wśród kart bogato zdobionego tarota.

— Zobacz sam. Jeżeli wyrzucimy wszystkie z obrazkami, to zostanie nam dokładnie pięćdziesiąt sześć. Dobrze? Nie, nie. To ciągle za dużo. A asy? Asy to takie z jedyką, prawda? No to zostawmy jedynki, a wyrzucimy któregoś z tych panów – ten w koronie to pewnie król, ten w zbroi to jakiś rycerz, a ten? Kim jest ten?

Żmuda obejrzał podetkniętą mu pod sam nos kartę.

— Giermek? — zaryzykował.

— To taki służący — upewniła się. — No to dajmy sobie z nim spokój. Proszę, mamy pięćdziesiąt dwie karty.

Żmuda otworzył usta, żeby zgłosić swoje uwagi, ale dziewczynka zawczasu ubiegła wszelkie zastrzeżenia.

— Aha. Kolory też są. Widzisz? Te mają na sobie pieniążki, tamte noże, kubki i takie, co to właściwie jest? Maczugi?

— Buławy, denary, miecze i puchary — poprawił ją bez przekonania.

Patrzyła na niego. I wygrywała.

— A joker? Co z jokerem? — spytał Żmuda w ostatnim geście rozpaczony. Maja szybko przetasowała Wielkie Arkana.

— Chyba widziałam tutaj kogoś, kto wyglądał zupełnie jak ty. O, proszę! — zaśmiała się. — Mam! No, spójrz sam, czy nie jesteście podobni?

Mag, to właśnie ten symbol Tarota mu przypisała. Poczuł, że się poci.

A ona patrzyła na niego w ten swój nieludzko spokojny sposób, tak jak się patrzy ktoś z obrazu albo z ogromnej odległości.

— Przełóż karty.

Przełożyła.

— Co teraz?

— Teraz czas na przyspieszony kurs pokera.

— Umiem grać w Czarnego Piotrusia.

— W takim razie wyobraź sobie, że Piotruś zszedł na psy...

Rozdał po pięć kart.

— Najpierw zagramy w otwarte. To znaczy pokazemy sobie, co oboje mamy na ręku. Widzisz? Trafiły ci się trzy podobne. To trójka. Wcale niezły początek. A teraz spójrz na moje stadko. Para dziewiątek i para szóstek. To dwie pary. Gdybyśmy grali na poważnie, ty wzięłabyś pulę...

Maja przytaknęła w skupieniu. Żmuda zebrał karty w stosik.

— Dobrze. Teraz ty rozdasz i zrobimy wszystko jeszcze raz.

Grali przez piętnaście minut, na zmianę składając i rozkładając talię.

— OK, załapałam. Nie jestem aż TAKIM dzieckiem — powiedziała w końcu Maja, zebrała karty i podała je na wyciągniętej dłoni. — Teraz zrobimy to normalnie. Rozumiesz? Tak jak powinno się to robić.

— Spokojnie, mała — odparł Żmuda. Cały czas chciał pokrzyżować jej plany. — Zagramy, oczywiście, ale żeby wszystko było tak jak należy, ty też musisz coś postawić.

Maja w zamyśleniu potarła grzbiet nosa, rozejrzała się, a potem wyszła z pokoju. Wróciła ze sporą, ubraną w koronkową spódnicę lalką. Była w rodzaju tych z porcelanową głową – drogi, zimny kłopot. Komercyjny koszmarek.

Żmuda wziął lalkę i potrząsnął nią lekko. W porcelanowej główce coś głucho zaklekotało.

— Zepsuta.

Maja pokręciła głową.

— Nie. Zawsze taka była. Odkąd pamiętam.

— Lubisz się nią bawić?

— Tym świństwem? Tak, lubię. Siedzam ją na krześle i kiedy jestem bardzo zła, powtarzam jej, że umarła. A potem mówię, co się z nią stanie. Tam, w ziemi. To pomaga.

— Pomaga? — zdziwił się Żmuda. — W czym, do jasnej cholery?

— Nie rozumiesz? Przecież jej nic nie grozi. Jest z porcelany. Czasami dobrze sobie przypomnieć, że pewne rzeczy są niezmiennie.

— Można ją rozbić.

— Tak, ale wtedy to już nie będzie lalka z porcelany. To nic nie da.

— Im dłużej z tobą rozmawiam, tym mniej cię rozumiem, dzieciaku.

Maja uśmiechnęła się wyrozumiałym uśmiechem kogoś o wiele, wiele starszego.

— Grajmy — powiedziała. — Już późno...

Zagrali. Czas płynął powoli i jakoś niemrawo, a karty wirowały i tańczyły, wirowały i zmieniały się, twarze na zdobnych koszulkach to męskie, to żeńskie, aż wreszcie pozbawione wyrazu, obojętne, obojnacze. Żmudę znów ogarniało zmęczenie, straszliwe zmęczenie. Oddawał partię za partią, tasował karty, rozsypywał je niezdarnie, a w końcu czekał tylko na to, co podsunie mu Maja. Nie chciał grać. Nie mógł przestać. Bał się. Walczył z sennością z jedną ręką opartą na stole, z drugą otwartą w oczekiwaniu na kolejne rozdanie, czując, że dzieje się coś złego, bardzo złego. A jednocześnie najbardziej naturalnego pod słońcem. Te karty... One...

\* \* \*

Ulica śpiewała, a śpiew ulicy to skowyt hamulców, pisk opon, zapowiedź smrodu spalin, wschód słońca. Żmuda stał w drzwiach klatki schodowej i tarł pięściami zaspane oczy. Nie zważał na tępy ból głowy, nie myślał o tym, co spotkało go wczoraj – przetrwał noc – a przetrwać noc w dżungli, choćby takiej jak ta, wrytej w betonie i uplecionej ze stali, to było osiągnięcie.

W prowadzącym na główną ulicę prześwicie drapacze chmur lewostronnej Warszawy majaczyły ciemne i złowrogie, monumentalne. Widok zapierał dech w piersiach. Ogromne wielokształtne bloki, figury wprost z Tetris na granicy kosmicznego upadku, gotowe by z łoskotem zdruzgotać każdy wolny skrawek przestrzeni.

U wylotu zaułka pokazało się dwoje porannych spacerowiczów. Spojrzeli w stronę Żmudy. To, co zobaczyli, kazało im przyspieszyć kroku. Żmuda czuł, że pod obrzmiąłą skórą twarzy mięśnie układają mu się do uśmiechu. Nic się nie zmienia. Dzień i noc. Szczęście i nieszczęście. Dwie strony tej samej karty.

Z jednego z przepełnionych śmietników wygramolił się rudy kocur o parszywym futrze, poczęstował Żmudę złym spojrzeniem kaprawych ślepi i dał drapaka. Pojemniki zagrzecotały pod jego łapami.

— Amen, bracie — rzucił za nim Żmuda i pokuśtykał w stronę ulicy.

Skręcił za róg i zatrzymał pierwszą wolną taksówkę, jaka się napatoczyła. Wsiadał tyłem, by kierowca mógł zobaczyć jego twarz dosłownie w ostatniej chwili, a potem, gdy w tylnym lusterku błysnęło zaskoczone spojrzenie, szybko podał adres i powiedział:

— Tylko powoli, szefie. Nie lubię wstrząsów.

Łysy w koszulce adidasa kąśliwie rzucił znad kierownicy:

— Już się wyspałaś, rynsztokowa wróżko?

Ze spokojem obserwował ogromną plamę dłoni płynącą w stronę klucza do kół, schowanego pod siedzeniem pasażera.

— Wszyscy kiedyś umrzemy, bracie. Prędzej czy później.

Z kieszeni wyłuskał zmięty banknot o dużym nominale.

Ręka zawahała się; opadła na drążek zmiany biegów.

Najpierw pojechał do siebie.

\* \* \*



W taksówce czuł podniecenie. Nie był to ten rodzaj drżenia umysłu, który udziela się w końcu także ciału, ten stan po nieprzespanej nocy, gdy wszystko wydaje się jasne i ostre i nie całkiem prawdziwe. To, co nim zawładnęło, płynęło ze środka, z samego wnętrza, i miał wrażenie, że chociaż jest ciepłe i w jakiś niepojęty sposób kojące, nie kryje się w nim nic dobrego. Wpadł do mieszkania, przebrał się w świeże ciuchy, jeszcze raz przemył twarz, i po chwili z powrotem siedział w taryfie. Cały czas wmawiał sobie, że to co czuje, to tęsknota. Za Leną.

Do jej domu miał dobre dwadzieścia minut drogi. Za blisko, by uciąć sobie drzemkę, za długo na jazdę bez celu. Wyjął z kieszeni pierścioneł. Staroświeckie cacuszko. Przyszło mu do głowy, że powinien zadbać o jakieś efektowne pudełko – czegoś tak pięknego nie powinno się dawać bez oprawy, jak złodziejskiego łupu. Złodziejski? Skrzywił się. O nie, nie był złodziejem. Mienił się szulerem i, w odróżnieniu od każdego zasranego kieszonkowca, grę, w której zbierał fanty, podejmowały dobrowolnie obie strony. Ci durnie dobrze wiedzą, co im grozi. Siła tych argumentów odrobinę poprawiła mu nastrój.

Poranne światło obudziło w zielonym kamieniu gamę refleksów. Tak go właśnie wręczy, zdecydował niespodziewanie – w zagłębieniu dłoni, jak dzieci darują sobie bezinteresowne, lecz drogocenne prezenty, piękne piórko lub kolorową skorupkę jajka. Lenka to doceni. Skąd to masz, zapyta i ani na chwilę nie odwróci wzroku od skarbu. To dla mnie? A potem, gdy w końcu spojrzy mu w oczy, w jej ciemnych źrenicach pojawi się troska. Kto ci to zrobił?, zapyta, a Żmuda będzie wiedział, że ona sama nie wie, na czym jej teraz bardziej zależy: na nim czy na pierścionku, tak nieskończenie wspaniały podarunek jej przyniósł. Wejdą do domu, Lena zrobi zimny okład i przycisnie jedną dłoń do jego obolałej twarzy, a w drugiej obracać będzie zielony kamyk. Znalazłem go dla ciebie, a oni

mnie pobili, i ta dziewczynka zaoferowała mi pomoc, a Lena będzie szeptać: cicho, cicho, cicho, i w końcu nie opowie jej niczego, bo choć nie ma przed nią nic do ukrycia, to nie chce, by domyśliła się czegośkolwiek, a ona z kolei nie chce WIEDZIEĆ, chce go tylko MIEĆ.

— Hej. Hej! Proszę się tutaj zatrzymać

— Nie jesteśmy jeszcze na miejscu...

— Przejdę kawałek.

Wszystko czego teraz potrzebuje, to odrobina spokoju.

Chodnik sprężynował pod butami jak dobrze naciągnięta membrana bębna, odbijał stopy Żmudy, szło mu się lekko, sprężyste. Do drzwi, do ramion Leny pozostało kilkaset metrów. Niespodziewanie chód przemienił się w trucht. Kamień drapał w sutek. I to dziwne uczucie w piersi. Oczekiwanie? Niepokój. Niepokój, który nie był prostą odwrotnością spokoju, ale czymś więcej – zagadką.

Dlaczego nagle poczuł się tak nieswojo?

**Jeżeli wygram, to ją wezmę. Zabiorę ją. Będzie moja.**

Zgubił rytm. Zwolnił. Przyspieszył. W przejeżdżającym samochodzie przyklejone do szyby dziecięce buzie przyglądały mu się rozszerzonymi ze strachu oczami.

Wezmę, zabiorę, moja. Puścił się biegiem. Gdy na skrzyżowaniu mijają czerwone światło, coś ze świstem przeleciało mu koło ucha. Jedno z dzieci z tamtego samochodu uchyliło szybę i rzuciło w niego zabawką. Spojrzał przelotnie najpierw na plastikowy kłopot, a później w kierunku, z którego nadleciał. Wściekli rodzice na migi prosili, aby Żmuda przystanął i podał im zgubę, zanim wszyscy będą musieli ruszyć. Nie zatrzymał się ani na chwilę. Biegł dalej. Lalka miała oczy bardziej martwe niż śmierć.

Biegł.

\* \* \*

Pchnął drzwi wejściowe.

— Lena?

Odpowiedziała mu cisza.

— LENKA!!!

— *Cześć...*

— Kochanie?!

— *Tu Lena. Niestety nie ma mnie teraz w domu. Zadzwoń później albo...*

Przemknął obok stolika z telefonem i wpadł do salonu. Na sofie leżały w nieładzie ubrania; bielizna, jakieś bluzki. Płaski głos z przedpokoju nie ustawał w namowach, aby ktoś po drugiej stronie linii zostawił swój numer zaraz po usłyszeniu sygnału. Pod oknem na desce do prasowania żelazko mrugało pomarańczowym okiem. Zmięta nogawka spodni wyprasowanych tylko w połowie czekała na swoją kolej.

Garderoba, do której zajrzał, okazała się pusta. Tak samo kuchnia. I oszklony balkon. Przez uchylone drzwi łazienki wysuwały się języki pary i na krótką chwilę ten widok rozpałił jego nadzieję. Lena jest w domu, kąpie się i dlatego nie usłyszała jego wołania. Jednakże łazienka nie kryła w sobie niczego poza gorącym i wilgotnym powietrzem. Żadnej, nawet najmniejszej, kałuży w miejscu, w którym mogły stać stopy. Lustra tonęły we mgle. To tyle. Żadnego, nawet najmniejszego śladu po Lenie.

Żmuda jeszcze raz obszedł całe mieszkanie. Zrobił to, ponieważ rozpaczliwie potrzebował dowodu, że rzeczywiście JEST w jej mieszkaniu, że poznaje każdy kąt i zakamarek. Wędrówkę zakończył tam, skąd ją zaczął – w salonie. Tak. To BYŁO mieszkanie Leny i czuł, że ona także tutaj „była”. Dzisiaj? Całkiem niedawno... Kwadrans temu. Przed chwilą? Na cóż innego wskazywałyby te wszystkie ślady przygotowań i krzątania? Usiadł na sofie, rozgarniając ręką fatałaszki. Te wszystkie nienazywalne

drobne sygnały kobiecej obecności przenikały go ze zwykłą dla nich, elektryczną siłą. Ale dlaczego wydawało mu się, że ich źródło zamilkło?

Wariuję, pomyślał, i złapał się za skronie. Oberwałem po głowie, później całą noc nie spałem i piłem. To wszystko to jakieś urojenia... Maligna. Leżę gdzieś w rynsztoku nieopodal tamtej skurwiałej speluny, moje ciało stygnie, kałuże nagrzewają się od słońca – i nic nie da się z tym zrobić.

— *Cześć. Tu Lena. Niestety nie ma mnie teraz...*

— Och, zamknij mordę, elektryczna papugo! — wrzasnął.

— *Zadzwoń później...*

Zerwał się z miejsca.

Kopnął z całej siły w aparat i z satysfakcją patrzył, jak obudowa rozpryskuje się w zetknięciu ze ścianą. Słuchawka upadła na ziemię. Nieruchoma, sączyła na dywan ciągłą skargę. Zanim zdołał się opanować, Żmuda wył do wtóru. Skowyczał imię, skamlał prośby, warczał ostrzeżenia. Skowyczał, skamlał i wył.

Lena nie wybiegła na spotkanie.

\* \* \*

W zapadającym zmroku kamień pierścionka przypominał plamę pleśni. Nieruchome spojrzenie. Siedząc w kucki na podłodze, obracał w dłoniach pudełko kart.

— Pamiętasz to? — zapytał cicho. — Ile jest wszystkich oczek w talii?

— 365 — odpowiedział sam sobie. — Tyle, ile dni w roku.

— A kart? Ile jest kart?

— 52. Tyle, ile tygodni.

— Są cztery kolory, jak cztery tygodnie w miesiącu.

— Dwanaście figur niczym dwanaście miesięcy.

— Nigdy nie lubiaś, gdy mówiłem o nich z takim przejęciem.

— To słowa mojego ojca. I jego ojca. Słowa z przeszłości. Takich słów nie rzuca się na wiatr. Takie słowa powtarza się, nie wiedząc, skąd przyszły.

*Dzyń.*

— Być może.

*Dzyń, dzyń.*

— Opowiem ci to jeszcze raz...

Żmuda otworzył pudełko i rozłożył karty.

— Patrzę na asa, a on przypomina mi, że jest tylko jeden Bóg. Dwójka przypomina, że Biblię podzielono na dwie części – Stary i Nowy Testament. Widzę trójkę i myślę o Ojcu, Synu i Duchu Świętym. Czwórka to czterej Ewangeliści – Mateusz, Marek, Łukasz i Jan. Piątka przypomina o pięciu mądrych dziewicach, które skróciły knoty swych lamp; było ich dziesięć, pięć uratowało się. Szóstka przypomina mi, że Bóg stworzył świat w sześć dni. Siódemka to dzień siódmy, gdy Wszechmogący odpoczywał po swej pracy. Osiem to liczba prawych osób ocalonych podczas Potopu – Noe, jego żona i trzech synów także z żonami. Dziewiątka wspomina o dziewięciu trędowatych uleczonych przez Pana. Dziesiątka to dziesięć przykazań na kamiennych tablicach. Król przypomina, że tylko jeden jest prawdziwy król – w Niebie. Królowa to Maria Dziewica. A walet to Diabeł...

*Dzyń.*

— Nie wierzę w ani jedno słowo. To kicz.

Zegarek z budzikiem wygrał melodyjkę. Dwudziesta druga. Dwanaście godzin, dwanaście pełnych godzin... Czy już czas na smutek, na zamartwianie, pomyślał Żmuda. A może mam ten etap za sobą. W końcu siedzę tu cały dzień. Może właśnie tyle trzeba, by zapomnieć o drugiej osobie? Odegnał od siebie tę myśl. Co mogło jej się przytrafić, co się wydarzyło? Z telefonu nie skorzysta, a chętnie obdzwoniłby wspólnych

znajomych; teraz wyrzucał sobie porywczość. Przedtem długo rozmyślał nad najlepszym sposobem postępowania i doszedł do wniosku, że pozostanie w mieszkaniu. Nie będzie nigdzie wychodził. W końcu wróci. Nie wyszedł ani na chwilę. Plan był świetny. I co z tego? Dwanaście godzin...

A ślepy strach nie dawał za wygraną i krążył, krążył w pobliżu, ogromny cień w oczekiwaniu na takie samotne, złamane jednostki jak on.

### **Chyba należy mi się coś w zamian?**

Zebrał wszystkie blotki, na stole pozostawił tylko figury.

— A to? Znasz taką historię?

*Dzyń.*

— Popatrz na te królewskie oblicza. One też mają coś do opowiedzenia. Dwór kier: to Karol Wielki, Judyta i dzielny La Hire. Nie, nie żartuję – to ich twarze widnieją na kartach! Piki to nikt inny jak Dawid, Minerwa i Hogier, paladyn Karola. Myślałaś, że to tylko tekturki z kolorowymi obrazkami? Talia to książka! Tak jak japońskie manuskrypty o nieskończonej treści spisane na ziarenkach ryżu, z każdym potasowaniem zawiera w sobie nową opowieść. Karo: Juliusz Cezar, Rachela i Hektor. Trefle: Aleksander Wielki, Regina i Lancelot.

### **Wyglądają całkiem normalnie.**

To były karty tarota. Nie powinni nimi grać.

### **Dlaczego?**

Czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach zagrałby tym, co przyszłe?

**Czasami dobrze jest przypomnieć sobie, że pewne rzeczy są niezmiennie.**

Żmuda z całej siły walnął pięścią w stół. Karty podskoczyły. Hektor odwrócił się koszulką do góry, opadł i do połowy nakrył wytworną damę pik. Błada twarz Minerwy przybrała lubieżny wyraz antycznej kochanki. Ta

twarz. Żmuda nie mógł oderwać od niej wzroku. Rozgorączkowany wstał i przyniósł z sypialni nocną lampkę – jej światło wyostrzyło rysy na nieruchomych obliczach karcianych figur. Narysowane cienką linią spojrzenie atramentowych oczu było ostre, bezlitosne. Znał je. Spojrzenie żądanie, spojrzenie rozkaz.

Ta dziewczynka, ta mała, która udzieliła mu schronienia zeszłej nocy.

Drżącą ręką powoli odsłaniał dolną, zakrytą część karty. Milimetr po milimetrze...

\* \* \*

Odnalazł ją. Odnalazł Lenę.

Uwięzioną. Tam, w dole.

Wołała. Strach uderzył na oślep.

\* \* \*

Przedzierał się przez miasto, przez jego niewidoczny nurt. Przez fale ludzkiej masy, która starała się odrzucić go daleko w tył, na mielizny trawników przedmieścia, Fontanny na skwerach przypominały jej otwarte usta.

Brnął przez ulice.

Wreszcie dotarł na miejsce. Ktoś zbił neon nad drzwiami lokalu – ominął go, tak jak omija się znalezione na plaży martwe meduzy. Te światła, tak jak każda kurwa, nabierały powabu, dopiero gdy zapadała ciemna noc, dopiero gdy podobni Żmudzie czuli się bardzo samotni. Woń rozlanego piwa wdzieriała się w chłodne wieczorne powietrze. Przeszedł obok wejścia i skierował się w głąb zaułka. Potem była klatka schodowa – wysoka klatka o odrapanych ścianach, z których łuski farby opadały na

podłogę niczym zmumifikowane łyzy. Wszedł na trzecie piętro. A kiedy tam się znalazł, nie było już odwrotu. Więc zapukał.

— Kto tam?

— Otwórz, Maja. Muszę z tobą porozmawiać.

Starął się mówić lekko. Starął się.

Dziewczęcy głosik odpowiedział:

— Rodziców nie ma teraz w domu...

— Och, skończ z tą śpiewką! — wybuchnął Żmuda i runął na drzwi.

— Wpuść mnie! Przejrzałem twoją brudną grę!

W odpowiedzi usłyszał ciche szuranie. Zrozumiał w okamgnieniu: ta mała go obserwowała. Stała z okiem przyklejonym do judasza i cały czas lustrowała korytarz. A skoro Żmuda nie słyszał, jak podchodziła do drzwi, mogło to oznaczać tylko jedno – tkwiła tam, na swoim posterunku, już od dawna. Czekwała na niego. Wiedziała, że wróci. Dla niej było to tylko kwestią czasu.

Szarpnął za klamkę.

Drzwi uchyliły się.

W poprzek dziecięcej buzi prężył się łańcuszek. Żmuda wiedział, że zerwałby go porządnym kopniakiem. Nie chodziło jednak o to, co MOGŁBY zrobić. To, co mu wczoraj ofiarowano, było dobrowolnym zaproszeniem. Teraz, niejasno zdawał sobie z tego sprawę, oczekiwano, że dopełni wymogów jakiejś upiornej etykiety.

— Czego chcesz? Nie chcę już z tobą grać. Wygrałam. Jestem zmęczona.

— Wpuść mnie — poprosił. — Chcę się odegrać. Musisz mi dać szansę na rewanż. Każdy ma prawo do...

— Nic nie muszę — odparła znudzona. — Wiesz o tym, prawda?

— Wiem... — odparł z ociąganiem.



Ale wiem także coś więcej, pomyślał w duchu. Wiem, że w tym mieszkaniu, tu w środku tego miasta, odnalazłem najciemniejszy z jego zakamarków. Miejsce tak niskie i tak zapadnięte pod powierzchnię, że tylko cienka błonka dzieli je od wiecznie płonących zgliszcz Otchłani. Wiem, że odnalazłem tę kroplę czerni, która przełamuje zawsze każde czyste pieprzone oblicze.

— To dobrze, że wiesz to wszystko.

Wiem, że gdzieś tam odnajdę Lenę.

Spojrzał nad główką Mai. Na stole stała butelka wódki. Leżały karty.

— To wszystko takie nudne.

Czekał.

— Wchodź — zaprosiła go w końcu z ociąganiem.

Odwrócona plecami, dziewczynka zamykała kolejne zamki w drzwiach.

Patrzył na rysujące się pod materiałem sukienki drobne łopatki.

Strzelił kostkami palców, zrzucił płaszcz i usiadł przy stole.

**Masz coś, co chciałbyś przegrać?**

Spodziewał się tego pytania. Zanim odpowiedział, wziął głęboki oddech.

Poczuł nagły spokój.

## Cztery pory mroku

Ten świat – świat, w którym istniało dwieście subtelnych tonów szarości, świat gdzie każda czerń różniła się jedynie odcieniem od podobnej jej czerni, celowo pozbawiony słów takich jak: polichromatyczny; więc ten świat, rozpisany na tkaninie istnienia bez innych kolorów prócz popiołu i smoły, wywleczone na światło dzienne zgliszcza kosmicznej palety, cmentarz barw i czyściec, pandemonium, żużel, depresja, spokój, pewność i gorzki smak, taki świat nie potrafił się opierać ciemności zbyt długo, przez ten świat nie płynęło światło. Do czasu.

\* \* \*

Emil Wierzchucki na poły zbiegał, na poły spadał, z ruchomych schodów, gorączkowe ruchy doprowadzając do tanecznej wirtuozerii. Pęd porwał go gwałtownie do przodu i w dół.

Schody biegły mu naprzeciw. Do niektórych przywarły skamieniałe gumy do żucia. Widział je dokładnie: obracane w automatycznych trzewiach.

Przejęty w tył, palce wbite w drgający pas poręczy. Czyjeś pomocne dłonie ujęły go nieporadnie pod pachy, lecz odtrącił je bez słowa. Wyprostował się, odwrócił na pięcie w kierunku jazdy i pospiesznie poprawił ubranie. Ludzie, których teraz mijał, popatrywali na niego z podszytą ironią ciekawością, zerkali, wreszcie pojawili się tacy, którzy wymieniali spojrzenia, bo i on im się przyglądał, potem nadciągnęli

zupełnie obojętni. Przez jakiś czas jechał, jakby nic się nie stało. Na szczycie schodów zgrabnie zawrócił.

Teraz i on powoli sunął w dół eskalatora.

\* \* \*

Zupa była ciepła, ale nie gorąca. W sam raz. Resztki groszku unosiły się rozrzucone niczym szczątki malutkich batyskafów, które przegrały z ciśnieniem w odmętach talerza. Malutka kuchnia, mieszkanie mamy. Stukot laski, wiekowe zielone linoleum. Paradoksy. Cienki kawałek mahoniu podtrzymujący ciało. Rumieńce na twarzy i ukryte w ciele, zżarte chorobą biodra.

— Znalazłeś?

Zapach zwietrzałych przypraw; odwieczny, drażniący gardło.

— No, powiedz coś, Emilku. Udało się tym razem?

Odwrócił twarz. Choroba gościła nawet w oddechu staruszki; udał, że spogląda przez okno na dach sąsiedniego budynku. Pomiędzy kominami wojsko wron przeprowadzało krzykliwe manewry.

— Niech mi mama da spokój... Zupa stygnie.

Odwlec ten moment choćby na chwilę, tylko tego teraz pragnął. Chwili spokoju.

— Zupa? Zupa... — niewysoka kobietka zatrzęsała się ze złości.  
— DUPA!

Zaszeleściło ubranie pod kuchennym fartuchem, zaszurały stopy; prześlizgnęły się tuż nad ziemią, pomiędzy stołem a zlewem. Emil siorbnął z łyżki. Jakby cała była z liści, pomyślał, jakby nie było w niej ciała. Pergaminowa skóra.

— Słyszysz, co ja do ciebie mówię? Zupa stygnie, bo gapisz się w okno jak idiota! Nawet nie mrugniesz!

Matczysko zakrzętnęło się hałaśliwie po kuchni.

— Zupą będzie mi w głowie mącił, smarkacz jeden! Też coś!

Wrony wzbiły się do lotu – wystrzeliły w niebo. Czarne ptaki, pomyślał o nich Wierzchucki z czułością. Czarne, szczere. Nic do ukrycia.

— Czy to grochowa? — spróbował zmienić temat.

— Groszkowa! Grosz-ko-wa!

— Bez różnicy.

Matka machnęła ręką i z głośnym westchnieniem wyszurała z kuchni.

Wróciła nadąsana. Zapatrzyła się w okno.

— Paskudne ptaszyska... Nic, tylko kraczą i kraczą...

Emil odsunął talerz.

— Wrony są w porządku.

— Obesrańce.

— Żyją prawie tyle, ile zwykły człowiek.

Wytrzymał jej spojrzenie.

— Gorsze od nich są tylko gołębie!

— Wrony potrafią dożyć osiemdziesiątki. Wiedziała mama o tym?

— A więc są nawet gorsze od gołębi! — zapadł wyrok. — Osiemdziesiąt lat latania i srania pod wiatr.

— Przynajmniej wiem, jaki mają kolor. Dobra zupa. Dobrze przyprawiona.

Matka prychnęła gniewnie. Siedzieli bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Staruszka milczała. Wydawało się, że się kuli, że w ramach dziecinnej zemsty wybrała powolne zapadanie się w siebie, cichy kolaps, że w końcu zmaleje, zniknie i pozostanie po niej tylko wszędobyłski obłoczek korzennych przypraw.

— Dostałeś tę pracę? — spytała wreszcie. — Widziałeś się z pracodawcą?

Widziałem, widziałem... czy widziałem, myśli gorączkowo Wierzchucki.

— Tak... Nie... Jakby to...

Pachnąca oregano cisza.

— Boże, ja tyle bym dała, żebyś zajął się wreszcie czymś wartościowym... Chyba nie zaświerzbiał cię język? Nie napomknąłeś nic o tej... o swojej... drobnej przypadłości, co?

— Przykro mi. Naprawdę tak mi cholernie przykro...

Matka sięgnęła do szuflady i bez słowa zaczęła przegląd zebranych w foliowej torebce niezliczonych leków. Emil wiedział przypominano mu tą pantomimą o oczekiwaniach, jakie w nim pokładano. Ktoś przecież musi na te leki zarabiać. Ktoś ma obowiązki. Kolorowe pigułki w drobnych starczych dłoniach.

— Ty pewnie nawet nie założyłeś na tę rozmowę czystej koszuli.

Bez słowa wstał, umył talerze, a potem zamknął się w swoim pokoju. Leżąc na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit, sięgnął za oparcie. Namacał butelkę.

Ocknął się, gdy zegar ścienny wskazywał drugą w nocy. W domu panowała cisza i tykanie, i jak to bywa w miejscach, gdzie wszystko głęboko śpi, jedno zupełnie nie przeszkadzało istnieć drugiemu. Namolnie kapąła woda. W swoim rytmie. Kto wstanie i dokręci kurek? Pewnie w końcu on to zrobi. Sen odszedł na dobre, więc przyrzekł sobie, że zmierzy się z hydraulicznym *faux pas*. To było godzinę temu. Ale gdy teraz wśród cieni sięgnął pamięcią wstecz, obiecywał to przecież także dwie, nie, trzy... I tak od trzech godzin woda szmerze w najlepsze.

Czyjeś kroki piętro wyżej wstrząsnęły całym domem, jak gdyby nie stąpał człowiek, lecz olbrzym. Tak właśnie działa półprzewodnik ciemności.

Samoloty za oknem niczym ziewanie ogromu miasta.

Ciemność nie przeszkadzała Wierzchuckiemu, nie niepokoiła.

Drobna przypadłość... TO przyzwyczajają do wielu rzeczy.

Oddychał spokojnie, a myśli płynęły, każda własnym nurtem. Swobodne. Nie pierwszy raz, gdy tak rozmyślał. Znał je wszystkie. Przyglądał im się z niezmierną wysokością. A potem wskoczył do pierwszej z brzegu i uniosła go fala wspomnień.

TO przyszło w zimie. Miał pięć lat. Feralnego dnia mama bez zapowiedzi odebrała go z przedszkola. Pamiętał dobrze to „bez zapowiedzi”, bo już wtedy z powodu nękających ją chorób niemal nie wychodziła z domu. A tu proszę, zawołała go, stojąc na szkolnym dziedzińcu – bezprecedensowy atak na samodzielność. Odpowiedział ostrzałem śnieżek i stoczył krótką, lecz zwycięską bitwę. Zamiast orderu za odwagę wybrał wizytę na pobliskim dzikim lodowisku. Mama nie pochwałała odwiedzania takich miejsc, lecz w tamtych szczęśliwych czasach pokonani nie mieli prawa odmowy; powędrowali zatem na obrzeże osiedla, gdzie na placu kilku zaradnych mieszkańców wylało wodę. Dookoła dyszały parą budki pomniejszych sprzedawców, bajkowe grzyby z blachy falistej, w których każdy, mógł zaopatrzyć się w gorącą czekoladę z proszku i zapiekanki. Huk radioodbiorników, ślizg łyżew.

Lecz oto cicho sza! Na miejscu pojawił się Emil Zwycięzca! Z radością zmienia buty. Tylko zamiast podniecenia czuje niespodziewane ukłucie wstydu, gdy zostaje wyśmiany, że nosi dwie różne skarpetki. Dwie skarpetki nie-do-koloru? Podczas gdy on nie pojmuje, co oznacza słowo: KOLOROWE! Kto by na to zwracał uwagę? Ludzki krąg przyspiesza niebezpiecznie, świat wiruje i Emil wie, że patrzy na ten świat przez łyzy.

Coś szarpnęło Wierzchuckiego w piersi i wspomnienie błyskawicznie poszło na dno.

Ale wystarczy chwila i następane obrazy, kołyszą się pod nim niebezpiecznie.

Wielokrotne odwiedziny u lekarza. Pierwsze badanie okulistyczne przypominało torturę, ale poddał mu się bez sprzeciwu. On także poszukiwał sposobu na odczynienie uroku, któremu uległ. Spasiony konował mrucał uspokajająco: „Nie martw się, synku, może z czasem to minie”.

„Może to minie...”. Monochromatyczne przemijanie.

Zegar na ścianie wybił wpół do trzeciej. Emil potarł powieki; nie stał z nich przeszłości.

Więc następny dryf w pustkę. Bez końca. Ciągi minionych zdarzeń, refleksy przechowywane dlatego, że tak wypada. Z przyzwyczajenia. Żadnych krzykliwych wspomnień. Wszystko szare, rozciągnięte w nieskończoność, do bólu. Nikt nie chce pamiętać bólu. Lecz życie ma to do siebie, że mocno w tę pamięć zapada.

I to jest szajs. W wieku pięciu lat Wierzchucki dobrze wiedział, co to oznacza.

Te wszystkie wakacyjne opowieści, którymi raczył kolegów. Te wieczory, gdy na przemian z tabliczką mnożenia uparcie powtarzał: woda – niebieska, słońce – żółte, ziemia – brązowa... Maczał następnie te swoje opowiastki w zmyślonej palecie tak mocno, że puchły i rozplływały się w ustach; nim z nich wyszły, nikt nie wierzył już w ani jedno słowo. I kredki, które gdy był starszy, po kryjomu znaczył, aby nie śmiano się z jego rysunków na lekcjach plastyki. I ubrania z wyszytymi na wewnętrznych stronach mankietów tajemnymi symbolami, dzięki którym łatwiej się je dopasowywało. DO KOLORU!

Gdyby ktoś zapytał go o zdanie, to od dawna hołdował zapomnieniu. Zupełnemu.

Dzieciństwo – spopielony świat, dorosłość: żużel i dym. I on, Emil Wierzchucki, podstarzały kawaler, który kolejny rok wegetuje w mieszkaniu niedołącznej matki. I wydeptana przez lata ścieżka dom – urząd pracy – dom. To miotanie się bez celu i bez końca.

Drobna przypadłość.

Uśmiechnął się do siebie smutno. Tacy jak on, pechowcy uwięzieni w przedziwnym życiu, które przypomina czarno-biały film, z czasem nabierają do niego dystansu.

Tak, proszę pana, to prawda, tak było. Tak, proszę pana. Tak właśnie jest.

Za kwadrans trzecia.

Dotknął dłońmi twarzy. W ciemności nie widzi się własnych palców, a to bardzo dziwne uczucie – dziwne i naiwne – dotyk zapewnia, że myśl otoczona jest przez ciało, wzrok przeczy. Zresztą tak samo jest z kolorami, podobno też tam są. Tak mówią ci, przed którymi nie zostały ukryte na skutek nieszczęśliwego poślizgu w sprzężeniu tego czy tamtego genu. Czy wierzyć im na słowo?

Emil! Ty ponury mutancie! Gdzie twoje nadprzyrodzone komiksowe moce? Jaki pseudonim przybierzesz? Spośród jakich peleryn przyjdzie ci wybierać? Uwierz – odbija się prośba, klekocze wśród pustki płaczliwa groźba. Nieustraszony Kapitanie Szajs!

Butelka przechyla się nad Wierzchuckim, syczy cicho, gdy alkohol zastępuje próżnia.

A potem ni z tego, ni z owego z szarej nicości wypływa pewien zamożny mężczyzna w średnim wieku. Mężczyzna, który siedział dzisiaj naprzeciwko Emila na pierwszym piętrze biurowca. Marciniuk, tak brzmiało jego nazwisko. Biznesmen wyciągnął z szuflady biurka tekturową teczuszkę, otworzył ją i wskazał na gęsto zapisaną kartkę.



— Co oznacza to słowo?

I podczas gdy jego twarz i usta układały się w sposób świadczący o tym, że wychodzą przez nie rzeczy ważne i ważne, Emil nie odrywał wzroku od jego rąk. Czerwonych rąk! Patrzył na krwistoczerwony palec, na staw i skórę o fakturze suszonej moreli – wiedział, że nikt inny tego nie dostrzega – wreszcie ześlizgnął się po błyszczącym, niebieskoperłowym paznokciu i jeszcze raz powoli przeczytał fragment swojego *curriculum vitae*.

M o n o c h r o m a c j a.

— Wiem, jak to się CZYTA — parsknął Marciniuk. — Ale co ono OZNACZA?

— Jestem ślepy. Na kolory. Świat pozbawiony jest dla mnie barw — wyjaśnił Emil drżącym głosem.

Biznesmen pokiwał głową i wyciągnął przed siebie prawą dłoń. Czerwona skóra okazała się twarda i szorstka w dotyku.

— Jak dla nas wszystkich. Jak dla nas wszystkich, chłopcze...

A potem zaczął przemowę.

„Będzie pan jednym z kółek w ogromnym mechanizmie, a to oznacza, że na pana barkach spoczywać będzie odpowiedzialność za inne koła, ogromne koła, takie jak te, które toczą się za zamkniętymi drzwiami gabinetu prezesa, całkiem duże koła, jak ja, nie przymierzając, i zupełnie małe kółka, trybiki płaczące się pod nogami, trybiki, których być może pan nie zauważa, lecz one też są częścią mechanizmu, a jako takie... Słucha mnie pan?”

Słucham, słucham...

Ale nie, wcale nie słucha!

Dookoła biurka tego bubka biegają czarne i białe postaci w szarej przestrzeni, a on sam ma karmazynowe dłonie. Emil czuje, jak głowa

eksploduje mu na kawałeczki, głowa-bomba, serce, detonator. Nie ma odwrotu. Rozsadza go nadzieja. Jedyne, co go interesuje, najważniejsze w tej chwili – wyzdrowiałem! Otrzymam z powrotem wszystkie kolory! Łuski opadną mi z oczu! Mam, mam, nareszcie je mam, najpierw skrawki świata, a potem cały plunie mi w twarz oceanem barw i to będzie wspaniałe.

Doktor Kiedyś-To-Minie miał jednak rację.

Oddajcie mi moje tęczowe okulary.

Tyle że w tej samej chwili, zupełnie niespodziewanie, Wierzchucki czuje, że coś jest nie w porządku... Skoro bowiem nigdy w życiu nie widział koloru, to dlaczego wie, że dłonie tego typka to czerwień właśnie?

„A jako takie... jako takie... widzi pan, straciłem wątek. Opowiadam tę historyjkę każdemu, kto stara się o pracę, to daje czas potrzebny na przemyślenia. Niech pan przyzna, świetna składnia. Taką składnię trzeba wypracować, to wymaga czasu i odczytania”.

— Czasu i odczytania. Widocznie tak musi być...

I zupełnie bez ostrzeżenia Wierzchuckiego ogarnia lodowata nienawiść.

„A co to według pana ma oznaczać?”.

Już wie. To oszustwo. Zakpiono z niego, tak jak tyle razy przedtem. I w jednej chwili świat ciemnieje i gaśnie na kształt chmury burzowej. Nadciąga Kapitan Szajs!

— To znaczy, że na niewiele tu się zdadzą moje kwalifikacje, a jedyna moja cecha, jaka jest tutaj poddawana próbie, to cierpliwość.

„Nie rozumiem”.

Nieustraszony Kapitan Szajs!

— Tak, cierpliwość. Pierdoli pan od rzeczy. Wytrzymałem tego już chyba kwadrans. Czy uważa pan, że się nadaję?

A potem chwyta go irracjonalny strach. Bo Emil ma przeczucie, że jego nagła wizja to nie wyczekiwana łaska, że dojrzał coś, co powinno pozostać dla niego ukryte, to COŚ może już w tej chwili oglądać się za siebie w poszukiwaniu natręta, który zajrzał pod kurtynę Bezbarwy.

Uciekł przerażony własną śmiałością. Uciekał ruchomymi schodami ile sił w nogach i myślał, że ta jego ucieczka wszystko załatwi. Dopiero nocą strach przybrał na sile; przypomina spadającą kroplę, i jak w tym niedokręconym kranie, dręczy, aż zerwał się z posłania i dokręcił po omacku kurek. Tuż przed zapadnięciem w sen obiecał sobie, że cokolwiek się stanie, zapomni to wszystko, co mu się dzisiaj przytrafiło.

Ale przecież robił to już tyle razy – obiecywał sobie.

Wczoraj, przedwczoraj. Dwa dni wcześniej.

\* \* \*

Rano kac i kiep w ustach. Ledwo wygrzebał się z pościeli i, osowiały, utknął w kuchni, gwizdek czajnika otrzeźwił go odrobinę.

— Za dużo pijesz. Zamykasz się w pokoju i popijasz, nie myśl, że nie wiem. To w niczym nie pomoże — wyrzucała mu matka.

Zapatrzony w poranną kawę nie odpowiedział. Sięgnął do cukierniczki. Cukier utrzymał się krótko na kozuchu z fusów, a potem powoli się zapadł. Samopoczucie Wierzchuckiego powędrowało za cukrem.

— Nie patrz tak na mnie. Ktoś jest jeszcze za ciebie odpowiedzialny w tym domu.

Identyczne przykre rozmowy toczone za każdym razem, gdy powija mu się noga.

— Dlaczego nie możesz znaleźć jakiegoś spokojnego zajęcia?

Setki argumentów. Ale dzisiaj rezygnuje z argumentów.

— Czasami odnoszę wrażenie, że za mało się starasz.

Strach. To przecież żaden argument. To doskonały argument. Mimo to Emil milczy, ukrywając to, co mu się wczoraj przytrafiło.

Na śniadanie był owsiany barszcz. Zjadł go i jakby nigdy nic niechętnie podreptał do pośredniaka. Sięgnął po kolejną szansę.

\* \* \*

— Z ogłoszenia?

Odwzajemniony uścisk szerokiej kobiecej dłoni.

— Luboń. A tam to babcia Luboniowa.

Prosto z korytarza w betonowym mrówkowcu trafił do dwupokojowej klitki. Korytarz śmierdział pastą do podłóg. Za drzwiami wejściowymi z cienkiej dykty kryło się niewielkie komunalne mieszkanie. Emil pociągnął dyskretnie nosem. Tak jak we wszystkich takich budynkach zapach nie pozostał za drzwiami, zmieniło się tylko jego stęchłe spektrum. Pierwsze pomieszczenie zajmowała kuchenka i ogromny plazmowy telewizor. Barek w przeszklonej meblościance. W drugim, do którego został bezceremonialnie wepchnięty, niepodzielnie panowało łóżko. Pochylili się nad nim z Luboniową jak nad ogromną kadzią bieli i, zaskoczony, zauważył drobną człowieczą figurkę. Cienkie włókna istnienia obciążone skórą.

POMOCY DO NIEDOŁĘŻNEJ POSZUKUJĘ. Wierzchucki zmiął kartkę z adresem otrzymaną w urzędzie pracy i wcisnął ją do kieszeni spodni.

Kobieta opiekująca się starowinką, jej synowa, nie marnowała czasu.

— Robi się to dokładnie w ten sposób.

Przyglądał się krzątaniu, którą z wprawą rozpętała ta cała Luboniowa na oko czterdzieści pięć lat, obfite piersi. Piegowaty dekolt pocięty kanionami rozstępów. Nienasycony apetyt na papierosy i wywróżona

z milionów porozrzucanych po mieszkaniu niedopałków przyszłość podobna do tej, nad którą się teraz pochylała.

Luboniowa zmieniała pieluchę, trajkocząc nieustannie. Pogoda taka a taka, maść na odleżyny, to, tamto, siamto i owamto. Kłopoty z tym i tym, a wszystko coraz bardziej, gorzej, mniej. Grzecznie przytakiwał, bo wiedział, że to cena, jakiej żąda się od niego w zamian za zarobek przy pracy ze staruszką. Siedział sztywno i drżał w nim każdy mięsień. Zlecenia takie jak to są rzadkością, wiedział o tym. Spokojna, cicha praca. Przy odrobinie szczęścia na dłużej. Taki układ. On i ludzki porost; zależne od drugiej osoby, suche, bezproduktywne trwanie. Na dłużej. Mama będzie zadowolona.

Nie rozglądał się. Tylko raz, na samym początku toalety spojrzął w stronę kobieciny, szybko objął wzrokiem wychudzone kształty. W kruchym ciele czujne oczy, reszta przypominała łodygę zmarniałej rośliny; drapieżny wstyd, który wyczytał w starczym spojrzeniu, bardzo długo nie pozwolił mu na oderwanie uwagi od rozgadanej w najlepsze synowej. Miał się na baczności dopóty, dopóki całe wymizerowane ciało nie znikło z powrotem pod śnieżnobiałą kołdrą.

— Paraplegia. Zespół zamknięcia. Słyszał pan o tym?

— Ja...

— Na pewno pan nie słyszał. Ja też nic nie słyszałam, a tu nagle buch i mam coś takiego w domu. Widzi pan? No? I co pan mi na to powie?

— Więc, ja...

— Buch! Ot, tak! — huknęła Luboniowa.

Pstryknęła mu palcami przed nosem. Emil poczuł wżarty w nie zapach nikotyny i cebuli. Zamiast perfum środki czystości, jakich używa się przy obłożnie chorym: rivanol, wazelina. Zemdlilo go.

Po kwadransie toaleta dobiegła końca. Synowa wygładziła pościel na łóżku, posadziła w niej matkę, za podparcie używając ogromnych poduszek. Na koniec upozowała kaleką kukłę: ręce na podołku, głowa lekko przechylona. Wymaszerowała następnie do drugiego pomieszczenia, lecz drzwi do pokoju pozostawiła otwarte na oścież. Stuknęły cicho drzwi szafki z alkoholami.

— Niech pan nie myśli, że jestem wścibska! — rzuciła z oddali.  
— NIGDY nie zamykamy babci. W każdej chwili może czegoś potrzebować! — ryknął telewizor.

Wierzchucki przycupnął na stołku. Postanowił, że najlepiej rozpocznie tę znajomość, gdy się grzecznie przedstawi. Przedstawił się. Zapytał o samopoczucie. Potem opowiedział o sobie, o mamie, o pracy i o tym, dlaczego tu przyszedł. Żadnej reakcji. To trochę zbiło go z tropu. W zamian za dziesięciminutowy monolog otrzymał jeden głośniejszy wydech. Zaczął jeszcze raz, od początku, ale w tej samej chwili przenikliwe oczy staruszki powędrowały w kierunku sufitu; tam pozostały. Po półgodzinie opuścił pokój z poczuciem porażki. Wyżalił się rozpartej na kanapie synowej.

— Ona nie mówi. Nie wiedział pan o tym?

— Jak to: nie mówi?

— Nie widział pan tablicy?

— Niby czego?

— Wszyscy święci! Proszę za mną...

Synowa zwlekła się z kanapy, przeszła obok Wierzchuckiego i stanęła w progu pokoiku.

— No proszę, niech pan wejdzie. Mama nie przepada za moimi toaletami, więc na razie nie będę jej się pokazywać. No! Wchodźże pan z powrotem!

Wierzchucki posłusznie wdreptał do pokoiku.

— Tam — wskazała kobieta.

Ruszył na przełaj, za wektor ruchu obierając kierunek jej palca. Wskazywała na parapet, na niedużą tablicę z pojedynczymi słowami ręcznie wypisanymi drukowanymi literami: Tak, nie, nie wiem, proszę o, prymitywne piktogramy posiłku, nocnika i telewizora. Wszystko, co chciała i mogła powiedzieć babcia Luboniowa umieszczono na kawałku pilśni. Wierzchucki poczuł gniewienie w dołku.

— To działa tak, że śledzi się jej wzrok — burknęła synowa. — I proszę babci nie karmić, gdy o to poprosi. Zakrztusi się raz-dwa i to pan będzie ją miał na sumieniu — dodała chłodno. — Miłej pogawędki.

Z pokoju dobiegł odgłos uginających się sprężyn wersalki. Ich jęk na tle jingli reklamowych przelewał się przez mieszkanko niezmiennie przez parę następnych godzin – przed oczami Emila raz po raz nadymały się wtedy dwie ogromne piersi – rozstępy niczym miechy akordeonu.

Na naukę posługiwania się tablicą alfabetyczną strawił pół dnia. Po powrocie do domu toczył walkę z bólem głowy i tak zmęczonym wzrokiem, że skupienie go na czymkolwiek graniczyło z cudem. Okulista, do którego zgłosił się po pomoc, przepisał mu krople nawilżające i zalecił kategoryczny odpoczynek, ale jak mógłby odpoczywać, skoro gałki oczne z dnia na dzień zamieniły mu się w organ mowy? Gwałtownej rozbieganej rozmowy, w której on co prawda głośno zadawał pytania, ale odpowiedzi chwycił jak wyrzucane w powietrze lotki. Powieki miał zaczerwienione i suche – tak suche jak usta, w których brakuje śliny.

Uważał, że to wspaniałe uczucie. Nie będzie odpoczynku. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że jego kaleki wzrok czemuś służy, że jest komuś potrzebny.

Czuł się wspaniale. Podekscytowany, czekał na kolację.

\* \* \*

Ogórkowa, której nie cierpiał, a którą z sobie tylko znanych powodów zaserwowała mama, miała konsystencję kitu. Kuchnia śmierdziała chlorem, jej błyszczące powierzchnie przypominały salę operacyjną. Pierwsze emocje mijały i Emil powoli orientował się, że coś się święci, że to wszystko przygotowane zostało z premedytacją.

Węszył podstęp, ale:

— To niesamowite — mówił jednym tchem. — Ta kobieta. Od piętnastu lat przewracają ją tylko z boku na bok w łóżku tak zapadniętym, że przypomina bardziej piekielną kołyskę niż cokolwiek innego. Boże, jak pomyślę, co musi czuć ta staruszka. A ta jej synowa. Obchodzi się z nią jak z kawałkiem mięsa. Przewraca tylko i raz na dzień szoruje gąbką; gąbkę moczy w takiej misce z chłodną wodą, jak zobaczyłem tę miskę, to aż mnie ciarki przeszły. No bo niech sama mama pomyśli, przecież ona nie może się nawet poskarżyć. To znaczy chyba mogłaby, ale to wymagałoby takiej uwagi. To udar, udar, niech mama nawet nie pyta. Przynajmniej tak myślę... Co innego mogłoby odebrać jej władzę w całym ciele?! W jednym pokoju z nią człowiek czuje się, jakby przebywał z duchem. Tylko ja się odzywam, a odpowiedzi odczytuję z takiej tablicy. O rany, to przecież jak seans spirytystyczny. Nie, nie, nie mówię, że ona umarła, nie to miałem na myśli. Z drugiej strony już chyba jest po drugiej stronie... Myśli mama, że wie, co ją czeka? To znaczy, nie czeka jej już nic, czego by się nie spodziewała. Właściwie to czeka ją już tylko jedno. Jezu, jak tak sobie o tym pomyślę, to aż płakać mi się chce. A ja miałem pretensje do całego świata, myślałem, że to mnie jest źle...

— Jedz. Zupa stygnie.

Emil poczuł, że słowa więzną mu w gardle.

— Chyba nareszcie znalazłem coś, czego szukałem od bardzo dawna — zakończył niepewnie.



Mama trzasnęła naczyniami.

— No! Powiedz teraz, czego ci jeszcze brakuje!

— Ojej, po co te nerwy. Brakuje mi tylko kogoś, z kim mógłbym normalnie porozmawiać...

— Rozmawiaj ze mną.

— Mama nie rozumie. Tu chodzi o prawdziwą ROZMOWĘ.

Oczy staruszki zawilgotniały jak na zawołanie.

— A ja tak o ciebie dbam...

Trzasnął włącznik elektrycznej kuchenki. Zapach kiszonych ogórków w kuchni niczym zielony elektryczny łuk.

— Przemyślałam pewne sprawy — rzuciła staruszka z chochlą w pół drogi do talerza. — Powinieneś jeszcze raz spróbować w tamtej firmie.

Było coś niepokojącego i groteskowego w tym geście; niema gastronomiczna groźba. Pozostawiona na wolnym ogniu zupa bulgotała ostrzegawczo.

— Nigdy nie należy się poddawać. Nie od razu.

Emil spuścił wzrok. Wiedział, że prędzej czy później powróci temat feralnej rozmowy kwalifikacyjnej. Tymczasem zanurzyła łychę w parującej zieloności i zamieszała z werwą.

— Praca w biurze to o wiele więcej niż wywóz łajna spod jakiegoś starego próchna.

Emil spojrzał na siwiutką głowę mamy, zaskoczony zmianą w jej głosie.

— Wyrzucili mnie stamtąd, przecież... nie chcieli.

Mama mieszała zaciekle.

— Pani Luboniowa jest potrzebująca. Nie mogę tak po prostu zrezygnować. Nie tak od razu. Co powiedzą ludzie w urzędzie pracy? Jestem tam na czarnej liście. Nikt nie zaważył tylu ofert co ja.

— Ty! — matka gwałtownie wymierzyła w niego artretyczny palec.  
— Ty jesteś potrzebujący! Myślisz, że dorobisz się złotych gór na podcieraniu tyłków?

— Mamo! — Emil poczuł, że brakuje mu słów.

— Lepiej, żebyś pogodził się z myślą, że masz skończyć tę znajomość. Luboniowa, nie Luboniowa, nic mnie nie obchodzi. Twoja przyszłość – o, to mnie obchodzi.

Staruszka z impetem chlusnęła zupą w talerz. Garnek wrzuciła do zlewu. Rozgotowana włoszczyzna pacnęła na podłogę. Emil podniósł marchewkę, miękką i ciepłą. Wrzucił ją do kosza.

— Przysięgnij, że spróbujesz jeszcze raz. Słyszysz? Zrób to natychmiast. Dla świętego spokoju zgodził się na wszystko.

Tego wieczoru pani Wierzchucka, zadowolona z obrotu spraw, utknęła w swoim pokoiku z uchem przy radiu. Modląc się pod nosem, smarowała zniekształcone biodra maścią rozgrzewającą i Emil układał się do snu głęboko przekonany, że przy odrobinie zachodu wykręci się sianem od złożonej nad zupą obietnicy.

Nim jednak na dobre zasnął, bladym świtem bezceremonialnie wywleczono go z łóżka. Drobne dłonie ocuciły go, zapędziły do łazienki, a potem bez zbędnych ceregieli przepchnęły przed lustro. Zaspany, lecz przylizany i ustawiony na baczność, wtłoczony w świeżo wyprasowany garnitur, spode łba obserwował wiążącą mu krawat matkę. Na pomarszczonej twarzy gościł wyraz niespotykanej determinacji, która zamiast wygładzić bruzdy i wypukłości, zaostrzyła je. Nie na żarty obawiał się, że jeśli muśnie policzkiem uniesiony maminy podbródek, na skórze wykwitnie krwawa pręga. Materiał marynarki ugniatał ciało, zgrzebna bawełna zdzierała mu plecy do żywego mięsa; kołnierzyk koszuli śmierdział krochmalem. Węzeł na szyi odbierał oddech. Miałby ochotę

wrzeszczyć, miałby ochotę na sprzeciw, lecz o tak wczesnej godzinie nie odnajdywał w sobie ani odrobiny siły potrzebnej do wszczęcia buntu. W chwili, w której zebrał się w sobie i otworzył pełne zastrzeżeń usta, bezceremonialnie odebrano mu głos – kieszenie spodni wypełnił odliczony na taksówkę bilon i bez słowa pożegnania Wierzchucki wylądował na klatce schodowej.

Kwadrans później otwierał drzwi biurowca. Sunął przez wyludnione korytarze wprost do legowiska człowieka, którego przecież w duchu tak się obawiał, do Marciniuka. I chociaż się bał, opanował strach i szedł pewnie. Dudniący pustką hol i wczesna godzina nie stanowiły przeszkody. Firmowi strażnicy krążyli tu i tam, przyglądali mu się z wyrazem obojętności w oczach. Odwiedzał takie miejsca po tysiąc razy. Gdziekolwiek by zawędrował w poszukiwaniu zatrudnienia, na swojej drodze zawsze napotykał drzwi, schody, strażników. Pizzerie, zakłady usługowe, sklepy z obuwiem, zakłady mięsne, sklepy mięsne, supermarkety, znał je od podszewki, poczta, stacje benzynowe, raz nawet kasa w banku.

Czuł się jak w domu.

Wędrował i po drodze przypominał sobie wszystkie zamieszczone w życiorysie informacje na wypadek, gdyby poproszono, by wytłumaczył skąd ta niespotykana różnorodność miejsc, w których do tej pory znalazł – i co gorsza, stracił – zatrudnienie. Długa lista prowokowała to pytanie za każdym razem, gdy ubiegał się o posadę. Dla wprawy powtarzał więc w myślach sprawdzone kłamstewka. Wiedział, że jak zwykle zrobi wszystko, aby przyjęto go do pracy. Jak zwykle też wzbraniał się przed tym z całego serca. Co z tego, mama zadecydowała za niego: powinno mu zależeć. Mama ma zawsze rację.

Powtarzał półprawdy i liche bujdy.

Na przykład świadomie nie pozwalał sobie na luksus przebierania w ofertach urzędu pracy. I co z tego, że nic sobie nie robił z tej różnorodności, nie miał jasno sprecyzowanych celów? Nigdy w całym swoim życiu nie utrzymał się na jednym stanowisku dłużej niż kilka tygodni? Nie wiedział, dlaczego tak się działo, ale działo się. Kilka dni do kilku tygodni, potem: do widzenia. Wszystkiemu zwykle okazywali się winni zawistni ludzie.

To wystarczało do przebrnięcia przez pierwsze parę minut rozmowy.

Zawiść i ludzie, to działało; każdy zna to uczucie.

Nie wdawał się w mgliste tłumaczenia, że chodziło tu o ludzi, którzy z bliska okazywali się czymś więcej niż wprawionymi w ruch fotograficznymi pozytywami, bo któż by miał ochotę zagłębiać się w niuanse „drobnej przypadłości” – to temat tabu, tego tematu nie poruszało się za żadną cenę. Niemniej gdy ktoś nad wyraz dociekliwy przypierał Wierzchuckiego do muru, otrzymywał taką odpowiedź: ludzie ciekawili go.

Samotny, przyzwyczajony przez całe życie do dyktatury czerni i bieli, w chwili przyjęcia do pracy rozpoczynał poszukiwania bodaj śladu odcieni w osobach, które go otaczały. A ludzie nie lubili go za to, że obdarzał ich zainteresowaniem; myśleli, że obserwuje ich, by na czymś przyłapać. Wzbudzał podejrzenia. A skoro tak, spychano go na margines. Tam, na tej międzyludzkiej ziemi niczyjej, bardzo szybko zyskiwał piętno odludka. A takich nie lubią. Nikt nie wie, co myśli odludek. Nie wiadomo, co zamierza, a w dodatku jeszcze się przygląda. Itepe, itede

Przyzwyczał się do piętna samotnika. Obracał je na swoją korzyść.

Więc dalej, półprawdy – nigdy nie pracowałem w zespole, ale ma to swoje dobre strony. Ten stan sprzyja koncentracji. Jeżeli zależy wam na

kimś, od kogo wymagacie bezgranicznego skupienia, jestem do usług. Wypróbujcie mnie.

I wystawcie do wiatru po okresie próbnym.

Lipa, błaga. Więcej i więcej...

Z precyzją maszyny do gry w szachy układał w głowie kolejne scenariusze nadchodzącej rozmowy o pracę. Wszystko dla mamy. Tyle tylko że nie szło to tak gładko, jak by oczekiwał. Nurtowało go bowiem coś jeszcze. Nie przyznałby się do tego sam przed sobą, przypominał sobie nieczyste chwyt, dlatego że doskonale odwracały myśli od wspomnienia widoku krwistoczerwonych dłoni przyszłego pracodawcy.

W końcu dotarł na drugie piętro i zatrzymał się przed drzwiami z tabliczką imienną. „Dział dystrybucji zaopatrzenia”. Koniec wędrówki. Mama zwykle miała, ma... miewa rację – odetchnął głęboko, bo tym razem wątpił w jej nieomyślność. Tym razem obawiał się o samego siebie. Mimo to zapukał. Po donośnym „proszę” wszedł. Wykładzina stłumiła odgłos kroków.

— Niech pan siada — padło suche polecenie.

Czerwonoręki mężczyzna z pietyzmem wertował rozłożony przed nim stos dokumentów. Emil zbliżył się do mahoniowego biurka i przycupnął na brzegu fotela, przytłoczony ciężarem ustawionego przed sobą bloku drewna. W gabinecie było duszno. Z nadzieją spojrzął na dwa niewielkie okna i zorientował się, że oba zostały zaspawane oraz pozbawione klamek. Na mlecznobiałych szybach pokolenia gołębi zaznaczyły kierunki odlotów smugami guana. Ukryty gdzieś biurowy nawilżacz powietrza buczał niemiłosiernie. Wierzchucki rozejrzał się ostrożnie po pokoiku w jego poszukiwaniu, ale w tym właśnie momencie Marciniuk zgarnął papieryska, i uniósł twarz ubraną w maskę fachowości:

— Czym mogę panu...

Wyuczony uśmiech zamarł i zniknął. Pod pachami Emila jak na zawołanie wykwitły ciemne plamy potu.

— Znowu pan?

Rozmowa w okamgnieniu przybrała nieprzyjemny ton. Biznesmen ostentacyjnie splótł czerwone dłonie na karku, a gdzieś nad lewym uchem Emila zawiesił ołowiane spojrzenie.

— Skąd pomysł, że miałbym ochotę ponownie z panem mówić?

— Namysliłem się...

— Namyslił się pan? Czy ja dobrze słyszę? Angażuje się pan w swoim życiu w czynności tak zdradliwe i nużące jak myślenie?

Emil odkaszlnął i poruszył się niespokojnie na fotelu, przełknął ślinę. Doskonale wiedział, czemu to robi: kaszle i przełyka – intuicja podpowiadała mu, że to starcie przetrwa dzięki unikom. Pokaże miękkie podbrzusze, to zwykle działa. Pochylił głowę.

— Ja chciałem. To znaczy: chciałbym NIEZMIERNIE...

Marciniuk ponaglił:

— Znajdzie pan dla mnie powód na tyle strawny, abym go przełknął?

Wpatrzony w wykładzinę Emil myślał gorączkowo, przygotowany na odparcie kolejnej riposty. Tymczasem Marciniuk niespodziewanie roześmiał się głośno.

— Niech pan mi powie, która to teraz godzina? — zażądał. Pochylony nad biurkiem odsłonił ciężki złoty zegarek, opinający czerwone łapsko. Emil odczytał czas.

— Brawo — huknął Marciniuk. — Trzy minuty. Siedzi tu pan przede mną raptem trzy minuty i już zamienił się pan ze zwykłego gościa, takiego, co to udeptuje trotuary w tym zasranym mieście, podążając za swoimi sprawami w...? — zawiesił głos w oczekiwaniu, że to Wierzchucki dokończy zdanie.

— W...?

— W żebraka.

Wbrew sobie Emil poczuł, że oblewa się rumieńcem.

Marciniuk nie dawał jednak za wygraną.

— Co pan myśli, gdy patrzy na szyby w moim oknie?

— Szyby — powtórzył, żeby zyskać na czasie, chociaż tak naprawdę sam nie wiedział, co dzięki takiemu odroczeniu zyska. Czuł, że przestaje być panem sytuacji. Niecodzienny sposób, w jaki go przepytywano, mieszał mu szyki.

— Dalej, dalej. Pierwsze skojarzenia. To nie herbaciana popierdółka, tylko rozmowa o pracę, tępaku. Korzystaj ze swojego czasu albo wynoś się stąd!

— Brud?

Marciniuk zmarszczył czoło.

— To widzisz? Brud?

— No, chyba tak. Chyba zalewający wszystko brud... — powtórzył.

Marciniuk przez kilka chwil ważył jego słowa.

— Wyglądasz na porządnego chłopaka. Darujmy sobie okres próbny. Masz u mnie pełny etat. Zaczynasz o siódmej rano. Zgłoś się do działu kadr. Aha, i jeszcze jedno — zatrzymał Emila, gdy ten z głową leciutką niczym balon, zmierzał do drzwi. — Nie toleruję spóźnień.

\* \* \*

W świecącym pustkami biurowcu ruchome schody terkotały, ich dźwięk zmieszany z szumem wentylacji koił i ponaglał. Emil czuł pod podszewkami drżenie ukryte w napędzającym wszystko mechanizmie. W nim także brzęczały wprawione w ruch nowe, nieznanne trybiki. Otrzymał stanowisko. Otrzymał je niemal od ręki. Ba, nie byle jakie stanowisko – biurowe – to

coś znaczy. Wszystko potoczyło się gładko, tak gładko. Z tego Marciniuka okazał się równy gość. Nic nie jest takie, jak się wydaje. Najważniejsze, że od dzisiejszego dnia w domu już nie będzie oczekiwała litania niepotrzebnych zmartwień. Mama będzie zadowolona. Wyprostowany, triumfujący, nie wybiegał myślami daleko w przyszłość – stała praca, na barkach ciężar odpowiedzialności. Jakoś to pójdzie, powtarzał sobie Wierzchucki. I chociaż nie poszło, to wtedy, na schodach ruchomych, po raz pierwszy w życiu spoglądał w przyszłość z nadzieją. Udało mu się. Stanie się, co ma się stać. Nie, dość fatalizmu. Na katastrofę przyjdzie jeszcze czas.

Nic nie jest takie, jak się wydaje.

Za oknami biurowca wstawał dzień. Wierzchucki wybiegł na ulicę. Schodami, które zostawił za sobą, miał jeździć niezliczoną liczbę razy. Nigdy nie zwrócił już uwagi na przyklejone do nich gumy do żucia.

\* \* \*

Posada w biurze Marciniuka była pierwszą poważną posadą w życiu Emila. Odkąd sięgał pamięcią, czepiał się chałtur: takich, dzięki którym ledwo wiązał koniec z końcem, takich jak on sam właśnie – robót wybrakowanych, których nie chciał nikt prócz desperatów – a tu proszę, własne biurko, własne sprawy. Zaskoczony, odkrywał, że to, co robi, może być coś warte. Miłe uczucie.

Pracownik administracyjno-biurowy. Pozornie błahy tytuł miał wymierną wartość.

Praca nie należała do łatwych, zdarzało się, że harował po kilkanaście godzin na dobę. Co najmniej cztery przed komputerem plus faksy, listy, polecenia, potwierdzenia, prośby, groźby oraz cała masa przeróżnych elementów paskudnego zbioru rzeczy z gatunku na-ostatnią-chwilę;



czasami grzbiet aż mu trzeszczał. Mama jednak nie słuchała jego narzekań. Dla niej Emil nareszcie wziął się za bary z losem. Atmosfera w domu wyraźnie się poprawiła, mimo iż twardo zapowiedział, że nie zrezygnuje z odwiedzin u babci Luboniowej – nawet za cenę zwolnienia przez Marciniuka. Pieniądze, które zaczął przynosić do domu, starczały już nie tylko na matczyne leki, regularnie odkładał na czarną godzinę i poczuł, że dzięki temu w ręku ma świetną kartę przetargową. Teraz to on był panem domu. To on łożył na utrzymanie. To z nim należało się liczyć. Bardzo miłe uczucie.

Teraz to jemu przypadało w udziale podejmowanie większości decyzji. Matka, przytłoczona budzącą się u syna żelazną konsekwencją, powolutku wycofywała się w zacisze swojego pokoiku, do kamforowej maści i audycji religijnych. Wkrótce Wierzchucki poczuł się pewny siebie do tego stopnia, że mimo jej protestów oznajmił, iż każdego dnia po skończeniu pracy będzie składał krótką wizytę w mieszkaniu Luboniowej. Staruszka zasługiwała na honory. W dużej mierze to ona, cicha i nieruchoma, nieskończenie cierpliwa otworzyła mu oczy, dosłownie i w przenośni. Wiedziony wdzięcznością wziął na siebie wydatki na zaopatrywanie apteczki potrzebnej przy codziennej pielęgnacji babci Luboniowej. Matka nie kryła rozgoryczenia z tego powodu, aż w końcu przywykła i po paru miesiącach Wierzchucki był witany w komunalnej klitce Luboniów raczej jako gość niż wynajęty do pomocy pielęgniarz z przypadku. Obie kobiety zalegały mu z płatnością za odwiedziny, ale postanowił, że nie będzie się upominał o uregulowanie rachunków. W głębi duszy czuł, że byłoby to nieuczciwe. Niepokoił go co prawda oddech synowej coraz częściej pachnący słodkimi alkoholami, mimo to wytrwale opiekował się babcią Luboniową. Sam przecież nie do końca wiedział, komu bardziej służy ta znajomość. Oboje przypominali rozbitków, każde we własnym więzieniu –

jedno złamanego ciała, drugie wybrakowanej palety barw. Kto tu kogo ratował?

Odkrył także coś jeszcze.

To, że widział świat pozbawiony kolorów, miało swoje zalety – nie przesłaniały mu rzeczywistego kształtu rzeczy. Woda błyszczała niczym płynny antracyt. Chmury, te same chmury, które nie tak dawno jeszcze wisiały mu nad głową jak strzępy beznadziei, nagle mieniły się matowymi błyskami wilgotnego popiołu.

Zrozumiał, że to co widzi, może być piękne.

Nawet strach przed Marciniukiem zelżał. Niezwykła przypadłość tego człowieka nie niepokoiła. Przeróżający Marciniuk z niesamowitymi dłońmi. Pochylony nad białą pościelą łóżka babci Luboniowej. Emil wiedział, że tajemnica czuwa, wyczekuje, aż ktoś zbliży się do niej nieopatrznie, a wtedy być może połknie go, wciągnie w przepastną gardziel. Być może. Właściwie nie wierzył już, że chodzi tu o jakiś sekret. Każdy ma przecież swoje tajemnice: on – czarno-biały mózg, kto inny – czerwone dłonie.

Ale wtedy, tak jak to zwykle bywa, nadeszła katastrofa.

\* \* \*

Wszystko rozegrało się podczas szczególnie gorącego okresu w pracy. Przez dwa lub trzy tygodnie przytłoczony obowiązkami Emil wbrew sobie omijał mieszkancko staruszki. Praca wysysała z niego siły, potem starczało ich tylko na to, by dowlec się do łóżka. Dopiero poznawał to uczucie całkowitego wyczerpania, gdyby je znał wcześniej, być może nie zawładnęłoby nim tak całkowicie. Przez dwa tygodnie nie odwiedził babci Luboniowej ale tamtego dnia niespodziewanie urwał się trochę wcześniej i od razu do niej poszedł. Zamiast w koszyk owoców, przezornie zaopatrzył

się w siatkę podkładów higienicznych. Wpadł na schody i przeskakiwał po dwa stopnie na raz.

Tym razem jednak nie został przyjęty z otwartymi ramionami.

— Czego pan chce?

Korytarz w bloku niespodziewanie obcy.

— Czy to domokrażca? Domokrażcom dziękujemy!

— To przecież ja. Przyszedłem jak zwykle do babci... — zawahał się Emil, bezradny w obliczu wrogości.

— Nie ma tu żadnej babci!

Z mieszkania wionęło zastarzałym alkoholem i świeżą niechęcią. Mimo to gdy tylko szpara pomiędzy drzwiami a futryną skurczyła się, Wierzchucki postawił stopę na progu.

— Hola! Co ty sobie wyobrażasz?!

— To ja — tłumaczył nadal cierpliwie. — Ostatni raz...

— Jeszcze słowo i wzywam policję!

Bez zastanowienia pchnął drzwi. Luboniowa, zatoczyła się i opadła ciężko na wersalkę. Jęknęły obie: ona i sfatygowany mebel. Emil wpadł do przedpokoju. Z nogami zadartymi do góry, z podwiniętą nad kolana spódnicą babsko daremnie zmuszało obrzmiałe ciało do wykonania siadu.

— Kabłówkę zabrali — mamrotała, pólżąc.

Emil rozejrzał się nieprzytomnie. Plazma śnieżyła wściekle, niemal niewidoczna w sinym, zawiesistym powietrzu. Puste butelki. Dym.

— Zabrali. Przed końcem miesiąca nie zapłaciłam za kabel, to i kabel też mi zabrali — bełkotała Luboniowa. Wierzchucki pomógł jej usiąść.

— Z czego miałam zapłacić? Tyle lat płaciłam... To nic, zabrali.

Paplała bez ładu i składu, a oczy błyszczały jej, wilgotne. Płakała bezgłośnie, śliniąc się obficie, tak jak to robią rozczulający się nad sobą pijacy. Zostawił ją i zajrzał do drugiego pokoju.

Łóżko babci Luboniowej. I nagle zrozumiał. Samotne, równo zasłane łóżko. Zachwiał się i przytrzymał framugi. Pustka, którą poczuł za plecami,ssała silniej niż czarna dziura. Na ugiętych kolanach wyrwał się jej i ciężko opadł na kanapę.

— Nie ma — załkała tuż obok jego ucha Luboniowa.

— Nie ma — powtórzył jak echo. Ucisnął oczy pięściami. Powoli docierało do niego, że stało się coś złego, coś bardzo, bardzo złego.

— Czy... — spytał w końcu głucho, ale w ostatniej chwili tamto pytanie ugrzęzło mu w gardle. — Gdzie jest babcia Luboniowa?

— Nie ma.

— Wiem, że jej NIE MA, ty głupia stara krowo! — wrzasnął.

A potem bił pięściami i kantami dłoni, a ona, ogromna i tłusta, zasłaniała się nieporadnie i płakała coraz głośniej. W końcu, zdyszany, złapał ją za ramiona. Potrząsnął.

— Co z nią zrobiłaś, ty mściwa pijana kurwo?!

— Nie ma, nie ma, nie ma...

Uderzył ją w twarz, i jeszcze raz, a kiedy to nie pomogło, wstał, w kuchni napełnił pierwszy lepszy garnek zimną wodą i wylał jej na głowę. Pijacka mantra urwała się w pół słowa. Wierzchucki dyszał, wściekły i jednocześnie przerażony tym, na co sobie pozwolił. Luboniowa otarła zapuchniętą twarz rąbkiem sukienki.

— Siadaj — powiedziała wreszcie nadspodziewanie trzeźwo.

Emil zawahał się.

— Usiądź. Nie mam ci za złe. Wiem, że bardzo lubiłeś mamę. Ja też ją lubiłam. Inaczej niż ty. Siadaj.

Przesunęła się i zrobiła mu miejsce na kanapie. Pociągnęła nosem.

— Wiesz, co tu się działo?

Wierzchucki nieskończenie wolno zaprzeczył ruchem głowy.

— Wiesz, po co się hoduje rośliny? Dla owoców. Tu w tym mieszkaniu je hodowałam i żyłam dzięki wszystkiemu, co dawała mi moja teściowa. Dzięki jej zasiłkowi. Pieprzone, półżywe kłaczce. Jadło i srało, a co miesiąc owocowało. A co najlepsze, odkąd pojawiłeś się ty, miałam ten słodziutki owoc tylko dla siebie. Boże, ty byłeś taki naiwny, na każde zawołanie, kupowałeś wszystko, co trzeba — wyszeptała i pogłaskała Wierzchuckiego po twarzy.

Odepchnął jej rękę.

— Słuchaj, ja wiem, że to, co robiłam, było okropne. Ja ją więziłam. Ale ty nie wiesz, co to jest życie, takie pisane z dużej litery. Mogłam dać jej o wiele lepszą opiekę. Gdzieś. W miejscu, w którym zadbaliby o nią. W miejscu, w którym nie musiałaby pozostawać sam na sam ze sobą. Ale ja chciałam jej pieniędzy. Były mi potrzebne.

Emil milczał.

— Wspominałeś komuś o tym, co tu zastałeś?

— Tylko mamie.

— Widzisz, ja nie jestem spokrewniona z babcią Luboniową, nie bezpośrednio — kobieta odgarnęła do tyłu strąki mokrych włosów. — Jako jej synowa mogłam tymczasowo sprawować nad nią opiekę. I Bóg mi świadkiem, robiłam to, jak mogłam najlepiej. Całe życie kręcące się dookoła staruszki za parę marnych groszy? Wierz mi, to niewysoka cena za moje poświęcenie. Nie myśl sobie. Ale parę dni temu zjawili się tu urzędnicy. Powiedzieli tyle strasznych rzeczy — załkała. — I wzięli ją ze sobą. Zabrali...

— Jacy urzędnicy?

— Był wśród nich opiekun społeczny. Pokazywał różne nakazy. Powiedział, że jak spróbuję jakichś numerów, to on już zajmie się tym, żebym i ja miała dość kłopotów. Powiedzieli, że będę mogła ją odwiedzać.

Tam jest adres — wskazała stolik obok telewizora. — Po co mam ją odwiedzać? Teraz cała jej renta pójdzie na dom opieki. Zabrali mi wszystko, rozumiesz? Zabrali ją! — wzięła głęboki oddech. — Zabrali mi CAŁE JEBANE życie!

Wierzchucki wypadł na wionący pleśnią korytarz. Biegł przed siebie, a im dalej biegł, tym silniej czuł jego kwaśny zapach, tym głośniej odbijał mu się w głowie głos Luboniowej.

Nie ma.

\* \* \*

Najbardziej zabolalo go to, że matka nawet nie starała się wszystkiego wyprzeć. Tak, zadzwoniła do pana Marciniuka i ponownie – tak, opowiedziała mu wszystko o Luboniowej, przyznała się, wałkując ciasto na pierogi. Ten miły człowiek na własną rękę zajął się resztą.

— Czy mama wie, co się przez to stało? Wywieźli ją do domu pomocy społecznej!

— No cóż, jest to dom pomocy, prawda?

Emil wsypał dwie łyżeczki kawy do kubka i do połowy zalał wrzątkiem; resztę ostentacyjnie dopełnił wódką. Łyknął to pod karcącym spojrzeniem staruszki.

— Słyszałem, że ludzie z wiekiem dzieciennieją, ale nigdy żeby stawali się cynikami — podsumował. Mama palnęła wałkiem o stolnicę.

Przymknął oczy. Alkohol wycinał w głowie pierwsze hołubce.

— Spodobał ci się mój szef...

— Co masz na myśli?

— Właśnie to, że się spodobał.

Pierwszy z pierogów wylądował w wodzie.

— Nie wiem, o co ci chodzi. Ta ironia w twoich pytaniach. — Matka rzucała na wodę kolejne kawały ciasta. — Przynajmniej dobrze wie, czego chce.

— O, to na pewno. Powiem więcej: odnoszę wrażenie, że bardzo dobrze orientuje się też w tym, czego chcą inni.

Wylał fusy z kawy do zlewozmywaka, przepłukał kubek i napełnił go alkoholem.

— Znowu zaczynasz.

— Co znowu zaczynam?

— To twoje picie. Wystarczy byle drobnostka, a od razu...

— Drobnostka? — Emil nie wierzył własnym uszom. — Nazywasz to drobnostką?

— Ciszej! — Matka syknęła. — Co powiedzą sąsiedzi?

— Wiesz, co powiedzą? Drobnostka, ot co!

— Zupełnie nie rozumiem, po co robić tyle hałasu o jeden telefon...

Wierzchucki złapał się za głowę.

— Telefon? Jeden telefon? Tym jednym telefonem zabrałaś mi coś bardzo cennego!

— E tam, cennego... Zdjęłam ci tylko z barków niepotrzebny ciężar — odparła staruszka stanowczo.

— Babcia Luboniowa nie była dla nikogo ciężarem...

— Sam mi powiedziałaś, że synowa obchodzi się z nią jak z kawałkiem mięsa. Właściwie to uważam, że jesteś niewdzięczny. Wyświadczyłam wam obojgu przysługę.

— To właśnie powiedziałaś Marciniukowi, kiedy napuszczałaś go na tę starowinę?

— PAN Marciniuk pokłada w tobie coraz większe nadzieje. Zgodził się ze mną w stu procentach.

— Pewnie, pewnie... Jeżeli przedstawiono mu wszystko tak, jak ty mi tu i teraz, to wcale się nie dziwię...

Oparł ręce na udach i wbił wzrok w linoleum.

— Dzwoniłem tam...

— Gdzie?

— TAM, do cholery!

— Och, tak?

— Chciałem ją odwiedzić.

— Jedź, jedź. A pewnie. Odwiedź tę swoją przyjaciółkę od siedmiu boleści. Pewnie podskoczy z radości na twój widok.

Emil z całej siły rąbnął kubkiem o ścianę.

— Chcę, żebyś wszystko dobrze zrozumiała. Ten wasz dom pomocy... Tylko najbliżsi mają prawo odwiedzin. Ona nie ma żadnej bliskiej rodziny. Nie mam tam czego szukać. Rozumiesz? Od kilku dni nie przyjmuje posiłków. Umiera. Z samotności.

Nie zamienili więcej ani słowa.

\* \* \*

Noc. Taka noc nie rozlała się nad nim od bardzo dawna. Martwa. Tchnąca pustką. A pośród niej – mama. Marciniuk. Pijana synowa. Babcia Luboniowa.

Ta noc skuła mu ciało lodem, ale dzięki temu poczuł, że wyhamował, zwolnił. Rozmyślał tak jak dawniej.

Skąd nagle tyle osób w jego samotnym dotąd życiu? Cały tłum. Każda żądała, aby dał dowód, że należy tylko do nich, mają go na wyłączność, tylko dla siebie. Przyjaciele czy wrogowie. Komu się skarżył, komu pochlebiał? Z kim się przyjaźnił? Dla kogo pracował? Naprawdę nie znajdował odpowiedzi.



Pokładano w nim nadzieje. Zmieniał się, czuł to. Na lepsze. I chociaż nigdy nie powiedziałby tego wprost, rozumiał, że to właśnie Marciniuk ze swymi dłońmi wyposażył go w nową siłę i przenikliwość. Potworne uczucie. Zupełnie jakby wszystko, co do tej pory wydarzyło się w jego życiu, tworzyło świetnie zaplanowaną drabinę, po której nieustannie się wspinał. Podtrzymywały tę drabinę czerwone dłonie. Dzisiaj rozumiał, jak mocny był ich chwyt. Co odnajdzie na samym końcu drogi?

Mama. Synowa. Babcia. Marciniuk.

Choćby pierwsza z brzegu, Luboniowa. Nigdy nie posądziłby jej o taką bezduszność i spryt. Czemu to robiła? Nie znajdował wytłumaczenia. Więziła bliską osobę dla paru marnych groszy.

A matka? Co z jej tajemnicą, cichą i cierpliwą na kształt starego kornika, jak silne ta niewiadoma miała szczęki? Do tej pory przecież podchodziła do całego zamieszania z daleko posuniętym dystansem, ale w końcu wyszło na jaw, że maska obojętności pokrywała zazdrość. Mama tolerowała babcię Luboniową tylko dlatego, że utrzymywał stałą pracę i nareszcie przestał popijać. Kiedy osiągnął już to, co zamierzyła, zaczęła porządki. Fru! Poszły w kąć niepotrzebne, stare graty!

I wreszcie sama babcia Luboniowa. Podwójnie wykorzystana.

Wokół Wierzchuckiego zebrały się siły, o których do tej pory nie miał najmniejszego pojęcia. Ich epicentrum znajdowało się w domu – zrozumiał to nareszcie – to stamtąd, z niewielkiego pokoiku pachnącego kamforą matka dyryguje jego życiem. Postanowił, że cokolwiek się stanie, po pierwsze wyrwie się z jej sideł. Od pewnego czasu unikał więc zbliżania się do strefy zero. Po pracy wystawał samotnie nieopodal domu opieki, zapatrzone w okna, i chwilami zdawało mu się, że dostrzega znajomą sylwetkę – spłaszczoną i wyblakłą, ukrytą za szybą ze wzmocnianego pleksiglasu. Tęsknił. Postać za szybą coraz bardziej przypominała

nieruchomy witraż – grę światła. Półprzezroczystą chmurę. Babcia Luboniowa odchodziła, to się czuło. Powoli i w ciszy. Bez skargi, taka, jak ją zapamiętał.

I gdy wpatrywał się w ten powolutku rozpływający się obraz, rozumiał, że czeka go kolejny ruch. Po raz pierwszy w życiu ma szansę dokonać czegoś ważnego. Po raz pierwszy wyjdzie poza własną bezbarwną egzystencję, wyciągnie rękę, dotknie drugiej osoby. Wszystko co do tej pory osiągnął, nie będzie się liczyło, jeżeli nie znajdzie w sobie dość siły na odmianę losu. Do tej pory dryfował. Nadszedł czas, by przejąć ster.

\* \* \*

— Urlop? Wykluczone.

Marciniuk stał przy oknie. Dłonie żarzyły mu się niczym płonące węgle.

— Pan nie rozumie...

— Ja to doskonale rozumiem — zbył Wierzchuckiego. — Podejź tu do mnie — nakazał.

Emil niechętnie stanął obok swojego pracodawcy.

— Co widzisz?

Za zamulonymi szybami parły gromady przechodniów, krążyły samochody w godzinie szczytu. Szpalery budynków po drugiej stronie ulicy. Wierzchucki opisał to wszystko zniecierpliwiony i zły, że zamiast zgodzić się na parę dni wolnego, szef zadaje mu idiotyczne pytania. Potrzebował urlopu. Potrzebował, bo spieszył na ratunek.

— Dobrze. Spojrzałeś na świat przez zasłonę gówna i wreszcie dojrzałeś go bez najmniejszego problemu. Jak myślisz, dlaczego?

— Dlaczego co?

— Drwiesz ze mnie?

Marciniuk spojrział mu prosto w oczy. Emil odwrócił wzrok i jeszcze raz zapatrzył się w zamazany krajobraz.

— Mogę mówić szczerze?

— Bez ogródek, synu. Wal prosto z mostu.

— To gówno jest tak blisko nas, że przestajemy je dostrzegać.

Marciniuk po ojcowsku poklepał go po ramieniu.

— Doskonale. Zbystrzałeś ostatnimi czasy.

— Co z tym wolnym? — Emil nie dawał za wygraną.

Biznesmen wrócił za biurko i złożył ręce na brzuchu.

— Dzwoniła do mnie twoja mama — odparł.

— Wiem. Co to ma do rzeczy?

— To dla ciebie ważna osoba, co?

Wierzchucki nie wytrzymał, wybuchnął:

— Po jaką cholere pan z nią w ogóle rozmawiał?

— Och, bez celu. Pytała o ciebie, o to, jak ci idzie...

— Pan mnie zwodzi.

— W żadnym wypadku. Być może to ty mnie zwodzisz. Może twoja matka nas obu. Ale ja — nie. Moje intencje są czyste.

— Nic nie rozumiem...

— Bo i nie o to, czy rozumiesz, tu chodzi. Ale KIEDY zrozumiesz.

Karmazynowe kciuki Marciniuka toczyły ze sobą sfingowane zapasy. Raz jeden, raz drugi brał pod siebie przeciwnika, potem oba kręciły młynka i zamieniały się rolami.

Te dłonie. Te straszliwe, potworne, nieziemskie łapska... Nie chcę ich widzieć! To od nich to wszystko się zaczęło. Precz! Nigdy więcej!

— Ostatnimi czasy zwałyło mi się trochę rzeczy na głowę — wymamrotał Emil. — Muszę wyjść jakoś na prostą, zanim, zanim... rozumie pan. Wypadnę na wirażu, czy coś takiego.

— Ach! — powiedział Marciniuk; splótł i rozplótł palce. — Na wirażu.

— Nie wiem, czy zrobił pan to świadomie czy nie, ale w dniu, w którym dzięki panu odesłano babcię Luboniową do domu opieki, mój świat legł w gruzach. Jest tylko jeden sposób na to, abym go poskładał. Muszę ją stamtąd wyrwać. Bez względu na wszystko...

— Bez względu na cokolwiek?

— Tak...

Marciniuk pokiwał głową.

— To wszystko, co chciałem wiedzieć. Jesteś fascynującą osobą. Brakuje ci tylu rzeczy, a mimo to nie gromadzisz niczego dla siebie. Ba, nawet ryzykujesz utratę tej niewielkiej garstki, która ci pozostała.

— Nie wiem, czy dobrze...

— Ach, on nie wie — przerwał mu. — Przyjrzyj się sobie. Nie masz nic. Mieszkaś samotnie z matką. Pracę u mnie wygrałeś na loterii, powiedzmy to szczerze, zatrudnienie cię tutaj wynikało wyłącznie z mojego kaprysu. Do tego natura sprzedała ci kopniaka w brzuch i odebrała najwspanialszą część świata – kolory. Wiesz, są chwile, gdy się ciebie obawiam...

— Pan? — zająknął się Emil zmieszany. — Pan się mnie... obawia?

— Tak, tak, mój drogi. Ze wszystkich znanych mi osób ty masz najmniej do stracenia. Właściwie to nie masz do stracenia nic. Dokładnie nic. Tacy jak ty są wyjątkowo niebezpieczni. Potrzebuję kogoś takiego jak ty. Przeszedłeś próbę.

Wpatrzony w pracodawcę, ze wszystkich sił starał się nadążyć za jego pokrętnym sposobem rozumowania. Ale wtedy bez najmniejszego ostrzeżenia Marciniuk podsunął mu pod nos dłoń i spytał:

— Podobają ci się?

Emil przełknął ślinę. Czy dobrze zrozumiał? Czy właśnie spytano go o...

— Ich kolor...

— Tak. Ich KOLOR. To jedyny kolor, jaki dostrzegasz, prawda?

— Skąd pan...

— Długo na to czekałem. Bardzo długo — odpowiedział i bez wysiłku wzniosł się w powietrze. A potem runął na biurko, strącając leżące tam szpargały. Czerwone dłonie niecierpliwie drapały lakierowane drewno. Przerażony Wierzchucki zamarł w bezruchu. Nogi, zwykłe nogi biznesmena w spodniach w kant, teraz wywichnięte w stawach biodrowych, nogi ogromnego świerszcza, rozdarły powietrze. Szykowały się do skoku. Czarny jęzor przewalał się w ustach.

— Dostrzegasz mnie, a to znaczy, że jesteś już bardzo silny. Ale ja dam ci jeszcze większą siłę.

Głos Marciniuka miał nieprzyjemny chitynowy zgrzyt i drganie.

— Nie mam nic do ukrycia. Pokażę ci wszystko. Obiecuję. Ale najpierw...

Podpełzł do krawędzi biurka i usadowił się na jego brzegu niczym kamienny maskaron. Usta rozciągnęły mu się w przerażającym grymasie.

— Muszę cię ugryźć...

Emil wrzasnął. Nadgarstek wybuchł mu niespodziewanym bólem.

\* \* \*

Jad. Lodowate szkło darło żyły. Jad. Czas stoi. Jad. Pierwszy obieg krwi.

Rozpalone kolczaste druty szorują tętnice. Jad.

Drugie uderzenie serca. Wierzchucki czuł to — umiera. Rana na nadgarstku nie krwawiła. Przypominała chirurgiczne cięcie. Ciemne spalone brzegi. W piersiach ból.

— Spokojnie, tylko spokojnie. Spokój pozwoli ci przejść przez najgorsze. Nie ugryzłem głęboko.

Delikatny szczebiot. Szyja Emila ugięła mu się pod ciężarem ołowianej głowy, mimo to nagle zobaczył wszystko z niebywałą ostrością. Każde podrygujące odnoże, rozdymający się odwłok. Odwłoki. Nie byli w pokoju sami. W zakamarkach powoli odkrywały się podobne Marciniukowi poczwary. Owadzia ciuciubabka. Straszydła. Niektóre jeszcze nieuformowane, małe, o głowach insektów zakończonych ostrymi czułkami. Inne już z parodiami twarzy, maskami, które nabierały kształtów ludzkich obliczy. Owady walczące ze sobą, gryzące swoje lśniące pancerze. Karykatury wykrzywające się w tysiącu szalonych min, jakby ćwiczyły kształtujący się właśnie zupełnie nowy narząd. Jedna z takich szkarad usiadła Wierzchuckiemu na kolanach. Miała głowę pięknej kobiety – wszystko na tej głowie poruszało się chaotycznie. Oczy patrzyły w przeciwne strony; każda brew sto razy na minutę unosiła się, opadała i marszczyła. Usta naśladowały setki min, ciągle w ruchu, bezustannie żuły. Pokraki pełzły po podłodze, zahaczały o dywan pierwocinami ludzkich kończyn – o, tam jedna z ogromnych pluskiew odpycha się męską nogą wyrastającą wprost z odwłoka. Pod oknem coś, co przypominało rozdętą do niebotycznych rozmiarów pchłę, podskakiwało na dwóch śniadych ramionach...

Wierzchuckiemu wyrosły błoniaste skrzydła.

Wzniósł się na nich, by trafić w sam środek ogromnej chmury szarańczy. Kołował w słupie gorącego powietrza. Wolny jakąś niespotykaną, szaloną wolnością. Wolny w sposób, który nie uznawał żadnych ograniczeń, żadnych zasad. Miał cały świat dla siebie, był całym światem. Bezwarunkowo.

Ogromna ciemność spadła na niego bez ostrzeżenia.

Na chwilę przed utratą przytomności pomyślał: oto, co czuje mucha.

\* \* \*

Obudził się w gabinecie Marciniuka kilka godzin później w rozłożystym fotelu konferencyjnym.

Na prawym nadgarstku bielił się świeży opatrunek. Na biurku parowała kawa. Panował bezgraniczny spokój. Wyciągnął rękę. Gdy unosił filiżankę do ust, zamarł. Brązowy płyn rozlał się na podłogę, na obity jasną skórą fotel, zaplamił niebieski dywan.

Do gabinetu wszedł Marciniuk.

— Nie przejmuj się, to drobiazg — powiedział.

— Widzę je — wyszeptał Wierzchucki. — Widzę kolory... Jak długo to potrwa?

— To zależy, jak bardzo będziesz tego pragnął. Uwierz mi, ten widok czasami zniechęca nawet najbardziej wytrwałych.

Marciniuk przysunął sobie do fotela stołek i ujął Emila za opatrzoną rękę. Odchylił opatrunek. Wewnątrz rany spoczywała niewielka poczwarka, cięcie o równym, łódeczkowatym obrysie. Emil zadrzał.

Czerwonoreki mężczyzna w lot odgadł jego myśli.

— Nie bój się. Nic ci nie zrobi. Mój mały przyjaciel zniknie, kiedy tylko wypełni swoje zadanie.

— Jakie zadanie?

Marciniuk patrzył mu prosto w oczy.

— Nie przyszedłeś tu bez powodu. Wiem, że szukasz prawdy. Mam dla ciebie taką, zdecyduj, czy zechcesz ją przyjąć.

Ale Emil ledwo słuchał. Kolory oślepiały.

— Chodźmy. Czeka na nas drobne przedstawienie. To tak na zachętę.

Podeszli obaj do oklejonego guanem okna. Marciniuk szarpnął okiennice, a wysuszone pokłady ptasiego gówna rozprysły się na cztery strony świata.

— Patrz ponad dachami. Szukaj czerwieni i bieli.

Stali tak i podziwiali zachód słońca i po raz pierwszy w życiu Wierzchucki pomyślał, że oto napotkał coś, co było warte oczekiwania.

— To prawda, że każdy jest inny? — spytał nieprzytomnie.

— Zachód? Nie ma dwóch takich samych.

Owad w ranie poruszył się i zarył odrobinę głębiej.

Emila zająrzył pod opatrunek. Rana ziała pustką.

— A więc to tak?

— W rzeczy samej.

— Jesteś potworem.

— Bo to potworny świat. Wierz mi, otaczają nas potwory właśnie.

Słońce zgasło i zaszło.

— Nie przejmuj się, jesteś już naprawdę blisko ostatecznego zrozumienia. To jest tak jak z jazdą samochodem. Kiedy prowadzisz, wiesz, jak wszystko działa, podświadomie tłumaczysz sobie mechanizmy. Ale co by było, gdyby ktoś włożył twoją głowę prosto do silnika? Do tłoka? Ten cały huk i wrzask, te wybuchy, oktanowa apokalipsa? Takie rzeczy zdarzają się, gdy nie jesteś zadowolony z patrzenia na nie z boku, lecz pragniesz wdrzeć się w ich centrum.

— Czy ta poczwarka...

— Ta poczwarka to ty. Zupełnie nowe życie. W tobie i przez ciebie.

— Chcesz powiedzieć...

— Do tej pory przypominałeś puste jajo. Ja wypełniłem je treścią.

Emil wiedział, że musi zadać to pytanie.

— Czy to oznacza, że ja umrę?

— Czy można to nazwać śmiercią? — odparł Marciniuk. — Narodzisz się na nowo. Lepszy. Kolorowy. To będzie właśnie jak takie przebudzenie. Staniesz się snem samego siebie. I tyle. Czy przejmujesz się marzeniami, których nie pamiętasz?



Wierzchucki zamyślił się. Jak wielu marzeń nie chciał sobie przypominać?

Coś w nim drgnęło, to coś znajdowało się już bardzo głęboko. Położył dłoń na brzuchu. Czuł w sobie nowe życie.

— A co z babcią Luboniową?

— Przyrowadź ją do mnie — odparł dobrodusznie Marciniuk.  
— Każdy zasługuje na ponowne narodziny.

Emil pokiwał głową.

— Obiecasz mi, że dasz nam obojgu wielkie purpurowe skrzydła?

Marciniuk ze śmiechem wetknął mu w rękę niewielką mahoniową szkatułkę. Uniósł wieczko. Wypełniały ją po brzegi owadzie zarodki. Oczekiwane, uskrzydłone życie.

\* \* \*

Szedł otoczony przez odrzutowy huk barw. Śmietniki, zaplute przystanki autobusowe. Każda rzecz, ta sama i nie ta sama, dostrzegana na nowo, iskrzyła. Powieki drżały od tężowego wizgu. W połowie drogi pośród zalewu nowych, rozsadzających oczy doznań, zrozumiał, co przez cały czas miał na myśli Marciniuk. Ludzie, którzy go mijali... W gąszczu kolorów tylko ci ludzie pozostawali cały czas szarzy – tylko oni nie zmienili się zupełnie po tym, jak opuścił wreszcie piekło Bezbarwy. Obdarzeni od dziecka umiejętnością postrzegania, ignorowali wszystko, co dzięki niej zyskali. Zaprzętało ich co innego – płytkie, nic nieznaczące sprawy.

Ale teraz to wszystko się zmieni.

Wierzchucki zostanie ich pasterzem. Siewcą. W niewielkim pudełeczku oczekiwało zbawienie, dostrzegł to w chwili, w której część tego zbawienia przeniknęła jego ciało. Rozsadzała go radość.

Pierwszą osobą, z którą się nią podzielił, była matka. Po powrocie do domu zastał ją jak zwykle na wpół drzemiącą, z uchem przy radiu. Stał po cichu za jej plecami i po raz pierwszy w życiu tak naprawdę objął spojrzeniem. Dostrzegł rzadkie siwe włosy uczezione skóry głowy niemal z przyzwyczajenia. Przyjrzał się nadgarstkom, cienkim i żyłastym. Ohyda. Żółta skóra na policzkach, brązowe plamy na przedramionach. A przecież tak niewiele potrzeba do nadania jej zupełnie nowej, pięknej formy. Wystarczy jedynie, że...

Staruszka upadła na podłogę bez najcichszego jęku.

Zabił matkę. Otworzył jej pierś i wyjął serce, które, tak przecież wciąż powtarzała, biło tylko dla niego. Rozpłowił je niczym dojrzałą paprykę. W stygnące ciało włożył jedną z podarowanych poczwarek, ale zwierzątko szerniało i zdechło. Nie szkodzi. Widocznie było już za późno na przemianę. Nie ma powodu do smutku. Są przecież inni, także uwięzieni we własnych ciałach. To nimi należałoby się zająć. Na przykład babcia Luboniowa. Ona także czeka.

Tyle ludzi, tyle drzemiących w nich mrocznych sekretów!

W drodze do domu opieki śmiał się serdecznie. Bo wiedział jedno. To dopiero początek. Pewnego dnia z jego ciała wyjdzie na świat nowy, piękny Emil Wierzchucki – motyl.

Ten świat musi być na to przygotowany.

Przyjdzie czas, nareszcie uleci – wzwyż. W dal.

Uwolni się z więzienia własnej pory mroku.

## Jednoręki bandyta

### 1

Prawą zakrzywioną ma w hak. Jakby coś obejmował. Na wieczność. Rękaw wysoko podciągnięty. Na skórze siatka blizn. Gdy byłem dzieckiem, potrącił mnie samochód, mówi, potrząsając emaliowanym kubeczkiem. Wczoraj to był tramwaj, przypominam sobie. Tydzień temu – wypadek w pracy. Wymyślanie własnych przeszłości sprawia mu nieskrywaną przyjemność.

Widzi i słyszy wszystko. Ze stolicy, dla stolicy i w imieniu stolicy; na rogu Hożej i Marszałkowskiej. Trybun niedomyty. Włosy przypominają zmierzwioną papachę. Kurtka woła o litość pralni. I tylko buty ma czasem nowe. Bielutkie, nienoszone. Z darów, chwali się.

Ludzie mijają go, jak gdyby nie istniał. Od biedy jakaś staruszka przystanie, pomstując, że powinien się wziąć do roboty. Dobrze, dobrze, od jutra, mruczy. A dziś niech pani nie żałuje złotówki dla bliźniego. Puszczą do niej oko. Drzemie.

Patrz pan, tu była kiedyś księgarnia, teraz robią seks szop.

A tę rękę to mi niedźwiedź w Bieszczadach załatwił.

Nie pije. Nie tak jak inni. Ale jak już zacznie, wtedy do nieprzytomności. Dwa razy do roku zbiera go karetka. Na rocznicę ślubu i urodziny córki. Uśmiecha się szeroko. Znają mnie tam, na pogotowiu, łóżko trzymają gotowe.

W uśmiechu zęby ma nierówne. Oddech miasta; trochę kwaśny, trochę słodki. Dla niektórych być może odpychający.

Od księdza, Stanisław. Ale jakby mnie kto szukał, wołaj: Śpioch.

\* \* \*

Zwykle milczy. Mówi za to jednym haustem.

Nie, kiedyś nie było nas tylu. Kiedyś ustrój nie pozwalał być bezdomnym. Zabierali wprost z ulicy. Najpierw częstowali pogadanką o sile mas i proletariacie. Roboty szukali. Umyli, odwszawili. Gdy złapali po raz drugi, to już w ruch szła pała.

Mocno bili?

Mocno. Tak, że wiedziałeś, że następnym razem pewnie zabiją.

Tak, kiedyś znacznie mniej. Tylko wiesz, Kraj Rad wszystkim szans dawał po równo. Taki system. A potem przyszła wolność, hajlajf i każdy tyle wziął, ile zdążył się nachapać. Miałeś głębokie kieszenie, miałeś gdzie upychać. Stałeś z gołą dupą, to tak zostawałeś. Sprawiedliwość, kurwa, dziejowa.

A u ciebie jak?

Prowadziłem zakład naprawy ciągników pod Radzyminem. Było, minęło.

\* \* \*

W wakacje kiwa się w przód i w tył pod Złotą Kurką. Albo na którymś z rogów Nowego Świata. Chociaż tam coraz rzadziej. Deptak międzynarodowy się zrobił od de Gaulla po Krakowskie Przedmieście, stołeczni nie chcą psuć krwi turystom. Gonią od razu. Tyle że teraz to już nie ta policja, co kiedyś. Pogrożą palcem, podwiozą. Prawda, mogą wkurwić się jak dwa razy na tej samej zmianie zatrzymają, ale poza tym nie ma się czego bać.

W osiemdziesiątym pierwszym mnie gonili. W grudniu. Schowałem się w zaspie. Skot mi tę rękę rozjechał.

Właściwie nie śmierdzi. Raczej intensywnie pachnie. Zwierzęco, życiem. Śmiejąc się, zasłania usta wierzchem dłoni. W podszewkę kurtki wszył zdjęcie. Pod plastikiem, młoda para. Podobno kochali się. Podobno bardzo. Potem odeszła. Do takiego jednego co był za pan brat z rynkiem i gwizdał na recesję. Daczę miał na Mazurach. Mercedesa z reichu.

\* \* \*

Jak zima sroga, to trzeba wybić szybę w wystawie. Wtedy przytulą na Białołęce na kilka tygodni. Darmowe żarcie i łóżko w zestawie. Naprawdę przytulnie. A recydywa zwykle odpuszcza, bo wiedzą, że możemy im różne rzeczy załatwić z zewnątrz. My siedzimy cicho. Każdy zna swoje miejsce. I git. Proste zasady, nie trzeba się zastanawiać.

Przecież to potem w papierach zostaje.

A na co mi papiery? Na prezydenta nie będę startował. Nie, nie, może jestem brudny, ale nie kłamca. Swoją dumę mam.

\* \* \*

Raz biło go dwóch pijanych wyrostków. Szli ulicą. Odstawili piwo, wzięli pod obcas. Pięć, dziesięć minut ulicznej matni. W zupełnej ciszy. Wreszcie jeden sapnął: chodź, adidasów szkoda. To działa się zupełnie z boku rzeczywistości, w jakiejś mydlanej bańce niedowierzania. Nikt nie zareagował. Tamci mieli płaskie, pozbawione wyrazu twarze i może ludziom wydawało się, że to film, nie było napisów, nie było lektora, nikt nie wiedział, o co chodzi. Lepiej się nie interesować.

Leżał potem jakiś czas nieruchomo, zanim zebrał się z ziemi. Z nosa zwisał mu krwawy glut. Wziął kilka głębszych oddechów; jak gdyby nigdy

nic, brzęknął żebraniną.

Tego dnia uzbierał najwięcej.

\* \* \*

Pomagałem ojcu przy sianokosach i taśmociąg wciągnął. Do szpitala daleko, to położyli mnie w cieniu, w stodole. Leżałem póki się nie zrosła. Trzy lata leżałem. Musieli mnie od nowa uczyć chodzić. Włosy miałem po pas. Paznokcie takie długie.

Miałem wczoraj sen. Byłem tobą.

2

Tak mi powiedział. I on też mi się śnił, ale jakoś źle. Całą noc przewracałem się z boku na bok. Zaspąłem do pracy. Musiałem wziąć taksówkę.

Taksiarz wyrzuca mnie przed budynkiem redakcji. Wewnątrz niezmienny harmider. Każdy gdzieś biegnie, wszędzie coś się dzieje, bo nie wiadomo, czy można pozwolić sobie na pominięcie czegokolwiek. Newsy nie robią się same. Trwa dziennikarska obróbka skrawaniem.

Na korytarzu wpadam na Szulca. Ciągnie mnie do swojego gabinetu, oddaje konspekt i pierwsze akapity artykułu. Minę ma nietęgą. To nie przejdzie, kręci głową. Na co komu taka historia. To zęza świata, mówi. Nawet na ostatnią stronę szkoda. Kalectwo. Wszy. I jeszcze tak otwarcie do komuny nawiązuje. Z martyrologii to teraz kojarzą najbliższej martensy. Tekst gęsty. Pogubią się w połowie trzeciego zdania.

To co? Kuźwa, o pikniku na Saskiej mam pisać?

Wzrusza ramionami. Piszczy mail. Poczekaj, prosi. Otwiera laptop i udaje, że czyta. Na czole poprzeczna bruzda.

Słuchaj, a może byś o tym pikniku jednak...? Nie.

No dobra, Paweł, to pisz. Ale gwarancji nie daję. Jedziesz w ciemno.

Trudno ocenić, ile ma wzrostu. Raz wydaje się wyższy, raz niższy. Jakby ciało pod tymi warstwami brudnych ubrań było bardziej niż niespokojne. I kolor oczu także zmienia, na szary, to na niebieski. Czasem przypomina kobietę. Starą kobietę, która stacza się w zgrzybiałość dostępną wyłącznie prorokom – posągową, bezpłciową. Do podziwiania, a nie do przemijania. Gestykuluje. Tę prawą, tę chorą, ma bladą i delikatną. Bezwładną. Gładzi ją ukradkiem. Zimno, mówi. Palce cały czas marzną.

Obracam zdjęcie, odczytuję datę.

Możesz się przyjrzeć, ale kserować nie pozwalam.

Na zdjęciu brunetka. Twarz pospolita. Niczym siostra.

Z sąsiedniej wsi, wyjaśnia. Za blisko; dlatego potem tak daleko.

\* \* \*

W dziewięćdziesiątych raj miałem, nie życie. Chłopi brali kredyty jeden za drugim. Europę poczuli. Ropa lepiej im pachniała od gnoju. Z Zachodem się kojarzyła. Ursus to Ursus, nie jakiś gniady bułanek. Jedziesz po polu i masz wszystko w dupie. *Pyr, pyr, pyr*, chcesz odpocząć, to wrzucasz na luz, odpalasz radomskiego i nie musisz oglądać się za siebie, czy ci czworonóg w szkodę nie spierdoli. A że dbać o swoje nie umieli, miałem pełne ręce roboty. Widziałem kiedyś jak taki jeden zmieniał koło. Śrubę odkręcił i pierdu w piach. Następna tak samo. Łożyska nie wytrzymały nawet jednego sezonu. Żyła złota. Byłem gość.

Przyglądam się jego zarośniętej twarzy i roziskrzonym oczom. Ustom, które przypominają ranę. Jak on by wyglądał, na przykład, w garniturze, zastanawiam się, wyobrażam sobie, ale zawsze łatwiej wymyślić, co się stanie, niż przewidzieć, co było. W tej wizji siedzi za biurkiem radzywińskiego serwisu nie Stanisław-biznesmen, lecz Stanisław-Śpioch

Król Wszechwsi. Na podłodze perski dywan. Na ścianie fototapety w palmy. Wokół dzwonią stare Nokie wielkości cegły, bo musi być szpan, w każdej głos: ratuj, ratuj. On tylko śmieje się, rozkazuje, ty przyjedź wtedy, a ty wtedy. Cycastle kierowniczeki geesów wnoszą tanie wina na srebrnej tacy. Pleban szepcze do ucha o remoncie zakrystii. Śpioch przytakuje mu, żrąc kielbasę. Zza okna ciągnie gnojówką. Gdzieś ryczą stukonne traktory w serwisie. Ryczą jak bydło idące na rzeź.

\* \* \*

A potem późno w nocy dzwoni Szulc. Słuchaj, ja cię przepraszam, ale jednak musisz wziąć tę Saską, musisz. Stary łeb mi suszy, że od dawna nic nie złożyłeś.

Saską? Jaką Saską?

No tę, co sam żeś mówił!

Spod prysznic wychodzi Basia. O tej porze, dziwi się. Kto to?

Zasłaniam słuchawkę. Z pracy. Czekam, aż wyjdzie z pokoju.

Jesteś tam?

Jestem.

Taki szmelc mi wciskasz, syczę. To dla stażysty temat, a nie reportera z piętnastoletnim stażem. Znajdź sobie jakiegoś innego palanta, jakiegoś chłoptysia po czwartym roku...

Stary powiedział, że ty, przerywa mi Szulc. Kropka.

Piszę o karuzeli i zadowolonych małolatach. O cukrowej wacie i konferansjerach w strojach clowna. Wspominam go. Może tam był. Gdzieś z boku patrzył spode łba na świat kręcący się obok. Kładę się późno. Chcę przytulić się do Basi. Odpycha mnie. Oddech ma szybki, ciało napięte. Na wszelki wypadek przenoszę się na kanapę w salonie.



Skoro świt przeglądam notatki.

Jedynak, rodzina pseudo-chłopska, niejasno inteligencka. Ojciec, kierownik pegeeru, umiera tuż po dziesiątych urodzinach syna. Wieńcówka. Matka, nauczycielka, sprzedaje, co może, pakuje manatki i ucieka do stolicy. Górny Mokotów. Czynszówka. Kilka miesięcy jedzą cienkie zupki. Wreszcie ona znajduje pracę w spożywczym. Syna do szkoły posyła.

W podstawówce dobre oceny, jednak z liceum rezygnuje. Wybiera technikum mechaniczne. Na drugim roku niemal go wyrzucają, bo pije i bije. Potem uspokaja się, kończy z wyróżnieniem.

Staż otrzymuje w pezetelu. Poznają się na nim, od razu biorą do roboty. Po kilku latach ląduje na stołku kierownika. Jednak w kraju odwilż, zaczynają się polityczne ruchawki. Solidarność chce go przygarnąć na fali zmian; nie za bardzo mu się to podoba. No to zamykają go w gabinecie, wartowników z biało-czerwoną przepaską pod drzwiami ustawiają. Nazywają zdrajcą. Rzuca im papiery przed nos, idzie na swoje.

Siedzę przed tekstem. Obgryzam paznokcie.

To się nie sprzedaje; już się nie sprzedaje. Tacy spowszednieli.

Gapię się w ekran laptopa.

Potrzebuję cię. Żebyś mi jakąś tajemnicę dał. Kurwa.

\* \* \*

Dziesięć razy mnie odtruwali. Za każdym straszą, że następnego wątroba nie wytrzyma, a ja za każdym razem im powtarzam, że się poprawię. Oni mi nie wierzą, to i ja im nie wierzę. I jakoś wychodzimy na swoje. Zresztą, wszyscy w tym kraju chleją i jakoś nie padają na ulicy jak muchy. Nawet dynks robią taki, żeby się nie zatruć. Unia nakazała. Wiesz co to dynks?

Denaturat. Pół na pół z kolą starczy na cały dzień. To się nazywa pryta. Chowasz za pazuchą, popijasz. Świat nabiera kolorów.

Kiedyś zjawiała się taka jedna; z misji albo innego stowarzyszenia. Była zima, spaliśmy w kanałach. Oni czasem nas nachodzą, kanapki rozdają, ciepłe do picia, że niby tacy troskliwi, że zamarzniemy. No więc przyjechała, po mrozie, na obcasach, w krótkiej sukience. Prosto z biura. Dwa stopnie na drabince wzięła, zaraz cała dupa na wierzchu. Prawie się popłakała ze złości. Kucnęła i krzyczy: wyjdźcie! To my do niej: wejdźcie! Niosło się po rurach. Myślałem, że ze śmiechu popuszczę.

\* \* \*

Poniedziałek.

Walizki w przedpokoju. Patrzą i oczom nie wierzę. Basia siedzi w kuchni przy stole.

Wyjeżdżam na dwa tygodnie do siostry, oznajmia. Dłużej tego nie wytrzymam.

Słuchaj, to przez to, że terminy mnie gonią...

Nie biorę telefonu, więc nawet nie próbuj się ze mną kontaktować.

Siostra Basi mieszka w warmińsko-mazurskim.

Odległość stanowi dodatek promocyjny do ciosu.

\* \* \*

Dobra, na dziś koniec.

Chciałbym jeszcze porozmawiać.

Jutro. Tam gdzie zwykle.

\* \* \*

Szulc kiwa smutno głową.

Po co taki temat. Po co ci taki temat?

Trzeba, trzeba to naświetlić, tłumaczę. Tam aż kipi od historii. Wpadł gość w meander życia, cokolwiek bokiem przepływa, właśnie on zbiera. Patrzy wyjątkowo czysto. Kurwa, redaktora śledczego lepszego nie znałem, nikt go o nic nie podejrzewa. Jakby go nie było. Swoje życie zawiesił i monitoring naszego prowadzi. Wystarczy kilka słów zamienić i od razu spogląda się na lajf inaczej.

Eksploatować to złożę muszę, eksploatować, kopać, póki się nie zorientuje, jak dużo oddaje.

Szulc kręci głową. Na twarz wychodzą mi wypieki.

Tylko to mnie teraz interesuje.

\* \* \*

Posłuchaj, ja tam zawsze jestem, bo gdzie mam być? Co? Karty zakładowej nie podbijam, ale trzeba się pilnować. W tym interesie panuje niezwykły ruch. I Cyganie. Oni całym stadem łążą. Przyklei się taki do cudzego miejsca i za nic nie przegonisz.

Trzeba wiedzieć, gdzie krzyżują się ścieżki, banki, sklepy. Obserwować.

Wcześniej próbowałem w Krakowie. Raczej marnie.

W Łodzi, na Piotrkowskiej. Po dworcach.

Wiele strasznych miejsc.

\* \* \*

Tym razem wzięłem magnetofon. Głos jego też chcę posiąść. Do kompletu. Nasycić się nim. Po kryjomu zakładam stare łąchy z szafy, przeglądam się w lustrze; taka szkoła Stanisławskiego z odzysku. Chcę poczuć falę, na której on płynie.

Chwilami przypomina mi porzucony mechanizm. Trybiki wystają, każdy gdzieś kiedyś miał zaczep, odbudować by należało ten zdemontowany unikat. Przekładnie, przekładnie. Przy odpowiedniej przekładni można poruszyć wiele.

Ściskam soniaka pod pachą. Aleje przypominają szczelinę w cegle szamotowej.

Ale na miejscu czeka mnie niespodzianka. Nie ma go. Czekam godzinę, dwie. Bez skutku. Jakby się pod ziemię zapadł. Co robić, zastanawiam się. Ze zdenerwowania zaczynam chodzić w kółko. Odwiedzam miejsca, w których zwykle przesiaduje. Rozpytuję. Ludzie albo nigdy go nie widzieli, albo udają, że jego los ich nie interesuje. Do magnetofonu im każę mówić, bo wyobrażam sobie, że wtedy nie skłamię. Pan z radia czy z telewizji? Plują do mikrofonu.

Nie, od jakiegoś czasu nie.

Panie, a co mnie to?

Kto? Jaki?

Pani w berecie, pan o lasce, para z modną chustą zamiast nosidełka.

Łysy we flajersie uśmiecha się szeroko. Zęby równe, białe. Niczym doberman.

No, bywa tu taki, śmieć kompletny, piękne nam nasze miasto psuje, żeby jeszcze brudas, to rozumiem, ale on biały, wstyd. A ty co? Caritas jakiś? Czy inna lewicowa hołota?

Tę rękę to kiedyś wyciągnął nie po swoje i nauczkę dostał.

\* \* \*

Tydzień, dwa. Trzy tygodnie.

Czasu coraz mniej.

Byłoby to łatwiejsze do zniesienia, gdyby nie topniejące konto. Przez artykuł o nim wszelkie chałtury poszły na bok. Rankami nasłuchuję, czy mediów nie odłączają; sam pasztet w lodówce. A póki starczy abonamentu, dzwonię po szpitalach, po komendach. Bez skutku.

Zaczynam się modlić.

Do żadnego boga – do niego.

*Proszę Cię, żebyś mi teraz nie zdechł, chamie skończony, nie kiedy mam tylko dwie trzecie tekstu i żadnej puenty, bo inaczej to wszystko psu w dupę, żadnej kasy, a Szulc mnie wyśmieje i wyjdzie na jego. Amen.*

*Proszę Cię, żebyś mi teraz nie zdechł, chamie skończony, nie kiedy mam tylko dwie trzecie tekstu i żadnej puenty, bo inaczej to wszystko psu w dupę, żadnej kasy, a Szulc mnie wyśmieje i wyjdzie na jego. Amen.*

*Proszę Cię, żebyś mi teraz nie zdechł, chamie skończony, nie kiedy mam tylko dwie trzecie tekstu i żadnej puenty, bo inaczej to wszystko psu w dupę, żadnej kasy, a Szulc mnie wyśmieje i wyjdzie na jego. Amen.*

\* \* \*

Basia przysłała kartkę, że jednak u siostry to dłużej. Spodziewana wiadomość.

W mieszkaniu syf, sprzątać mi się nie chce. Z redakcji przestali dzwonić, załatwiłem el-cztery na lewo. Trochę spokoju.

Piję. Niedużo. Regularnie.

\* \* \*

Bydlę!

Bawi się ze mną w kotka i myszkę!

Miasto w to wplątał! Znaki mi daje!

Na Hożej remont, zerwali płyty chodnikowe na których przesiadywał, poczerniałe od brudu, chyba w ramach jakiejś urbanistycznej prezentacji siły. Zaraz myśl: może i jego usunęli dla lepszego zagospodarowania przestrzeni publicznej? Schowali jak te niewygodne pomniki, co je niby do renowacji z cokołów zdejmują, żeby już nigdy nie powróciły z głębin zapyziałych magazynów. Tam teraz taka elegancka dzielnica nastaje, świat spod igły. Dużo potrzeba, by się niewygodnego człowieka pozbyć?

W ratuszu potwierdzają, że remont odbywa się planowo. Trochę mnie to uspokaja. Niemniej dziura w ziemi wygląda wymownie.

Edytor tekstu utknął na kilku tysiącach znaków. Ani w przód, ani w tył.  
Nerwy. Wspomnienia.

\* \* \*

Piliśmy wtedy herbatę. Z jednego kubka, bo powiedział, że jak się brzydzą, od razu mogę wypierdalać. Nie wiadomo skąd wyciągnął termos z esencją. Mnie wysłał po cukier, bo lubił bardzo słodką. Z pół kilo tego cukru tam wsypał. Czaj aż zgęstniał. Był koniec maja, trzydzieści stopni. Siedzieliśmy na ławce w parku i piliśmy wrzątek. Pot łał się po plecach.

Znajomy żony, wyjaśnił. Z towarem jeździł, znał trasy, kontakty miał wyrobione. Przyjechał i powiedział, że lepsze części załatwi, konkurencyjnie, z byłego enerdówka, bo tam się i tak teraz niczego doliczyć nie mogą. Tam takie Niemcy jak ruskie prawie, nic dobrego z tego połączenia nie wyszło, najgorsze cechy im się pomieszały, powstałi wyjątkowo sumienni złodzieje. Z takimi najłatwiej się dogadać.

Poprosił o papeterię, koperty, że niby pisał będzie, jak się sprawy mają. Dwa tysiące marek na rozruch. No i rzeczywiście pisał, znaczki uhonorowujące przyjaźń niemiecko-radziecką naklejał. I jeździł, po stemplach sprawdzałem: Brema, Hesja, Szlezwik-Holsztyn. Jak pierwszą

partię zamienników przysłał, to mi języka w gębie zabrakło. Nowiuteńkie i za połowę ceny rynkowej. „Mów burakom, że niemieckie i żądaj więcej”, radził. W ciemię to on nie był bity. Mieliśmy dwu-, trzykrotne przebicie, zależy, kto jaki naiwny. Kasy jak lodu.

Ładny sweter. Daj mi go.

Mimo że zgrzany cały, wciąga na siebie mój kardigan. Chorą rękę ostrożnie wsuwa do rękawa. Czoło ociera.

Porachunki. Postrzelili mnie. W bark. Czucie ocalało, ruchu ni ma.

\* \* \*

Szulc sterczy w przedpokoju, rozgląda się.

Pawełku, kręci głową z niedowierzaniem. Co ty wyprawiasz?

Przebiera nogami, szukając kawałka czystej podłogi.

Wkurwiony, unikam jego wzroku, a to, że unikam jego wzroku, wkurwia jeszcze bardziej.

Ty mi tu nie pawełkuj, tylko wprost odpowiedz, czy możesz pięćset do pierwszego pożyczyć.

Ogoliłbyś się. Ostatniego żuła przypominasz.

Kasę mi pożycz, a nie rad z wizażu udzielaj!

Szulc milczy. Przeciąga pauzę. Wyjmuje plik banknotów z portfela, kuca i kładzie przed sobą.

Dobry, Paweł, dobry, mówi ze smutkiem. Wychodzi.

Pluję na te kilka stówek, ale zaraz szybko biegnę i wycieram, bo sam nie wiem, czy to teraz nie biodegradowalne. Nigdy nic nie wiadomo.

A nuż się rozpuszczą.

\* \* \*

Co? Pazerność. Na nominały patrzyłem, a nie na to, co się pod nosem dzieje.

\* \* \*

Tęsknię za Barbarą. Sprawdzam autobusy do Giżycka. Boję się, że pojadę, pocałuję klamkę i nie będę miał na powrót. Kolegów unikam. Telefonów nie odbieram.

6

Napisz coś ciekawego. O uzależnieniu od portali. O orgazmach wielokrotnych. O śpiewającej babie z brodą. O tym chcą ludzie czytać.

Ja im nie będę pisał tego, co chcą czytać, tylko co powinni.

Tobie się, człowieku, i czasy, i rynki pomyliły. Ty nie pracujesz w piśmie literackim z czterocyfrowym nakładem, ale w gazecie zachodniego konsorcjum. Jak oni będą chcieli kogoś ewangelizować, to napiszą, że w tym roku niebieski modny. Ideowego kundla z siebie robisz. Talent marnujesz. Rozumiesz?

\* \* \*

Nie rozumiem.

\* \* \*

Co żeś tak zbladł? Wody ci dać?

Drepce do dystrybutora. Koszulę na plecach ma przepoconą, mokrą.

Masz, mówi. Pij.

Sięgam po szklankę, strącam na podłogę, rozlewam.

Nadwerężyłem, uprzedzam pytanie.

Wzrok aż iskrzy politowaniem.



Paweł, co ty sobie robisz...

Idźże do domu. Prześpij się. Weź się w garść.

\* \* \*

Nie rozumiem. Dlaczego tak nagle zniknął. Gdzie się podział. Jakby mi dał, a potem zabrał, choć co on mógłby dać, co zabrać. Tyle co wiatru w kieszeniach i pewnie najtłustszych wszy. Kalendarz sprawdzam. Nie, no żeby w tango poszedł, to jeszcze trochę czasu, uspokajam się na głos.

Niewdzięcznik.

To ja mu tyle czasu, tyle energii...

\* \* \*

Słuchaj, ona nie chce z tobą rozmawiać.

Po prostu daj ją do telefonu.

(Ania? Kto?)

(On)

Halo?

Paweł, nie utrudniaj.

Utrudniaj? Co ja utrudniam? To nie ja zabrałem dupę w troki i pojechałem na wakacje, gdy grunt się pod nogami zaczął palić!

Halo?

Halo!

7

Miałem wczoraj sen, byłem tobą i było mi z tym bardzo dobrze. Twoja żona to była moja żona, twoje przyszłe dzieci, to były moje dzieci. Twoje ręce należały do mnie. Siedziałem w oknie twojego mieszkania i patrzyłem w dół. Na ciebie. Jak zebrzesz.

\* \* \*

Wreszcie. Wpadam na niego pod Muranowem. Ratusz wskazuje południe, w Grubej Kaście zblazowana młodzież żuje hamburgery, tramwaje dzwonią, jakiś kanar czesze dwie małolaty. I on! Ledwo go poznaję, bo wypicowany taki, z dziesięć lat mu ubyło. Mijamy się w przejściu metra, łapię go za rękaw.

Panie, puść. Próbuje się wyrwać. Nie puszczam.  
Śpioch?

\* \* \*

Prowadzi mnie do kawiarenki przy bankowym wieżowcu. Z trzech mizernych stolików wybieramy ten przy oknie. Uśmiech mu z gęby nie schodzi.

Niedaleko mieściło się kiedyś towarzystwo przyjaźni polsko-chińskiej, wskazuje palcem gdzieś w bok. To znaczy raz było, raz nie było, zależy, jak tam się dogadywali za żelazną kurtyną. Ja za kitajcami nie przepadałem, ale zatrudniali dwie Polki, które świetnie gotowały. Tylko dwa dania. Oba z kaczką. Po prostu palce lizać. Czasem kumple szli na lody albo na piwo pod Zachętę, a ja mówiłem „przepraszam” i, błysk, na wyzerkę do tepepechu.

Raz to mi nawet lanie spuścili, bo myśleli, że konfident jestem.

Przyglądam mu się. Napatrzeć nie mogę. Spod podniszczonej marynarki wystaje koszula w kratę; po kołnierzyku krój raczej stary, ale materiał widział żelazko. Gęba też o niebo bardziej zadbana. W brustaszy ogryziony długopis. Wskazuje go palcem. Uroku dodaje, śmieje się. Ale, ale, co u ciebie?

Opowiadam, że kiepsko. Słucha uważnie. Tylko po co ja, niech mówi, co u niego, skąd ta zmiana. Macha ręką. Ty mnie znasz. Już ci siebie całego sprzedałem. Się fortuna obróciła. Dzisiaj ja o tobie chcę posłuchać. Co u Basi?

Nie przypominam sobie, żebym mówił mu o żonie, ale też nie przypominam, żebym nie mówił.

Drugą kolejkę stawiam, nalega.

\* \* \*

*...łku Kochany, bardzo się ostatnio oddaliliśmy, tylko praca i praca u Ciebie, dla mnie miejsca zabrakło. Dużo spacerujemy z siostrą, całe lata się nie widziałyśmy, trochę nam szkoda tego czasu, wiesz jak to jest z rodziną, niby im dalej tym lepiej, ale jednak...*

\* \* \*

Wyjechała. Pisze.

Maile?

Prawdziwe, na papeterii.

\* \* \*

Kalkuluje, jakby do tematu podejść. Taka nagła w nim zmiana. Ze wszech miar nieciekawa. Happyendem zajeżdża. Lepszy był wcześniej, z brudem za paznokciami. Straceńczy surowiec, niedostępny, ludzie chętnie weszliby w taką głowę, żeby potem wyjść i powiedzieć: no, to na szczęście nie my. Z czymś takim wymuskanym już na pewno mnie w kanał spuszcza, myślę.

Ale powiedz, schronisko, przytulisko, gdzie się zaczepiłeś?

Przewraca oczami. Wszystko w swoim czasie, odpowiada. Obu nam wyjdzie na zdrowie.

Drugą kawę wzięliśmy po irlandzku. Nie lubię whisky. W głowie mi się kręci. Brzuch pali. Za oknem kawiarni biegną ludzie. Co drugi stroi jakieś miny. To miasto na każdym wymusza stan podobny do permanentnej ewakuacji. Alkohol pobudza we mnie serdeczność, w oczach stają łzy. Chciałbym wyjść i uściskać przechodniów, po kolei. Powiedzieć: będzie dobrze. Tych durniów tokujących do smartfonów, że wygląda to co najmniej jak gonitwa wariatów, lecz wymyślono już na tę przypadłość leki. Rozpylimy je w powietrzu.

Tak się cieszę, że do mnie wrócił, żul mój ukochany, tak się cieszę. Opowie mi teraz resztę swojego życia, spisujemy to, poddamy analizie, wytkniemy, gdzie się spierdoliło i wystawimy na widok publiczny jako przestrozę.

Z drugiej kolejki robi się trzecia, z trzeciej czwarta.

To ja cię teraz do siebie zapraszam, oznajmiam, sam siebie zaskakując.

Po drodze w Żabce kupujemy siatkę piw.

\* \* \*

*...łku kochany, nie wiem jak to będzie.*

\* \* \*

Rozgość się, mówię.

Zrzucam buty w przedpokoju, łapię się na tym, że krążę niczym kwoka.

Włączyć telewizor?

Posyła mi długie spojrzenie. A po chuj nam telewizor?

Wiadomości, podsuwam.

A ty widziałeś kiedyś Koło Fortuny? Ustawiali ludzi w rzędku. Kazali zgadywać, nie? Po kilka sylab.

Z hukiem opada na sofę.

Targ idiotów. Nikt nic lepszego jeszcze nie wymyślił.

Mlaska.

W ustach mi zaschło.

Przynoszę zakupy.

Skurwysyny, klnie, otwierając pierwszego van pura.

Opatrzność ma wąsy Pijanowskiego.

\* \* \*

Nakryłem ich w domu. Nawet za bardzo się zdziwili. A co za widok. Ubrał ją w takie przezroczyście fatalaszki z importu. Popelina, fiubździu, różowe piórka. Dziurka, gdzie dziurka. Nawet jak na wsioka – kompletna tandeta, mówię ci. Myślałem, że jakiś straszny gniew mnie dopadnie, a tu nagle słyszę, że zaczynam się śmiać. Rozumiesz, takie dziwne uczucie, niby stoi się z boku, nie tobie się to przydarza. Ale śmiech mój, czułem to. Bo trzeba było to widzieć. Ona na czworaka, przystrojona jak świnia co wpadła w pierze, on z tą fiuciną za nią. Patrzą. Klauny. Boki zrywać i...

Przerywa, nadstawia ucha.

Telefon dzwoni.

Naprawdę?

Sprawdzam. aaaBaśka.

Może odbierz?

Nic pilnego, zapewniam.

Wyłączam głos, odkładam aparat.

Powiedziałem won, a ona, że połowa jej. Jaka połowa? No, no, włączył się tamten, bo cię zrobimy tak na szaro, że i połowy nie dostaniesz.

Poczekaj, powiedziałem, zawiąłem się i wróciłem z obuchem. Niewiele potem pamiętam. Rękę w trzech miejscach miał złamaną. Ona straciła dwa zęby.

Wieczorem przyjechała policja. Do rozprawy nie wyszedłem z za kratki.

Gdy idzie do łazienki, w zasięgu reki kładę notatnik.

Nie jest źle, myślę. Coś tam się u niego wydarzyło, nie wiem jeszcze co, pewnie łut szczęścia i albo się to przemyci jako nic nieznaczący wątek, albo w ogóle pominie. Raz na wozie, raz pod wozem, jakiś taki komunał dupnę, żeby od razu zazgrzytał, żeby było wiadomo: szczęście równa się kicz. Przerklamowane.

Dlaczego ja w ogóle wątpię? Takiego życia nie da się przecież naprawić. Wrócił, najważniejsze, już nie puszcę.

W radio mija serwis. Skrzeczy singiel na trzy rymy. Zaczyna się pogoda.

Pukam.

Hej, długo ci tam jeszcze zejdzie?

Nie odpowiada.

Uchylam drzwi.

Leży w wannie w ubraniu. Dłubie w nosie.

Wziąłbym kąpiel, rozpromienia się. Masz takie kulki z bąbelkami?

\* \* \*

Połączenia nieodebrane (2).

Połączenia nieodebrane (5).

Połączenia nieodebrane (11).

\* \* \*

Teleturniej prowadziła taka brunetka. Magda. Jak ona się obracała, żeby odkrywać te samogłoski. Zawsze chciałem ją, tak, bez sukienki. Tysiąc

odcinków.

\* \* \*

Mów coś.

Co?

Mów, bo zasnę i pójdę na dno.

8

Tapła się w pianie, zadowolony jak dziecko. Przyglądam mu się. Po raz pierwszy zrzucił ubranie. Tors ma beczkowaty, owłosiony. Bliznę w dole brzucha. Poza tym blady, pulchny. Nie tak go sobie wyobrażałem. To pewnie wina książek przygodowych z młodości, czerstwych bohaterów. Brakuje mi tatuaży, jakichś oznak męki. Cierpienia, uwierzytelnienia.

Staram się przypomnieć sobie, czy robiłem mu jakieś dobre zdjęcia, jeszcze z ulicy. Publikacja u mnie to pewnie będzie jedno, kolorowe, mam takie, robione z biodra, całkiem fajne, pseudoamatorskie, pasowałyby. Sprawa się skomplikuje, jeżeli rzeczywiście odrzucą. Wtedy trzeba będzie do magazynów; oni lubią więcej.

Na szyi dostrzegam niewielkie znamię w kształcie królika. Poza tym gładko. Nie daję po sobie poznać zawodu. Aparat mam w salonie. Bez sensu teraz grzebać w karcie pamięci.

Siedzę na kiblu i (sam nie wiem, jak to się stało) opowiadam o sobie.

Wzięli mnie zaraz po studiach, mówię.

Byłem w enzetesie. Sam nie wiem po co, w politykę się nie plątałem, ale gdy organizację od nowa zalegalizowali, odkurzyłem legitymację i poszedłem na kilka rautów. Przy wódce to się systemy buduje i obala najlepiej. Z jednym, z drugim przeprowadziłem ze dwie rewolucje pod zero-siedem, komuś tam się spodobałem, zapamiętał mnie i jak się strony barykady zmieniały, a ci, którzy mieli butelki z benzyną i kamienie, ruszyli

do władzy, dostałem propozycję. Nie lokalnie, nie popołudniówka, ale od razu dziennik. Nikt by się dwa razy nie zastanawiał.

Z naczelnym byliśmy na „ty”. Stara wiara tylko zgrzytała zębami.

Oni się odnaleźć nie potrafili. Nic nie myśleli, tylko czekali na polecenia. Żadnej inicjatywy. Co tam czasem sami z siebie napisali, zaraz pędzili się pytać, czy tak można. Paleolit, kurwa.

Pewnego dnia na staż do sekretariatu przyszła Basia.

Inteligenckie zapoznanie. Kawa, kino, wino.

Śpioch wskazuje Colgate.

Mógłbyś? Zęby sobie też umyję.

Ale ja nie mam drugiej szczoteczki.

Nie przeszkadza.

Miętową pianę wypluwa wprost do wody.

Później przyszła Basia i spacerki, bombonierki. Rok, dwa. Wspólne mieszkanie. Frank szwajcarski.

Dobra, teraz przynieś radio. Posłuchamy muzyczki.

Tutaj?

Relaks to relaks.

Słuchamy. Przemykam oczy. Kiedy otwieram je po czterech pustych refrenach, widzę, że chyba chrapnął. Nawet dobrze. Coś przez tę spowiedź trzeźwieję, perspektywa znów mi się rozszerza i zahacza o sumienie.

Gorąc dobrze mi na rękę robi, mruczy w półśnie. Uszkodziłem ją sobie spadając z dachu na Florydzie. W jueseju kazali wygrzewać.

\* \* \*

Z początku myślałem, że mnie zaraz na miejscu zabiją. Ci, którzy spokojnie mieszkają w mieście, nie wiedzą, jak ono działa. Raz na miesiąc wydadzą trochę kasy i, pstryk, leci woda z kranu, pstryk, coś im tam gra



albo świeci. W dupie mają całą tę maszynę, która im nad głową pracuje. A ona tam trwa, mieli czas i przestrzeń. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym? Miasto wyrasta ponad zbiór budynków i podobnych tablic rejestracyjnych. Nad ranem na pustych ulicach słyhać te przekładnie, serwa. A zejdz w kanały, usłyszysz lepiej.

I każdy metr dokładnie podzielony. Za dnia chodnik to chodnik, a park to park, ale poczekaj, niech wywieje porządnych obywateli, drugie państwo nastaje. Tam rzeczy niczyich nie ma. Pierwszej nocy ze trzy razy mnie gonili, z ławki, z krzaków, ze śmietnika. Nie niebiescy, tacy jak ja.

Wychodzi z wanny, ocieka. Szlafrok, prosi. Ubiera się.

Gówno ci się należy, to trzymasz, co ci w ręce wpadnie. Nie puszczasz.

Podaję mu grzebień.

Toaleta zabiera mu pół godziny.

Teraz idę. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Masz, tu mnie można spotkać. Kłapie bosymi stopami do salonu. Zapisuje coś na odwrocie rachunku.

Zwijam się w kłębek przed telewizorem. Kompletnie pijany.

10

Szulc przez telefon staje się jeszcze gorszy od Szulca w cztery oczy.

Restrukturyzacja, powtarza po raz kolejny.

I co mi do tego?

Sobie możesz magistra z plakietki zetrzeć i dopisać „mięso armatnie”.

Nie ma tego złego.

Powiedz mi, skąd to u ciebie.

Niby co?

Jakbym cię nie znał.

Wrócił.

Kto?

On.

Rany Boskie, ty wciąż o tym.

Był u mnie.

Zaprosiłeś go do domu? Pojechało cię kompletnie?

Słuchaj, jeszcze chwila i wyjdę z tym na prostą. To będzie coś.

Wykończysz się.

Pauza.

Stary, posłuchaj. Oni mają na ciebie oko. Oni tego chcą.

O czym ty mówisz?

Nie, nie, nic nie powiedziałem. Kończę.

O czym mówisz?!

Cześć.

\* \* \*

„Warszawa. Stolica. Miasto dziewięciu zajezdni, czterech dworców i stu tysięcy potrzeb. Od Mokotowa po Bielany nic nie dzieje się przypadkiem”.

Dobre, dobre, stukam.

„Nieustająca synteza pragnień, odwieczna analiza traum. Przestrzeń bezcenna, coraz droższa, postrzegana przez pryzmat teledysku, odpicuj moją brykę, odpicuj mieszkanie, odpicuj to, tamto, odpicuj mnie”.

Liczę. Czterdzieści cztery wyrazy. O czterdzieści cztery wyrazy bliżej.

Do tego, niby przypadkiem, z mesjańskiego klucza.

Te dwa piwa, które zostały, to za mało. Kupuję jeszcze dziesięć.

\* \* \*

Dzień dobry. Tu mecenas Zarzycki. Czy rozmawiam z?

Dzień dobry. Przy telefonie.

Dzień dobry. Dzwonię w imieniu pani Barbary. Pełnomocnictwo rozwodowe, które mi przekazała...

(Pauza! Pauza! Wytrzymaj tę pauzę!)

Do widzenia... ci w dupę.

\* \* \*

Albo to jak potrafi zmieniać wyraz twarzy. Jakby miał tam jakąś maszynkę, czujnik na nastrój. Żeby tak na szybko poznać: uśmiech czy psie oczy. Do kogo z jaką bajeczką. To wcale nie takie proste udoić przechodnia (tego zwrotu właśnie używał „doić”). Trzeba być byстрыm, szybkim, szybko reagować. Ludzie odwracają wzrok, należy tak zająć miejsce w przestrzeni, żeby im to się nie udało albo żeby poczuli dyskomfort. Podstawowa sprawa, przystanąć muszą. To zwiększa szanse zarobku o połowę.

Podzielił ludzi na typy. Garnitur. Pani z siatką. Skarpeciarz. Przykościelna. Na każdego inna taktyka.

Pani z siatką wydaje się zabiegana, ale lubi napompować sobie ego. Czasem da i banknot.

Garnitur lubi uległość i być tytułowany szefie.

Przykościelna bywa nienawistna. Ale często wstydzi się i daje dla świętego spokoju.

Skarpeciarz lubi pofilozofować.

I trzeba odgrodzić go od innych, od tłumu, drogi ucieczki. Ławicy tej drepczącej.

Niejednego socjologa by zawstydził.

\* \* \*

Kiwa głową.

Naprawdę. Przez park, w nocy. Z duszą na ramieniu. Granice ma ten świat umowne i płynne, trzeba cały czas być na bieżąco, bo łomot to pół biedy, najgorsze gdy w obroty idzie nóż. Ja nie miałem nic i byłem nowy; trochę mnie przygarnęli, usynowili. Nie na długo, byle bym się pozbierał. Tam nikt nie ma czasu na dobroć bez pokrycia.

W ogóle zła i dobra trzeba się wyrzec. Burżujskie pomysły. Wiesz, jak mówią ruscy? Że się nie kradnie, tylko bierze, co źle leży. Ja się pod tym obiema rękami podpisuję. Honorom to ty się nie najesz i nie ogrzejesz. A jak nie weźmiesz pierwszy, zaraz trzech innych się za to zabierze i ody możesz pisać, kurwa, księżycowe, nikt cię za rycerskość nie doceni.

\* \* \*

Polecony. Pozew rozwodowy. Dwie strony gęstego maszynopisu.

11

Trzy dni temu wyszedł i nie wrócił.

Obrysowuję kredą wilgotny ślad stopy na posadzce. Tak robię, żeby samemu sobie udowodnić, że nie zwariowałem. Na stritwju łązę po ulicach Giżycka. Po raz pierwszy od czasów studenckich kac w swej czystości konkuruje z paranoją. Przy śniadaniu odczytałem notkę na rachunku z kawiarni. Na wydruku przy pozycji „płatnik” znalazłem nip redakcji. Od rana zastanawiam się, co tu się, kurwa, dzieje?

Telefon do działu księgowości nie rozwiewa wątpliwości. Mówią: posiłek reprezentacyjny. Na czyje nazwisko nie powiedzą, bo takie zasady; jak na moje – pewnie przyjdzie w rozliczeniu, proszę się uzbroić w cierpliwość. Ale ile, się pytam, bo to na bieżąco jest mi potrzebne. No miesiąc, dwa, fuka pani po drugiej stronie linii, papiery muszą się zgadzać, coś pan taki. Jaki? W gorącej wodzie kąpany. A pani skąd wie o kąpieli? Jakiej znowu kąpieli?

Rzucam słuchawką.

Szulc wyjechał na wakacje, nie odbiera. Choć i tak pewnie nic bym się od niego nie dowiedział. Odnoszę wrażenie, że zaocznie spisał mnie na straty.

W obliczu nadchodzącej rozpaczki ślę zaczepki na każdą skrzynkę z „magazyn” w adresie .pl, .eu, .net, gdziekolwiek, byleby.

Zastanawiam się, czy jednak nie powinienem walnąć klina, jeżeli chcę przebrnąć przez ten dzień.

Zastanawiam się, czy to ja mogłem posunąć się do takiej głupoty i zapłacić z redakcyjnego konta, czy też jest coś, o czym nie wiem.

Czy gouda wyprała mi mózg.

\* \* \*

A na studiach same wyróżnienia, wiesz? Następnie zabrałem się za tych wszystkich baronów, co to wypłynęli na transformacji, tych co ich podziwiano, ale już się znudzili i trzeba coś było z tym fantem zrobić. U takich zwykle wystarczy poszukać w życiorysie, zaraz się trafi jakiś smród. We trzech tak kombinowaliśmy, każdy coś tam sobie zaklepał. Paliwo, konfekcja. Ja – wędliny. Kotlet za mną przez to wołali. Tyle że jak dupnęło, mówię ci, to miny im zrzędyły. Grand Press dostałem. O nagrodę Stowarzyszenia się otarłem.

12

I w nocy, wtedy najgorzej. Rzeczy tracą kontury, zlewają się w mamąlgę domysłów, w kaszankę insynuacji. Przybiera to rozmiary co najmniej niepokojące. Przemyślenia ciężkostrawne. Hurtowo. Na plecach w spoconej pościeli ze wzrokiem wbitym w sufit. Opisać nawet trudno, taka kalka półzycia ćwierćinteligenta. Mój anioł stróż, jeżeli istnieje, musi mieć niezły ubaw, gdy zdaje niebieskie raporty. Pewnie prowadzą tam na własny

użytek statystykę, numerki i cyferki na każdy typ człowieczy, alfa omega 12, alfa omega 1 albo co tam sobie wymyślą. Szufladkują, bo przecież historia lubi się powtarzać, oni to wiedzą najlepiej.

Na trzeźwo nie do zniesienia. Po pijaku rośnie.

Wczoraj przyszli i zakręcili gaz. Wydawało mi się, że stoją pod drzwiami, nasłuchują. Podglądałem ukradkiem przez wizjer. Łyknąłem propranolol.

\* \* \*

Mógłbym się przejechać. Po Basię. Może coś by się jeszcze udało. Siostra jej pewnie trajluje nad uszami, jak ona ma sobie wyrobić zdanie, kiedy ta siostra trajluje. Żeby całe małżeństwo, o tak, pierdut. Nie do pomyslenia.

13

Cały spokój umknął, przez niego.

Wzარł się we mnie. Świat w slums obrócił. Już inaczej patrzeć na nich nie potrafię. Szurają, szurają po ulicach Bracia i Siostry w Biedzie. Bo każdy ma takową, mniejszą lub większą, na jaką sobie zasłużył. Niektórych stać jedynie na lepsze przebrania, ale właściwie każdy w jakimś sensie bezdomny. Gdzieś przytulony na chwilę. Do kredytu, do własnościowego rodziców. Przyjezdny. Zero korzeni. Przyszłaby wichura, dmuchnęła i nie byłoby mocnych, każdego poniosłoby w pizdu. Obawiam się, że taki kataklizm nadejdzie, gdy będę na otwartym. Niemal nie opuszczam mieszkania. Mimo to wciąż jeszcze staram się, piszę. Wmawiam sobie, że jak już napiszę, wszystko wróci do normy.

14

Przy porodzie mi tę rękę piastunka uszkodziła. Matka pojechała na Wigilię do rodziny do Dukli. Przyszła nagła odwilż. Drogi rozmokły.

Dziadek przez błoto popędził na pocztę, a połączenie do Krosna zamówił. Powiedzieli, że karetki nie wyślą, nie dojedzie. Osiem godzin na świat szedłem. Raz za mocno mną szarpnęli, i po sprawie.

15

Odbiło się echem w środowisku, że to nie fanaberie, że jednak podupałem na zdrowiu. Szulc pewnie farbę puścił. Na razie z klucza AA, co mnie cieszy, bo to wygodne, zdejmuje z barków ciężar wymyślania sobie dość szlachetnych, jak na redaktora, przypadłości; alkoholizm jako średniaczek nie budzi zastrzeżeń, prawie każdy go u nas przeszedł. Taki katar duszy. Znana dolegliwość. Spokój.

\* \* \*

Człapania długo się uczył. Człapanie stanowi rodzaj mimikry. Człapiący mają święty spokój. Boczny tor taki. Pędzi real, pędzi, bo wszystko pędzi; gdy się człapie, pojawiają się stacje przesiadkowe.

Co to znaczy?

Przygląda mi się uważnie. Oglądasz się za siebie. Perspektywy nabierasz.

\* \* \*

Koło środy dzwonią z jednego z magazynów i pytają, czy to, co przysłałem, jest skończone; odpowiadam, że nie. Wielka szkoda, bo właściwie byliby zainteresowani. A, i jeszcze czy bohater reportażu na końcu umiera? Umiera, dziwię się. Tak, bo wtedy podciągnęliby rzecz pod zbrodniczą politykę państwa, zamętu zaraz by się trochę zrobiło. Kilkuprocentowe partie podniosłyby szum. Nakład, pan zdaje sobie z tego sprawę. Emocje. Telewizja śniadaniowa. Pan wie, ludzie oczami, oczami, z odbiorem prasy mają kłopoty, ale odpowiednie fotki, plansze i zaraz by

skojarzyli, wcale nie musieliby tak dokładnie czytać. Na zasadzie skojarzeń skojarzyli. Jak w reklamie, uściślam.

Samo sedno, jak w reklamie!

\* \* \*

Kartka pocztowa. Od Szulca. Jastarnia.

16

Mara mnie taka przy flaszce dopada: w ciemnym pomieszczeniu sterczy Śpioch/Stanisław, jakby w ziemię wrósł. Kwadratowy jakiś taki. Gęba za szkłem. Spojrzenie martwe. Uśmiech szeroki. Zęby ma złote i te zęby mrugają niczym lampki na choince. Chorą rękę wyciąga w geście salutu. Palce w piąstkę zacisnął. Blizna na brzuchu przypomina szufladkę. Oczy przecieram ze zdumienia. Chłopa do kontaktu ktoś podłączył. Drży i burczy.

Stukam w tę szybkę, oczekując jakiejś reakcji, choć mrugnięcia powiek, ale nic, echo tylko jak w puszcze. Pachnie dymem, kwaśno, knajpiano. Odwracam się i idę, szukając drogi ucieczki, ale oczywiście zaraz wracam do punktu wyjścia, bo to mara, jak każda, kolistą. W okrąg szaleństwo zamknięte. A zęby zaczynają wygrywać melodyjkę z Bonanzy. Tam-tadidam-tadidam-tadidam.

Śpioch, szepczę, co jest?

Nie odpowiada, tylko łapką porusza, w górę i w dół. No to łapię i szarpnię, aż mu się białka wywracają. Przez chwilę trzęsie nim całym, szczęka milknie i w tej ciszy z brzucha coś mu wyskakuje. Podnoszę z podłogi kartkę rozmiarów dyplomu i, och kurwa, widzę, że Pulitzera wygrałem. Szarpnię ponownie: Guggenheim mnie zaprasza. Las Vegas z niczego!



Nie wiadomo skąd, pojawiają się smutni panowie w lustrzankach, każą płacić za użyte żetony.

\* \* \*

Przepraszam, chciałbym informacji zasięgnąć.

Informacji? A w jakiej sprawie?

No, eee, o panu.

Co?

17

Łąduje u mnie z powrotem. Czas pod jego nieobecność to ja sobie zarezerwowałem na myślenie i już wiem, że coś knuje.

Tym razem się nie uśmiecha. Patrzy na mnie przeciągle. Osobliwe uczucie, bo to ja powinienem patrzeć na niego. Coś się nam wyraźnie popieprzyło w tym dziennikarsko-ulicznym układzie. Moje prawo oglądać, wyciągać wnioski, kształtować je, podsuwać. Cały aż dygoczę ze złości, że on temu prawu zagraża, najchętniej złapałbym go za fraki, na ścianie rozmazał. Role mu się, kurwa, pomieszały. Weź, wyjmij ten długopis z kieszonki bo mnie zaraz coś trafi, warczę. Gdzieś go przekłada. Idzie do kuchni, zza pazuchy wyjmuje zawiniętą w papier kaszanke. Olej na patelni grzeje. Cebulę wkraja, przy krojeniu nie płacze.

Jemy tę gorącą breję, musztardy nie żałujemy. Po namyśle, usta otwiera, ale wpadam mu w słowo i prawie krzyczę: koń cię kopnął, piorun pierdolnął, za dużo oranżadek w proszku żarłeś, dlatego ta ręka, nie chcę już o tym słuchać, rozumiesz?

Kłap, zwiera wargi, spogląda gdzieś w bok.

\* \* \*

Skąd ich znasz?

Milczy.

Skąd ich znasz, pytam?!

Sami przyszli.

\* \* \*

Szulc ani nie potwierdza, ani nie zaprzecza. Dzwonię do niego, bo jestem wkurwiony, a to wkurwienie ciężkie jak wykute w kamieniu. Był taki projekt, był, płacze się, raz ktoś go podniósł na radzie, że niby nowatorski, ale etyczne imponderabilia, sam wiesz, i tak dalej, i w kółko. Bezprecedensowa zagrywka. Oczywiście, miałyby to wzięcie.

Wiem jedno, siebie wam dam.

Paweł, ja nie wiem czy to się da odkręcić.

18

Przeczuwam, co nadchodzi. Do źródła trzeba mi sięgnąć, do kompostu wiadomości.

Odpalam komputer.

Włosy stają dęba.

W necie aż huczy. Na każdym portalu rozpoznaję własną facjatę. Komentarze idą w tysiące. Gdzie ja jestem, myślę, to jakaś kpina. Anusia123 pisze: jakie to świeże, jakie to nowe! PrawdziwyPolak dodaje: dobrze tak komuchowi.

Gwiazda z firmamentu spada. Ruszyła tłuszcza do boju. Się te sępy grafomańskie zwiedziały, w stada zbiły, kołują. Oczom nie wierzę. W Kwidzynie wójt na radzie miasta nawet ten temat podjął. Skąd ja go znam, zastanawiam się, a potem, wiem, to jeden z tych od mięsa. Świeżą krew poczuł.

I chwytna zajawka pracuje. Że za tydzień ZNANY REDAKTOR i za tydzień NA DNIE. Ktoś znalazł moje zdjęcie z biogramu i w fotoszopie

przerobił na co najmniej ofiarę wypadku. Nos czerwony, oko podbite. Dyskutują, dyskutują teraz, czy prawdziwe, czy nie. O niczym tak dyskutują, bo o tym najbardziej lubią.

Dzwoni Basia i pyta, czy to prawda.

Co mianowicie?

Że ja z tą aktorką z serialu drugiego sortu.

Jaką znowu aktorką?

Bo ona czytała na portalach, że w rzeczy samej; od razu jej się wszystko w głowie ułożyło. Że to musiało trwać od dawna. Teraz rozumie.

Barbara, dyszę, Barbara.

Niech nie próbuję przeproszać. Szkoda tylko, że sam jej tego nie powiedziałem. Byłoby łatwiej.

Co łatwiej? Jak łatwiej? Łatwiej strzelić sobie w łeb.

Nie strasz. Bo służby naśle. I tak nic nie wskórasz.

Wieczorem zachodzi dzielnicowy. Minę ma taką, jakbym na szyi miał naszyjnik ze zdechłego kota. Skarga poszła. Rodzinę pan męczysz, stęka. Uspokój się pan. Panie.

Obywatelu?

Obywatelu.

\* \* \*

W brodzie świeżo przystrzyżonej ma dziurę, co to zwykle są usta i z tej dziury gównno leje.

Posłuchaj. Ludzie nie chcą teraz kanapki z serem. Oni chcą, żeby chleb był orkiszowy, ręcznie wyrobiony, ser z hodowli makrobiotycznej. Rozumiesz? Życia nie potrafią zmienić, zatem rzeczywistość na odwrót wywracają. Naoglądali się telenowel, wielkich bratów i myślą, że franszyzy ktoś im na to udzielił. Jak ktoś w dziewięćdziesiątych patrzył na Dynastię,

to gębę rozdziawiał i pragnął, żeby właśnie tak. A teraz siedzi, zółć przetyka, że się nie spełniło.

19

Termin rozprawy rozwodowej przypada na dzisiaj.

Warszawa ma dwa miliony ludzi. Jak ktoś umrze, zaraz znajdują kogoś na jego miejsce.

A najdroższa kawa to taka, jak ją jakiś kot wysra.

20

Na pierwszej randce z Basią pozowałem na intelektualistę. Zabrałem ją do Muranowa na *Królową Margot*. Krwawy, brutalny film. Siedzieliśmy w tylnym rzędzie, nie było mowy o żadnym dotyku.

Na drugą randkę zabrałem ją na *Juniora* ze Schwarzeneggerem. Poszliśmy od razu do łóżka.

Lubię antykwariaty. Książki nabierają w nich charakteru. Są niczym starzy kochankowie, dotykało ich wiele rąk, one przez to także umieją dotykać.

Zazwyczaj kuchnia włoska.

Pod prysznicem szczypię się po całym ciele.

Przecież się, do ciężkiej cholery, nie wymyśliłem!

21

W dzień publikacji artykułu nie opuszczam sieci. Komputer mówi, że już nie jestem tym, kim się sobie wydaję. Mnie nie ma. Nikt nie uwierzy w prawdę, prawda się nie liczy. Sam nie wiem, jak mogli mnie tak przerobić.

Ciągle ktoś puka do drzwi. Karteczki wsuwają. Kuszą, proszą. O wywiad. Choć dwa słowa. W temacie.

Nie wiem, czy dzień, czy noc, świecą reflektorami studyjnymi po parapetach.

Skrzypią, chrzęszczą wysięgniki ekip wiadomości.

Sąsiedzi wiszą w oknach, paplają pion z pionem, i na przełaj. W życiu nie byłem tak popularny oraz wydymany jednocześnie.

\* \* \*

Wielki sukces.

Po raz kolejny czytam elektroniczne wydanie gazety. Jak mnie skurwielił podszedł. Jak te brudne paluchy we mnie włożył, rozbabrał na części. Dokładnie wszystko zanotował. Pod światło obrócił, że co czarne białe się wydaje, i na odwrót.

Nie, na pewno nie działa sam. Cała banda mu w tym pomagała.

Kto by tam o kloszardzie czytał. Najciekawsze są tragedie w czasie rzeczywistym. Zbrodnie na nieświadomej ofierze w technologii bluray dividi. Żeby żaden szczegół nie umknął.

22

Mijają godziny. Leżę na podłodze. Co mi innego zostało? Na podłodze, bo z łóżka jest widok przez okno, a tam teleobiektywy, *trzask, trzask*, byleby rąbek uchwycić, potem dać na pierwszą stronę w grubym ziarnie. Dla tych wszystkich podglądaczy, którzy docenią, że z tak bliska. Staram się podglądactwa unikać.

Leżę. Niewygodnie, za to bezpiecznie. Klepka wżyna się w bark. Ręka cała zdrętwiała. Dynda.

Leżę i myślę, że nic mnie nie obchodzi cały ten bajzel nade mną. Od chodnika po stratosferę. Ale mam też pewne zastrzeżenia. Całe życie byłem wierzący, komunista, ministranci, hocki-klocki, iście harcersko zdobywałem kolejne sprawności, dlatego pozwolę sobie zauważyć: Panie Boże, tego się nie robi swoim fanom. Za coś takiego to by cię z fejsbuka wyrzucili,

gdybyś na fejsbuku był. Znajomi opuściliby cię hurtowo. Chór tronów kliknąłby „Nie lubię”. Amen.

Próbe mi dałeś? Sprawiedliwości uczysz? To dziecku się do głowy ideały kładzie, mnie zostaw w spokoju, aż do pogadanki ze Świętym Piotrem. Wtedy będę się tłumaczył. Teraz chcę po swojemu. Ale cię to nic nie obchodzi, co? Jeden redaktorzyzna, który próbuje związać koniec z końcem na statystykę nie wpłynie. Bilans Ci nie drgnie.

Mało Ci było tego burdelu z Hiobem?

Leżę. Zamieram. Jeżeli zwolnię metabolizm własnej tkanki, to może i newsy wyhamują. Widzisz? Nie wysłuchasz, to sięgnę w tę stronę: joga i Kaszpirowski.

Leżę. Głowa trzeszczy. Człowiek sam na sam ze sobą przestaje się rozumieć. Dociera do niego, że życie to wyłącznie usystematyzowane szaleństwo. Zresztą, hej, wzywam na pomoc androgeniczne skrzydlate postaci. Niektórzy wierzą w Szczęśliwe Misie. Na mój rozum, kwestia skali.

## 23

Leżę. Lecz z tego leżenia nic dobrego nie wyjdzie, bez dwóch zdań. Powinienem wykonać jakiś ruch, unik, atak, cokolwiek. Powinienem wyjść, bo mnie tu osaczyli i prędzej czy później wykurzą.

O północy podejmuję decyzję, cichaczem przekraczam próg. Na klatce pokotem chrapią fotoreporterzy. Kable wiszą na poręczach jak liany. Skradam się. Gruby w koszulce radiowej Trójki ślini ramię paniusi z publicznej, która z kolei podciągnęła wysoko kolanka i zaparła o nie szpiczastą bródkę. Pewnie śni o hajlajtach i runingtajmie.

Z klatki przez trawnik docieram do skrzyżowania. Jedzie nocny do Centrum. Zatrzymuję go. Wsiadam pod Ratuszem. Idę do Saskiego, tarzam się w błocie. Nacieram nim twarz.

Klękam na płytach i biorę głęboki oddech. Zaczynam się delikatnie bujać, w przód i w tył. W przód i w tył. Wiem wszystko, wiem, jak sobie dać radę. Po prostu na chwilę zasnę, zasnę siebie, w końcu ktoś przyjdzie, zapyta, dostanę szansę. Zrobię na szaro.

I ja potrafię odebrać komuś życie.